WIELKIE SERIE SF

GENTRY LEE

Piąty tom cyklu RAMA

ŚWIETLANI POSŁAŃCY

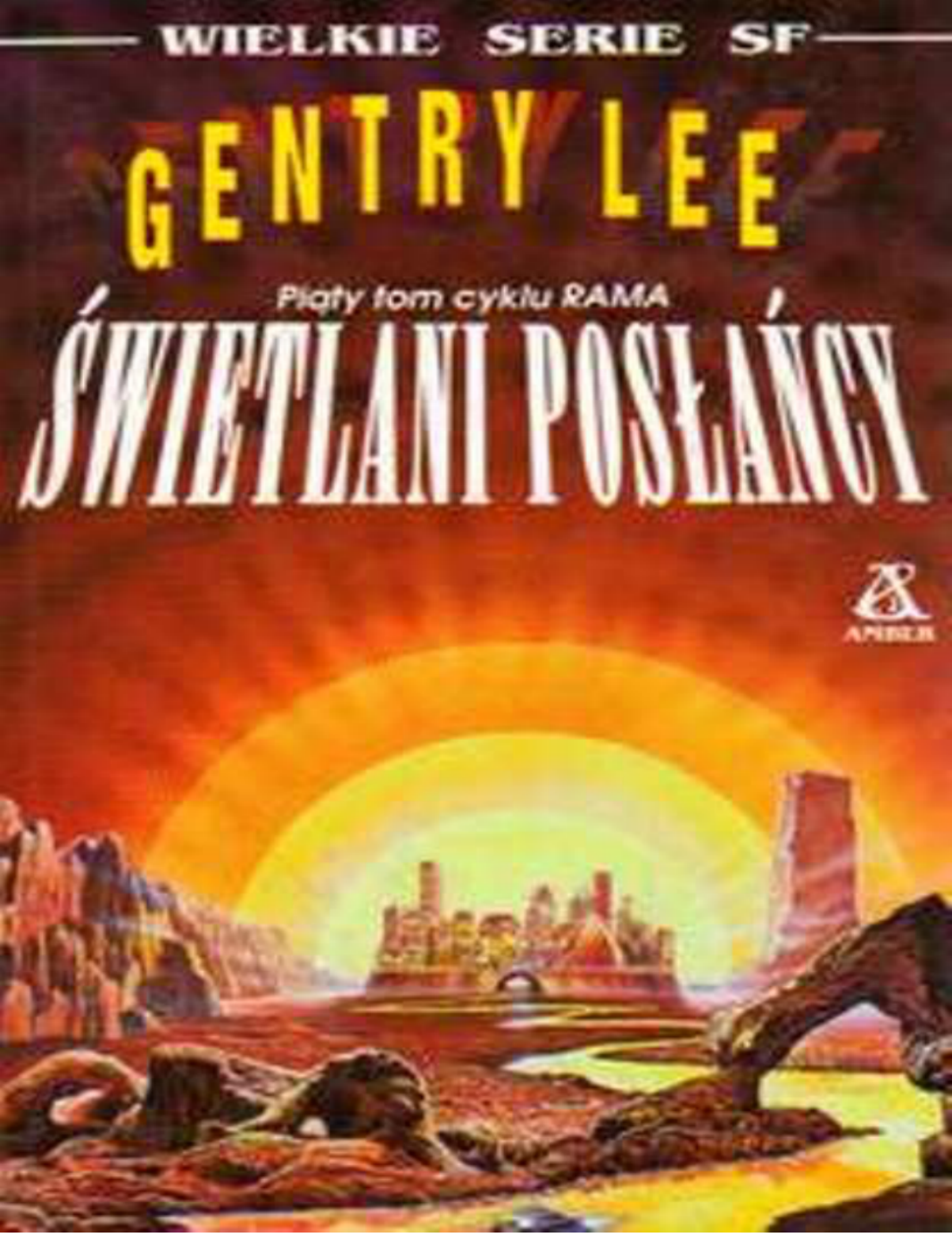

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Rok 2142. Upłynęło dziesięć lat od chwili pojawienia się Ramy, tajemniczego statku kosmicznego Obcych. Ziemia i jej pozaplanetarne kolonie pogrążone są w Wielkim Chaosie. Siostra Beatrice i inżynier Johann Ebehardt zauważają niewytłumaczalne zjawisko — zmiennokształtne chmury świetlistych mikroskopijnych kulek. Tylko oni dwoje przeczuwają związane z nimi nadciągające niebezpieczeństwo…

- Gentry Lee
- PODZIĘKOWANIA
- Wstęp
- Księga I
- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- 7
- 8
- 9
- 10
- 11
- 12
- Księga II
- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- 7
- 8
- 9
- 10
- 11
- 12

Gentry Lee
Świetlani Posłańcy

5 tom Ramy

(Przełożył; Andrzej Syrzycki)

PODZIĘKOWANIA

Chciałbym podziękować wszystkim ludziom, którzy podczas pisania tej powieści wspierali mnie i zachęcali, a w szczególności mojej żonie Stacey i mojej redaktorce Jennifer Hershey, które cierpliwie wysłuchiwały mnie setki razy. Chciałbym również podziękować moim siedmiu synom: Cooperowi, Austinowi, Robertowi, Patrickowi, Michaelowi, Travisowi i Hunterowi — za wypełnienie mojego życia miłością, radością i pełnią szczęścia, dzięki czemu było mi łatwiej skupić się i poświęcić światu, jaki stworzyła moja wyobraźnia.

Dużą rolę w nadaniu ostatecznego kształtu tej powieści odegrała Jennifer Hershey. Jej niezwykła wnikliwość niewątpliwie przyczyniła się do poprawy jakości tej książki. Również jej niezachwiana wiara w sukces Świetlanych posłańców pomogła mi pokonać niejedną trudną przeszkodę.

Dziękuję również Janis Dworkis, entuzjastycznie nastawionej koleżance, której uwagi na temat planów tej książki ceniłem sobie bardzo wysoko, a także Arlene Jacobs, z którą omawiałem niektóre zagadnienia medyczne związane z przyjściem na świat Marii.

Na końcu chciałbym podziękować swojemu nauczycielowi i przyjacielowi Arthurowi C. Clarke'owi, którego hojność umożliwiła mi rozpoczęcie kariery pisarskiej na dość późnym etapie mojego życia.

Wstęp

Kiedy skończyłem czytać Świetlanych posłańców, poczułem się jak instruktor lotnictwa, który właśnie wysłał swojego ucznia na samodzielny lot w bezchmurne niebo i z otwartymi ustami patrzył, jak ten wykonuje zapierające dech akrobacje. Gratuluję Ci, Gentry: Naprawdę trudno mi uwierzyć, że prawie dziesięć lat temu zaczęliśmy się zajmować tą kosmiczną przygodą.

Czy naprawdę minęło dopiero osiem lat od czasu, kiedy mój nieżyjący już agent, Scott Meredith, nalegał, bym spotkał się z Gentrym Lee? Mając wiele innych projektów na swojej liście, nie paliłem się do spotkania z jeszcze jednym potencjalnym współpracownikiem. Wówczas jednak Scott zaczął wyliczać korzyści: Gentry pracował w Jet Propulsion Laboratory i był głównym inżynierem projektu Galileo. Przedtem zaś był kierownikiem wydziału analiz naukowych i planowania eksperymentów z marsjańskimi ładownikami typu Viking. Ponieważ tak bardzo zależało mu na uświadomieniu ludziom, co dzieje się w kosmosie, do spółki z Carlem Saganem utworzył telewizyjne przedsiębiorstwo produkcyjne; tak narodził się Cosmos.

Takiego człowieka miałem poznać osobiście. Gentry znalazł się na pokładzie samolotu lecącego do Sri Lanki, a reszta jest historią. Owocami naszej współpracy były trzy kolejne po Spotkaniu z Ramą książki: Rama II, Ogród Ramy oraz Tajemnica Ramy.

W trakcie pisania ostatniego tomu, Tajemnicy Ramy, wydanego w 1994 roku, Gentry stworzył tyle tak fascynujących postaci i sytuacji, że stało się jasne, iż mamy w rękach cały nowy, domagający się opisania wszechświat. Ja jednak nie miałem ani czasu, ani energii na to, by pomóc Gentry'emu. Tak wiec byłem wielce szczęśliwy, mogąc mu powiedzieć: „Jest twój”. W rezultacie powstała niniejsza powieść, którą, mogę zapewnić, w 99,999 procentach napisał Gentry (udało mi się wyłapać parę błędów).

Świetlani posłańcy sprawią radość nawet tym, którzy nie zapoznali się z czteroksięgiem Ramy, chociaż przeczytanie wcześniej napisanych tomów z pewnością pozwoli lepiej zrozumieć treść tej książki. Jest możliwe, że największym sukcesem Gentry'ego było dokonanie czegoś, co Somerset Maugham określił kiedyś mianem najtrudniejszej sztuki w literaturze: stworzenie postaci, która jest niemal nieskazitelnie dobra. Sprawił, że taki zagorzały agnostyk jak ja stał się trochę bardziej tolerancyjny wobec tak nieposzlakowanej świętości.

Mam nadzieję, że i wy, podobnie jak ja, będziecie czekali z taką samą niecierpliwością na to, co zdarzy się w następnym tomie,

zatytułowanym: Double Fuli Moon Night.

Arthur C. Clarke
Colombo, Sri Lanka
20 października 1994 roku

Księga I
WIELKI CHAOS

1

Ledwo słyszalny kurant zegarka momentalnie obudził Beatrice. W półmroku poprzedzającym nadejście świtu wyślizgnęła się ze śpiwora leżącego na drewnianej pryczy w najdalszym kącie dużego namiotu. Głęboko odetchnęła i poczuła lekki dreszcz, gdy ujrzała, jak w zetknięciu z chłodnym powietrzem jej oddech zamienia się w obłoczek pary. Potarła dłonie i przycisnęła je do miękkiej bawełnianej tkaniny długiej koszuli, która w nocy pełniła funkcję piżamy.

Spod pryczy wyjęła niebieski habit zakonny i takiż kornet z cienkim białym pasem. W środku złożonego habitu znalazła szczotkę do włosów i zapinkę. Przeciągnąwszy kilka razy szczotką po długich jasnych włosach, skręciła je w ciasny kok i upięła starannie na czubku głowy. Dokończyła ubierać się w ciągu niespełna minuty i na palcach przeszła obok prycz śpiących koleżanek.

Kiedy znalazła się na dworze, natychmiast ruszyła do odległej o czterdzieści metrów kaplicy, wzniesionej na przeciwległym krańcu niewielkiej wyspy. Na drugim brzegu zobaczyła Hyde Park i dziesiątki dużych namiotów tworzących prawdziwe miasteczko, którym opiekowała się ona razem z innymi michalitami — kobietami i mężczyznami z zakonu Świętego Michała. Maleńka sztuczna wysepka na stawie Serpentine była ich prywatnym rajem.

Beatrice uklękła, by pomodlić się przed krzyżem i stojącą obok nieco mniejszą drewnianą figurą przedstawiającą młodego mężczyznę pochłanianego przez wielki płomień.

— Dobry BOŻE — powiedziała, tak jak każdego ranka. — Pomóż mi także dzisiaj wykonywać Twoją pracę i dzielić się z innymi ludźmi Twoją bezgraniczną i nieustającą miłością. W imię świętego Michała, który pozwolił nam zrozumieć Twoje plany.

Przeżegnała się, wstała i przeszła parę metrów; znalazła się po prawej stronie kaplicy. Tam, na mocno wydeptanej trawie, usiadła w pozycji lotosu. W oddali widziała światła odbijające się od dachów domów miasta, które nazywano Londynem. Jej oddech stał się głęboki i miarowy. Zamknęła oczy, zaczynając medytację. Po chwili nawiedziła ją ulotna wizja zasp śniegu piętrzących się wysoko przed drzwiami jej rodzinnego domu w Minnesocie.

O czwartej czterdzieści odezwał się kolejny kurant małego zegarka siostry Beatrice, przypominając jej, że czas kończyć medytacje. Zakonnica wstała, przeciągnęła się, a potem nacisnęła jeden z przycisków na krawędzi swojego skomputeryzowanego czasomierza. Na tarczy zegarka pojawił się rozkład zajęć przewidziany dla niej na ten dzień, 22 lutego 2141 roku.

Rocznica kąpieli George'a Birthingtone'a 1 — pomyślała z

uśmiechem, przypomniawszy sobie zabawny incydent z czasów, kiedy była uczennicą jednej z młodszych klas szkoły średniej. Przyjrzała się zajęciom, jakie zaplanowano dla niej na najbliższe siedemnaście godzin. O ósmej trzydzieści miała się spotkać w Kensington Gardens z przedstawicielami władz miejskich Londynu. O czternastej powinna wziąć udział w zebraniu w Esher poświęconym zdobyciu funduszy na działalność, a wieczorem przed kolacją musiała wygłosić przemówienie na centralnym korcie tenisowym w Wimbledonie.

Zwróciła uwagę na światełko migające w dolnym prawym rogu tarczy zegarka. Wskazywało, że tej nocy otrzymała wiadomość zaliczaną do kategorii oznaczonej priorytetem B. Dobrze chociaż, że nie priorytetem A — powiedziała do siebie, przypominając sobie sytuację sprzed dwóch tygodni. Obudzono ją wówczas o północy i proszono, by zajęła się sprawą jednej z mieszkających w miasteczku kobiet, która usiłowała zabić swojego męża.

Beatrice włączyła wyświetlacz na tarczy zegarka. Wiadomość, której nadano priorytet B, była bardzo zwięzła: „Fizyczne starcie między dwoma młodymi mężczyznami: Pakistańczykiem i Irlandczykiem. Sektor Dell, dwudziesta druga dwadzieścia pięć poprzedniego wieczoru. Obaj ranni, w tym jeden dosyć ciężko. Termin rozprawy wyznaczono na godzinę jedenastą. Przewodniczy siostra Beatrice".

Mam nadzieję, że to nie był jeszcze jeden incydent o podłożu rasowym — westchnąwszy, pomyślała Beatrice. Przeszła przez most pontonowy, jaki łączył Serpentine z resztą parku. Zastanawiała się, dlaczego cierpienie nie powiększało granic ludzkiej tolerancji w taki sposób, w jaki jej zdaniem powinno. Przypomniała sobie jedno z kazań świętego Michała; to o strachu i tolerancji. „Strach wyzwala najgorsze instynkty ludzi — mówił święty. — Nie powinniśmy zatem zapominać, że jesteśmy tylko niewiele lepsi od małp, a nie trochę gorsi od aniołów".

Każdego poranka, po skończonych medytacjach, siostra Beatrice miała zwyczaj okrążać szybkim krokiem otoczoną płotem część Hyde Parku, w której obrębie mieszkało w tej chwili siedem tysięcy bezdomnych ludzi. Miasteczko namiotów powstało w centrum Londynu przed niespełna dwoma laty i początkowo zajmowało tylko niewielki fragment parku. Wyrażenie zgody, by tą społecznością opiekował się zakon, było ze strony władz miasta wyrazem najwyższej desperacji. Późną zimą 2139 roku Londyn, podobnie jak wiele innych wielkich miast całego świata, został niemal całkowicie sparaliżowany przez konsekwencje ogólnoświatowej recesji gospodarczej powszechnie zwanej Wielkim Chaosem. Tysiące bezdomnych i bezrobotnych ludzi włóczyły się po ulicach, stwarzając zagrożenie dla porządku w mieście, szerząc choroby zakaźne i niwecząc to

W oryginale gra słów: George Birthington's Washday zamiast George Washington's wszystko, co jeszcze pozostało z gospodarczego lądu. Koszty zaopatrzenia tych wszystkich ludzi w żywność, odzież i dach nad głową przekraczały możliwości finansowe władz miasta, którego wpływy z tytułu podatków zostały poważnie zmniejszone przez kryzys gospodarczy.

W tym czasie zakon świętego Michała z Sieny, luźno związana z Kościołem w Rzymie samodzielna sekta katolików, której wyznawcy głosili doktryny młodego proroka zmarłego męczeńską śmiercią w końcu marca 2138 roku, zwrócił się do władz Londynu z propozycją zajęcia się społecznością bezdomnych. Zamierzano to zrobić tak, aby władzom miejskim nie przysporzyć żadnych kosztów. Zakonnicy prosili tylko o zapewnienie właściwego miejsca i ochrony przed biurokratyczną inercją lokalnego rządu. Przedstawiciele władz miejskich w pierwszej chwili roześmiali się, usłyszawszy o tym planie. Później jednak, pod naciskiem ze strony wybitnych ekonomistów, władze miasta, chociaż z oporami, zezwoliły michalitom na utworzenie niewielkiego miasteczka namiotów w samym środku Hyde Parku. W ten sposób zmalała liczba włóczęgów.

To, co początkowo władze postrzegały jako niebezpieczny, choć odważny eksperyment, okazało się sukcesem przekraczającym najśmielsze oczekiwania. Członkowie sekty składając śluby zakonne, przysięgali poświecić życie służbie bliźnim. Gdy nadszedł właściwy moment, wykazali się zarówno niespożytą energią, jak i niepospolitym, nadludzkim wręcz poświęceniem. Po początkowych trudnościach społeczność nieszczęśników została zorganizowana w sposób, który zadowolił wszystkich. Wielu bezdomnych otrzymało dach nad głową, odzienie i żywność. Co więcej, michalici, którzy nie pobierali wynagrodzenia za pracę, swą postawą obudzili nadzieję w dotkniętych przez los podopiecznych, co z kolei pomogło rozproszyć szerzącą się desperację.

W ciągu paru miesięcy michalici stworzyli na terenie parku agencję zajmującą się wyszukiwaniem pracy dla mieszkańców miasteczka. Mimo że większość oferowanych z początku zajęć miała charakter manualny i dorywczy, wielu ludziom żyjącym w Hyde Parku przywróciło to wiarę we własne siły. W krótkim czasie agencja zdwoiła wysiłki, chcąc zachęcić pobliskich przedsiębiorców do składania propozycji stałego zatrudnienia tym mieszkańcom, którzy w dotychczasowej, dorywczej pracy wykazali się najlepszymi wynikami.

Siostra Beatrice była właśnie jedną z kilku gotowych do poświęceń michalitek, które dwa lata wcześniej odważyły się złożyć władzom Londynu tę niezwykłą propozycję. Kiedy w końcu uzyskała zgodę, poświęciła się bez reszty organizacji i zarządzaniu. To właśnie Beatrice zaproponowała utworzenie Sektora Dziecięcego i wielu

innych nowości, które walnie przyczyniły się do sukcesu całego przedsięwzięcia. Kiedy potrzebowała pieniędzy na rozwój czy utrzymanie birthday@rocznica urodzin George'a Washingtone'a (przyp. tłum.). miasteczka, nie szczędziła starań, by je zebrać. Jej akcję popierało wiele kobiet mieszkających w Londynie.

Teraz zaś, w chłodnym półmroku lutowego poranka, kiedy jak co dzień przemierzała trasę wokół miasteczka namiotów, dwudziestoczteroletnia, błękitnooka Beatrice dobrze znała niebezpieczeństwa wciąż grożące jej przedsięwzięciu. Zatrzymała się na pagórku na Buck Hill Walk, rozdzielającym Sektor Dziecięcy na dwie części, i spojrzała na dziesiątki dużych namiotów, ustawionych na rozległej trawiastej przestrzeni graniczącej z wodą. Na liście oczekujących dzieci mamy ponad tysiąc nazwisk — przypomniała sobie — a brakuje już miejsca. Większość z nich tuła się po ulicach, śpi w zaułkach na kartonach i drży z zimna. Popatrzyła na Kensington Gardens. Bez trudności wyobraziła sobie zmiany, jakich trzeba byłoby dokonać, żeby zmienić tę część miasta w nową Wioskę Dzieci. Potrzeba nam tylko więcej miejsca — pomyślała.

Gdy w pobliżu Marble Arch dotarła do północno-wschodniej części Hyde Parku, zeszła drugimi schodami i znalazła się w oświetlonych podziemiach. Zanim przekazano tę część parku michalitom, znajdował się tu parking. Teraz miejsce to zamieniono w szpital.

— Dzień dobry, siostro Beatrice — odezwał się jeden z lekarzy, kiedy weszła do izby przyjęć. Popatrzył na zegarek. — Jak zawsze punktualnie — dodał, lekko się uśmiechając.

— Co słychać, bracie Bryanie? — zapytała Beatrice.

— Nie najgorzej. Po tamtej awanturze noc upłynęła nam spokojnie. Wręczył jej dwa arkusze wydruków komputerowych.

— Stan tego chłopaka z Pakistanu nie uległ żadnym zmianom — powiedział. — Ostrze noża dotarło dość głęboko i rozcięło mu jelita. Przetransportowaliśmy go do szpitala miejskiego zaraz po tym, jak udało się nam zatrzymać krwotok.

— A ten drugi? — zapytała Beatrice.

— Nic poważnego — odparł brat Bryan. — Zwykłe w takich wypadkach otarcia naskórka i kontuzje. — Roześmiał się słysząc swój medyczny żargon. — Skaleczenia i siniaki. Zatrzymaliśmy go na noc na obserwację.

Siostra Beatrice przeczytała szybko oba wydruki, a potem znów spojrzała na lekarza.

— Żadnych nowych przypadków gruźlicy? — zainteresowała się.

— Nie — odrzekł brat Bryan. — To już dziewiąty dzień z rzędu… Cały czas trzymamy kciuki. Wygląda na to, że w końcu akcja prześwietleń, które zarządziłaś, zaczyna przynosić oczekiwane

rezultaty.

Za cenę usunięcia z miasteczka ponad stu pięćdziesięciu mieszkańców — pomyślała ponuro Beatrice. — Większość z nich nawet nie miała wyraźnych objawów.

— Epidemia w samym mieście nie ustępuje — powiedziała. — Przed dwoma dniami odbyliśmy kolejną rozmowę z radą lekarzy Londynu. Normalne leki nie zwalczą tej odmiany wirusa. Sytuację pogarszają jeszcze wilgoć i zimno. Trzeba będzie w dalszym ciągu poddawać kwarantannie wszystkich nowych mieszkańców, do czasu aż potwierdzą się wyniki ich dokładnych badań.

Beatrice pożegnała się z lekarzem i poszła długim korytarzem do oddziału dziecięcego. Otworzyła cicho drzwi. W wielkiej sali panowała ciemność. Po obu stronach wiodącego środkiem sali przejścia stały dziesiątki dziecinnych łóżek.

Uśmiechnęła się, kiedy usłyszała w ciemnościach głos dziewczynki wymawiającej szeptem jej imię.

— Dzisiaj znów obudziłaś się za wcześnie, Elise — powiedziała ujmując dziewięciolatkę za rękę. Dziewczynka także się uśmiechnęła.

— Czekałam na ciebie, siostro Beatrice — odparła. — Chcę, żebyś mi coś powiedziała.

— Co takiego?

— Jesteś pewna, że po ustąpieniu ospy wietrznej moja twarz będzie taka sama jak poprzednio?

— Oczywiście, Elise — odpowiedziała zakonnica. — Ja też, kiedy miałam pięć lat, byłam ciężko chora na ospę wietrzną. Całą twarz miałam w krostach… Popatrz teraz.

Skierowała światło kieszonkowej latarki na swoją twarz.

— W porządku. Chyba mogę ci wierzyć — odezwała się dziewczynka, a potem uniosła się na łóżku i ją uściskała. — Jeszcze jedna sprawa — powiedziała po chwili, kiedy zakonnica odwracała się, żeby odejść. — Czy będziesz dziś wieczorem śpiewała na nieszporach?

— Tak — odparła Beatrice po krótkiej chwili zastanowienia.

— Do licha — stwierdziła Elise, kręcąc głową — znów nie będę mogła cię usłyszeć. Zamierzają wypuścić mnie stąd dopiero jutro.

Po wyjściu ze szpitala siostra Beatrice ruszyła na południowy wschód wzdłuż ogrodzenia obok Broad Walk. Po drugiej stronie płotu, w części parku najbliższej Mayfair, kilkoro ludzi gimnastykowało się na ścieżce zwanej Lover's Walk. Przebywali na terenie jednej z tych części Hyde Parku, która była wciąż dostępna dla mieszkańców Londynu.

Gdy znalazła się na Serpentine Road, popatrzyła na zegarek i przyspieszyła kroku. Po chwili wkroczyła w obłok mgły wiszącej nad ziemią. Beatrice lubiła patrzeć, w jaki sposób tajemnicza cicha biel

porannej mgły przemieniała Hyde Park w obce miejsce, w którym drzewa i posągi pojawiały się i znikały jak duchy, kiedy przechodziła obok nich.

Nieco po prawej stronie, tuż przy dolnych gałęziach dużego drzewa, zamajaczył dziwny geometryczny kształt. Wyglądał jak świecący pierścień i z tej odległości przypominał gigantyczny obwarzanek. Znajdujący się pośrodku twór miał rozmiary dorosłego człowieka.

Zaciekawiona Beatrice zwolniła, nie spuszczała wzroku z dziwacznego obiektu. Kiedy podeszła trochę bliżej i gdy jedną z parkowych latarń przysłoniło duże drzewo, oba koncentrycznie umieszczone grube pierścienie jarzącego się obwarzanka mogła widzieć jak na dłoni. W środku ujrzała tysiące nadzwyczaj drobnych, białych, podobnych do kropelek wody cząstek, z których każda wydawała się emitować własne światło, powoli tańcząc w przestrzeni ograniczonej przez oba pierścienie.

Co to może być? — pomyślała zaintrygowana. Niezwykle jasno świecący torus zaczął powoli płynąć w powietrzu w jej stronę. Beatrice zboczyła ze ścieżki i przeszła dwa kroki, kierując się ku drobinkom tańczącym i świecącym w porannej mgle. Ujrzała, że jarzący się pierścień nagle zawisł nieruchomo o kilka metrów przed nią. Beatrice, zahipnotyzowana na chwilę przez cząsteczki tańczące w środku obwarzanka, zebrała całą odwagę i chciała podejść bliżej. Niemal w tej samej chwili zobaczyła oślepiająco jasny błysk, na ułamek sekundy musiała zamknąć oczy.

Kiedy je znów otworzyła, otaczająca ją ze wszystkich stron mgła wyglądała tak jak zawsze. Beatrice nigdy nie widziała niczego podobnego do obwarzanka pełnego świecących i tańczących kulek. W jej umyśle na zawsze pozostał jednak obraz, jaki widziała na chwilę przed zamknięciem oczu. Wydawało się jej, że tysiące pojedynczych cząstek zawartych w dziwacznym torusie eksplodowało nagle jasnym światłem.

Siostra Beatrice rozejrzała się uważnie po parku. Nie dostrzegła niczego, co wydałoby się jej niezwykłe. Po kilku sekundach ruszyła szybko w stronę mostu pontonowego wiodącego do kwater zajmowanych przez michalitów. Znacznie wcześniej jednak, nim dotarła do dużej łaźni stojącej niedaleko namiotu, w którym spała, zaczęła rozmyślać, czy przypadkiem świecącego obwarzanka nie wyczarowała jej nadzwyczaj bujna wyobraźnia.

2

— Każdego wieczoru na chwilę przed zaśnięciem mówię sobie, że nastawię alarm zegarka i wybiorę się z tobą na poranny spacer — powiedziała stojąca pod sąsiednim prysznicem Vivien. — Wiem, że to byłoby korzystne dla mojego zdrowia. Ale zawsze dzieje się jedno i to samo. Chowam się głębiej do ciepłego śpiwora i rozmyślam, jak zimno i ciemno jest o czwartej czterdzieści rano…

— Nie martw się tym — odezwała się Beatrice, starając się, aby Vivien usłyszała ją mimo szumu wody. — Od czasu kiedy zaczęłyśmy pracować razem, mówiłam ci wiele razy, że nie musisz być na nogach przed szóstą rano. A i to, znając twoją naturę, jest dla ciebie niemałym poświęceniem.

— A niech to diabli, pewnie że jest — odparła Vivien, wychodząc spod prysznica i sięgając po dwa ręczniki z leżącego obok stosu. Zaczęła energicznie wycierać krótkie włosy. Obie kobiety były chwilowo same. — Wiesz — odezwała się po kilku sekundach — w moim dotychczasowym życiu zdarzało się często tak, że nawet nie kładłam się do łóżka przed szóstą rano… a przynajmniej nie po to, żeby zasnąć.

— Nie przypominaj mi o tym — rzekła siostra Beatrice, kiwnięciem głowy dziękując Vivien za wyciągnięty w jej stronę drugi ręcznik. Uśmiechnęła się ciepło do swojej asystentki. — Czasami nie potrafię zrozumieć, dlaczego przyłączyłaś się do naszego zakonu.

Siostra Vivien się roześmiała.

— Dla mnie nadal jest to całkowicie niepojęte. Każdego poranka, kiedy wkładam niebieski habit i ten śmieszny mały kornet, zadaję sobie pytanie, czy to naprawdę ja? Czy może jakaś inna osoba, w żaden sposób nie związana z Victorią Edgeworth, wychowaną w Woodrich Manor w hrabstwie Essex?

Vivien podeszła do jedynego lustra w łaźni, umieszczonego tuż obok kabin z prysznicami. Beatrice wciąż jeszcze wycierała włosy, kiedy jej odbicie pojawiło się obok Vivien w lustrze. Blada skóra ciała Beatrice kontrastowała ostro z ciemno-miedzianą skórą jej asystentki.

— Hej, wyglądasz doskonale — odezwała się żartobliwie Vivien. — Gdyby kiedyś znudziły ci się te wszystkie religijne bzdury, poradziłabyś sobie w życiu bez problemu.

Siostra Beatrice lekko się zaczerwieniła i odeszła od lustra. Miała właśnie opowiedzieć asystentce o świecącym pierścieniu, kiedy drzwi do łaźni się otworzyły i do środka weszły dwie inne michalitki. Postanowiła zaczekać na inną okazję.

Tymczasem Vivien wyjęła czystą sztukę długiej bielizny z kosza z napisem ROZMIAR ŚREDNI oraz czysty niebieski habit ze stojącego

tuż obok drugiego kosza.

— Mam nadzieję, B, że cię nie uraziłam — odezwała się, kiedy dołączyła do Beatrice. — Czasem nie mogę ścierpieć, że muszę zachowywać się przez cały czas jak święta.

— Nikt nie mówi, że musisz być doskonała — odrzekła Beatrice, wkładając przez głowę czysty habit. Odwróciła się i spojrzała poważnie na Vivien. — Musisz jednak pamiętać, kim jesteś i czym jesteś… i dawać dobry przykład innym.

— Oho — odparła siostra Vivien, próbując humorem stępić ostrze wymówki Beatrice. — Domyślam się, że bycie mniszką zakonu świętego Michała oznacza, że już nigdy nie będę mogła podziwiać naturalnego piękna tego, co Bóg stworzył.

Wbrew samej sobie Beatrice uśmiechnęła się i pokręciła głową.

— Czasami, moja droga, jesteś naprawdę niepoprawna.

— A zatem mi wybaczasz? — zapytała ją Vivien. Nie czekając na odpowiedź, podskoczyła z powrotem do lustra, by poprawić kornet. — Ciekawa jestem, w jaki sposób włożyłaby ten kapelusz moja jamajska matka — powiedziała. — Ostatnio, kiedy ją widziałam, w Boże Narodzenie, stwierdziła, że habit się jej podoba, ale że w tym kornecie zupełnie mi nie do twarzy…

Obie kobiety przeszły razem przez most pontonowy i znalazły się w głównej części parku. Podążyły w stronę budynku kierownictwa miasteczka namiotów. Miejsce to, zanim przekazano park michalitom, było posterunkiem policji.

— Ostatniej nocy doszło w Dell do awantury — zaczęła Beatrice, starając się całkowicie skupić na czekających ją tego dnia obowiązkach. — Zostałam wybrana przewodniczącą rozprawy wyznaczonej na dzisiaj na jedenastą rano. Chciałabym odwiedzić teraz laboratorium obróbki obrazów z kamer, a ty mogłabyś wpaść do brata Timothy'ego i upewnić się, czy właściwie przygotował moje wystąpienie w sprawie rozbudowy miasteczka na terenie Kensington Gardens… Za kwadrans spotkamy się na śniadaniu.

Siostra Beatrice podeszła do szarego budynku znajdującego się nieco w bok od ścieżki. Z kieszonki w spodniej części komputerowego zegarka wyciągnęła kartę identyfikacyjną i wsunęła ją do czytnika umieszczonego tuż nad klamką. Kiedy drzwi się otworzyły, skierowała się do dużego pokoju pełnego komputerów, monitorów i innych elektronicznych urządzeń. Powitała ją siostra Melissa, która zaprowadziła Beatrice do niewielkiej kabiny projekcyjnej.

— Niektóre fragmenty incydentu zostały zarejestrowane przez kamerę czterysta siódmą i czterysta ósmą — oznajmiła Melissa. — Część z nich przygotowałam w kolejności chronologicznej… Brat Thomas, z sekcji bezpieczeństwa, przestudiował je starannie i teraz będzie nam służył swoim komentarzem.

Starszawy mężczyzna mówiący ze szkockim akcentem usiadł w kabinie projekcyjnej obok Beatrice.

— Pierwsze ujęcia — powiedział pokazując na ekran monitora — zostały dokonane o dwudziestej drugiej pięć. O tej porze pan Bhutto siedział na ławce w parku obok wodospadu i zajęty był rozmową z panną Macmillan. Na ekranie widać oboje. Bhutto ma dwadzieścia trzy lata i mieszka w namiocie rodzinnym B-19 usytuowanym na południe od Reservoir. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy był wzorowym mieszkańcem zgłaszającym się na ochotnika do każdej pracy, którą wykonywał nienagannie. Macmillan, dwadzieścia jeden lat, zajmuje pryczę w namiocie F-6 przeznaczonym dla panien i stojącym na północ od Bandstand. Przybyła do nas niedawno. Chociaż obrazom nie towarzyszyły dźwięki, siostra Beatrice mogła z ruchów ciała i gestów młodych ludzi wywnioskować, że ich rozmowa miała charakter przyjacielski. Na początku żadne z nich nie dotykało drugiego, chociaż kilka gestów i ruchów głową panny Macmillan świadczyło, że próbuje kokietować pana Bhutto.

— Przez pierwszych dziesięć minut w ich zachowaniu nie było żadnej zmiany — oznajmił brat Thomas. — Później zaczęli się całować.

Zarejestrowany obraz późniejszych scen był nieostry i zbyt ciemny. Mimo to, kiedy siostra Beatrice przywykła do gorszej jakości obrazu, bez trudu mogła zobaczyć, co się działo. Kiedy pan Bhutto nachylił się i przelotnie musnął wargami usta panny Macmillan, młoda kobieta uniosła rękę, położyła dłoń z tyłu głowy mężczyzny i przyciągnęła go do siebie. Taśma z nagraniem się skończyła, gdy oboje oddawali się namiętnym pocałunkom.

— Jeden z elementów przetwarzających sygnał uległ uszkodzeniu — wyjaśniła siostra Melissa. — Zanim jednak rozpocznie się następny fragment, jego funkcję automatycznie przejmie sprawny element rezerwowy.

Rzeczywiście, obrazy, które teraz pojawiły się na ekranie, były o wiele wyraźniejsze. Ten fragment, który zaczął się trzy minuty po skończeniu poprzedniego, ukazywał parę młodych ludzi stojących obok ławki i nadal się całujących, a potem udających się w ustronne miejsce nie opodal wodospadu. Kiedy się zakończył, na ekranie monitora pozostała nieruchoma ostatnia klatka.

— To będą nasze ostatnie dobre zdjęcia pana Bhutto i panny Macmillan — odezwał się brat Thomas. — W chwili gdy kamera ponownie obejmie swoim zasięgiem miejsce akcji, oboje będą ledwo widoczni, skryci za tamtą grupą drzew… Czy jest może coś, co siostra chciałaby obejrzeć po raz drugi?

— Nie, na razie nie — odparła Beatrice. — Poproszę o ciąg dalszy.

— Kolejne obrazy zostały sfilmowane przez drugą kamerę. Zobaczymy pana Malone'a z kolegami, jak idą tamtą aleją nieco na północ od Dell. Będzie to się działo sześć minut później…

Przy okazji, poszukując numeru identyfikacyjnego pana Malone'a, siostra Melissa przeszukała bazy danych kamer wideo i znalazła dwa inne zarejestrowane obrazy, oba z poprzedniego tygodnia, na których pan Malone próbuje w kawiarni nawiązać rozmowę z panną Macmillan. Ze względu na brak czasu nie pokazujemy tamtych obrazów razem z fragmentami zarejestrowanymi wczoraj wieczorem.

Na monitorze ukazał się obraz krzepkiego młodego Irlandczyka, ubranego w marynarkę tak czerwoną jak jego policzki. Ścieżką miedzy drzewami zbliżał się do zbiornika wodnego pod wodospadem. Malone i jego dwaj koledzy wybuchali raz po raz głośnym śmiechem.

— Światło w tej części parku nie jest dobre — odezwał się brat Thomas. — Musieliśmy więc znacznie rozjaśnić te fragmenty… Proszę zwrócić uwagę na ten ciemny przedmiot wystający z kieszeni spodni pana Malone'a. To rękojeść noża, który później zostanie użyty jako broń podczas walki między nim a panem Bhutto.

Ekran monitora na chwilę ściemniał.

— Allan Malone ma dwadzieścia jeden lat i pochodzi z Londonderry — ciągnął brat Thomas. — Już raz, kiedy miał kilkanaście lat, został aresztowany za udział w napadzie. On, jego matka i dwie młodsze siostry mieszkają w jednym z namiotów dla niedawno przybyłych rodzin przy Rotten Row, tuż na pomoc od boiska piłkarskiego.

Beatrice usłyszała obok siebie kaszlnięcie. Odwróciła się i spojrzała na brata Thomasa. Zobaczywszy jego zaczerwienione oczy, domyśliła się, że przez całą noc przygotowywał dla niej tę relację.

— Proszę teraz zwrócić uwagę, co się stanie, gdy Malone ujrzy pana Bhutto i pannę Macmillan — powiedział.

Kiedy trzej młodzi mężczyźni pokonali zakręt ścieżki, ich uwagę przyciągnęła scena rozgrywająca się na lewo od nich. Zawadiacki uśmieszek na twarzy Malone'a szybko zniknął.

W chwilę później rysy jego twarzy stężały, a oczy zamieniły się w dwie szparki. Potem ekran po raz kolejny ściemniał.

— Niestety, nie dysponujemy ciągłym obrazem — odezwał się brat Thomas. — Następne fragmenty zostały sfilmowane w minutę i dwadzieścia sekund później. Ze względu na to, że dzieje się na nich tak wiele, siostra Melissa przygotowała cały ostatni fragment w zwolnionym tempie.

W lewej części ekranu monitora Bhutto i Malone okładali się zawzięcie pięściami. Obok nich stało dwóch kolegów Irlandczyka, zachęcając go okrzykami do walki. W prawej części panna Macmillan, z rozwichrzonymi włosami oraz przekrzywioną spódnicą i bluzką, w

pośpiechu zapinała guziki płaszcza. Kiedy trochę bardziej uporządkowała ubranie, niemal biegiem opuściła miejsce akcji.

Walka trwała tymczasem przez następne trzydzieści sekund. Obaj mężczyźni zadawali ciosy na oślep, tylko z rzadka trafiając się wzajemnie. Żaden z nich nie uzyskiwał wyraźnej przewagi. W pewnej chwili jednak, kiedy Bhutto ulokował silny cios na lewej skroni Malone'a, młody Irlandczyk wyciągnął z kieszeni nóż i zamachnął się nim, rozcinając brzuch Pakistańczyka.

Kamera zarejestrowała tryskający z rany strumień krwi. Pan Bhutto schwycił się za brzuch i zalany krwią, zwalił się na ziemię. Allan Malone i jego dwaj towarzysze po chwili wahania odwrócili się i uciekli.

Kiedy obraz wideo zniknął z ekranu, siostra Beatrice przez kilka sekund siedziała bez ruchu w kabinie projekcyjnej.

— Czy jest coś, czego jeszcze potrzebujesz? — zapytała ją siostra Melissa.

— Nie, nie sądzę — odparła Beatrice, sięgając po wideo-sześcian, który tamta wyciągnęła w jej stronę. — Bardzo ci dziękuję.

Z ciężkim sercem wstała i wyszła. Rozważając w myślach wszystko, co musi jeszcze zrobić przed rozprawą, zaczęła się zastanawiać, czy ludzie kiedykolwiek będą umieli żyć ze sobą w zgodzie. Ani przez chwilę nie pomyślała o dziwnym zjawisku, które widziała tego ranka podczas spaceru po parku.

Chociaż nie było jeszcze szóstej trzydzieści, w stołówce zdążyła ustawić się kolejka. Z powodu zimna na dworze mieszkańcy stłoczyli się w środku, stali w długiej i krętej kolejce podobnej do tych, jakie kiedyś widywało się w wesołych miasteczkach. Odziani w niebieskie habity michalici czekali w osobnej, znacznie krótszej kolejce, ale grupy oczekujących łączyły się tuż przy wejściu do dużego pomieszczenia, w którym wydawano posiłki.

Gdy obydwie zakonnice znalazły się blisko lady, Vivien podała Beatrice tacę. Tuż za nią stała rosła Murzynka. Ona i jej dwaj kilkunastoletni synowie żartowali, kiedy wybierali sobie soki.

— Widzisz — odezwała się po kilku sekundach kobieta do starszego syna, a w jej głosie było słychać śpiewny akcent z Indii Zachodnich. — Możesz być Murzynem i należeć do zakonu michalitów. Popatrz tylko na tę panią.

Siostra Vivien odwróciła się, słysząc tę uwagę, a jej twarz rozjaśniła się w uśmiechu. Starszy chłopiec spojrzał na nią, wyraźnie zdumiony.

— Jesteś nawet całkiem ładna — powiedział. — Dlaczego postanowiłaś zostać mniszką? Kobieta lekko szturchnęła swojego syna. Oczy Vivien rozbłysły, kiedy w charakterystyczny dla siebie sposób przekrzywiła głowę.

— Młody człowieku — powiedziała, robiąc zamaszysty gest. — Wielki to dla mnie honor, móc służyć Bogu i wszystkim ludziom.

Chłopiec zaczai sprawiać wrażenie zakłopotanego.

— Hmm, hmm — chrząknęła Murzynka, wyraźnie chcąc skierować rozmowę na inny temat. — Popatrz tylko, ile tu różnych rodzajów chleba!

Na tacach na stojącym przed nimi prostokątnym stole leżało osiem odmian chleba, z których każdy był starannie oznaczony i opisany. Chleb był w miasteczku namiotów głównym składnikiem wszystkich posiłków. Wypiekano go z pszenicy uzyskiwanej przez inżynierów biologów z hrabstwa Kent, w cieplarniach, także zarządzanych przez michalitów. Każdy rodzaj pszenicy wyhodowano specjalnie z myślą o dostarczeniu ludziom właściwych ilości potrzebnych im witamin i protein.

Po drugiej stronie stołu stało dwoje młodych michalitów, mężczyzna i kobieta, kroili bochenki chleba i pomagali obsługiwać ludzi. Murzynka i jej dwaj synowie zawahali się na widok takiej obfitości pieczywa.

— Zapewne jesteście tutaj nowi? — odezwała się do niej Vivien, kiedy kobieta i jej dzieci nałożyli sobie po kilka kromek na talerze.

— Tak — odparła Murzynka. — Mieszkaliśmy dotychczas w nieczynnym domu towarowym, nad rzeką, kiedy ktoś powiedział nam o tym ogłoszeniu… że możemy zamieszkać tutaj… Byliśmy na liście oczekujących prawie przez dwa miesiące i nawet chcieliśmy zrezygnować. Jaka szkoda, że nie było można przyjąć tych wszystkich chorych ludzi, ale cóż, dzięki temu w końcu uśmiechnęło się do nas szczęście.

Siostra Beatrice wychyliła się z kolejki i spojrzała na kobietę.

— Ile czasu zajęła wam rejestracja? — zapytała.

— Niemal całe trzy dni — odrzekła Murzynka. — Chłopcy narzekali i zrzędzili, że muszą się tłoczyć w jednym z tamtych dwóch namiotów nad rzeką, ale przez cały czas mówiłam im, że warto poczekać… I aż krzyknęłam z radości, kiedy ci doktorzy oświadczyli nam, że nie ma żadnych przeszkód.

Na końcu sali, w której wydawano posiłki, soki, chleb i tylko kilka gatunków owoców i warzyw, znajdowały się wyroby zbożowe i kasze. Na długich stołach, przy których wszyscy jedli, ustawiono dzbanki z kawą lub herbatą. Beatrice sięgnęła po talerz gotowanego ryżu, do którego dodała później mieszaninę kilku egzotycznych przypraw. Vivien zdecydowała się w końcu na owsiankę.

— To, na co miałabym ochotę dzisiaj rano — odezwała się po cichu do Beatrice — to kilka gotowanych jajek i pęto dobrej kiełbasy.

— Mięso nie jest pokarmem koniecznym dla twojego zdrowia — zganiła ją siostra Beatrice. — A co więcej, nie stanowi optymalnego

wykorzystania zasobów żywnościowych świata. Czy wiesz, że ilością zboża potrzebną do utuczenia jednej świni, którą zdoła się wyżywić sto osób, można by nakarmić tysiąc dwustu ludzi?

— Ale kiełbasa jest taka smaczna… — zaczęła Vivien i urwała, kiedy napotkała surowe spojrzenie koleżanki.

Beatrice usiadła i zaczęła wielkimi kęsami pochłaniać śniadanie. W tym czasie Vivien nalała sobie filiżankę kawy i spojrzała na swoją towarzyszkę.

— Co się stało, B? — zapytała. — Wydajesz się taka spięta i zatroskana…

— Wystąpienie musi zostać przygotowane jeszcze przed spotkaniem — odrzekła gderliwie Beatrice. — Mamy na to nie więcej niż godzinę. Później jest to przeklęte posiedzenie o jedenastej, a więc znów twoje osobiste szkolenie zostanie zakłócone. Brat Hugo wyznaczył mnie przewodniczącą tylko dlatego, że sam nie znosi podejmować niepopularnych decyzji… Po południu muszę jeszcze podlizywać się tym wszystkim bogatym damom w Esher… Nigdy nie ma dość czasu, by ze wszystkim zdążyć…

Dotyk ręki Vivien powstrzymał ten potok słów.

— Hej — odezwała się Vivien. — Głowa do góry. Czy nie ty właśnie mówiłaś mi kiedyś, że nie można pełnić służby bożej, póki nie jest się wolną od wszelkich stresów?

Beatrice na chwilę przestała jeść i spojrzała na koleżankę.

— Przypuszczam, że wymagam nazbyt wiele — powiedziała. — Tego ranka, kiedy kończyłam obchód, miałam halucynację. Przez chwilę wydawało mi się…

Siostra Beatrice przerwała, głęboko odetchnęła i powoli policzyła do dziesięciu.

— Dziękuję ci, Vivien — rzekła i ścisnęła jej dłoń.

3

Pół godziny po śniadaniu siostra Vivien umieściła swoją kartę identyfikacyjną w czytniku, a po chwili wyjęła ją i dołączyła do Beatrice siedzącej w małym kiosku obok bramy wejściowej przy Exhibition Road. Brat Martin wręczył im ich karty i mały cylinder z nagranym tekstem i obrazem wystąpienia Beatrice.

Obie kobiety, z szyjami owiniętymi teraz niebieskimi szalami, zaczęły przekraczać strefę bezpieczeństwa na moście Serpentine. Kiedy szły, Beatrice wsunęła cylinder do kieszeni habitu.

— Sądziłam, że wysłałaś poprawione wystąpienie przez telewideo — odezwała się Vivien.

— Owszem — stwierdziła Beatrice. — To jest kopia zapasowa… na wypadek gdyby stało się coś nieprzewidzianego.

Przeszły obok kolejki zziębniętych i przemoczonych ludzi, czekających, żeby złożyć podanie o przyjęcie do miasteczka namiotów. Wzdłuż kolejki chodziło tam i z powrotem kilku michalitów, rozmawiali z ludźmi i podtrzymywali ich na duchu. Siostra Beatrice zatrzymała się na chwilę, by zamienić parę słów z jednym z zakonników.

Kilka minut później Beatrice i Vivien przeszły przez Kensington Road i znalazły się na Knightsbridge. Zziębnięty, mniej więcej dziesięcioletni chłopiec podszedł do nich i wyciągnął obie ręce w żebrzącym geście. Beatrice nachyliła się tak, by jej głowa znalazła się na poziomie jego twarzy.

— Jak się nazywasz? — zapytała łagodnie.

— Wills — odpowiedział po kilku chwilach chłopiec.

— To śliczne nazwisko — stwierdziła siostra Beatrice. — A teraz Wills, gdybyś zechciał odprowadzić nas do tamtej kawiarenki na rogu Prince Consort Road, postarałybyśmy się, żeby dano ci jakieś śniadanie. Wiesz, nie możemy ofiarować ci żadnych pieniędzy… bo ich nie mamy.

Mały chłopiec rozejrzał się nerwowo w prawo i w lewo.

— Chociaż trochę drobniaków, psze pani, jeśli łaska — odpowiedział.

Beatrice pokręciła stanowczo głową, pogładziła chłopca po włosach i poszła dalej.

— Do wściekłości doprowadza mnie sposób, w jaki niektórzy ludzie wykorzystują swoje dzieci — zwróciła się do Vivien. — Założę się, że ojciec czy matka albo jacyś inni krewni tego malca czają się w pobliskiej altanie… Nie pozwolą chłopcu zatrzymać nic z tego, co wyżebrze… Jeszcze jeden powód, dla którego nasza Wioska Dzieci jest taka ważna.

Zakonnice skręciły w lewo, minęły Muzeum Wiktorii i Alberta i zaczęły iść obok rzędu domów. Niemal wszędzie było widać w nich napisy: „Do wynajęcia” i „Rewelacyjnie niskie ceny”. Ludzi jednak widywało się niewiele.

Po Brompton Road jechało kilka samochodów. Rozwidniło się, ale ciężkie ciemne chmury nadawały porankowi szary odcień. Połowa punktów usługowych i sklepów była zamknięta; widocznie ich właściciele padli ofiarą bezlitosnej recesji. W wejściach do niektórych nieczynnych sklepów bezdomni ludzie zbudowali z dykty i tekturowych pudeł skomplikowane konstrukcje, które służyły im za mieszkania. Oparte o szyby pustych witryn wózki na zakupy i duże worki na odpady zawierały cały ich dobytek.

— Mamy w Hyde Paku siedem tysięcy ludzi — odezwała się Beatrice do Vivien. — Kolejne dziesięć tysięcy mieszka w schroniskach w różnych punktach Londynu. „Times” ocenia, że liczba wszystkich bezdomnych w całym mieście przekracza sto dwadzieścia tysięcy. Co więcej, liczba ta z każdą chwilą rośnie…

— Dokąd idziemy? — zapytała nagle Vivien, kiedy Beatrice skręciła w Beauchamp Place.

— Do nowego budynku administracji na Walton Street — odparła zakonnica. — Moje wystąpienie przeniesiono tam ze względu na udział w nim przedstawicieli prasy…

Beatrice przerwała. Vivien nie było u jej boku. Przystanęła o kilka kroków z tyłu.

— To nie może być przypadek — powiedziała, kręcąc głową. Przeżegnała się i spojrzała na ciemne chmury na niebie. — Czy robisz to, dobry Boże, żeby pomóc mi podjąć decyzję? — zapytała. — Czy może to tylko sprawka chytrej siostry Beatrice, że zawiodła mnie na miejsce moich podłych czynów?

Marszcząc brwi, Beatrice spojrzała na koleżankę.

— Niewiele ponad rok minął od chwili, kiedy właśnie tutaj spotkałyśmy się po raz pierwszy — przypomniała jej Vivien. — O niecałe pięćdziesiąt metrów od tego miejsca… Jeden z moich amantów odprowadzał mnie do agencji, w której mnie wynajął. Ty i brat Madison klęczeliście wtedy na tym chodniku, okrywając kocami jakiegoś nieszczęśnika, który stracił przytomność i mógł umrzeć na tym mrozie.

— To zdarzyło się właśnie tutaj? — zdziwiła się Beatrice, spoglądając w tamtą stronę. — Nie pamiętam dokładnie miejsca.

— Przeszliśmy na drugą stronę, żeby coś ominąć — ciągnęła Vivien, a w jej głosie słychać było większe ożywienie. — Otuliłam się szczelnie futrem z norek. Mój amant, jeden z tych bezdusznych Arabów z harmonią forsy, lecz poza tym nieczuły jak kamień, roześmiał się na całe gardło, kiedy tamten biedak wyślizgnął ci się z

rąk i upadł na chodnik… Patrzyłam, jak schyliłaś się i usiłowałaś go znowu podnieść. Na chwilę nasze spojrzenia się spotkały… Nigdy tego nie zapomnę. Pamiętam, że czułam się wówczas jak osoba absolutnie bezwartościowa.

Beatrice przeszła te kilka kroków i stanęła u boku koleżanki.

— Kiedy wróciłam do swojego luksusowego mieszkania w Mayfair, płakałam — powiedziała zamyślona Vivien. — Nie wiem dlaczego, ale nie mogłam przestać. — Pokręciła głową. — Upłynęły jednak prawie cztery miesiące, nim podeszłam do ciebie po tamtej mowie, którą wygłosiłaś w Marlboro School.

— Cieszę się, że to zrobiłaś — odezwała się Beatrice po krótkiej chwili ciszy.

Obie mniszki objęły się i uściskały na środku chodnika, nie zwracając uwagi na przechodniów.

— Chodźmy — powiedziała w końcu Beatrice. — Czeka nas to wystąpienie.

— Byłaś niesamowita — stwierdziła Vivien, kiedy wraz z Beatrice znalazła się na Beauchamp Place w drodze powrotnej do Hyde Parku. — Nie mogę wprost uwierzyć, jak dobrze poradziłaś sobie ze wszystkimi, włącznie z przedstawicielami gazet. Nigdy nie przestaniesz mnie zdumiewać.

— Dziękuję, Vivien — odparła siostra Beatrice. — Przemyślałam to wszystko bardzo dobrze. Martwi mnie jednak to, że pod koniec spotkania byłam szorstka dla pani Shields. To było niepotrzebne.

— Ale ona na to zasłużyła — sprzeciwiła się Vivien, niemal biegnąc, by dotrzymać kroku zakonnicy. — Ta kobieta jest nadętą idiotką. Gdyby mogła, powrzucałaby wszystkich bezdomnych do Tamizy i najchętniej jak najszybciej o nich zapomniała.

— Obawiam się, że tak samo postąpiłaby większość obecnych — odrzekła Beatrice. — A w dodatku i nas wrzuciliby do rzeki razem z nimi. Byliśmy tolerowani tylko dlatego, że wiedzieli, iż mamy rozsądne i tanie rozwiązanie problemu, z którym sami nie mogą się uporać.

— Czy zdziwiło cię, że postanowili odłożyć ostateczną decyzję do wieczora? — zapytała ją siostra Vivien.

— Właściwie nie — odparła Beatrice. — Pan Clark wprawdzie obiecał, że wyrazi zgodę dzisiaj rano, ale z pytań zadawanych przez panią Shields i jej zgraję wynikało niedwuznacznie, że nasz pomysł rozszerzenia miasteczka nie cieszy się popularnością. Zwłaszcza że nie wyrażamy skruchy z powodu przyjęcia do niego tak wielu obcokrajowców… Rada musi więc odbyć dzisiaj po południu jeszcze jedno, zamknięte posiedzenie, żeby sprawić na nas wrażenie.

Obie kobiety minęły podwórko, na którym bawiła się grupa dzieci odzianych w jednakowe szkolne mundurki.

— Te chociaż mogą być szczęśliwe — powiedziała z naciskiem w głosie Beatrice. — Chociaż wątpię, czy zdają sobie z tego sprawę. Nie mogę się doczekać chwili, kiedy i dla naszych dzieci zdobędziemy odpowiedni sprzęt do zabaw.

— Więc uważasz, że przyj mą twoją propozycję?

— Oczywiście — potwierdziła siostra Beatrice. — Wiele z tego, co mówiono podczas spotkania, to nic więcej tylko polityczna poza. Tak dzieje się zawsze, gdy w zebraniu biorą udział przedstawiciele prasy. Każdy członek rady chce wówczas wypowiedzieć swoje uwagi na temat tego czy innego aspektu zagadnienia… Na wypadek gdyby całe przedsięwzięcie zakończyło się katastrofą. Żadne z nich nie chciałoby udostępnić Kensington Gardens ogółowi ludzi, ale wiedzą, że w tej sytuacji właściwie nie mają innego wyboru. Za bardzo ich przytłacza liczba bezdomnych osób.

Znalazły się na Brompton Road. Beatrice skręciła w lewo, cały czas szła bardzo szybko.

— Czy możemy zatrzymać się na chwilę i czegoś napić? — zapytała ją Vivien. Beatrice spojrzała na zegarek.

— Niestety, nie — odparła. — Mamy tylko tyle czasu, żeby zdążyć przygotować się do tej rozprawy, a wyznaczono ją na jedenastą.

Siostra Vivien podbiegła, chcąc szybciej znaleźć się u jej boku.

— B — powiedziała, z trudem łapiąc oddech. — Jak sądzisz, dlaczego sprawozdawcy zadawali nam na końcu tyle osobistych pytań?

Beatrice wzruszyła ramionami.

— Zawsze tak robią — odrzekła. — Zwłaszcza ci z telewizji. Uważają, że osobowości są ciekawsze od problemów czy pomysłów… Nie odpowiadając na takie pytania, próbuję zwracać ich uwagę na nasz zakon i na wszystko, co staramy się osiągnąć. Nie zawsze jednak to mi się udaje.

— Jestem pewna, że wiem, dlaczego się tak tobą interesują — stwierdziła Vivien. — Jesteś dla nich kimś niezwykłym. Niewiele kobiet w twoim wieku umiałoby tak przedstawić swój pomysł.

— Poszło mi nie najgorzej, prawda? — uśmiechnęła się Beatrice. — Kiedy zaczęłam przemówienie, poczułam, jak wstępuje we mnie jakaś siła.

Przez chwilę w milczeniu szły obok siebie.

— Czasami się zastanawiam, jak wyglądałoby moje życie, gdybym nie wstąpiła do zakonu — odezwała się w końcu Beatrice. — Czy byłabym nadal piosenkarką? A może postanowiłabym zostać kimś innym? Może odniosłabym sukces jako instruktorka, dziennikarka, a może nawet polityk… Stwierdziłam, że sprawia mi dużą radość przemawianie do grup ludzi…

Beatrice nagle się zatrzymała. Siostra Vivien nie spostrzegła wyrazu zaniepokojenia na jej twarzy.

— Uważam, że mogłabyś osiągnąć, co zechcesz, Beatrice — powiedziała. — Jesteś taka utalentowana… Przerwała, gdy poczuła na ramieniu dłoń koleżanki.

— Doceniam twoje komplementy, naprawdę doceniam — odezwała się siostra Beatrice. Ruszyła powoli w dalszą drogę. — Są one jednak nie na miejscu, tak samo jak duma, w którą się przed chwilą wbiłam. Nieomal przekonałam samą siebie, że to tylko dzięki mnie uda się nam utworzyć drugą część miasteczka na terenie Kensington Gardens. Ten rodzaj aroganckiej dumy jest grzechem, a ja potrzebuję ciebie, Vivien, byś pomogła mi strzec się przed czymś takim. Kiedy stwierdzisz, że staję się zbyt dumna z siebie, musisz przypomnieć mi, że moje zwycięstwa są zwycięstwami Boga i że nie będę mogła osiągnąć niczego, jeżeli zostanę pozbawiona Jego wsparcia. W przeciwnym razie moja przydatność dla Jego służby może bardzo szybko zmaleć.

Siostra Vivien nie wiedziała, co odpowiedzieć.

— Spróbuję, Beatrice — odrzekła w końcu — lecz przypuszczam, że może to być bardzo trudne. Nadal sądzę, że jesteś kimś wyjątkowym.

4

Kiedy Beatrice i Vivien powróciły do budynku zarządu w Hyde Parku, czekał tam już na nich brat Darren, urzędnik wyznaczony do pomocy w rozprawie o jedenastej i odpowiedzialny za dopilnowanie wszystkich spraw porządkowych. Był bardzo poruszony.

— Myślałem, że już nigdy nie wrócicie — powiedział kierując obie kobiety do małego gabinetu. — Mamy poważny problem.

— Dlaczego? — zapytała go Beatrice. — Czy dzieje się coś złego?

— Awantura z wczorajszego wieczoru zaczyna zataczać coraz szersze kręgi — wyjaśnił podniecony brat Darren. — Zanosi się na to, że zainteresowanie rozprawą będzie bardzo duże. W całej naszej społeczności Irlandczyków aż się gotuje. Pan Malone i jego dwaj koledzy oświadczyli, że pan Bhutto usiłował zgwałcić pannę Macmillan i że oni ją przed tym tylko uchronili.

— A co mówi na ten temat sama panna Macmillan? — zapytała go Vivien.

— Udzieliła niejasnej odpowiedzi na temat tego, co ona i pan Bhutto robili, zanim doszło do wymiany pierwszych ciosów — odparł Darren. — Nie sugerowała jednak, że jej partner napastował ją seksualnie. Za to w oświadczeniu pana Bhutto aż się roi od szczegółów. Pakistańczyk oświadczył, że ich „intymne pocałunki" zostały brutalnie przerwane przez pana Malone'a, który bez żadnego powodu złapał go od tyłu i zaczął bić po głowie. Bhutto twierdzi, że nie miał wyboru i podjął walkę, by się bronić. Ich zeznania nie mogą być bardziej sprzeczne. Niestety, młoda dama znalazła się między młotem a kowadłem. Dlatego właśnie brat Hugo… Darren przerwał i wbił spojrzenie w podłogę.

— O co chodzi, bracie Darren? — odezwała się zniecierpliwiona Beatrice. — Zacząłeś coś mówić o bracie Hugonie…

— Przykro mi, siostro Beatrice — oznajmił młody zakonnik. — Wiem, że wyznaczono cię na przewodniczącą. Kiedy jednak od rana zaczęło się dziać tyle rzeczy naraz i kiedy nie odpowiedziałaś na moje zapytanie, przyznaję, że wpadłem w panikę. Musiałem porozmawiać z kimś, co mam robić.

— I co odpowiedział ci brat Hugo? — zapytała Beatrice.

— Powiedział, że to ty jesteś przewodniczącą rozprawy, lecz z powodu całego zamieszania oraz faktu, że Bhutto wciąż jest w szpitalu, uważa, że można byłoby przełożyć rozprawę na inny termin.

Beatrice przez chwilę się namyślała.

— A czy panna Macmillan znalazła się w odosobnieniu, tak jak prosiłam, kiedy spotkaliśmy się dzisiaj rano?

— Naturalnie — oświadczył brat Darren. — Przebywa przez cały

czas w małej izolatce na terenie szpitala.

— Dziękuję ci, bracie Darren — rzekła Beatrice. — Proszę, zechciej kontynuować przygotowania do rozprawy.

— Czy to znaczy, że nie muszę ogłaszać, iż zostanie przesunięta na inny termin?

— Zrobisz to tylko wówczas, jeśli w ciągu najbliższych trzydziestu pięciu minut zdecyduję, że powinieneś — odparła z uśmiechem Beatrice.

Kiedy Darren wyszedł z pokoju, zwróciła się do Vivien.

— Będzie mi potrzebna twoja pomoc — powiedziała, sięgając po oba ich szale. — Musimy się pospieszyć… Wyjaśnię ci po drodze, co tylko będę mogła.

— Wiem, Fiono, że się denerwujesz, a rozprawa rozpoczyna się za pół godziny — odezwała się łagodnie siostra Beatrice do młodej kobiety. — Myślę jednak, że będzie ci znacznie łatwiej, jeśli zadam ci kłopotliwe pytania na osobności. Ci ludzie na rozprawie… mogliby cię krępować. Jak mówiłam, uzyskaliśmy od pana Bhutto i pana Malone'a dwa krańcowo sprzeczne opisy incydentu. Jako przewodnicząca rozprawy mam obowiązek dowiedzieć się, co naprawdę wydarzyło się tamtego wieczoru.

Było oczywiste, że Fiona czuła się zakłopotana. Siedziała na samym skraju małego szpitalnego łóżka i przez większość czasu wpatrywała się w podłogę. W końcu uniosła głowę, a jej oczy zalśniły, gdy powiodła spojrzeniem po ścianach izolatki. Wyglądało na to, że nie słyszy, co mówi do niej Beatrice.

— Nigdy przedtem nie brałam udziału w żadnej awanturze, siostro — powiedziała, popędzana przez Beatrice. — Nim przybyłam do Londynu, całe życie mieszkałam z rodzicami i braćmi w Szkocji, w Ayrshire. Dom stał niemal nad brzegiem morza. Mój tata powiedział mi, że mam większą szansę znaleźć zajęcie w dużym mieście. W okolicy zamknięto wszystkie sklepy, a wiec dla młodych dziewcząt nie było nigdzie żadnej pracy.

— Nikt nie mówi Fiono, że brałaś udział w awanturze — odezwała się siostra Beatrice. — Chciałam tylko zadać ci kilka pytań dotyczących tego, co się stało.

W błękitnych oczach Fiony pojawiły się oznaki strachu.

— Powiedziałam prawdę, siostro — oświadczyła, kręcąc się nerwowo. Przeniosła spojrzenie z Beatrice na Vivien. — Proszę mi powiedzieć, jak czuje się teraz Rażą?

— Powoli powraca do zdrowia — odparła Beatrice, a po krótkiej przerwie dodała: — Fiono, dobrze wiemy, że mówiłaś nam prawdę. Może jednak nie wspomniałaś nam o paru rzeczach. Na przykład nie opowiedziałaś nam dokładnie, co właściwie ty i pan Bhutto robiliście, kiedy zauważył was pan Malone i jego towarzysze.

— Co właściwie robiliśmy? — powtórzyła młoda Szkotka, jak gdyby nie rozumiała pytania zakonnicy.

— Tak — odrzekła po chwili Beatrice. — Czy całowaliście się — dodała, powoli wymawiając słowa — czy może pieściliście albo już kochaliście…? Przykro mi, że muszę o to wypytywać, ale zapewniam cię, że ta informacja jest dla mnie bardzo ważna.

Rudowłosa kobieta znów wbiła wzrok w podłogę.

— Siostro — odezwała się nagle, unosząc głowę i błagalnie patrząc jej w twarz. — Od samego rana przebywam zamknięta w tej klatce. Czy mogłabym poprosić o papierosa?

Beatrice była tak zaskoczona, że przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć. W tym czasie Vivien poczęstowała młodą kobietę papierosem i zapaliła go zapalniczką, którą wyciągnęła z kieszeni habitu. Później, obszedłszy Fionę, otworzyła jedyne okno, jakie miała mała izolatka.

— Dziękuję — powiedziała młoda Szkotka, zaciągnąwszy się głęboko i wypuściwszy dym w stronę okna. Uśmiechnęła się do Beatrice i Vivien. — Naprawdę chcecie wiedzieć o wszystkim, co się działo? — zapytała, teraz wyraźnie odprężona.

Beatrice kiwnęła tylko głową.

— No dobrze — rzekła Fiona, ponownie spuszczając oczy. — Myślę, że mogę powiedzieć. Jeszcze raz zaciągnęła się.

— No cóż — odezwała się po dłuższej przerwie. — Całowaliśmy się i pieściliśmy, ale jeszcze się nie kochaliśmy, przynajmniej nie w tej chwili.

Nerwowo się uśmiechnęła.

— Rażą miał wielkiego jak koń. Czułam to, bo przyciskał go do mojej nogi, kiedy leżeliśmy i się całowaliśmy… Czy takie właśnie szczegóły chciała siostra poznać?

— Idzie ci doskonale, Fiono — zachęciła ją siostra Vivien. — Mów dalej.

— Zaczęłam właśnie ściągać majtki — ciągnęła młoda Szkotka — kiedy Allan złapał Rażę od tyłu i uderzył w głowę. Krzyknęłam…

— Czy pan Bhutto zrobił coś wbrew twojej woli? — przerwała jej Beatrice.

— Nie, siostro — odparła Fiona. — Wręcz przeciwnie. To ja powiedziałam mu, byśmy poszli za te drzewa. Wie siostra, tak wiele ludzi kręci się tam w okolicy… Proszę mnie źle nie zrozumieć, podoba mi się tamto miejsce… Sądziłam jednak, że za drzewami będziemy mieli większą szansę być sami.

— Bardzo mi pomogłaś, Fiono — oznajmiła po kolejnej krótkiej przerwie siostra Beatrice. — Jeżeli się zgodzisz, podczas rozprawy siostra Vivien i ja streścimy to, co nam właśnie powiedziałaś. Nie chcemy kazać ci przechodzić jeszcze raz przez to wszystko. Mam

jeszcze tylko jedno pytanie. Czy mogłabyś powiedzieć nam, jak poznałaś pana Malone'a? Czy jest może twoim przyjacielem?

— Och, nie — odparła Fiona. — Prawie wcale go nie znam. Próbował kilka razy flirtować ze mną w kawiarence, ale w żaden sposób go nie zachęcałam.

— Jeszcze raz dziękujemy ci, Fiono — rzekła Vivien, zabierając oba szale, które siostra Beatrice przewiesiła przedtem przez oparcie krzesła. — Zobaczymy się za dwadzieścia minut na rozprawie.

Gdy wracały do budynku zarządu miasteczka, Vivien była zmuszona kilka razy uciekać się do truchtu, by dotrzymać Beatrice kroku.

— Czy jej uwierzyłaś? — zapytała Beatrice w pewnej chwili.

— Oczywiście — odpowiedziała Vivien.

— Ja także — oświadczyła Beatrice, stając na chwilę. — Wygląda mi na bardzo szczerą dziewczynę z małej wioski… Muszę przyznać, że to, co usłyszałam, przyniosło mi wielką ulgę. Ta rozprawa nie będzie taka ciężka, jak się obawiałam.

Po raz pierwszy od godziny na twarzy Beatrice pojawił się lekki uśmiech.

— Hmm — chrząknęła cicho Vivien. — A jeżeli chodzi o te papierosy…

— Wiem — odparła Beatrice, ruszając w dalszą drogę. — Tak naprawdę nigdy ich nie rzuciłaś. Nie jestem tym zachwycona, ale myślę, że muszę się z tym pogodzić. Spodziewam się tylko, że będziesz to robiła dyskretnie.

— Oczywiście — oświadczyła Vivien, dotykając paczki papierosów w kieszeni habitu.

Gdy znalazły się przed budynkiem zarządu, Beatrice zatrzymała się i spojrzała na zegarek.

— Zamierzam wpaść jeszcze do laboratorium przetwarzania obrazów i zabrać stamtąd kilka dodatkowych dowodów, istotnych dla sprawy — odezwała się do koleżanki. — Tak na wszelki wypadek. Czy zechciałabyś w tym czasie spotkać się z bratem Darrenem i upewnić się, że wszystko jest przygotowane?

Vivien kiwnęła głową, a Beatrice pospieszyła do laboratorium. Kiedy jej koleżanka dotarła przed drzwi sali rozpraw, zobaczyła sporą grupę oczekujących ludzi. Spacerowali po korytarzu w tę i w tamtą stronę. Na spotkanie jej pospieszył brat Darren. Wyglądał na zdenerwowanego. Na jej widok wyraźnie się odprężył, a Vivien pomogła mu skierować tłum do sali.

Beatrice pojawiła się tam na parę minut przed początkiem procesu. Vivien oznajmiła jej, że rodzina Malone'a poprosiła o przydzielenie dodatkowych miejsc dla jej przyjaciół, którzy chcieli zapewnić Allanowi moralne wsparcie. Upewniwszy się, że wystarczy

miejsc także dla rodziny Razy Bhutto, Beatrice wyraziła zgodę na ich prośbę.

— Dla tych wszystkich, którzy nie znają specyfiki tego rodzaju rozpraw — oświadczyła siostra Beatrice, rozpoczynając posiedzenie — krótka informacja na temat sprawy. Kiedykolwiek wydarzy się coś takiego, czego nie akceptujemy w naszej społeczności, organizujemy rozprawę, by to zbadać. Zachęcamy do składania zeznań każdego, kto brał udział w jakimś incydencie. Staramy się ustalić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę.

Na podstawie tego, czego dowiemy się w trakcie rozprawy, przewodniczący jej zakonnik albo zakonnica nie może przedsięwziąć żadnych kroków. On czy ona może jednak udzielić napomnienia czy nawet określić rodzaj kary, jaką wymierzy osobie, którą uzna za winną niedopuszczalnych zachowań albo czynów. W niezwykle rzadkich wypadkach, kiedy któryś z mieszkańców popełni czyn wyjątkowo niegodziwy, wymierzony przeciwko naszej społeczności, winowajca może zostać w trybie natychmiastowym wydalony. Czasami, w wypadkach najpoważniejszych, takie wydalenie nie jest jedyną karą i winowajca wraz z dowodami czynu może zostać przekazany londyńskiej policji.

Beatrice przerwała i rozejrzała się po sali.

— Po odmówieniu modlitwy wstępnej — ciągnęła po chwili — wysłuchamy oświadczeń złożonych przez uczestników zajścia. Przypominam, że każdy z nich przysiągł mówić prawdę. Ponieważ pan Bhutto nie czuje się na siłach, by tu przyjść, będzie brał udział w rozprawie za pośrednictwem telewideo. Poprosił o zgodę na to, żeby oświadczenie, jakie ma wygłosić, odczytał jego ojciec, a ja przychyliłam się do tej prośby.

Gdy zakończy się składanie oświadczeń, obejrzymy wszyscy nagrania wideo z wybranymi fragmentami całego zajścia. Zobaczymy więc, jakich istotnych informacji mogą dostarczyć nam obrazy zarejestrowane przez kamery wideo znajdujące się na terenie parku. Mogę zadać uczestnikom zajścia kilka dodatkowych pytań zarówno przed obejrzeniem tych nagrań, jak i po. Pod koniec oficjalnej części rozprawy wyrażę zgodę na to, żeby każdy uczestnik przedstawił jedną osobę, która zechce wygłosić krótką mowę popierającą jego zdanie. Później razem z bratem Husaynem i siostrą Alexis udamy się do osobnego pokoju, w którym przedyskutujemy to wszystko, co widzieliśmy i słyszeliśmy. Wyroki zapadają na ogół po upływie piętnastu minut, a często nawet wcześniej…

Przesłuchanie przebiegało bardzo sprawnie. W porównaniu z tym, co obaj uczestnicy zajścia oznajmili poprzednio, żadne z wygłoszonych teraz oświadczeń nie uległo istotnej zmianie. Na początku rozprawy Beatrice streściła to wszystko, co w szpitalu powiedziała im Fiona,

każąc tylko młodej kobiecie krótkim „nie” zaprzeczyć, że Rażą Bhutto kiedykolwiek napastował ją seksualnie.

Po wyświetleniu taśm wideo obwiniających Allana Malone'a, jego matka wygłosiła długą, płomienną mowę, błagając o łaskę dla swojego syna. Bardzo często podkreślała, że ten młody człowiek jest zarówno Brytyjczykiem, jak i katolikiem, i że w ciągu czterech miesięcy pobytu w miasteczku ani razu nie wdał się w żadną bijatykę czy awanturę. Pani Malone obiecała, że będzie bardzo uważnie obserwować zachowanie syna i błagała siostrę Beatrice i dwoje towarzyszących jej michalitów, by zgodzili się pozostawić Allana w Hyde Parku.

Wyrok został ogłoszony bardzo szybko. Kiedy Beatrice wróciła do sali i oznajmiła, że pan Allan Malone będzie musiał opuścić miasteczko i zostanie przekazany londyńskim władzom, jego matka wybuchnęła głośnym płaczem.

— Droga pani Malone — odezwała się Beatrice, zamykając posiedzenie. — Naprawdę pani współczuję. Chociaż sama nie mam dzieci, mogę wyobrazić sobie, jak bolesna musi być dla każdej matki perspektywa rozstania się z jednym z synów.

Przerwała i przez kilka sekund milczała.

— Niemniej, pani Malone — ciągnęła po chwili — uważam, że kilka uwag, jakie wygłosiła pani podczas rozprawy, a zwłaszcza te sugerujące, iż Brytyjczyk i katolik zasługuje na odmienne traktowanie niż mieszkaniec pochodzący z obcego kraju, nie może pozostać bez żadnego komentarza z mojej strony.

Nasz zakon stara się zmienić sposób, w jaki ludzie myślą i postępują. Święty Michał uczył, że wszyscy ludzie są równi wobec Boga. Powiedział, że nie jest ważne, jakim wyższym autorytetom oddaje się boską cześć czy nawet cześć w ogóle. Każde z nas jest integralną częścią boskiego planu, bez względu na to, czy wie o tym, czy nie. Święty Michał powiedział, że wszyscy jesteśmy tylko pojedynczymi komórkami gigantyczgo organizmu, który nazywa się ludzką rasą.

Nadejdzie taki dzień, uczył święty Michał, kiedy każde z nas, każda komórka tego organizmu, zrozumie, że zależy od wszystkich innych. Właśnie to stawia sobie za cel nasz zakon, pani Malone. Staramy się przygotować ludzkość na nadejście tego chwalebnego dnia, kiedy między ludźmi zapanuje pokój i kiedy ostateczna ewolucja naszego gatunku dobiegnie wreszcie końca.

5

Beatrice i Vivien zdążyły na pociąg niemal w ostatniej chwili. Westbourne Gate minęły zaledwie na dziesięć minut przed czasem planowanego odjazdu. Pospieszyły ulicami Londynu w stronę Paddington Station, zwalniając tylko wtedy, kiedy Beatrice chciała ugryźć kolejny kęs kanapki z ogórkiem. Mniej więcej po pół minucie od zajęcia przez obie michalitki miejsc w wagonie, pociąg ruszył i peron zaczął zostawać w tyle.

— Niewiele brakowało, a byśmy się spóźniły — stwierdziła Beatrice.

— Nie możesz się odżywiać w taki sposób — zganiła ją Vivien.

— A miałam inne wyjście? — zapytała Beatrice. — Nie mogłam przecież powiedzieć bratu Hugonowi, że nie mam czasu porozmawiać z burmistrzem Manchesteru.

— Owszem, mogłaś — odparła Vivien i pokręciła z dezaprobatą głową. — B, zapewne to nie moja sprawa, ale jeśli nie nauczysz się mówić „nie", zestarzejesz się, zanim skończysz trzydziestkę. Spójrz na siebie. Jest dopiero wpół do drugiej, a ty ledwo żyjesz.

— Masz rację, Vivien — odezwała się po kilku sekundach Beatrice. — Jestem zmęczona. To był bardzo nerwowy ranek… Wiem dobrze, że taki stres mi szkodzi. Martwię się jednak, że jeżeli nie zrobię tych wszystkich rzeczy sama…

— Nie będą zrobione, jak trzeba — dokończyła za nią Vivien. — Słyszałam już kiedyś ten argument. — Ujęła dłoń Beatrice. — Dlaczego nie spróbujesz się trochę przespać? — zapytała łagodnie. — Zanim dojedziemy do Esher, minie czterdzieści minut.

Kilka następnych chwil jechały, nie mówiąc ani słowa. Przez okno było widać liczne dowody na to, w jakim stopniu kryzys gospodarczy dotknął Londyn. Większość domów na terenach fabryk w pobliżu Paddington Station została opuszczona i miała teraz okna zabite deskami. Te budynki, które wciąż jeszcze zajmowały funkcjonujące firmy, pilnie wymagały remontu i odmalowania. Na terenach wielu nieczynnych przedsiębiorstw zbudowano byle jak sklecone z dykty i tektury domki, zamieszkiwane teraz przez bezdomnych. Na niewielkim boisku szkolnym stała grupa dwudziestu kilku nędznie ubranych osób, przestępujących z nogi na nogę i grzejących się wokół ogniska, w którym płonęły zebrane śmieci.

Vivien rozłożyła składany stolik i włączyła pulpit, chcąc zapoznać się z zestawem rozrywek, proponowanych przez kolej. Przejrzała szybko spis i wybrała nagranie wideo z popularnym ostatnio piosenkarzem. Na miniaturowym ekranie ukazał się obraz dziwacznie ubranego chłopaka, z pomalowaną na trzy kolory twarzą. Śpiewał

długą, rytmiczną piosenkę wzywającą wszystkich starych ludzi, żeby ustąpili z drogi „nowej fali".

Zanim Beatrice usnęła, pociąg zdążył osiągnąć normalną prędkość podróży. Vivien skończyła oglądać dziennik, a potem wstała i ruszyła korytarzem, chcąc odszukać wagon dla palących. Usiadłszy na wolnym miejscu przy jakimś oknie, zaczęła powoli, w zamyśleniu, palić papierosa, nie zwracając uwagi na innych ludzi.

W tym czasie śpiącej Beatrice przyśnił się dziwny sen. Usłyszała, jak woła ją jej ojciec:

— Kristin, obudź się, kochanie — mówił. Powoli otworzyła oczy. Stał przy drzwiach jej sypialni. Był bardzo wysokim mężczyzną. Miał na sobie niebieski garnitur.

— Dzień dobry, tato — odrzekła, uśmiechnąwszy się do niego. Jej ojciec przeszedł przez sypialnię i pocałował ją w czoło.

— Znów dzisiaj pada śnieg, księżniczko — oznajmił. — Pamiętaj o tym, kiedy będziesz się ubierała.

Błyszczące oczy ojca spoglądały na nią z miłością i czułością. Dolatywała od niego woń lasu.

W swoim śnie Beatrice nałożyła niebieski habit i kornet, a potem zeszła po długich schodach znajdujących się w środku domu. Jej rodzice już jedli śniadanie. Nie zwrócili uwagi na habit. Matka uśmiechnęła się, widząc ją i wyszła do kuchni.

— Kristin — odezwał się jej ojciec, podnosząc wzrok znad gazety. — Wiesz dobrze, jak bardzo jesteśmy z ciebie dumni. Twoja matka i ja pragniemy tylko twojego szczęścia.

Jego twarz świadczyła o tym, że coś go trapi. Beatrice poczuła, jak ogarnia ją niepokój.

— Nie możemy zrozumieć, dlaczego zrezygnowałaś ze śpiewania — ciągnął. — Wczoraj wieczorem ponownie dzwonił do nas pan Herbert. Oświadczył, że taki głos jak twój spotyka się raz na sto lat. Powiedział, że tę główną rolę w sztuce wybrano specjalnie dla ciebie, żeby lepiej uwypuklić twój wielki talent…

Tak, ojcze — pomyślała we śnie Beatrice. — Zrobię to, na czym ci zależy. Znów będę twoją księżniczką.

Płatki śniegu na dworze były wilgotne i bardzo duże. Kiedy stała na przystanku pod latarnią, czuła, jak osiadają na jej ustach i policzkach. Niebieski habit był schowany teraz pod narciarskim kombinezonem. Kiedy wielki pomarańczowy autobus skręcił w końcu w jej ulicę, ujrzała na jego boku wypisany czarnymi literami napis: EDINA PUBLIC SCHOOLS. W tej samej chwili u jej boku pojawił się Howie.

— Cześć, Kristin — powiedział onieśmielony. Howie był o rok od niej młodszy. Podkochiwał się w niej od czasu, kiedy ukończyła szkołę podstawową. — Wczoraj wieczorem byłaś naprawdę wspaniała —

powiedział. — Wszyscy tak mówią, nawet moja mama i mój tata.

— Dziękuję ci, Howie — odparła we śnie Beatrice.

Autobus wożący dzieci do szkoły zatrzymał się i Beatrice wsiadła do niego. Za kierownicą siedział święty Michał, odziany w niebieski habit.

Uśmiechnął się do niej ciepło i zwrócił na nią łagodne, błękitne oczy.

— Dzień dobry — powiedział. — Czy jesteś gotowa na spotkanie kolejnego dnia wypełnionego ciężką pracą?

Była trochę zdezorientowana. Odwróciła się, ale nie dojrzała już Howiego. Autobus wypełniali młodzi ludzie, mężczyźni i kobiety, odziani w niebieskie habity. Śpiewali „Kyrie elejson".

— Usiądź — odezwał się do niej łagodnie święty Michał. — Mamy dzisiaj bardzo dużo pracy. Beatrice usiadła na fotelu, który stał na samym przedzie przy oknie. Szyba była zamarznięta, ale kiedy oczyściła ją z warstwy szronu, stwierdziła, że na dworze przez cały czas padają duże płatki śniegu. Nie było już ciemno. Na następnym przystanku do środka weszła pani Shields, także ubrana w niebieski habit.

Beatrice poczuła we śnie, jak Michał położył jej dłoń na ramieniu.

— Muszę teraz iść — powiedział. Odwróciwszy się od niej, zszedł na na pierwszy stopień i włożył marynarkę.

— Nie odchodź — poprosiła go Beatrice, czując, jak zaczyna ją ogarniać trwoga. Uśmiechnął się do niej.

— Nie bój się, dasz sobie radę — odparł. — Pamiętaj tylko o wszystkim, o czym mówiliśmy. Drzwi pojazdu się otworzyły, a on wyszedł na pokrytą śniegiem ulicę.

Na fotelu kierowcy nikt nie siedział, ale silnik autobusu wciąż pracował. Beatrice odwróciła się i spojrzała za siebie, na tył autobusu. Tuż za nią siedzieli jej rodzice, także ubrani w niebieskie habity. Większość pozostałych pasażerów stanowiły dzieci.

Kierownica autobusu była bardzo duża, tak że Beatrice nie mogłaby otoczyć jej ramionami. Odetchnąwszy głęboko, usiadła i włączyła pierwszy bieg. Usłyszała, jak za jej plecami rozległy się znów śpiewy „Kyrie elejson, Kyrie elejson". Słysząc je, trochę się odprężyła i także zaczęła, śpiewać.

Na przedniej szybie zaczęły zamarzać kryształki lodu. Próbowała je usuwać, włączając wycieraczkę, ale za każdym razem, kiedy udało się jej oczyścić szybę, pojawiały się znowu. Pochyliła się, chcąc lepiej widzieć drogę przez nie oblodzony kawałek szyby, ale ten z każdą sekundą robił się coraz mniejszy. Nagle, mimo wciąż padającego gęstego śniegu, zobaczyła przed sobą dwa pojazdy stojące na samym środku drogi. Ogarnięta paniką, nadepnęła z całej siły na hamulec. Autobus wpadł w poślizg, zarzucił i zsunął się po pochyłym poboczu.

W pewnej chwili zaczął staczać się koziołkując.

— Nie! — krzyknęła rozpaczliwie Beatrice. — Nie!

Potrząsnęła głową i się obudziła. W pierwszej chwili mgła przesłaniająca jej oczy nie pozwoliła jej się zorientować, gdzie się znajduje.

Gdzie ja jestem? — pomyślała, rozglądając się po niemal pustym wagonie. Tylko jakiś czterdziestokilkuletni mężczyzna wyglądający na przedsiębiorcę i siedzący po drugiej stronie przejścia przyglądał się jej z niepokojem. Beatrice zmusiła się do uśmiechu, głęboko odetchnęła i spojrzała na krajobraz przesuwający się za oknami.

— Uważamy, że to, co robicie, jest wspaniałe — odezwała się pani Washburn. Przesunęła worek golfowy męża i buty w taki sposób, żeby Vivien mogła zmieścić w bagażniku wszystkie plansze, nie musząc ich zginać. — Właśnie dzisiaj rano mówiłam Bradowi, że to, czego dokonałyście w Hyde Parku, jest naprawdę fantastyczne.

Samochód był duży i wygodny. Beatrice zajmowała miejsce z przodu obok pani Washburn. Vivien siedziała sama z tyłu.

— No cóż — powiedziała pani Washburn, kiedy odjeżdżały sprzed dworca kolejowego w Esher. — Czy miałyście spokojną podróż?

— Owszem, podróż minęła nam spokojnie — odrzekła uprzejmie Vivien. — Nie było wcale tłoku.

— Ostatnio prawie nigdy nie ma — stwierdziła pani Washburn. — Brad się martwi, że liczba pociągów znów zmaleje, jako że kolej przynosi straty i tak dalej, i tak dalej. Zostaniemy praktycznie odcięci od reszty świata.

Kiedy Beatrice i pani Washburn zajęły się omawianiem szczegółów planowanego zebrania, Vivien wyjrzała przez okno. Wytworne przedmieścia Esher sprawiały wrażenie, jak gdyby panująca recesja, najgorsza, jaką pamiętali ludzie, nie wywarła na nich dużego wpływu. Tylko bardzo spostrzegawcze oko mogłoby dostrzec, że ogrody nie były już tak wypielę gnowane jak kiedyś, a drzewa tak porządnie przycięte. Także większość samochodów wyglądała na znacznie starsze niż jeszcze przed dziesięciu laty. Tu i ówdzie na trawnikach przed okazałymi rezydencjami widniały tablice informujące, że ich właściciele wystawili je na sprzedaż.

Skręcili na długi podjazd i minęli garaż, w którym mogły zmieścić się trzy samochody.

— Najważniejszym problemem, który ostatnio nurtuje wszystkich — bo tak wiele słyszy się o tym w telewizji — jest nasze bezpieczeństwo — mówiła pani Washburn. — To, co dzieje się w tej chwili w Ameryce, jest naprawdę przerażające. Dobrze wiem, że nie masz na to większego wpływu, ale bardzo by pomogło, gdybyś w dzisiejszym wystąpieniu wspomniała, że w Anglii nie grasują uzbrojone po zęby gangi, które mogłyby do spółki z bezdomnymi

opanować całe przedmieścia i dzielnice…

Zza chmur wyszło w końcu słońce. O wpół do trzeciej termometry na dworze pokazywały dwadzieścia stopni Celsjusza. Beatrice i pani Washburn postanowiły więc, że grupa około trzydziestu kobiet, w większości pięćdziesięcio — i sześćdziesięcioletnich, będzie się czuła swobodniej, jeżeli zakonnica wygłosi swoją mowę na trawniku znajdującym się na tyłach domu.

Vivien ustawiła plansze na stojaku. Beatrice omówiła nie tylko obecny stan miasteczka namiotów na terenie Hyde Parku, ale i perspektywy rozwoju, a później zajęła się najważniejszą sprawą.

— Ze strony naszych wiernych sympatyków oczekujemy wsparcia dwojakiego rodzaju — powiedziała. — Po pierwsze środków umożliwiających nam przetrwanie. Te pieniądze są nam potrzebne na zarządzanie i utrzymanie miasteczka w Hyde Parku i pięciu innych mniejszych ośrodków dla bezdomnych w samym Londynie i jego okolicach. Muszę przyznać, że w ciągu ostatnich sześciu miesięcy mieliśmy trochę szczęścia, dzięki czemu uzyskane fundusze zapewniły nam działalność i trochę większą samowystarczalność. W związku z tym uważamy, że ofiarowywane opłaty mogą być o dwadzieścia trzy procent mniejsze niż przed sześcioma miesiącami.

Beatrice kiwnęła głową w stronę Vivien, żeby ta pokazała pierwszą planszę.

— Żeby jednak rozszerzyć naszą działalność na teren Kensington Gardens — powiedziała — zakładając, oczywiście, że władze wyrażą zgodę na wykorzystanie tego miejsca w taki sposób, będziemy potrzebowały prawie miliona nowych funtów. Postawiłyśmy sobie za cel uzyskanie połowy tej sumy z zupełnie innych źródeł. Wiem, że to będzie bardzo trudne, ale ufam, że sobie poradzimy. Możemy na przykład nazwać nazwiskiem jakiegoś dobroczyńcy szkołę dla dzieci, jaką chcemy tam utworzyć. Pozostałą połowę tej sumy mamy nadzieję uzyskać od naszych dotychczasowych wiernych przyjaciółek i przyjaciół. Przyjmując za podstawę wysokość poprzednich ofiar, całkowita suma, o jaką chciałybyśmy prosić teraz waszą grupę, jest uwidoczniona na tej planszy.

Beatrice przerwała, a jej wzrok prześlizgnął się po oczach wszystkich uczestniczących w zebraniu kobiet.

— Patrzę na was i widzę, że w myślach dokonujecie obliczeń — ciągnęła, a jej głos był teraz o ton wyższy. — Tak, prosimy was o trzydzieści jeden procent więcej w porównaniu z tym, co ofiarowałyście nam przed pół rokiem… Zgadzam się, że to duża suma. Proszę jednak chociaż przez chwilę pomyśleć o tym, co będziemy mogły dzięki niej zrobić. Wasze pieniądze pomogą nam stworzyć niezwykły raj dla biednych, zaniedbanych dzieci, z których większość nigdy w życiu nie poczuła, co to znaczy nie martwić się o dzień

jutrzejszy. Zamieszkają we własnym domu, w którym będą nakarmione, odziane, chronione i kochane. Zapewnimy im miejsce, w którym będą mogły dorastać, bawić się i uczyć, w którym spełnią się ich marzenia i w którym będą mogły puścić wodze swojej wyobraźni…

Kiedy Beatrice skończyła mówić, uśmiechnęła się lekko do pań z Esher, a potem uklęknęła na trawie ze złożonymi dłońmi i zaczęła się głośno modlić.

— Dobry Boże — powiedziała. — Pozwól nam wszystkim zrozumieć, jak bardzo los jednego człowieka zależy od innego. Pomóż nam także pamiętać, jak to było, kiedy my same byłyśmy niewinnymi dziećmi. Pomóż nam znaleźć radość w tym, że możemy uwolnić choć niektóre z tych niewinnych dzieci od rozpaczy, jaką niesie za sobą skrajna nędza. Pobłogosław uczucia życzliwości i miłości bliźniego w sercach wszystkich zgromadzonych tutaj dzisiaj osób. Pobłogosław nasze dzieło, jakie wykonujemy w Twym imieniu, kiedy przypominamy sobie słowa Twego syna Jezusa, który powiedział: „Zaprawdę, powiadam wam, cokolwiek uczyniliście jednemu z tych najmniejszych moich braci, nanieście uczynili". W imię świętego Michała. Amen.

— Czy znacie się od dawna? — odezwała się do Vivien siwowłosa kobieta stojąca u jej boku.

— Jestem jej asystentką od prawie pięciu miesięcy — odrzekła Vivien, kiedy skończyła jeść kawałek ciasta. Było wyśmienite.

— Wydaje się taka młoda — stwierdziła kobieta stojąca z przeciwnej strony. — Idę o zakład, że nie ma nawet trzydziestki.

Vivien napiła się łyk herbaty i nie zareagowała na tę uwagę.

— Co sprawiło, że zdecydowałaś się zostać zakonnicą? — zapytała ją pierwsza kobieta. — A może powinnam nazywać cię kapłanką?

— Jesteśmy kapłankami — przyznała Vivien. — Prawdę mówiąc, jestem wciąż nowicjuszką. Nie złożyłam jeszcze zakonnych ślubów. A zostałam zakonnicą, gdyż chciałam zrobić coś dla innych ludzi.

— Twój akcent zdradza, że nie jesteś Amerykanką — stwierdziła druga kobieta. — Skąd pochodzisz?

— Z Essex — odpowiedziała z uśmiechem Vivien. — Mój ojciec jest angielskim ziemianinem. Moja matka urodziła się na Jamajce.

— Hmm — chrząknęła kobieta. — To ciekawa kombinacja.

W przeciwległym kącie pokoju stała Beatrice, otoczona wianuszkiem kobiet bombardujących ją różnymi pytaniami. Vivien postanowiła przyjść jej na ratunek. Zatrzymała się przy stole, nalała herbaty do filiżanki i na mały talerzyk nałożyła kilka pszennych ciasteczek.

— Przepraszam panie — powiedziała, przeciskając się przez tłum

kobiet do koleżanki. — Siostra Beatrice też musi coś zjeść.

— Dziękuję — odezwała się wdzięczna za pamięć Beatrice, natychmiast upijając duży łyk herbaty.

— Och, przepraszam, siostro Beatrice — powiedziała stojąca u jej boku pani Washburn.

— Nic nie szkodzi, pani Washburn — uspokoiła ją Beatrice.

— Ale nasze problemy są krańcowo różne od tych, z jakimi borykają się w Ameryce — ciągnęła surowo wyglądająca kobieta, której pojawienie się Vivien przerwało potok mowy. — Każdy jest tam albo biedny, albo bogaty. Ponieważ ich klasa średnia jest tak mała, a ich rząd niemal się nią nie opiekuje, różnice są wyraźniejsze niż u nas. W dodatku, nawet mimo tych nowych ustaw, byle idiota może bez trudu zaopatrzyć się w broń palną.

— Czy widziałaś w telewizji Reginalda Townsenda wczoraj wieczorem? — zapytała z podnieceniem w głosie pani Blake. — Przeprowadzał wywiad z tym Murzynem, przywódcą gangu z Ohio, który sam siebie każe nazywać Szóstka-Szóstka-Szóstka. Ten człowiek podczas wywiadu bez przerwy wymachiwał pistoletem maszynowym. To było coś okropnego.

— A co powiesz o tym domu, w którym mieszka ze swoją przyjaciółką? — zapytała ją jeszcze inna kobieta. — Jest większy od mojego.

— Reginald zapytał go o to — odrzekła pani Blake. — Tamten człowiek odpowiedział, że on i jego gang wprowadzili się do okolicznych domów po tym, jak poprzedni ich mieszkańcy „wynieśli się gdzie pieprz rośnie". Pan Szóstka-Szóstka-Szóstka rozzłościł się bardzo, gdy Reginald pokazał mu nagrania wideo, dokonane, kiedy gang napadł na Shaker Heights przed miesiącem.

— Najbardziej przeraziło mnie to, że wcale nie obchodził go los tych wszystkich ludzi, którzy przecież zostali wyrzuceni siłą ze swoich domów — oburzyła się kobieta.

— A dlaczego ja miałabym się o nich troszczyć? — W głosie pani Blake zabrzmiała nagana. — Są białymi, bogatymi ludźmi. Zamieszkają z pewnością gdzieś u innych bogatych ludzi.

Powiodła spojrzeniem po twarzach innych kobiet.

— Może jednak pomysł Niemców nie jest najgorszy — dodała. — Ich władze nawet nie usiłują troszczyć się o imigrantów, którzy nie chcą lub nie mogą znaleźć sobie pracy. Wsadzają ich do pociągów i wywożą do rodzinnych krajów, do Egiptu, do Turcji czy dokądkolwiek… My byśmy tego nigdy nie zrobili. My, Anglicy, jesteśmy na to zbyt cywilizowani.

— Drogie panie — odezwała się Beatrice, korzystając z chwilowej przerwy w rozmowie. — Jak powiedziałyśmy sobie wcześniej, istoty ludzkie są najbardziej skomplikowane ze wszystkich stworzeń, zdobię

do nieprzewidywalnych czynów. Agresja i wrogość pojawiają się zawsze tam, gdzie żyją osobnicy, którym ciągle odmawiano podstawowych środków egzystencji. W swoim

Wielkanocnym kazaniu nad brzegiem jeziora Bolsena święty Michał powiedział, że ostateczna ewolucja nie zacznie się, dopóki każdemu człowiekowi nie zapewni się żywności i miłości, dachu nad głową i odzienia, opieki lekarskiej i odpowiedniego wykształcenia. My staramy się to wszystko zapewnić.

— Siostro — wtrąciła się pani Blake. — Podziwiam to wszystko, czemu poświęciłaś życie. Muszę jednak oświadczyć, że czasem ty i twoje towarzyszki jesteście beznadziejnie naiwne. Złoczyńcy tacy jak Szóstka-Szóstka-Szóstka nie będą słuchali twojego nabożnego szwargotu nawet przez chwilę… Mój mąż i ja wspieramy finansowo waszą pracę nie dlatego, że wierzymy, iż jesteśmy częścią boskiego planu ani ostatecznej ewolucji czy czymkolwiek jest to, co tak nazywasz, ale tylko dlatego, iż nie chcemy, żeby nasze okolice nawiedziły armie głodnych, zrozpaczonych ludzi pod przywództwem uzbrojonych po zęby zbirów.

Oczy wszystkich skierowały się na Beatrice, by przekonać się, jak zareaguje na wybuch pani Blake. Nawet pani Washburn przez chwilę nie wiedziała, co odpowiedzieć. Zakonnica zbliżyła się do pani Blake.

— Dziękuję ci, że zechciałaś podzielić się ze mną swoimi uczuciami — powiedziała, bez mrugnięcia powieką wpatrując się w twarz starszej od niej kobiety. — Dobrze wiem, jak łatwo, zwłaszcza w tych ciężkich, bolesnych czasach, na chwilę stracić wiarę w Boga i w innych ludzi.

Wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła dłonią ramienia pani Blake.

— Moja głęboka wiara nie pomoże przywrócić ci twojej — oznajmiła. — Jedynie ty jesteś tą osobą, która może to zrobić. Chciałabym więc zaprosić ciebie i twojego męża do spędzenia ze mną chociaż kilku godzin na terenie naszego miasteczka w Hyde Parku. Mogłabyś przekonać się naocznie nie tylko o tym, co robimy, ale również w jaki sposób… Spodziewam się, że to doświadczenie pozwoliłoby ci zmienić zdanie na temat naszej naiwności. Ufam także, że zostałaby przywrócona chociaż część twojej wiary w Boga i w ludzkość.

— Jestem pewna, że społeczność Esher zbierze w końcu te pieniądze — oświadczyła Vivien swojej towarzyszce, kiedy obie jechały pociągiem do Wimbledonu. — A chcesz wiedzieć dlaczego? Nie z powodu twojej sprytnej mowy czy modlitwy, choć dokładnie przemyślałaś sobie i jedno, i drugie, żeby skłonić te kobiety do szybszego otwarcia portmonetek…

— W przemówieniu wyrażałam to, co naprawdę czuję — przerwała jej Beatrice, stawiając na stoliku przed sobą otwartą puszkę

z coca-colą. — Chyba nie sugerujesz, iż mogłabym celowo…

— Oczywiście, że nie, B — zapewniła ją Vivien. — Dobrze wiem, może lepiej niż ktokolwiek inny, że to, co słyszały i widziały kobiety z Esher, stanowiło szczere wyznanie twojej wiary… I to właśnie zdumiewa mnie najbardziej. Jakoś nie widzę siebie na twoim miejscu. Wybuchnęłabym gromkim śmiechem ubawiona własną hipokryzją. Ty jednak naprawdę wierzysz w te wszystkie bzdury.

— A ty nie? — zapytała ją Beatrice. — Wiedząc, że masz tylko dziesięć dni na podjęcie decyzji, czy chcesz złożyć ślubowanie?

— Och, ja także w to wierzę — odparła niedbale Vivien. — Ale na swój własny sposób… Przypuszczam, że w głębi duszy tkwi we mnie niepoprawny cynik. — Przerwała na chwilę, o czymś rozmyślając, a potem ciągnęła: — Wierzę w to, że zakon świętego Michała robi dla ludzi więcej niż to możliwe.

— Na razie wystarczy mi to za wyznanie twojej wiary — rzekła Beatrice. — Prawdę mówiąc, chciałaś mi powiedzieć o czymś innym…

— Tak — przyznała Vivien. — O paniach z Esher… Tym, co wywarło na nich największe wrażenie, była twoja odpowiedź na uwagi pani Blake. Widać to było w ich oczach. Byłaś cicha i pełna miłości, ale równocześnie stanowcza.

— Mam nadzieję, że naprawdę spędzi trochę czasu w naszym miasteczku — rzekła Beatrice. — Było mi jej naprawdę żal. Serdecznie jej współczułam. To musi być coś strasznego, żyć w takim ciągłym strachu.

— Nie ma mowy — stwierdziła Vivien. — Nie przyjedzie… A poza tym powiedziała tylko to, o czym w głębi ducha myślało wiele innych kobiet.

Obie zakonnice siedziały przez jakiś czas, nic nie mówiąc. Później siostra Beatrice pochyliła się i dotknęła dłoni Vivien.

— Uważam, że ta chwila jest równie dobra jak każda inna — powiedziała. — Chciałabym porozmawiać z tobą o twoim wyświęceniu.

Zmarszczywszy brwi, Vivien popatrzyła na swoją opiekunkę.

— Czy to także zostało zaplanowane? — zapytała. — Nie przypominam sobie, żebyś w harmonogramie dzisiejszych zajęć miedzy szesnastą trzydzieści a siedemnastą miała zapisaną rozmowę z Vivien na temat jej wyświęcenia. I to w pociągu jadącym do Wimbledonu.

— Nie — odparła Beatrice uśmiechając się. — Prawdę mówiąc, przyszło mi to do głowy dopiero w tej chwili. Ale myślę, że może masz problemy, w których mogłabym ci chociaż trochę pomóc?

— Kilka setek — przyznała Vivien, wzruszając ramionami. — Nie sądzę jednak, by rozmowa na ich temat mogła mi w jakikolwiek sposób pomóc.

— Przy okazji… Chciałabym, żebyś wiedziała, iż złożyłam oświadczenie popierające twoją kandydaturę — oznajmiła Beatrice. — Jedynym koniecznym wymogiem jest teraz twoje osobiste oświadczenie. Kiedy je złożysz, wybór terminu będzie zależał wyłącznie od ciebie.

Na twarzy Vivien odmalowało się zadowolenie zmieszane z zaskoczeniem.

— Więc naprawdę uważasz, że mogłabym być dobrą zakonnicą? — zapytała. — Mimo że jestem taka uparta, zawzięta i nie bardzo mająca coś, co inni by określili mianem religijnej duszy?

— W zakonie potrzebujemy osób umiejących myśleć niezależnie. Rozwijamy się bardzo szybko i pragniemy, żeby przyłączyli się do nas ludzie nie stroniący od trudnych pytań. — Uśmiech Beatrice stal się wyrazistszy. — Oczywiście, nie byłabym wobec ciebie szczera, gdybym nie przyznała, że twoje poświęcenie i skromność, nie mówiąc już o innych cechach, powinny ulec znacznej poprawie.

Vivien szczerze się roześmiała.

— Hej, z czymś takim nawet ja mogłabym się zgodzić — powiedziała.

Ich uwagę odwrócił na chwilę komunikat, że zbliżają się do Wimbledon Station.

— Dziękuję, B — rzekła Vivien, zaczynając pakować swoje rzeczy. — Dziękuję za to, że mi zaufałaś, a także za twoją przyjaźń.

Beatrice objęła ją i uściskała.

— Przypomnij mi, co właściwie mamy tutaj do roboty — odezwała się Vivien, jak zwykle starając się dotrzymać kroku Beatrice. Zbliżali się do dużego budynku, zarządzanego przez michalitów. Słońce zaszło i lutowe powietrze znów stawało się chłodne.

— Jeden z moich najlepszych przyjaciół zakonników, brat Terry, zajmuje się tu prowadzeniem zajęć. Byłam razem z nim we Włoszech i słuchałam nauk świętego Michała… choć pamiętam, że Terry nie wstąpił do zakonu, zanim papież wysłał Michała do klasztoru… Tak czy inaczej, Terry prosił mnie, bym zechciała tu przyjechać i wygłosić przemówienie do nowicjuszy.

6

Wimbledońska uczelnia kształcąca przyszłych zakonników mieściła się w budynku, który kiedyś zajmował Ogólno-angielski Klub Tenisowy. Dla wielu w Wielkiej Brytanii, a zapewne i dla całego tenisowego świata, najcięższym ciosem zadanym przez Wielki Chaos było odwołanie dwutygodniowych mistrzostw świata, które co roku odbywały się na kortach Wimbledonu. Rezygnację z tej imprezy wymusiły prozaiczne prawa ekonomii. Większości widzów nie było stać na zakup biletów, nie wspominając o przelocie samolotem z Ameryki lub Australii. Ostatnie mistrzostwa świata w Wimbledonie rozegrano na przełomie czerwca i lipca 2137 roku, na rok przed wybuchem bomby atomowej w Rzymie, która zabiła świętego Michała, a wraz z nim spore grono jego zwolenników. Klub tenisowy rozwiązano w Boże Narodzenie 2137 roku, a cały kompleks zamknięto aż do wiosny 2139 roku, kiedy szeroko zakrojona akcja zbiórki ofiar pozwoliła michalitom zgromadzić wystarczająco dużo pieniędzy, by wykupić cały teren i wszystkie korty.

Zakon świętego Michała dokonał tam wielu zmian. Jedynie otoczony wieloma boiskami centralny kort, majstersztyk architektury wczesnych lat dwudziestego pierwszego wieku, pozostał w nie zmienionym stanie. To właśnie tam siostra Beatrice miała wygłosić przemówienie do czterech tysięcy studentów przybyłych ze wszystkich zakątków Wysp Brytyjskich.

— Spożyjemy kolację w gronie nowicjuszy — odezwała się Beatrice do Vivien, kiedy przechodziły przez bramę. — Zaraz po tym, jak wygłoszę przemówienie. Teraz jednak chcę się zobaczyć z bratem Terrym, na wypadek gdyby w ostatniej chwili miał jeszcze jakąś prośbę.

Na ogromnym placu po ich lewej stronie stało w kilku szeregach ponad sto kobiet i mężczyzn, w większości dwudziestokilkuletnich. Zgodnie wykonywali ćwiczenia gimnastyczne, zupełnie jak członkowie tej samej licznej drużyny.

Vivien wyciągnęła rękę i dotknęła lekko lewego ramienia idącej wciąż przed nią Beatrice.

— Zanim się tam udamy, czy możemy przez chwilę porozmawiać na temat mojego osobistego oświadczenia? — zapytała. — Czy powinnam powiedzieć coś więcej ponad to, kim byłam i jaki był główny powód mojego planowanego wstąpienia do zakonu?

— To wystarczy — oświadczyła Beatrice.

— A zatem czy nie mogłabym wygłosić tego tutaj, stojąc przed nowicjuszami, zamiast u nas w Hyde Parku? Nie potrafię powiedzieć dlaczego, ale sądzę, że czułabym się znacznie pewniej, przemawiając

do nowicjuszy, których może nigdy więcej nie zobaczę, zamiast do… Wiesz, niektórzy bracia i siostry należący do naszej społeczności są tak pobożni, że wprawiają mnie w zakłopotanie…

Beatrice zatrzymała się i spojrzała na koleżankę.

— Myślę, że nie miałabym nic przeciwko temu — odrzekła w końcu. — Tak, porozmawiam na ten temat z bratem Terrym.

— Siostrą, którą chcę wam dzisiaj przedstawić — powiedział brat Terry do zgromadzonego tłumu nowicjuszy i nowicjuszek — jest głęboko oddana naszej sprawie, troskliwa, wybitnie utalentowana i absolutnie niestrudzona… siostra Beatrice. Ostatnio kieruje staraniami, by powiększyć miasteczko namiotów znajdujące się w Hyde Parku w Londynie. Bracia i siostry, mam ogromną przyjemność przedstawić wam dzisiaj wieczorem jedną z naszych wzorowych zakonnic. Przyjemność tym większą, ponieważ właśnie mnie wybrano, bym oznajmił wam i jej, że władze Londynu późnym popołudniem wyraziły zgodę na urządzenie następnego miasteczka na terenie Kensington Gardens.

Nikt nie krzyczał z radości ani nie klaskał. Zakon wprawdzie tego nie zabraniał, ale w czasie religijnych uroczystości klaskanie nie było w dobrym guście. Uśmiechnięta Beatrice podeszła do mikrofonu stojącego na płycie kortu i spojrzała na morze wpatrzonych w nią ciekawych oczu.

— Dziękuję ci, bracie Terry — zaczęła — i to zarówno za zaproszenie mnie tutaj, żebym spędziła te kilka minut ze wszystkimi twoimi nowicjuszami, jak i za powiadomienie mnie o sukcesie naszych starań. Modlę się, żeby w tym nowym przedsięwzięciu Bóg zechciał być razem z nami i żebyśmy mogli w znacznym stopniu złagodzić ból i cierpienia, jakich w tej chwili doświadcza dwa tysiące kolejnych ludzi, którzy już niedługo zamieszkają na terenie nowego miasteczka.

Dziś wieczorem chcę powiedzieć wam parę słów o tym, co już wkrótce będzie najważniejszą decyzją w waszym życiu — ciągnęła po krótkiej chwili ciszy. — Decyzją, która po wygłoszeniu przez was oświadczenia i przyjęciu kapłańskich święceń, w sposób nieodwołalny zmieni wasze spojrzenie na samych siebie, na siedzących teraz obok was kolegów i koleżanki, a nawet na planetę, na której żyjecie… Wyruszycie w bardzo długą podróż, w której sam Bóg będzie waszym przewodnikiem. W tej podróży pasażerami będzie cała ludzkość, a nie tylko osoby noszące niebieskie habity. Jeżeli odpowiecie na Jego wezwanie, waszym zadaniem będzie poświęcenie życia służbie innym pasażerom, obdarzenie ich dobrami i miłością, której potrzebują, żeby ich umysły i serca mogły dostrzec plan Stwórcy uwzględniający całą ludzkość.

Kiedy w ciągu sześciu długich tygodni, jakie spędzicie w tej uczelni, zajmiecie się codziennymi sprawami, te wszystkie wzniosłe

cele nie zawsze mogą być zrozumiałe. Możliwe, że czasem będziecie rozmyślać, w jaki sposób studiowanie Biblii i praktykowanie medytacji, lekcje historii religii, kultury i języka obcego, dyskusje w grupach, zajęcia fizyczne i wszystkie terapeutyczne sesje pozwolą wam się przygotować do wykonywania przyszłych zadań. Wierzcie mi, że w programie studiów nie umieszczono niczego bez wyraźnego celu. To, czego będziecie się uczyć zarówno tu, jak i we wszystkich ośrodkach kształcących nowicjuszy, jest programem przygotowującym was do święceń, zaproponowanym przez samego świętego Michała na kilka zaledwie miesięcy przed śmiercią.

Ci z was, którzy pomyślnie przebrną przez program zajęć tej uczelni, zostaną uznani w zakonie za tymczasowych nowicjuszy. Na pozostały okres waszych studiów otrzymacie indywidualne zadania do wykonania i osobistych opiekunów. W ciągu szesnastu, najwyżej dwudziestu tygodni od chwili opuszczenia murów uczelni musicie podjąć decyzję dotyczącą waszych dalszych losów. Jeżeli postanowicie, że nie chcecie przyjąć święceń, odwieziemy was do Wimbledonu, skąd zabierzecie swoje rzeczy i z naszym błogosławieństwem powrócicie do tego, co nazywamy tu „światem zewnętrznym". Jeżeli zdecydujecie się na przyjęcie święceń, a potem spełnicie wymagania wstępne oraz uzyskacie pozytywną opinię opiekunów, zostaniecie przyjęci do zakonu świętego Michała i staniecie się pełnoprawnymi zakonnikami i zakonnicami.

Ślubowanie, jakie składacie podczas świeceń, jest bardzo proste. Przysięgacie Bogu, że poświęcicie życie służbie ludzkości. Obiecujecie Mu także, że będziecie żyć w ubóstwie i celibacie. Święty Michał zdecydował, że te dwie przysięgi będą kamieniami węgielnymi naszego zakonu. Kiedy jeden z pierwszych wyznawców zapytał go, dlaczego tak upiera się przy tych obietnicach, Michał odpowiedział: „Niemal każdy człowiek, którego poznałem, darzy niepohamowaną miłością albo seks, albo pieniądze, albo jedno i drugie. Wyrzeczenie się tych dwóch rzeczy na resztę życia jest dla niego bardzo bolesnym doświadczeniem. Niemożliwe jest zwycięstwo w walce z własnym egoizmem, a zatem i rzetelne dotrzymanie przysięgi złożonej podczas świeceń, bez ogromnej wewnętrznej dyscypliny. Dobrowolnie złożona obietnica spędzenia życia w ubóstwie i czystości dowodzi, że przyszły zakonnik czy zakonnica są świadomi wymogów życia, które wybrali".

W dniu, w którym zostaniecie wyświeceni — ciągnęła Beatrice — przekażecie zakonowi to wszystko, co macie, żeby mógł wykorzystać te dobra w taki sposób, jaki uzna za najwłaściwszy do osiągnięcia naszych celów…

Vivien przestała słuchać mowy Beatrice. Pół godziny wcześniej, kiedy zaproponowała, że wygłosi swoje osobiste oświadczenie tu, w Wimbledonie, wydawało się jej to bardzo proste. Teraz jednak, kiedy

chwila zabrania przez nią głosu przybliżała się, z wielkim trudem panowała nad nerwami. Co miała im powiedzieć? Czy powinna oświadczyć zebranym młodym ludziom, że pomimo tak drugiego czasu wciąż wątpiła, czy będzie potrafiła dotrzymać przysięgi?

— …Ludzie często pytają mnie — mówiła tymczasem Beatrice — czemu członkowie zakonu muszą przybierać imiona różne od tych, których używali przez całe dotychczasowe życie. Ten zwyczaj wprowadził także święty Michał. Głęboko wierzył, że dokonanie tego wszystkiego, czemu chce się poświęcić życie, wymaga od zakonnika całkowitego odrodzenia. Czyż jest lepszy sposób uzewnętrznienia tego osobistego odrodzenia niż przybranie nowego imienia…?

Vivien często słyszała, jak Beatrice wygłasza tę mowę, i wiedziała, że przemówienie niedługo dobiegnie końca. Wpadła w panikę. Wciąż nie mogła się skupić nad tym, co powinna powiedzieć.

Nagle Beatrice popatrzyła na nią. Vivien nawet nie usłyszała, w której chwili opiekunka wypowiedziała jej imię. Niepewna, powoli przeszła parę kroków i zatrzymała się w kręgu światła na środku kortu.

Myślała trochę wcześniej o kilku mądrych zdaniach, od których mogłaby zacząć swoją wypowiedź, ale kiedy jej palce sięgały po mikrofon, nie mogła sobie tych zdań przypomnieć. Szukając wsparcia, spojrzała w prawo i w lewo. Beatrice uśmiechnęła się do niej i chcąc ją zachęcić, kilka razy kiwnęła lekko głową.

— Cześć — odezwała się w końcu Vivien, ale dobiegające z głośników echo tego słowa sprawiło, że zdenerwowała się jeszcze bardziej. — Jestem siostra Vivien… Chciałabym złożyć osobiste oświadczenie.

Zamarła. Nie wiedziała, co ma więcej powiedzieć. Obawiała się, że za chwilę może zemdleć. Rozpaczliwie sięgnęła znów po mikrofon i ścisnęła go z całej siły.

— Czuję się naprawdę przerażona — wyznała. — Zanim dojdę do siebie, może minąć całkiem dużo czasu… Cofnęła się o krok i głęboko odetchnęła.

— Mam dwadzieścia dziewięć lat — usłyszała, jak zaczyna w kilka chwil później. — Dopóki nie ukończyłam siedmiu, mieszkałam z rodzicami i młodszym bratem w hrabstwie Essex. Później przeprowadziliśmy się do Londynu. — Znów przerwała na krótką chwilę. — Mój ojciec był bankierem, a poza tym zarządzał naszą rodzinną posiadłością. Był zaprzysiężonym kawalerem, dopóki podczas jakiegoś niedzielnego wypadu do Londynu nie spotkał mojej przyszłej matki. Liczył sobie wówczas prawie czterdzieści lat.

Poczuła, że zaczyna jej iść trochę łatwiej. Popatrzyła na Beatrice i wyobraziła sobie, że prowadzi prywatną rozmowę ze swoją opiekunką.

— Moja matka była piosenkarką w kabarecie. Miała prawie dwadzieścia lat mniej od ojca. Urodziła się na Jamajce. Poza tym była Murzynką, jak zapewne zorientowaliście się, widząc kolor mojej skóry.

Miałam fantastyczne, szczęśliwe dzieciństwo, choć przyznaję, że w tamtych czasach niezupełnie zdawałam sobie z tego sprawę. Rodzice kochali mojego brata i mnie, a siebie nawzajem wręcz ubóstwiali. Rozpieszczali i brata, i mnie, ale mnie chyba bardziej. Nie przypominam sobie, żeby nie kupili mi czegoś, o co poprosiłam.

Kiedy sięgam pamięcią do tych lat, widzę teraz, że byłam bardzo samolubną młodą kobietą, którą obchodziło wyłącznie własne życie. Zostałam przyjęta na uniwersytet w Essex, ale w czasie studiów nie bardzo przykładałam się do nauki. Mniej więcej w tym czasie zaczęłam dostrzegać mężczyzn, ale co bardziej istotne, mężczyźni zaczęli zauważać mnie. Jak możecie sobie wyobrazić, byłam w Essex kimś w rodzaju egzotycznego zwierzęcia.

Vivien nie spodobało się brzmienie ostatniego zdania, ale postarała się o tym zapomnieć i mówiła dalej:

— Kiedy po ukończeniu studiów przeprowadziłam się do Londynu, podjęłam pracę w agencji świadczącej usługi dla ludności. Pracowałam jako sekretarka i księgowa; wykonywałam też różne inne drobne prace. Sama zdecydowałam, że będę tam pracowała na ogół nie więcej niż trzy czy cztery dni w tygodniu. To było jeszcze przed kryzysem, kiedy o pracę było bardzo łatwo.

Kochałam Londyn, a zwłaszcza jego nocne życie. Wiele czasu spędzałam w lokalach, piłam zbyt dużo, kochałam się z różnymi mężczyznami, eksperymentowałam z narkotykami i wydawałam na biżuterię i stroje wszystkie pieniądze, jakie miałam na koncie. Kiedy kryzys gospodarczy dotknął Londyn, zostałam bez grosza i nie miałam czym spłacić swoich długów. Zaczęli nachodzić mnie komornicy. Możliwe, że powinnam wtedy poprosić rodziców o wsparcie, ale byłam na to zbyt dumna. Jedna z moich koleżanek, mających także kłopoty finansowe, skontaktowała mnie z kobietą prowadzącą agencję towarzyską.

Vivien na chwilę znów cofnęła się od mikrofonu i postarała się zebrać myśli.

— Przez następne trzy lata byłam luksusową prostytutką, chociaż wówczas nie przyszło mi do głowy, żeby myśleć o sobie w ten sposób. Pieniędzy miałam w bród, praca nie była ciężka, tak więc mogłam spłacić dłużników co do pensa. Ale przez większość czasu czułam się bardzo przygnębiona.

Zaczęłam odwiedzać psychologa, starałam się też spędzać więcej czasu z rodzicami. Próbowałam też chodzić do kościoła… Żadna z tych rzeczy nie poprawiła mi samopoczucia. Właśnie wtedy naszła

mnie myśl o wstąpieniu do zakonu świętego Michała. Mimo to wahałam się przez cztery miesiące, czytając w tym czasie wszystko na ten temat o świętym. Chodziłam na seminaria i odczyty, organizowane przez zakon. Wciąż jednak pracowałam jako dziewczyna do towarzystwa i nie przestałam wieść życia londyńskiej utracjuszki.

Chcecie wiedzieć, dlaczego zdecydowałam się w końcu wstąpić? Muszę przyznać, że niełatwo mi odpowiedzieć na to pytanie. Jestem pewna, że powodów było wiele, ale tym, który zapamiętałam najlepiej, była rozpaczliwa chęć pojednania się ze sobą. Możliwe, że myślałam, iż służenie bliźnim pozwoli mi wypełnić tę straszną pustkę, którą czułam.

Lubię teraz siebie o wiele bardziej i czuję, że moje życie nabrało jakiegoś sensu. Niemniej, kiedy stoję przed wami, pamiętam, że dotychczas nie potrafiłam publicznie wyznać, iż postanawiam poświęcić zakonowi resztę życia. Dlaczego? Nie wiem tego, nie jestem pewna. Obawiam się, że popełnię błąd. Wiem to… Ale błąd mogłabym popełnić także, gdybym tego nie zrobiła. Bez względu na to jednak, jaka będzie moja decyzja, mogę stwierdzić, że moje dotychczasowe doświadczenia w kontaktach z siostrami i braćmi z zakonu świętego Michała w sposób nieodwracalny zmieniły moje życie.

W drodze do magazynu, w którym przechowywano meble, przedmioty gospodarstwa domowego i rzeczy osobiste przyszłych zakonników, Vivien natrafiła na przeszkodę. Brat Andrew nie widział zakonnicy, gdyż stała trochę z boku, poza zasięgiem światła, a on sam zajęty był ustawianiem samochodów i wydawaniem poleceń dwojgu praktykantom.

— Jeszcze te dwa i powinno wystarczyć — odezwał się do młodzieńca w dżinsach, który wysiadł przed chwilą z auta. Pozostawił je obok stu kilkudziesięciu innych wozów zajmujących chwilowo niemal całą wolną przestrzeń między budynkiem dyrekcji a magazynami. Wszystkie zaparkowano na ogromnym trawniku w drugich rzędach, bok w bok, zderzak w zderzak. Po chwili z drugiego rzędu wyjechał jeszcze jeden samochód i zatrzymał się na wolnym miejscu w pobliżu Vivien.

— Och, bardzo przepraszam, siostro — powiedziała wymizerowana dziewczyna, która otworzyła przednie drzwi. — Nie wiedziałam, że tu jesteś.

Usłyszawszy uwagę dziewczyny, brat Andrew odwrócił się, ujrzał zakonnicę i podszedł do niej. Vivien się przedstawiła.

— Dziękuję ci za to, że zechciałaś wygłosić osobiste oświadczenie — odezwał się do niej. — Przypomniało mi ostatnie chwile mojego nowicjatu. Miałem także duże kłopoty z podjęciem ostatecznej decyzji.

Odwrócił się, gdy usłyszał, że wąską uliczką nadjeżdża kolejny pojazd.

— Uważaj! — krzyknął do siedzącego za kółkiem praktykanta. Nowa, luksusowa czterodrzwiowa limuzyna omal nie zawadziła zderzakiem o jeden z zaparkowanych wozów. — Powinniśmy dostać za niego trzydzieści tysięcy nowych funtów — rzekł do Vivien.

— Czy istnieje jakaś inna droga do magazynu jedenastego? — zapytała go, nie bardzo chcąc przedzierać się przez labirynt samochodów.

— Owszem — odrzekł brat Andrew. — Ale jeśli poczekasz minutę czy dwie, mogę cię tam zawieźć. To spory kawałek drogi.

Vivieit spojrzała na zegarek. Jej pociąg odjeżdżał z Wimbledon Station o dziewiętnastej dwadzieścia. Do spotkania z Beatrice w gabinecie brata Timothy'ego zostało jej mniej więcej pół godziny.

— To tamten — krzyknął brat Andrew. — Przyprowadź go tutaj i zaparkuj obok tego zielonego kabrioletu!

Czarna japońska limuzyna, cztero — lub pięcioletnia, wyjechała ze swojego miejsca i zaczęła sunąć w ich stronę, zatrzymując się w końcu o jakieś dwadzieścia metrów od brata Andrewa i Vivien.

— To te dwa — odezwał się Andrew do młodzieńca, wskazując mu dwa nowe samochody. — Przedtem jednak zechciej razem z siostrą Edith ustawić wszystkie wozy na tych samych miejscach, na których stały… chociaż w przybliżeniu.

Brat Andrew skinął na Vivien, by usiadła obok niego w limuzynie.

— Obu ich właścicieli przyjęto dzisiaj do zakonu — wyjaśnił, kiedy Vivien wsiadła i ruszyli. — Jednego w Leeds, a drugiego w Yorku. Musimy je wymyć i przygotować do sprzedaży, żeby mogły stanąć na parkingu jutro rano przed dwunastą.

Skręcił w ciemną aleję, po której obu stronach stały wysokie domy.

— Zanim zostałem zakonnikiem, nigdy nie przypuszczałem, że stanę się sprzedawcą używanych samochodów — oświadczył brat Andrew, a potem głośno się roześmiał. — Bóg ma czasem wobec nas bardzo dziwne plany.

Vivien podziękowała mu za podwiezienie i wysiadła z samochodu. Magazyn jedenasty kiedyś był parą zbudowanych obok siebie kortów tenisowych, znajdujących się na peryferiach kompleksu w Wimbledonie. Zakon świętego Michała po prostu przykrył oba korty dachem i w powstałej w ten sposób hali urządził wielki magazyn.

Vivien umieściła w czytniku swoją kartę identyfikacyjną, a później, ponaglona przez urządzenie, wystukała na klawiaturze sześciocyfrowy numer kodu, który podał jej brat Terry. Usłyszawszy szczęk zamka, otworzyła drzwi, weszła i znalazła się w ciemnościach. Przesunęła palcami po ścianie obok drzwi i znalazła włącznik oświetlenia.

Kiedy jej oczy przyzwyczaiły się do jasności, zaczęła szukać na

ścianach i na suficie numerów, które także przekazał jej brat Terry. Gdy szła tam, gdzie złożono jej osobiste rzeczy, jej ruchy były śledzone przez kamery zainstalowane pod dachem.

W magazynie panował wzorowy porządek. Różne sprzęty i urządzenia zajmowały w nim całą wolną przestrzeń, ale miedzy grupami mebli pozostawiono wąskie przejścia, dzięki którym można było bardzo łatwo trafić do wybranego miejsca. Meble kuchenne, stoły, regały, szafy i urządzenia gospodarstwa domowego, zgromadzone we wszystkich miejscach magazynu, ustawiono z myślą o ich właścicielach, a nie typach urządzeń czy rodzajach mebli. Fantazyjne meble z Bliskiego i Dalekiego Wschodu, pośród których nie brakowało wspaniałych, ręcznie rzeźbionych majstersztyków z drzewa tekowego, stały obok zwyczajnych plastikowych stołów, krzeseł i biurek kupionych zapewne na jakiejś wyprzedaży.

Najpierw ujrzała własne łóżko, stojące tuż przy ścianie. Prawdę mówiąc, z tej odległości rozpoznała narzutę, którą otrzymała od rodziców, gdy przeprowadziła się do Londynu. Przyspieszyła kroku, niemal biegiem pokonując ostatnie trzydzieści metrów dzielące ją od jej mebli. Usiadła na skraju łóżka i kilka razy lekko sprawdziła, jak sprężynuje, a potem popatrzyła na resztę sprzętów. Po prawej stronie łóżka stała komoda, a po lewej ozdobna szafa. Oba meble miały naklejone w dwóch miejscach etykietki z tym samym numerem identyfikacyjnym, jakim oznaczono jej łóżko.

Kiedy wstała i otworzyła drzwi szafy, poczuła, że jej myśli wypełniły się tysiącami wspomnień. Na wieszakach wciąż wisiały jej sukienki. Na każdej znajdował się ten sam numer. Wyglądały, jakby dopiero przed chwilą przywieziono je z pralni. Kiedy Vivien każdej dotykała, przypominała sobie, kiedy ją nosiła i w jakim sklepie kupowała. Odszukała czerwoną, w której, zdaniem jej przyjaciółki, Olivii, wyglądała „seksowniej niż Kleopatra". Wyjęła ją z szafy i przyłożyła do siebie, przejrzała się w niewielkim lustrze. Kontrast między połyskującą, głęboko wyciętą sukienką a niebieskim habitem, jaki miała na sobie, był tak wielki, że wybuchnęła śmiechem. Rozmyślała przez chwilę, czy nie włożyć jej na siebie, ale doszła do wniosku, że to by nie był najlepszy pomysł.

Przeszła kilka kroków i usiadła na jednym z biało-czarnych krzeseł, jakie kiedyś kupiła do salonu. Powiodła spojrzeniem po wszystkich sprzętach zdobiących kiedyś jej mieszkanie. Poczuła, jak zaczyna ogarniać ją dziwny smutek. Uczucie to przybrało jeszcze na sile, kiedy wstała i powoli zaczęła obchodzić meble, dotykając każdego czubkami palców albo dłonią.

W końcu znów zatrzymała się przy szafie i wyciągnęła szufladę. W leżących tam plastikowych torebkach znajdowała się jej biżuteria, po dwa albo trzy przedmioty w każdej. Wszystkie torebki były

oznaczone tym samym numerem identyfikacyjnym. Z jednej z nich wyjęła lazurowy brazylijski naszyjnik i stanowiące z nim komplet kolczyki, które podarował jej kiedyś przyjaciel, Ernest, jako prezent na dwudzieste piąte urodziny. Ponownie przejrzała się w lustrze, tym razem trzymając przy uszach kołyszące się małe wisiorki.

W innej torebce znalazła złotą zapalniczkę z wygrawerowaną na odwrocie fantazyjną literą „V". Jakże uwielbiała kiedyś ten drobiazg! Pstryknęła nią kilka razy, trochę z przyzwyczajenia, a trochę z chęci przekonania się, czy jeszcze działa. Bardzo dobrze pamiętała amerykańskiego przedsiębiorcę, od którego ją dostała. Wtedy dopiero dwa miesiące pracowała jako dziewczyna do towarzystwa i spędziła z nim długi weekend w Brighton. Cliff powiedział wówczas, że z jej klasą nie powinna posługiwać się jednorazówkami. Vivien była zdumiona i uszczęśliwiona, kiedy dał jej napiwek w wysokości trzystu funtów.

Poczuła, że nie potrafi znieść tych wszystkich wspomnień, tych żywych obrazów wypełniających kolejno jej umysł. Miała uczucie, jakby pływała samotnie w małej łódce po bezkresnym morzu. Odwróciła się tyłem do swoich mebli i przeszła przez magazyn, wróciła do wejścia. Nie domykając drzwi, zatrzymała się tuż za nimi i głęboko odetchnąwszy świeżym, chłodnym wieczornym powietrzem, przypaliła papierosa swoją ulubioną zapalniczką.

Wspomnienia jednak jej nie opuściły. Nie potrafiła przed nimi uciec. Zapytała samą siebie, jakim cudem mogłaby zamienić całe dotychczasowe życie na niepewny żywot zakonnicy michalitów. Nie ubierze się w szykowną suknię, nie spędzi wakacji na plażach Brighton, nie założy kosztownej biżuterii ani jutro, ani pojutrze, ani w przyszłym tygodniu. Nigdy. A jednak, a jednak…

Zaciągnąwszy się głęboko, wypuściła powietrze i patrzyła, jak kilka kółek dymu unosi się wolno, mieszając się z wilgotnym powietrzem. Widziała, jak docierają w pobliże dużej elektrycznej lampy palącej się pod dachem w pobliżu rogu magazynu. Kiedy zaczęły się rozpraszać, Vivien spostrzegła niezwykłą chmurę wiszącą nieruchomo w pobliżu lampy. Zaciekawiona, udała się na róg magazynu i uniosła głowę, chcąc jej się lepiej przyjrzeć.

W obłoku mgły ujrzała zbiorowisko jasno świecących kulek podobnych do drobnych kropli wody, ale o wiele wyraźniejszych i jaśniejszych. Wydawało jej się, że każda kulka lekko obraca się w nieruchomej chmurze, odbijając światło żarówki. Co więcej, mimo że smugi dymu z papierosa Vivien już dawno rozproszyły się i zniknęły, uniesione lekkim wiatrem, dziwaczna świecąca chmura tkwiła w tym samym miejscu, jakby w pewien sposób przytwierdzona do krawędzi dachu.

Nie spuszczając spojrzenia z chmury, Vivien przeszła w takie

miejsce, w którym zapalona lampa znalazła się bezpośrednio za kulkami. Dopiero teraz mogła się zorientować, że dziwne zjawisko nie miało nieokreślonego kształtu. Vivien przez krótką chwilę była zafascynowana sposobem, w jaki każda kulka poruszała się wewnątrz obłoku, nie zmieniając ani jego wyglądu, ani kształtu.

Kiedy w końcu rozpoznała ten kształt, poczuła, jak po plecach przechodzą ją zimne dreszcze. Chociaż kłąb świecących kulek nie miał granic tak wyraźnych jak każdy lity przedmiot, bez wątpienia przypominała Vivien fajansowego aniołka, którego jej rodzice umieszczali niezmiennie na samym czubku bożonarodzeniowego drzewka.

Z pomocą przyszedł jej wrodzony cynizm.

— No dobrze — odezwała się głośno, zaskoczona niepewnością, jaką usłyszała we własnym głosie. — Co to wszystko ma oznaczać?

Chmura nieznacznie podpłynęła w jej stronę, nie zmieniając jednak ogólnego kształtu. Impuls strachu kazał Vivien szybko się cofnąć. W chwilę potem zobaczyła błysk oślepiającego jasnego światła, który zmusił ją do zamknięcia oczu. Kiedy je otworzyła, świecących kulek już nie było.

Stała bez ruchu jak sparaliżowana, czując, że jej serce wali młotem. Przez kilka sekund tylko wpatrywała się w puste miejsce, w którym jeszcze przed chwilą wisiał obłok. Co właściwie zobaczyłam? — zadała sobie pytanie, z trudem starając się zachować jasność myśli.

Wróciła powoli do drzwi magazynu. Mimo faktu, że nie wierzyła ani w cuda, ani w nadprzyrodzone zjawiska, ani nawet w samego Boga, który troszczy się o życie wszystkich ludzi, była przeświadczona, że to, co zobaczyła, miało bezpośredni związek z decyzją, którą starała się z takim trudem podjąć.

Kiedy przystanęła przy wejściu i zamknęła oczy, kształt obłoku wyryty w jej pamięci wyglądał identycznie jak tamten fajansowy aniołek z czasów jej dzieciństwa.

Po raz drugi weszła do magazynu. Gdy dotarła do miejsca, w którym znajdowały się jej meble, uklękła na oba kolana i przycisnęła czoło do narzuty na łóżku.

— Dobry, drogi Boże — powiedziała. — Dziękuję za zesłanie mi tego znaku. Bez względu na to, co to było… Teraz nie wątpię, że poproszę o przyjęcie do zakonu. Tylko że nadal nie wiem, dobry Boże, czy będę potrafiła przejść całą resztę życia, nie pożądając różnych rzeczy.

Na chwilę przerwała.

— Czy możesz mi w tym pomóc, Boże? — zapytała. — Czy możesz mnie jakoś nauczyć, że służenie bliźnim i kochanie ich, dzień po dniu, powinno mi wystarczyć? Że nie muszę pragnąć niczego więcej, żebym czuła się szczęśliwa? Mam nadzieję, że tak, gdyż sądzę,

że nie poradzę sobie bez pomocy z Twojej strony.

7

Vivien wyglądała przez okno wagonu i zastanawiała się, co właściwie powiedzieć Beatrice. Teraz była już absolutnie pewna, że chce przyjąć święcenia i to jak najszybciej. Postanowiła też, że nie powie Beatrice, a przynajmniej nie w tej chwili, o dziwnej chmurze mającej kształt aniołka. Nie chciała, by jej koleżanka i opiekunka sądziła, że podjęła decyzję tak ważną jak przyjęcie święceń pod wpływem nie wyjaśnionego zjawiska.

Siedząca po przeciwnej stronie Beatrice była całkowicie pochłonięta tym, co właśnie czytała. Gdy skończyła, zapytała Vivien, czy chce się napić lemoniady.

— Na razie nie — odparła zdenerwowana Vivien. — Może trochę później. Beatrice zauważyła, że Vivien zmarszczyła brwi.

— Czy stało się coś złego? — zapytała. — Czym się denerwujesz? Vivien pokręciła głową i głęboko odetchnęła.

— Chciałabym zostać wyświęcona jeszcze dziś wieczorem — oświadczyła pospiesznie. — Podczas nieszporów, jeżeli to możliwe.

Beatrice na chwilę odebrało mowę.

— Dobry Boże, Vivien — odezwała się w końcu. — To niezwykle szybko. Czy jesteś tego pewna?

— Tak — odparła Vivien. Pochyliła się i uśmiechnęła. — Bardziej już nie będę… Nie powiem, B, że się nie boję. Wciąż martwię się, że coś nie wyjdzie i nie będę mogła znieść tego stylu życia albo…

— Czy modliłaś się? — przerwała jej łagodnie Beatrice. — Czy prosiłaś Boga o pomoc?

— Wiedziałam, że mnie o to zapytasz… Tak, prosiłam o pomoc. Naprawdę się modliłam. Kiedy wyszłam z magazynu po spojrzeniu jeszcze raz na swoje rzeczy, poprosiłam Boga, żeby pomógł mi pokonać niepewność.

— To dobrze — stwierdziła Beatrice. — Bóg to jedyne źródło siły, na które ludzie mogą zawsze liczyć.

— Ale czy będzie można zrobić to jeszcze dzisiaj? — nalegała Vivien. — Nie zniosłabym, gdybym musiała czekać z tym do rana. Jestem pewna, że przez całą noc nie zmrużyłabym oka.

Beatrice wyciągnęła rękę i dotknęła jej dłoni.

— Mogę zorganizować wszystko tak, by ceremonia odbyła się dzisiaj wieczorem — odparła. — Podczas nieszporów.

— Dziękuję — odrzekła Vivien.

W budynku dyrekcji Hyde Parku rozmawiano wyłącznie o zgodzie na rozszerzenie miasteczka na teren Kensington Gardens. Wielu członków społeczności gratulowało Beatrice pomyślnego uwieńczenia jej starań. Zakonnica przyjmowała ich aplauz z wdzięcznością,

przypominając jednak, iż nie była to jej zasługa i że w czasie rozmów z władzami Londynu pełniła tylko funkcję boskiego posłannika. Najbardziej emocjonalnie zachowywała się chyba siostra Chintha, pochodząca z Cejlonu i pełniąca funkcję przedszkolanki.

— Och, siostro Beatrice — mówiła. — Tak modliłam się, by zechcieli przyjąć naszą propozycję. Wszystkim dzieciom sprawi to wielką radość. Dopiero teraz będziemy mogły opiekować się nimi tak, jak chcemy.

Beatrice była trochę zdumiona tym, że nie widzi nigdzie brata Hugona. Niedługo jednak zaprzątała sobie tym głowę. Udała się do gabinetu, w którym urzędowała razem z pięcioma innymi zakonnicami.

— Czy nadal ty jesteś odpowiedzialna za program dzisiejszych wieczornych nieszporów? — zwróciła się do siostry Emily.

— Tak, ja — odrzekła tamta. — A o co chodzi? Beatrice się uśmiechęła.

— Vivien jest już gotowa do przyjęcia święceń — powiedziała.

— To wspaniale — odparł siostra Emily, przechodząc przez mały pokój, by uścisnąć koleżankę. — Musisz być bardzo szczęśliwa.

— Jestem — przyznała Beatrice. — Vivien może dać z siebie bardzo dużo naszemu zakonowi.

— Kiedy chcesz, żeby się to odbyło? — zapytała ją Emily.

— Myślę, że byłoby najlepiej zaraz po kazaniu. Tuż przed rozpoczęciem śpiewów. Wieczorne nabożeństwo zaczęło się o dwudziestej pierwszej i trwało zaledwie pół godziny.

Jak we wszystkich religijnych uroczystościach na terenie miasteczka, uczestnictwo nie było przymusowe. Nie przypadkiem jednak w te dwa wieczory w tygodniu, kiedy podczas nieszporów śpiewała Beatrice, liczba uczestniczących w nim osób była o dwadzieścia procent wyższa niż zazwyczaj. Tego lutowego wieczoru do wielkiego namiotu ustawionego w pomocnej części parku przyszło prawie tysiąc mieszkańców i niemal sto pięćdziesiąt opiekujących się miasteczkiem zakonnic i zakonników.

Kazanie miał wygłosić brat Diego, były aktor i znakomity mówca. Tematem była ludzka natura. Mówiąc o niej, brat Diego często przytaczał cytaty ze znanych książek, które czytał święty Michał w ostatnich miesiącach życia. W dwunastominutowej mowie brat Diego podkreślił związki ludzi z innymi ssakami z rzędu naczelnych, mechanizmy ewolucji i stan, który sam święty Michał uważał za następny etap w procesie ciągłego rozwoju pierwiastków duchowych człowieka.

Vivien siedziała na składanym krześle w pierwszym rzędzie, tuż obok siostry Beatrice. Kiedy w pewnej chwili zaczęła się nerwowo wiercić, Beatrice wyciągnęła rękę i położyła swoją dłoń na jej dłoni.

Po odmówieniu przez brata Diega modlitwy kończącej kazanie, Beatrice wstąpiła na podwyższenie i zwróciła się do słuchaczy:

— Zanim zaczniemy dzisiaj śpiewać — powiedziała — mam przyjemność asystować w ceremonii złożenia ślubów kapłańskich przez moją nowicjuszkę, siostrę Vivien… Czy nie zechcielibyście powstać, żeby godnie przywitać ją w naszym zakonie?

W kilku miejscach rozległy się pojedyncze okrzyki radości, ale trwały bardzo krótko i szybko ucichły. Beatrice i Vivien stanęły twarzami do siebie, a bokiem do zgromadzonego tłumu.

— Siostro Vivien — odezwała się Beatrice. — Czy pragniesz z własnej nieprzymuszonej woli wstąpić do zakonu świętego Michała, którego celem jest służenie bliźnim zgodnie z planem Bożym?

— Chcę, siostro Beatrice — odparła nieco drżącym głosem Vivien.

— Czy czytałaś i studiowałaś pisma świętego Michała, zwłaszcza te omawiające odpowiedzialność i obowiązki kapłanów i kapłanek zakonu?

— Tak, siostro Beatrice.

— Siostro Vivien, czy przysięgasz w imię Boże, że już nigdy, póki żyjesz, nie dopuścisz się żadnego aktu seksualnego, czy to sama, czy z kimś, ani też już nigdy nie nazwiesz swoją własnością żadnej rzeczy, przedmiotu czy posiadłości, bez względu na ich rozmiary i wartość, z wyjątkiem tego amuletu symbolizującego nasz zakon?

— Przysięgam, siostro Beatrice.

Zakonnica sięgnęła do kieszeni niebieskiego habitu i wyciągnęła z niej jakiś przedmiot uwiązany na zwykłym ciemnym sznurku. Uniosła go do góry, żeby wszyscy mogli go zobaczyć. To była drewniana rzeźba rozmiarów dużej monety. Przedstawiała odzianego w habit młodzieńca stojącego z wyciągniętymi rękami i oczami skierowanymi w niebo. Wyrzeźbione za nim i nad nim płomienie obrazowały atomowy ogień, który niespodziewanie zakończył życie świętego Michała.

Nie mówiąc ani słowa więcej, Beatrice opasała szyję Vivien sznurkiem i zatrzasnęła zamek amuletu na jej karku. Później, objąwszy koleżankę, szepnęła jej do ucha: „Serdecznie ci gratuluję”.

W oddalonej od podium części namiotu siostra Laura wprowadziła odpowiedni kod do komputerowych organów i po chwili w głośnikach rozmieszczonych w różnych miejscach rozległy się dźwięki hymnu: „Święty, święty, święty”. Vivien zeszła z podwyższenia, uśmiechając się i ściskając amulet w prawej dłoni. Kiedy powróciła na swoje miejsce, nie myślała o niczym innym, tylko o chmurze małych, jasno świecących kulek, mającej kształt fajansowego aniołka.

W czasie dwóch hymnów śpiewanych przez całe zgromadzenie, Beatrice zauważyła, jak przez główne drzwi namiotu wszedł brat Hugo

z jeszcze jedną osobą. Z początku nie mogła dostrzec kto to, z powodu tłumu ludzi zasłaniających jej widok. Po skończeniu drugiego hymnu dojrzała jednak białe pasy na niebieskim habicie mężczyzny. To biskup — przyszło jej na myśl. — Co on może tu robić?

Wszyscy uczestnicy nieszporów z niecierpliwością czekali, aż Beatrice rozpocznie sama śpiewać. Zaczęła od uwspółcześnionej wersji utworu będącego kiedyś czternastowieczną klasztorną pieśnią wychwalającą Boga.

— Nastał poranek, podobny do pierwszego ranka… — zaśpiewała do wtóru kilku instrumentów o elektronicznie syntetyzowanych brzmieniach.

Kiedy skończyła śpiewać pierwszą pieśń, przez chwilę odpoczywała, a potem kiwnęła głową w stronę siostry Laury. Dźwięki pojedynczego instrumentu klawiszowego sprawiły, że w namiocie zapadła zupełna cisza.

— Ave Maria — zaśpiewała Beatrice głosem tak nieskazitelnie czystym, tak doskonałym, że wszyscy w jednej chwili zostali nim oczarowani. Brzmienie wspaniałego głosu Beatrice sprawiło, że im dłużej trwał jej śpiew, tym bardziej niemal wszyscy słuchacze byli głęboko poruszeni. Słuchanie jej śpiewu sprawiło, że ludzie poczuli się bogatsi duchowo i zadowoleni z życia.

Śpiew Beatrice w jednej chwili wycisnął łzy z oczu siedzącej w pierwszym rzędzie Vivien. Ogarnęło ją przemożne uczucie miłości do Boga, do wszystkich żyjących ludzi, a także do samej siebie.

— Dziękuję ci, Boże — szepnęła bezgłośnie — za to, że pozwoliłeś mi przeżyć te piękne chwile. Nikt ze słuchaczy, których większość przez cały czas śpiewu Beatrice miała zamknięte oczy, nie poruszył się przynajmniej przez dziesięć sekund po tym, jak skończyła pieśń.

Kiedy wreszcie wyszli z namiotu, pozostali członkowie zakonu czekali cierpliwie w kolejce, by tradycyjnie uściskać Vivien, witając ją w ten sposób w zakonie. Beatrice trzymała się skromnie na uboczu, starając się jak najmniej rzucać w oczy. Mimo to wielu michalitów i mieszkańców miasteczka kierowało się do niej, by powiedzieć, jak wielką radość sprawił im jej śpiew. Odpowiadała na te pochwały uprzejmym „dziękuję”, ale nie zachęcała rozmówców do dłuższej konwersacji.

Brat Hugo i biskup także stali w kolejce osób chcących pogratulować siostrze Vivien. Hugo spojrzał na Beatrice, a widząc, że ta patrzy na niego, gestem zaprosił ją, żeby do nich dołączyła.

— To dla ciebie naprawdę uroczysty dzień — rzekł biskup do Beatrice, kiedy już pochwalił jej talent. — Bóg z pewnością musi być bardzo rad z twojej pracy.

— Dziękuję, bracie Wallasie — odparła Beatrice. — Jesteśmy zaszczyceni, mogąc dzisiaj ciebie tutaj gościć… Czy przyszedłeś

cieszyć się razem z nami?

— Nie tylko — odpowiedział, tkliwie klepiąc Beatrice po ramieniu. — Prawdę mówiąc, głównym powodem mojej obecności była chęć zobaczenia się z tobą i wręczenia ci specjalnego listu, jaki właśnie dostałem z Sieny.

— Jaka jest jego treść? — zapytała Beatrice.

— Sam nie wiem — przyznał brat Wallace. — Musi to być jednak coś ważnego. List, na którym odciśnięto pieczęć arcybiskupa, wysłano z adnotacją, by wręczyć tylko tobie. Nieczęsto się zdarza, żeby arcybiskup wysłał list, nie korzystając z poczty elektronicznej.

— Siostra Cecylia wyjaśniła mi w ubiegłym tygodniu, jak łatwo mógłby jakiś komputerowy pirat włamać się do naszej struktury przesyłania informacji — oznajmiła Beatrice. — Domyślam się, że zapieczętowany osobisty list jest jedynym sposobem zachowania tajemnicy korespondencji.

W końcu cała trójka znalazła się przed Vivien. Brat Hugo uściskał ją pierwszy, czyniąc to jak zwykle nieco sztywno i formalnie. Hugo był doświadczonym, zdolnym i roztropnym administratorem, ale okazywanie uczuć nie wychodziło mu najlepiej. Kiedy wreszcie i brat Wallace uwolnił ją z objęć, twarz Vivien rozjaśnił szelmowski uśmiech.

— Hej, to było coś wspaniałego — powiedziała, a w jej głosie brzmiała charakterystyczna dla niej kpina. — Nigdy przedtem nie obejmował mnie żaden biskup.

Beatrice ucieszyła się, gdy ujrzała, że Vivien znów jest sobą. Obie zakonnice objęły się i stały tak przez dłuższą chwilę.

— Dziękuję, B — szepnęła jej do ucha Vivien. — Wiesz dobrze, że bez twojej pomocy nie zdecydowałabym się zostać zakonnicą.

Po chwili Beatrice zaczęła się martwić ewentualną treścią listu. Arcybiskup Sieny był tytularną głową zakonu świętego Michała. Chociaż nie uważano go za jednego z katolickich dostojników (wzajemne stosunki miedzy zakonem świętego Michała a kościołem rzymskokatolickim miały w ciągu następnych piętnastu lat często zmieniać się i komplikować), był najwyższym autorytetem w sprawach wiary dla wszystkich kapłanów i kapłanek zakonu, których liczba na całym świecie dochodziła do trzystu tysięcy.

Beatrice słyszała do tej pory tylko o jednym zapieczętowanym liście ze Sieny. Otrzymał go przełożony zakonników w rejonie Birmingham po zakończeniu śledztwa przez tamtejszą radę do spraw dyscyplinarnych. List zawierał polecenie wydalenia z zakonu kilku osób z personelu wykorzystujących swoje pozycje do ciągnięcia korzyści materialnych z nielegalnego handlu i spekulacji.

Beatrice szła przez park do biura i rozmyślała o wszystkich możliwych powodach, dla których arcybiskup mógł przysłać jej takie

pismo. Była główną przełożoną czterdziestu pięciu zakonnic i zakonników. Czy możliwe, że w jej grupie działo się coś złego?

Nie musiała długo czekać, by poznać treść pisma. Biskup wręczył jej kopertę, kiedy dotarli do budynku biura.

— Jestem pewien, że będziesz wolała otworzyć ją, gdy zostaniesz sama — oświadczył brat Wallace, wychodząc z pokoju.

Kiedy złamała pieczęć na kopercie, czuła, że jej serce wali jak młotem. Przebiegła spojrzeniem całą stronę.

Droga siostro Beatrice

Twoja pełna wyrzeczeń, ofiarna służba Bogu i zakonowi zasługuje na pochwałę ze strony wielu ludzi. Jesteśmy zadowoleni, że i my możemy wyrazić oficjalne uznanie dla Twojego poświęcenia i oddania. Jest nam milo powiadomić Cię, że zostałaś wybrana pierwszym biskupem Marsa. Proszę, przybądź jak najszybciej do Sieny, by omówić wszystkie aspekty tej niezwykłej i odpowiedzialnej nominacji.

Beatrice raz jeszcze przeczytała list, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Co takiego? — pomyślała. — Czy to naprawdę możliwe? Mam zostać biskupem czego?

Kiedy otworzyła drzwi małego pokoju i przeszła do świetlicy, każdy jej krok śledziło kilkanaście par oczu sióstr i braci, nie wyłączając biskupa.

— Za minutę wracam — oświadczyła, niemal biegnąc do wyjścia. — Wtedy wszystko wam wytłumaczę.

W podnieceniu przebiegła przez park, a potem przez most pontonowy i dotarła do namiotu służącego jej za sypialnię.

— Siostro Tereso? — zapytała. — Czy któraś z was widziała siostrę Teresę?

Siostra Teresa była głównym źródłem jej wiadomości z zakresu astronomii. Zanim zdecydowała się zostać zakonnicą, studiowała fizykę na uniwersytecie w Oxfordzie.

— Przed kilkoma minutami poszła do łaźni — odpowiedziała jedna z obecnych w namiocie zakonnic.

Beatrice dogoniła siostrę Teresę na ścieżce łączącej namiot z łaźnią.

— Siostro Tereso — powiedziała, chwytając ją za ramiona. — Gdzie jest Mars? Siostra Teresa popatrzyła na Beatrice, jak gdyby tamta postradała zmysły.

— Gdzie jest Mars? — powtórzyła. — No cóż, Mars jest czwartą dużą planetą krążącą wokół Słońca i znajduje się między nami a Jowiszem…

— Nie, nie zrozumiałaś mnie — przerwała jej Beatrice. — Chodziło mi o to, gdzie jest Mars w tej chwili, na nocnym niebie?

Teresa, spojrzawszy na twarz Beatrice, zorientowała się, że musi

to być dla niej bardzo ważne. Nie mówiąc ani słowa więcej, powiodła koleżankę na skraj wyspy. Kiedy znalazły się w sąsiedztwie kaplicy, obie zakonnice uniosły głowy i wpatrzyły się w ciemne niebo.

— To jest Mars — odezwała się siostra Teresa. — To tamta najjaśniej świecąca gwiazda, widoczna obok tej pierzastej chmury.

— Dziękuję ci, siostro Tereso — odrzekła Beatrice. — Bardzo ci dziękuję.

Klęknęła i uniosła złożone ręce, kierując je w stronę maleńkiej gwiazdy widocznej na nocnym niebie.

— Dobry Boże — zaczęła się modlić. — Zawierzam Ci bez reszty całe swoje życie. Jeżeli Twoją wolą jest, bym służyła Ci na Marsie, pozwól mi wykonywać tę pracę jak najlepiej. W imię świętego Michała. Amen.

8

Johann Eberhardt nabrał powietrza, płynąc na lewym boku, kiedy do nawrotu zostało mu tylko kilka metrów. Pokonał tę odległość jednym silnym pociągnięciem długiej ręki, a potem wywinął kozła i odbił się od ściany. Kiedy płynął pod wodą, pozwolił sobie na kilka sekund odpoczynku, a potem znów wytężył mięśnie i skierował się ku przeciwległemu krańcowi dwudziestopieciometrowego basenu.

Acht und neunzig — powiedział do siebie, zwiększając tempo pod koniec porannych ćwiczeń. Oprócz niego w basenie było teraz tylko trzech innych mężczyzn. Kiedy przed trzydziestoma pięcioma minutami zaczął ćwiczyć, był jak zwykle pierwszy w wodzie, gdyż strzeżone przez komputer drzwi umożliwiły mu wcześniejszy wstęp dzięki specjalnej przepustce.

Gdy wyprzedzał mężczyznę płynącego na sąsiednim torze, poczuł przypływ adrenaliny, wyobraził sobie, że bierze udział w zawodach. Jak nazywa się tamten Włoch? — pomyślał przelotnie, przypominając sobie jeden ze swoich lepszych rezultatów. — Bianchi, nieprawdaż? Johann wyprzedził wówczas włoskiego pływaka na przedostatnim odcinku czterystumetrowego dystansu podczas zawodów pomiędzy Niemcami i Włochami.

Kiedy skończył płynąć i dotknął ściany, zanurzył i wynurzył się kilka razy, czekając, aż oddech powróci do normy. Zapamiętał czas, jaki osiągnął, i wyzerował automatyczny zegar toru mierzący czasy zawodników. Później wyszedł z basenu, zabrał ręcznik i skierował się do szatni.

Przez cały czas obserwował go siedzący z boku mężczyzna przypominający z wyglądu Turka. Miał na sobie także kąpielówki, ale było widać, że nie wchodził do basenu.

— Sie sind Johann Eberhardt, nicht war? — zapytał, kiedy Johann przechodził obok niego. Wyglądający na Turka mężczyzna musiał unieść głowę, żeby spojrzeć w oczy swojemu rozmówcy, który przewyższał go wzrostem o dobre dwadzieścia pięć centymetrów.

— Ja — odparł Johann, zatrzymując się, ale nie przestając się wycierać. — Dlaczego pan pyta?

— Jestem przyjacielem Bakira — odrzekł młody Turek, rozglądając się ukradkiem. — Czy mógłbym porozmawiać z panem na osobności?

Johann zawahał się, ale w końcu pozwolił mężczyźnie pójść ze sobą do pustej szatni. Bakir Demirel był także inżynierem i od paru lat pracował razem z Johannem. Obaj byli zarejestrowani w firmie Guntzel i Stern, czołowej niemieckiej agencji do spraw zatrudnienia. Los chciał, że pracowali razem w trzech ostatnich miejscach, do

których skierowała ich agencja. Ich zdolności wzajemnie się uzupełniały. Johann był znakomitym specjalistą od inżynierii systemów. Jego główną umiejętnością było rozumienie, w jaki sposób współdziałają wszystkie elementy skomplikowanych systemów technicznych. Zdolności Bakira były bardziej ukierunkowane. Kolega

Johanna był ekspertem w dziedzinie oprogramowania systemów, a także znał się dobrze na robotyce.

Kiedy Johann i jego rozmówca znaleźli się w szatni, nieznajomy wszedł do najbliższej kabiny z prysznicem i odkręcił do oporu oba kurki. Johann, widząc to, posłał mu lekko kpiące spojrzenie.

— Nigdy nie wiadomo, kto może podsłuchiwać — odrzekł młody Turek, uśmiechnąwszy się i wzruszywszy ramionami.

— A teraz proszę powiedzieć mi, o co chodzi — odezwał się zniecierpliwiony Johann.

— Berliński urząd do spraw zatrudnienia zawiadomił wczoraj Bakira, że jego kontrakt zostaje unieważniony — oświadczył mężczyzna.

— Musiała zajść jakaś pomyłka — stwierdził Johann. — Bakir podpisał swój kontrakt później niż ja, a mój będzie ważny jeszcze przez trzy miesiące. Nawet nie rozpoczęliśmy pracy nad unowocześnianiem systemu dystrybucji dla firmy Wedding i Moabit.

— Unieważnienie jego kontraktu miało z pewnością podłoże polityczne — oznajmił Turek. — Wszyscy wiedzą, że Herr Farckenbeck ma wyższe aspiracje. Jeżeli chce awansować, musi wykazać, że kocha swoją niemiecką ojczyznę. Nie znajdzie lepszej okazji od natychmiastowego zwolnienia z pracy wszystkich dobrze opłacanych obcokrajowców, zatrudnionych w charakterze specjalistów w Berlińskim Instytucie Gospodarki Wodnej.

— Zerwanie kontraktu pociąga za sobą karę umowną, zgodnie z odpowiednią klauzulą.

— Herr Direktor i to potrafi obrócić na swoją korzyść. W ten sposób będzie mógł powiedzieć, że jest zdolny do wyrzeczeń dla dobra ojczyzny. — Mężczyzna popatrzył Johannowi w oczy, a uśmiech zniknął z jego twarzy. — Ale nie przyszedłem tu o szóstej rano tylko po to, by omawiać z panem praktyki pracodawców w Niemczech. Chciałem prosić pana o wyświadczenie przysługi Bakirowi. Jest pana przyjacielem, prawda?

Johann kiwnął głową.

— Mam nadzieję, że pan wie — ciągnął Turek — iż zgodnie z ustawą o zatrudnianiu obcokrajowców, jaką parlament uchwalił przed dwoma miesiącami, wszyscy imigranci bez stałego zatrudnienia mają zostać natychmiast deportowani. W zeszłym tygodniu sąd ogłosił wykładnię tego prawa. Zgodnie z nią nawet tacy ludzie jak Bakir, zarejestrowani w urzędach zatrudnienia i pracujący w Niemczech od

wielu lat, mogą zostać deportowani w okresie miedzy końcem jednego kontraktu a początkiem następnego. I chociaż Bakir i jego rodzina mieszkają tu…

— Ależ to absurd — przerwał mu Johann. — Z pewnością ta ustawa nie dotyczy kogoś takiego jak Bakir. Uchwalono ją w tym celu, żeby władze miały prawo deportować tych obcokrajowców, którzy nie mogą zarobić na swoje utrzymanie i dlatego stanowią ciężar dla narodu. Bakir mieszka tu od urodzenia i jest zdolnym, dobrze zarabiającym inżynierem. Ma trochę oszczędności w banku i nawet kupił sobie niewielki domek.

— I jedno, i drugie może być skonfiskowane — odrzekł Turek uśmiechając się z wysiłkiem. — Proszę mnie źle nie zrozumieć. Nie sugeruję, że motywem działania rządu Freisingera jest chęć zysku, a przynajmniej nie w tej chwili. To jednak, co powiedziałem, jest prawdą. Bakir może zostać deportowany i to jeszcze dzisiaj, zanim Guntzel i Stern zaczną szukać dla niego nowej pracy… Właśnie z tego powodu zwróciłem się do pana.

Johann poruszył się, zaintrygowany.

— A co to ma wspólnego ze mną? — zapytał.

— Zaraz to panu wyjaśnię — rzekł mężczyzna. — Poznał pan żonę Bakira, Sylvie, i ich córkę, Annę, prawda?

— Tak — przyznał Johann. — Zaprosili mnie do swojego domu na kolację w pewien wieczór na parę dni przed Bożym Narodzeniem.

— Bakir uważa — powiedział cicho mężczyzna — że w ciągu kilku najbliższych dni, dopóki nie znajdzie nowej pracy, nie powinien się pokazywać w domu. Martwi się jednak o bezpieczeństwo żony i córki podczas swojej nieobecności. Prosił mnie, bym zapytał pana, czy Sylvie i Anna nie mogłyby tych kilku dni, najwyżej tygodnia, spędzić w pana mieszkaniu. Sądzi, że w ten sposób nie rzucałoby się tak bardzo w oczy, że go nie ma.

Johann nie wiedział, co powiedzieć. Jego pierwszą myślą było, jak zareaguje na to Eva. Szybko przypomniał sobie jednak, że mimo wszystko to było jego mieszkanie i że w tej chwili miał wolny gościnny pokój i łazienkę. Powrócił myślami do Bakira. Był zawsze dobrym kolegą i przyjacielem — pomyślał. — Powinienem mu pomóc.

Tym bardziej że spełnienie prośby Bakira nie było wcale trudne. A jednak jakieś uczucie, którego Johann nie rozumiał, sprawiało, że nie mógł się zdecydować. Poruszył się niespokojnie.

W tym czasie nieznajomy bacznie go obserwował.

— No dobrze — powiedział w końcu Johann, kiedy przedłużająca się cisza zaczęła być niezręczna. — Myślę, że mogę to dla niego zrobić.

— Dziękuję panu — rzekł mężczyzna, chwytając dłoń Johanna i energicznie nią potrząsając. — Bardzo panu dziękuję. — Popatrzył na

zegarek. — Spotkają się z panem dokładnie o siódmej w Tiergarten, obok pomnika Goethego.

Zanim Johann zdążył odpowiedzieć, nieznajomy mężczyzna zniknął.

Na dworze padał śnieg. Johann owinął szczelniej szalik wokół szyi. Miał na sobie tylko gruby dres włożony na podkoszulek i dżinsy.

Skierował się w stronę Tiergarten, wielkiego parku będącego prawdziwą oazą spokoju w samym centrum Berlina. Nie musiał iść daleko, gdyż kryty basen, gdzie ćwiczył, znajdował się niedaleko Friedrichstrasse, nad brzegiem Sprewy.

W czasie drogi naszły go wątpliwości, czy naprawdę powinien był się zgodzić na przyjęcie żony i córki Bakira do swojego mieszkania. Od czasu kiedy tajemniczy Turek zniknął nagle z szatni jak duch, przez głowę Johanna przelatywały dziesiątki pytań. Dlaczego właśnie ja? — zdawał się mówić jakiś głos w jego głowie. — Prawdę mówiąc, znam Bakira tylko z pracy. W żaden sposób nie mieszałem się do jego prywatnego życia.

Johann przypomniał sobie wieczór, kiedy Bakir zaprosił go do swojego domu w Kreuzburgu. Poznał tego wieczoru wielu ludzi, przeważnie także Turków. Dlaczego Bakir nie zwróci się do któregoś z nich o pomoc? — zapytał siebie.

Zanim doszedł do Unter den Linden i skręcił w stronę Tiergarten, był niemal przekonany, że Bakir musi być jakimś działaczem politycznym. Możliwe, że nawet jednym z przywódców ruchu sprzeciwiającego się ustawie o zatrudnianiu obcokrajowców. Od czasu kiedy niemiecki parlament, uginając się przed wolą Freisingera, uchwalił to nowe prawo, dochodziło do częstych przerw w pracy i pokojowych demonstracji. Tak, to musi być to — powiedział sobie Johann. — W przeciwnym razie nie wyrzucono by go z pracy.

Kiedy dotarł do Bramy Brandenburskiej, na kilka sekund się zatrzymał. Po lewej stronie, na terenach, które aż do pierwszych lat dwudziestego pierwszego wieku były częścią

Tiergarten, niemal do samego Leipziger Platz, stało teraz obok siebie kilka gmachów mieszczących muzea różnych ważnych okresów w historii Niemiec. Pierwszym i najstarszym budynkiem, który Johann odwiedził dwukrotnie jako dziecko, było Muzeum Muru Berlińskiego. O kilka domów dalej znajdowało się kontrowersyjne Muzeum Trzeciej Rzeszy, które w ostatnich latach było obiektem wielu demonstracji i protestów.

Johann skręcił do parku i znalazł się na tyłach gmachów. Stwierdził, że śnieżyca przybrała na sile. Niewielkie trawniki po obu stronach alejki były teraz zupełnie białe. Tu i tam widniały na nich ślady króliczych łap. Ciężkie chmury nie przepuszczały światła budzącego się poranka, ale kilka zapalonych tu i ówdzie latarń

oświetlało park wystarczająco jasno, by Johann mógł je widzieć.

Co sto metrów na trawnikach przy alejce stały grube skąpy z napisami: YERBOTEN, umieszczonymi tuż nad rejestrującymi wszystko obrotowymi kamerami. Ich zadaniem było przypominanie wszystkim odwiedzającym Tiergarten, że spanie na terenie parku, w dzień czy w nocy, w namiocie czy pod gołym niebem, w śpiworze czy bez, było ciężkim wykroczeniem, karanym grzywną w wysokości co najmniej trzystu marek i czasem dodatkowymi trzydziestoma dniami aresztu.

Przez alejkę przebiegł nagle jakiś królik i Johann puścił się za nim w pościg. Rzecz jasna, nie był dla małego zwierzątka dość szybkim partnerem i tylko zamoczył w śniegu swoje sportowe buty. Gdy zatrzymał się, by uspokoić oddech, zauważył, że stoi obok wysokiego, znajdującego się pod napięciem płotu chroniącego tyły Muzeum Trzeciej Rzeszy. Mimo zasłaniających mu widok drzew i padającego śniegu, wpatrywał się w budynek, rozmyślając o swojej narzeczonej, Evie, i jej pracy w tym muzeum. Nagle dobiegł go zza pleców czyjś ostry głos.

— Was tun Sie hier? — odezwał się mężczyzna, wyłaniając się zza drzewa. Miał na sobie stalowoszary mundur policjanta z oddziałów Służby Bezpieczeństwa Kraju.

— Szedłem sobie aleją — odrzekł spokojnie Johann. — A potem wpadło mi do głowy, żeby się pościgać z królikiem…

— Proszę o pańską kartę identyfikacyjną — przerwał mu policjant, wyciągając rękę. Kiedy podszedł do Johanna, ten stwierdził, że podobnie jak większość funkcjonariuszy SBK, był mężczyzną bardzo młodym, najwyżej dwudziestoletnim.

Johann sięgnął do małej torby wiszącej na biodrze i wręczył funkcjonariuszowi kartę. Policjant wyglądał na zdenerwowanego, jakby po raz pierwszy kogoś legitymował. Możliwe, że sprawiał to niezwykły wzrost Johanna. Funkcjonariusz wyciągnął niewielki komputer z małym odchylanym ekranem i wsunął do czytnika podaną kartę. Nic się nie stało. Zdziwiony wyciągnął kartę i umieścił ją w czytniku po raz drugi. Ekran jednak pozostał nadał ciemny.

— Pańska karta musi być fałszywa — oświadczył z przekonaniem, a potem odpiął od pasa pałkę i zakomenderował: — Proszę ze mną.

Johann uśmiechnął się do niego.

— Możliwe, że zapomniał pan włączyć urządzenie — odparł, nie kryjąc sarkazmu w głosie. Po kilku sekundach zły i zakłopotany policjant odczytywał z ekranu monitora dane personalne Johanna, które uzyskał drogą radiową z głównego komputera centrali SBK.

— Kiedy się pan urodził? — zapytał, ocierając ekran ze śniegu i odchylając go w taki sposób, żeby Johann nie mógł widzieć wyświetlonej tam daty.

— Jedenastego listopada 2111 roku — odpowiedział Johann.

— Pański zawód?

— Inżynier systemów. W tej chwili jestem zatrudniony w Berlińskim Instytucie Gospodarki Wodnej.

Policjanta jednak to nie zadowoliło.

— Gdzie pan mieszka? — zapytał.

— Schumannstrasse dwadzieścia osiem, mieszkanie F — odrzekł nieco poirytowany Johann. — Proszę posłuchać — dodał. — Sam pan widzi, że nie jestem włóczęgą, i o ile mi wiadomo, nie popełniłem żadnego wykroczenia. Jeżeli w dalszym ciągu będzie pan wypytywał mnie bez powodu, ostrzegam, że złożę zażalenie w biurze pańskiej organizacji… Mój kuzyn, Ludwig, który służy u was w randze kapitana, wiele razy zapewniał mnie, że SBK nie nachodzi lojalnych obywateli niemieckich.

Wyraz twarzy policjanta uległ gwałtownej zmianie. Natychmiast zaczął tłumaczyć się i przepraszać.

— Bardzo mi przykro, mein Herr — powiedział, lekko się jąkając. — Nie miałem pojęcia, że Ludwig Eberhardt jest pańskim kuzynem. To przełożony mojego dowódcy… — Wyglądało na to, że na chwilę zapomniał, co chce powiedzieć. — Wykonywałem tylko swoją pracę — odezwał się w końcu. — Otrzymaliśmy meldunek, że jacyś wywrotowcy mogą chcieć zakłócić otwarcie wystawy. Mam rozkaz zatrzymywać wszystkich ludzi, którzy kręcą się w tej części parku…

Johann wyciągnął rękę.

— Moja karta, jeżeli mogę prosić — przerwał mu szorstko. — Czas już na mnie.

— Natiirlich — odrzekł policjant, oddając mu kartę i szeroko się uśmiechając.

Służba Bezpieczeństwa Kraju powstała zaledwie cztery lata wcześniej, zaraz po tym, jak premierem rządu został wybrany Freisinger. Początkowym celem tej nowej organizacji, obejmującej zasięgiem cały kraj, było przywrócenie ochrony niemieckich granic przed wciąż przybierającą na sile falą imigrantów. Większość z nich pochodziła z Afryki i Bliskiego Wschodu, a przedostawała się do południowej Europy z rejonów Morza Śródziemnego. Mimo iż koncepcja narodowych granic została uznana za przestarzałą, kiedy przed stu dwudziestoma laty narodziła się Federacja Europejska, żaden z jej pozostałych członków nie zgłosił stanowczego sprzeciwu wobec jednostronnego ogłoszenia przez Niemcy zamiaru patrolowania narodowych granic. System, jaki wprowadzono w życie, okazał się bardzo skuteczny. Nim zdążyły upłynąć dwa lata, zalewająca dotychczas Niemcy fala nielegalnych imigrantów przerodziła się w leniwie ciurkający strumyk.

Zakres obowiązków i wpływów Służby Bezpieczeństwa Kraju

uległ wówczas znacznemu rozszerzeniu. W miarę jak towarzyszący Wielkiemu Chaosowi kryzys gospodarczy zataczał coraz szersze kręgi, niemieckie władze uznały za konieczne uchwalenie wielu nowych ustaw, których celem było ograniczenie praw ludzi nie będących Niemcami. Stało się więc niemal oczywiste, że nowa służba bezpieczeństwa pomoże lokalnym siłom policji uporać się z problemem wciąż rosnącej liczby osób pochodzenia tureckiego i egipskiego. Prawdę mówiąc, w miarę upływu czasu lokalne samorządy coraz częściej zaczęły przerzucać odpowiedzialność za wprowadzanie w życie ustaw dotyczących cudzoziemców na gorliwych i nacjonalistycznie nastawionych policjantów z SBK.

W tym samym czasie inne, mniejsze państwa, a wśród nich Austria, Węgry i Słowacja, postanowiły zorganizować i u siebie takie same służby ochrony granic. Państwa te zawarły z Niemcami umowę nie tylko w tym celu, by wprowadzić w życie podobny system, lecz i po to, by zapewnić sobie pomoc i ciągły nadzór Niemców w początkowym etapie jego organizacji. W wyniku tego SBK i jej stalowoszare mundury stały się symbolami zmian zachodzących w tych niespokojnych czasach niemal w całej Europie.

Wielu Europejczykom, którzy nie pogodzili się z ponurymi realiami najgorszego znanego im kryzysu, było niezmiernie łatwo zrzucić winę za utratę dorobku całego życia i panoszący się chaos na wciąż zwiększającą się liczbę zatrudnionych w ich krajach nielegalnych imigrantów. Ci głęboko rozczarowani ludzie uważali Herr Freisingera i SBK za bohaterów dążących do przywrócenia w Europie dobrobytu, którym cieszyła się tak niedawno. Dla innych ludzi jednak, zatrwożonych odradzającym się, uosabianym przez politykę władz Niemiec rasizmem i nacjonalizmem, graniczące z bezprawiem postępowanie SBK boleśnie przypominało wcześniejszy okres w historii kontynentu, kiedy prawa mniejszości etnicznych były bezwzględnie naruszane.

Spotkanie z funkcjonariuszem SBK zaniepokoiło Johanna. Świadom teraz bardziej niż kiedykolwiek możliwych konsekwencji udzielenia pomocy swojemu przyjacielowi, Bakirowi, przez chwilę się zastanawiał, czy w ogóle powinien stawić się na umówione spotkanie. Po krótkiej wewnętrznej walce doszedł jednak do wniosku, że poczucie przyzwoitości nakazuje mu zjawić się o siódmej przy pomniku Goethego.

Bakir i jego żona z córką wyłonili się zza ośnieżonych krzaków minutę po siódmej. Sylvie miała głowę owiniętą szalem. Na jednej ręce niosła trzyletnie dziecko, a w drugiej trzymała niewielką walizkę. Kiedy się przywitali, turecki przyjaciel Johanna zaczął mu wylewnie dziękować za to, że zgodził się mu pomóc.

Johann przerwał potok jego mowy.

— Przykro mi, Bakir — powiedział niepewnie — ale prawdę mówiąc, nie mogę się na to zgodzić… Przemyślałem to wszystko jeszcze raz w ciągu tej godziny i po prostu nie sądzę, by było to możliwe. Weźmy chociaż pod uwagę fakt, że mój dom jest wyposażony w wiele urządzeń mających zapewnić nam bezpieczeństwo. Drzwi wejściowe i drzwi w korytarzach reagują tylko na kody mojej karty identyfikacyjnej i Evy. Uzyskanie zezwolenia, żeby otwierały się także na kod karty Syhie, wymagałoby wystąpienia o zgodę do właściciela domu.

— Sylvie i Anna nie będą wychodziły z twojego mieszkania do czasu, aż znajdę nową pracę — przekonywał Bakir. — Jeżeli chcesz, mogą nawet nie ruszać się z pokoju. W żaden sposób nie będą przeszkadzały ani tobie, ani Evie. Proszę cię, Johann, jesteś moją jedyną nadzieją.

— A co z całą twoją rodziną i przyjaciółmi w Kreuzburgu? — zapytał Johann, trochę zdziwiony tonem własnego głosu. — Z pewnością byłoby lepiej, gdyby twoi bliscy przebywali ˆpośród ludzi, których znają.

Bakir położył dłoń na ramieniu Johanna.

— Nie mogę wyjaśnić ci teraz wszystkiego — odparł. — Po prostu nie ma na to czasu… Mam jednak powody, by sądzić, lżę zostałem uznany przez SBK za osobę niepożądaną przez pomyłkę. Jeżeli uda mi się uniknąć aresztowania przez najbliższe kilka dni albo tydzień, znajdę sobie inną pracę. Mój pracodawca będzie wówczas chronił mnie przed deportacją, ja ja będę miał czas, by wyjaśnić to nieporozumienie. Gdyby szare koszule ujęły w ciągu tych kilku dni Sylvie i Annę, zmuszony byłbym oddać się w ich ręce… Wiem, że to wszystko wygląda bardzo dziwnie. Proszę cię jednak, żebyś mi zaufał. Zawsze byłem wobec ciebie szczery.

Johann słuchał próśb przyjaciela z mieszanymi uczuciami. Chciał mu pomóc, ale nie mógł przestać myśleć o Evie i o tym, że może w ten sposób popełnić wykroczenie. Kątem oka zobaczył, że ktoś nadchodzi. Przez chwilę miał wrażenie, że to funkcjonariusz służby bezpieczeństwa, i serce zadarło mu ze strachu.

— Przykro mi, Bakir, nie mogę tego zrobić — powiedział szybko, kiedy alejką za jego plecami przechodził jakiś mężczyzna prowadzący psa na smyczy — Mógłbym dać ci trochę pieniędzy, jeżeli ci to pomoże.

Zobaczył, jak w oczach Bakira pojawia się niedowierzanie. Turek cofnął się o krok i objął ramieniem swoją żonę.

— Nie prosiłem cię o pieniądze — odparł porywczo. — Wszystko, czego mi trzeba, to trochę czasu. — Westchnął ciężko. — No dobrze — powiedział w końcu. — Rozumiem. Myślałem tylko, że mógłbyś…

Nie kończąc zdania, odwrócił się i zaczął pocieszać żonę, w której

oczach pojawiły się łzy.

— Co teraz poczniemy? — zaczęła lamentować. — Co teraz się z nami stanie?

Johann poczuł się przygnębiony. Niezręcznie pożegnał się i odwrócił plecami do Bakira i jego rodziny. Pierwsze pięćdziesiąt metrów pokonał ze spuszczoną głową, wpatrując się we własne buty i czując, jak z każdą chwilą narasta w nim poczucie winy. Kiedy w końcu przystanął obok jednej z tablic z napisem: YERBOTEN, odwrócił się na pięcie i skierował spojrzenie na pomnik Goethego. Bakira jednak już tam nie było.

Johann potrząsnął głową i zaczai czynić sobie wymówki. Gdy rozmyślał o tym, jak łatwo mógłby pomóc Bakirowi, zauważył nagle, że na ziemię o jakiś metr na prawo od niego nie spadają w ogóle żadne płatki śniegu. Zaintrygowany tym, uniósł głowę i popatrzył na latarnię umieszczoną na słupie nad tablicą. Po prawej stronie zapalonej latarni ujrzał wiszącą w powietrzu podwójną spiralę wypełnioną tysiącami niewielkich, świecących białych kulek. Z góry spadały na nią płatki śniegu, ale przy zetknięciu z nią znikały, jakby w tej samej chwili zamienione w parę.

Mogła mieć trzydzieści centymetrów średnicy i metr wysokości, obracała się powoli wokół pionowej niewidocznej osi. Wszystkie kulki znajdujące się w jej obu ramionach odbijały jasne światło latarni nad tablicą. Chociaż przemieszczały się swobodnie w górę, w dół i na boki, kształt podwójnej spirali pozostawał nie zmieniony.

Johann nie mógł uwierzyć w to, co widział. Zamknął oczy, przez chwilę je tarł kciukami, a potem znów otworzył. Dziwne świecące kulki nie zniknęły. Jedyną zmianą, jaką dostrzegł, było usytuowanie względem osi; cała spirala bowiem nie przestawała się obracać. Po raz drugi popatrzył na przestrzeń ponad dziwnym tworem. Śledził spojrzeniem kilka płatków, które opadały do chwili, gdy stykały się z górną powierzchnią skomplikowanego zawijasa, a potem w niewytłumaczalny sposób znikały.

Nawykły do logicznego rozumowania umysł Johanna zaczął stawiać pytania i starać się znaleźć wyjaśnienie tego dziwnego zjawiska. Nagle dziwny zakrętas zaczął się obniżać, kierując w jego stronę. Johann podskoczył z wyciągniętą do góry rękę, a kiedy jego dłoń znalazła się w chmurze, zacisnął ją, chwytając kilka kulek.

W tej samej chwili jego oczy poraził błysk oślepiającego światła. W następnej sekundzie podwójna spirala zniknęła bez jakiegokolwiek śladu. Johann przypomniał sobie tylko, że w chwili skoku poczuł w zamkniętej dłoni dziwne ciepło. Kiedy trzymał ją cały czas zaciśniętą, wydało mu się, że zdołał coś pochwycić. Powoli, ostrożnie, otworzył ją. Zobaczył białe kulki, dokładnie jedenaście, przylepione w kilku miejscach do wewnętrznej części dłoni. Stwierdził, że mogły mieć

średnicę najwyżej jednego milimetra.

Przyglądał się im prawie przez minutę i zauważył, że są białe z wyjątkiem wąskiego czerwonego paska biegnącego wzdłuż równika. Wyjąwszy identyfikacyjną kartę, posłużył się nią, żeby je zdrapać z dłoni do bocznej kieszeni torby. Kiedy wracał do domu, opierał się pokusie popatrzenia na nie, łowiąc sobie, że gdy znajdzie się w mieszkaniu, podda je bardziej szczegółowej analizie.

9

Podekscytowany Johann wpadł jak bomba do mieszkania.

— Evo! — krzyknął, stając na progu. — Gdzie jesteś? Wydarzyło się coś niesamowitego!

— Jestem w sypialni, kochanie — dobiegł go głos jego narzeczonej.

Johann przebiegł przez salon i pchnął drzwi największej sypialni mieszkania. Eva leżała na wielkim łóżku. Była rozebrana. Pokój rozjaśniało jedynie światło dwóch zapalonych świec, ustawionych na stolikach po obu stronach łóżka. Z głośników stereofonicznego zestawu dobiegały ciche dźwięki koncertu skrzypcowego Mozarta.

Nie spojrzawszy nawet na Evę, Johann zapalił górne światło, kiedy tylko znalazł się w sypialni. Później odpiął torbę od pasa i położył ją na łóżku.

— Przydarzyło mi się coś dziwnego — zaczął, nie kryjąc podniecenia. — Wciąż trudno mi w to uwierzyć…

Stopniowo zaczął sobie zdawać sprawę z tego, że kobieta spodziewała się, iż zareaguje na jej widok w zupełnie inny sposób. Popatrzył na zapalone świece, a potem przeniósł spojrzenie na Evę. Na jej twarzy dostrzegł zmieszanie połączone z rozczarowaniem.

— Uhm — odchrząknął niepewnie. — Przepraszam… Nie spodziewałem się…

— Widzę, że się nie spodziewałeś — rzekła zrezygnowana Eva, wciągając majtki, a potem wkładając przez głowę kusą koszulkę. — A więc, co takiego się zdarzyło? Czasami myślę, że już nigdy nie uda mi się tchnąć w nasz związek ani odrobiny romantyzmu. Jesteś taki romantyczny jak deska sedesowa.

— Przepraszam cię, Evo — powtórzył Johann, siadając obok niej na krawędzi łóżka. — Naprawdę przepraszam. Doceniam to, co starasz się robić… Tylko że przytrafiło mi się coś niesamowitego. Dzisiaj rano byłem w Tiergarten…

Kiedy opowiadał jej całą historię, spoglądała na niego z ironicznym uśmiechem. Była zdumiona, słysząc w jego głosie niezwykłe podniecenie. Kiedy zaczął wyjaśniać jej, jak podskoczył i pochwycił kilka świecących kulek, prawie spadł z łóżka.

— Udało mi się złapać jedenaście — powiedział. — Są bardzo małe, o średnicy nie większej od jednego milimetra. O ile mogłem stwierdzić, mają kształt idealnie kulistych paciorków i są śnieżnobiałe, jeżeli nie liczyć cienkiej czerwonej linii na równiku.

Dramatycznym gestem pociągnął za suwak błyskawicznego zamka bocznej kieszeni torby i włączył stojącą na stoliku nocną lampkę.

— Jeśli chcesz, sama zobacz — powiedział, otwierając jak

najszerzej niewielką kieszeń i trzymając torbę w taki sposób, żeby Eva mogła zajrzeć do środka. — Czy nie sądzisz, że są niezwykłe?

Eva pochyliła się i zajrzała, ale nie zobaczyła ani jednej kulki.

— Czy to jeden z twoich najnowszych żartów? — zapytała, zaczynając się uśmiechać. — Wielkie nieba, Johann, byłeś naprawdę przekonujący… Zastanawiałam się nawet, czy ci nie uwierzyć…

— O czym ty właściwie mówisz? — zapytał zaniepokojony Johann. Spojrzał na twarz Evy, przyciągnął do siebie torbę i nachylił się nad kieszenią. Obracał torbę na wszystkie strony, starając się, by światło mogło dotrzeć do każdego kąta. W kieszeni nie było jednak żadnych kulek.

— Ale to niemożliwe — powiedział. — Sam je tam umieściłem, jedną po drugiej. Zdrapałem je z dłoni, a potem zamknąłem kieszeń na zamek.

— Może to były magiczne kulki — zasugerowała beztrosko Eva — które potrafią otwierać zamki błyskawiczne albo przenikać przez ściany. A może…

— To wcale nie jest śmieszne — przerwał jej szorstko Johann. — Mówię ci, że własnoręcznie umieściłem te paciorki w kieszeni i zasunąłem suwak. Nie mogły stamtąd wypaść.

Zajrzał jeszcze raz do środka. Pokręcił z niedowierzaniem głową.

— Co mogło się z nimi stać? — powiedział do siebie. Eva objęła go ramieniem i zaczęła pieszczotliwie gładzić po karku.

— To była fantastyczna historia, Johann — oświadczyła. — Najlepsza, jaką zdarzyło ci się opowiedzieć. Przypomina mi twoją bujną wyobraźnię i entuzjazm, jaki wykazywałeś w początkowym okresie naszego związku.

Johann odwrócił się do niej, by coś odpowiedzieć. Zanim jednak to zdążył zrobić, Eva pocałowała go w usta: najpierw lekko, a potem bardziej namiętnie. Johann był naprawdę daleki od tego, by się kochać; mimo to, dobrze wiedząc, jak drażniło Evę nieodwzajemnianie jej pieszczot, zdecydował się, że tym razem nie odmówi.

Byli w trakcie miłosnego uniesienia, kiedy rozległ się dzwonek telefonu.

— Nie odpowiadaj — odezwała się Eva. — Niech odbierze automatyczna sekretarka.

Johann myślał już jednak o czymś innym. Czy możliwe, że to Bakir? — zastanawiał się, czując wyrzuty sumienia. — Chce mnie prosić, bym jeszcze raz przemyślał całą sprawę?

Z urządzenia rejestrującego rozmowy rozległ się jednak głos jego matki. Johann zostawił leżącą na łóżku Evę i włączył odbiornik wideotelefonu. Na dużym ekranie telewizora, wiszącym na ścianie sypialni, ukazała się pomarszczona twarz Frau Eberhardt.

— Jestem tutaj, mamo — odezwał się Johann. — Byłem właśnie pod prysznicem i dlatego nie mogę pokazać się u ciebie na ekranie.

— Twoja strata — rzekła półgłosem Eva, zeskakując z łóżka i udając się do łazienki.

— Co to było? — zapytała staruszka.

— To Eva — odparł Johann. — Prosiła mnie, żebym cię pozdrowił.

— Aha, dzień dobry Evo — odrzekła Frau Eberhardt. Wydawała się zdezorientowana i przez kilka chwil nie powiedziała ani słowa.

— Co się stało, mamo? — zapytał Johann. — Czy dzwonisz tylko po to, by dowiedzieć się, co u mnie słychać? Jeżeli tak, to zadzwonię do ciebie wieczorem. Nie chciałbym spóźnić się do pracy.

— Nie, wolę porozmawiać z tobą teraz — odrzekła matka. Powiedziała to bardzo cicho, a na jej twarzy ukazał się wyraz konspiracji. — Chodzi mi o twojego ojca, Johann — oznajmiła. — Przez cały ubiegły tydzień był niesamowicie przygnębiony. Dziś rano powiedział nawet, że będzie więcej wart, kiedy umrze, niż teraz, kiedy żyje. Znów wyciągnął wszystkie swoje polisy ubezpieczeniowe.

— Co chcesz, mamo, żebym zrobił? — zapytał Johann.

— Czy nie mógłbyś wpaść do nas na trochę w sobotę lub niedzielę? — odparła matka. — Proszę cię, Johann, muszę pilnie porozmawiać z tobą o czymś ważnym, a poza tym sam wiesz, jak bardzo twoje odwiedziny cieszą ojca.

— Nie wiem, czy będę mógł, mamo… W sobotę Eva ma uroczyste otwarcie swojej wystawy, w związku z czym czeka nas kilka przyjęć i przemówień… — Johann urwał i głęboko westchnął, kiedy ujrzał na twarzy matki pełną bólu reakcję na te słowa. — Posłuchaj, mamo, zrobię, co będzie w mojej mocy. Nie mogę ci teraz obiecać, że przyjadę, ale zadzwonię do ciebie później z pracy… Do widzenia, mamo.

— Do widzenia, synku — odparła Frau Eberhardt. — Twój tata z pewnością bardzo się ucieszy. Wyłączył urządzenie.

— Cholera — mruknął, idąc do łazienki.

Śniadanie upłynęło w napiętej atmosferze. Eva nie okazywała najmniejszego zainteresowania tym, co mogło lub nie mogło się stać z małymi kulkami, mimo iż Johann przysięgał, że zamknął je w kieszeni torby. Bardzo jednak interesował ją, a przy tym złościł fakt, że Johann rozważał wyjazd do rodziców do Poczdamu przynajmniej na część weekendu.

— Masz już prawie trzydzieści lat — mówiła, nie starając się nawet ukrywać swoich uczuć. — Kiedy wreszcie powiesz matce, że masz prawo do własnego życia?

Johann popatrzył na Evę ponad stołem. Nie chciał się z nią kłócić, a przynajmniej nie tego ranka, kiedy wiedział, że się spóźni do pracy.

Był tak wzburzony po tym wszystkim, co zdarzyło się w Tiergarten. Ugryzł następny kęs rogalika i starał się pohamować narastający gniew.

— Czy nawet nie zaszczycisz mnie odpowiedzią? — zapytała gderliwie Eva. Kiedy się nie odezwał, w jej oczach pojawiły się złowieszcze błyski.

— A więc jednak zamierzasz tam pojechać… — zaczęła. — Przypuszczam, że nie dbasz o to, iż to najważniejsza wystawa w karierze twojej narzeczonej… Ani o to, że od polowy grudnia zeszłego roku planujemy, że spędzimy ten weekend we dwoje… Ani o to, że w otwarciu wystawy wezmą udział wszyscy ludzie liczący się w Berlinie?

Eva odepchnęła krzesło i wstała. Pochyliła się nad stołem ku Johannowi.

— Nie, oczywiście, że nie — ciągnęła, nie kryjąc goryczy w głosie. — Ja przestaję się liczyć, kiedy zadzwoni twoja matka. „Och, Johannie, proszę, przyjedź do nas, bo twój tata i ja nie możemy żyć bez ciebie”.

Johann uniósł głowę i spojrzał jej w oczy.

— Jesteś niesprawiedliwa — powiedział. — Moi rodzice przeżywają teraz trudne chwile, a ja jestem ich jedynym dzieckiem. Potrzebują mojego wsparcia.

— Guzik prawda — burknęła Eva. — Jedynym wsparciem, jakiego potrzebuje twoja matka, jest twoje przybieganie na jej rozkaz za każdym razem, gdy pociągnie za łańcuch. Wie, że ten sposób nigdy nie zawiedzie. Za każdym razem, kiedy planujemy coś ważnego, twoi rodzice przeżywają kolejny kryzys. Czy tego nie rozumiesz? Pamiętasz, jak w zeszłym miesiącu chcieliśmy się wybrać na narty do Mittenwaldu? W czwartek wieczorem twoja matka zadzwoniła z wiadomością, że upadla i stłukła sobie biodro. Czy sądzisz, że zdarzyło się to przez przypadek? Czy nie dziwi cię fakt, jak szybko wróciła do zdrowia? Przecież już w sobotnie popołudnie mogła…

— Przestań, Evo. Przestań! — krzyknął Johann. Przez kilka następnych chwil milczał, a potem ciągnął spokojniejszym tonem: — Nie chcę się teraz z tobą kłócić. Zbyt wiele przeżyłem dzisiaj rano… A poza tym wiesz dobrze, jak bardzo denerwuje mnie krytykowanie mojej matki.

Kiedy Eva sprzątała ze stołu, zapadła niezręczna cisza. Johann starał się w tym czasie skończyć jeść rogalik i dopić kawę.

— Może będziesz tak miły i zechcesz mi powiedzieć, jakie prawa mam jako twoja narzeczona — odezwała się Eva po minucie, jaka upłynęła im we względnej ciszy. — Rozumiem, że nie powinnam krytykować twojej matki — powiedziała nieco głośniej — ale czy chociaż mogę żądać od ciebie, żebyś dotrzymywał tego, co wspólnie ustalimy? I czy mam prawo zapytać czasem, kiedy się wreszcie

pobierzemy? O ile mi wiadomo, mam jedynie prawo do zaspokajania twoich cielesnych żądz, kiedy jesteś w nastroju i nie przeszkadza ci to w żadnej pracy.

Johann zerwał się od stołu i schwycił Evę za rękę. Stał tak przez dłuższą chwilę, trzymając ją i trzęsąc się z wściekłości. Nie mógł się opanować. Eva nie powiedziała ani słowa, dopóki się nie uspokoił.

— No cóż — stwierdziła w końcu, uśmiechając się z przymusem i uwalniając rękę z jego uścisku. — Przynajmniej wreszcie udowodniłeś, że obchodzi cię coś więcej oprócz tych idiotycznych kulek. Miło wiedzieć, że mieszkam pod jednym dachem z istotą z krwi i kości, a nie bezdusznym robotem.

Nie odzywając się ani słowem, Johann zostawił Evę w kuchni i pospieszył do sypialni. Czuł, że jest bardzo zdenerwowany. Nie cierpiał scen ani kłótni, a szczególnie nienawidził sprzeczek z Evą. Wiedział też, że dzisiejszego popołudnia, po pracy, pojedzie do Poczdamu zobaczyć się z rodzicami. Wiedział też, że w tej chwili nie chce powiedzieć o tym Evie. Zadzwoni do niej i powie później, kiedy będzie w pracy. Tak, to chyba będzie najlepsze rozwiązanie.

Przeszedł do łazienki i przyjrzał się w lustrze odbiciu swojej twarzy. Co za poranek — pomyślał, ciężko wzdychając. Spryskując twarz zimną wodą z kranu, przez sekundę się zastanawiał, co może robić teraz Bakir i jego rodzina. Co mogło się stać z tymi przeklętymi kulkami? — myślał.

Kiedy pociąg przejeżdżał obok Grunewaldu, Johann wyglądał przez okno. Śnieg przestał padać już w poradnie, ale do tego czasu Berlin i jego okolice pokryła dziesięciocentymetrowa warstwa puchu. W świetle zapadającego zmierzchu Griinewald wydawał się zimową krainą z baśni. Wielu ludzi spacerowało i biegało na nartach, a dzieci lepiły bałwanki i zjeżdżały z niewielkich pagórków na sankach albo toboganach.

Johann miał otwarte oczy, ale nie widział żadnej z tych zimowych scen za oknem. Jego umysł zajmowały tysiące innych myśli. Sięgnął pamięcią do czasów, które wydawały mu się w tej chwili innym życiem. Jak to się mogło stać — zapytał siebie z wielkimi oporami — że moje stosunki z rodzicami uległy tak radykalnemu odwróceniu? W której chwili stałem się ich opiekunem, a oni przemienili się w małe dzieci?

Przypomniał sobie moment, kiedy przeniósł wszystkie swoje rzeczy do urządzonego po spartańsku pokoju w berlińskim akademiku. Mieszkał w nim przez cały rok z tym niesamowitym grubasem z Kilonii. Rodzice Johanna przyjechali wówczas i uważnie obejrzeli pokój. Jego matka miała w oczach łzy, gdy obejmowała go na pożegnanie. Ojciec przed odjazdem wręczył mu gruby plik marek „na drobne wydatki”.

To były całkiem inne czasy — pomyślał Johann. — Czasy, na które bezsprzecznie zasługiwali. I o których sądzili, że nigdy nie przeminą.

Pamiętał, jak kilka lat później w wynajętym niedaleko uczelni mieszkaniu obudził go pewnego poranka dźwięk wideotelefonu. Kiedy włączył urządzenie, zobaczył na ekranie zmartwioną twarz swojej matki.

— Czy oglądałeś poranne wiadomości? — zapytała.

— Nie — odpowiedział Johann. — Późno wstałem, bo przez większą część nocy przygotowywałem się do egzaminu. A co się stało?

— Krach na giełdzie — odrzekła wówczas matka. — Twój ojciec wpadł w panikę. Od pierwszej w nocy siedzi przed terminalem, ale nie udało mu się sprzedać ani jednej akcji.

Krach na ogólnoświatowej giełdzie papierów wartościowych w 2134 roku był tylko początkiem światowego kryzysu gospodarczego, który osiągnął później niespotykane rozmiary. W ciągu pierwszych sześciu miesięcy akcje leciały na łeb na szyję i połowa majątku rodziny Eberhardtów wyparowała jak kropla wody. To, co jeszcze pozostało, przepadło prawie całkowicie na skutek bankructwa poczdamskich banków w latach 2135 i 2136. Nikt nie mógł przewidzieć, że recesja, którą później ochrzczono mianem Wielkiego Chaosu, będzie tak długotrwała i głęboka.

Johann ukończył studia i uzyskał tytuł inżyniera systemowego, nie mając pojęcia, w jakiej trudnej sytuacji finansowej znaleźli się jego rodzice. Chociaż w ciągu ostatnich dwóch lat nauki był zmuszony pożyczać pieniądze na wydatki związane ze studiami, przeżył prawdziwy wstrząs, kiedy zimą 2137 roku matka oświadczyła mu, że poczdamska firma rachunkowa Sprengel i Eberhardt ogłosiła bankructwo i przestaje funkcjonować.

Młody Johann natychmiast wyjechał z Moguncji, w której otrzymał właśnie pracę, i pospiesznie przybył do Poczdamu, by zapytać, czy może w jakiś sposób pomóc. Maximilian Eberhardt, korpulentny mężczyzna po pięćdziesiątce, przekonał jednak wówczas syna, że wszystko ułoży się jak najlepiej. Oświadczył Johannowi, że ma licznych przyjaciół, którzy z całą pewnością dostarczą mu wielu innych zleceń na prowadzenie ksiąg rachunkowych.

Niestety, stało się inaczej. Kiedy Johann przyjechał w odwiedziny na początku lata 2139 roku, zanim zaczął pracować w Berlińskim Instytucie Gospodarki Wodnej, dowiedział się, że jego rodzice zalegają ze spłatami rachunków za mieszkanie. Sprzedaż niektórych mebli, biżuterii matki oraz rodzinnych sreber i porcelany pozwoliła uzyskać środki na zapłacenie należności i umożliwiła Eberhardtom przeżycie następnego roku. Później jednak ojciec nie mógł znaleźć żadnej pracy; Johann zaczął więc co miesiąc wysyłać pieniądze rodzicom, żeby mieli

na życie i opłaty za mieszkanie. W tym czasie jego ojciec, który kiedyś był towarzyski i gościnny, przestał się spotykać z przyjaciółmi i przemienił się w niepoprawnego samotnika.

Johann mógłby przysiąc, że „czymś ważnym", o czym chciała porozmawiać z nim matka, był jakiś problem natury finansowej. Wegetują od jednego kryzysu do drugiego — pomyślał. — Nie mają żadnego planu, jak ułożyć sobie dalsze życie. Wyobraźnia podsunęła mu widok matki i ojca kulących się na dnie małej łódki na środku wzburzonego oceanu. Ciekaw był, kiedy to się zakończy.

Odważył się kiedyś powiedzieć, że mogliby sprzedać rodzinny dom. Niewiele brakowało, a zostałby z niego wyrzucony. Sprzedaż ich domu, wspaniałego, wyremontowanego, stylowego budynku na Kiezstrasse, którego Eberhardtowie byli jedynymi właścicielami, przyniosłaby im ponad dwieście tysięcy marek, nawet mimo drastycznego spadku cen wszystkich nieruchomości.

— Gdybyście żyli skromnie — powiedział wówczas Johann — te pieniądze pozwoliłyby wam przeżyć następne pięć lat albo dłużej.

— Johannie Eberhardt — odparła wtedy jego matka z niespotykaną surowością. — Nigdy więcej, przenigdy, póki żyjesz, nie myśl nawet o sprzedaży domu. Twój ojciec wolałby raczej umrzeć. Ten dom jest własnością jego rodziny od 1990 roku, kiedy jego prapradziadek wrócił z Ruhry do Poczdamu…

Pociąg zatrzymał się na kilka minut w szczerym polu, nie dojeżdżając do dworca w Poczdamie. Nagrany na taśmie głos poinformował pasażerów, że nastąpi kilkuminutowe opóźnienie. Jeszcze jeden skutek gospodarczej recesji — powiedział do siebie Johann. — Pewnie jakieś urządzenie albo oprogramowanie nie zostało prawidłowo skontrolowane.

Aby zabić czas, włączył miniaturowy telewizor umieszczony w poręczy fotela. Nadawano wiadomości. Jedną z nich był reportaż z miasteczka namiotów, jakie powstało na terenie Londynu, by tysiącom bezdomnych zapewnić dach nad głową i opiekę. Reportaż zawierał głównie wywiady z niektórymi członkami zakonu świętego Michała opiekującymi się mieszkańcami Hyde Parku, ale główny nacisk położono na coś, co niemiecki reporter określał mianem „oszałamiającego sukcesu" całego przedsięwzięcia. W uzupełnieniu tej historii komentator ze studia stwierdził, że wszystkie składane przez michalitów oferty urządzenia podobnych miasteczek dla bezdomnych w Niemczech zostały odrzucone przez niemieckie władze.

Następny reportaż ukazywał sceny sfilmowane tego popołudnia na berlińskim Hauptbahnhof, na którym, według relacji reportera, kilkuset Turków wraz z żonami i dziećmi zmuszano do zajmowania miejsc w pociągu jadącym do Stambułu. Gdy kamera przesuwała się po zatroskanych twarzach, beznamiętny głos komentatora wyjaśniał

niemieckim widzom, że w pociągu jest wystarczająco dużo miejsca, że wszyscy pasażerowie zostaną nakarmieni i że każdy wysiadający w Stambule otrzyma w tureckich lirach równowartość pięciuset marek.

Wbrew samemu sobie, Johann przyglądał się zgromadzonym na peronie ludziom, wypatrując pośród nich Bakira i jego rodziny. Obserwując sceny dziejące się na peronie, poczuł silne wyrzuty sumienia, o wiele silniejsze niż miał rano. Ale co ja mogę zrobić? — pomyślał w końcu. — Mam na głowie wystarczająco dużo własnych problemów.

10

Johann stał pod wysokim, ogołoconym z liści drzewem rosnącym naprzeciwko wielkiego domu, w którym spędził lata dziecięce. W ręce trzymał butelkę białego wina. Spoglądał na okno na pierwszym piętrze, znajdujące się na prawo od barokowych ozdób nad drzwiami wejściowymi. Pamiętał, że niemal każdego ranka otwierał je zaraz po przebudzeniu i wystawiał głowę, żeby sprawdzić pogodę na dworze.

Wydawało mu się, że wraz z upływem lat jego dom rodzinny stał się mniejszy. Kiedy był dzieckiem, zawsze sądził, że jest wielki. Wiedział, że są w nim dwie dodatkowe sypialnie, prawie nigdy nie używane, w których mógł bawić się, kiedy tylko miał ochotę. Okno jednej z nich było teraz oświetlone. Przed kilkoma miesiącami rodzice za namową Johanna przyjęli sublokatora, cichego niepozornego mężczyznę z Wurzburga, który płacił im co miesiąc niewielką sumę.

Mimo zimna, na ulicy nie opodal domu kilku chłopców grało w piłkę. Johann spojrzał w ich stronę, przyglądając się przez chwilę, jak biegają za piłką, i słuchając ich podnieconych nawoływań. Sceny takie pamiętał bardzo dobrze. Przed piętnastu czy dwudziestu laty sam był takim chłopcem w czerwonej czapce, przewyższającym rówieśników niemal o głowę.

Stojąc i spoglądając na grających chłopców, przypomniał sobie nagle rozmowę z Evą, jaka się przydarzyła na początku ich znajomości. Eva narzekała wówczas, że kiedy dorastała, ojciec znacznie więcej czasu poświęcał jej bratu. W pewnej chwili przestała narzekać i zwróciła się do Johanna.

— Wiesz co? — powiedziała. — Nie pamiętam, żebyś kiedykolwiek narzekał, że w dzieciństwie spotkało cię coś złego. Czy naprawdę było takie idealne?

Było prawie idealne — pomyślał Johann, zbierając całą odwagę i podchodząc do drzwi. — Każdego dnia po skończonych lekcjach biegłem szybko do domu, pragnąc jak najszybciej zobaczyć się z matką i opowiedzieć jej o wszystkim, co zdarzyło się w szkole. Kiedy późnym popołudniem wracał z pracy ojciec, z uśmiechem witaliśmy go na progu. — Na chwilę zatrzymał się i ciężko westchnął. — Z całą pewnością nie wydarzyło się nic, co by mnie przygotowało na te ciężkie czasy.

Drzwi otworzyła matka, serdecznie go objęła i uściskała. Johann wręczył jej butelkę wina.

— Max! — zawołała uradowana. — To Johann! I ma ze sobą butelkę schłodzonego Piesportera! Po kilku sekundach w pokoju pojawił się ojciec. Miał na sobie wymiętą koszulę, workowate spodnie i zniszczone kapcie.

— Jak się masz, synu? — zapytał, lekko się uśmiechając. — To wspaniale, że możemy cię u nas gościć.

Ojciec go nie objął. Mężczyźni w rodzinie Eberhardtów nigdy tego nie robili. Prawdę mówiąc, rzadko okazywali jakiekolwiek uczucia.

— Oglądam właśnie dziennik — powiedział Max Eberhardt. — Nie chciałbyś się przyłączyć?

— Porozmawia z tobą po obiedzie — oświadczyła Frau Eberhardt. — Teraz chcę go mieć dla siebie… Chodź, Johann, pójdziemy do kuchni. Chciałabym, żebyś opowiedział mi, jak ci się wiedzie.

Ruszył za matką do kuchni, a gdy poczuł nęcący zapach Kartoffelsuppe, chciał powiedzieć jej i o podwójnej spirali w Tiergarten, i o Bakirze, i nawet o pożałowania godnej kłótni z Evą. Doszedł jednak do wniosku, że taka rozmowa jest niemożliwa. Nigdy nie rozmawiał z matką o tym, co naprawdę myśli i czuje. Teraz było za późno, by zaczynać.

Frau Eberhardt nadal przyrządzała, potrawy własnoręcznie, mimo wielu automatycznych urządzeń znajdujących się w kuchni. Nabrała małą łyżką trochę zupy z ogromnego garnka i podała synowi, żeby spróbował.

— Mmm, jak zawsze wyśmienita — przyznał Johann.

— Założę się, że Eva nie potrafiłaby ugotować garnka takiej zupy — stwierdziła jego matka.

— Nie, mamo — przyznał Johann. — Naprawdę dobrej kartoflanki nie da się ugotować przy użyciu automatu.

Frau Eberhardt napawała się przez chwilę tą pochwałą. Później popatrzyła na Johanna, mieszając w milczeniu zupę.

— Dziękuję ci, że jednak do nas przyjechałeś — odezwała się w końcu. — Twój ojciec i ja bardzo cieszymy się z twoich odwiedzin.

Johann obejrzał się przez ramię i podszedł nieco bliżej do matki.

— Powiedziałaś, że chcesz porozmawiać ze mną o czymś ważnym — rzekł cicho. — Dlaczego nie miałabyś zrobić tego teraz, kiedy jesteśmy sami, żeby przez resztę wieczoru mieć święty spokój?

Twarz matki wykrzywił grymas bólu.

— Myślałam, że to może poczekać — odparła. — Przynajmniej do chwili, aż skończymy jeść obiad. Nie chciałam psuć miłej atmosfery.

Powiedziawszy to, Frau Eberhardt wręczyła Johannowi dużą drewnianą łyżkę.

— Nie przestawaj mieszać, bo się przypali — poleciła. — Wrócę za minutę. Kiedy zjawiła się z powrotem, trzymała w dłoni kopertę.

— Tutaj jest wszystko, ale sądzę, że możesz przeczytać tylko ostatni dokument — rzekła. Wyjęła jakieś pismo i wręczyła Johannowi. Było wydrukowane na papierze firmowym ze znakami urzędu podatkowego Brandenburgii. Johann przekazał matce łyżkę i zaczął czytać.

Pismo zaczynało się informacją, że podatki z tytułu własności nieruchomości pana Eberhardta nie wpływają do kasy urzędu od trzech lat, a obietnice zapłacenia chociaż części należności nie są dotrzymywane. W związku z tym urząd podatkowy, chociaż niechętnie, zmuszony jest przejąć budynek, wystawić go na licytację i potrącić należne sumy z uzyskanego dochodu. Pieniądze pozostałe po odliczeniu podatków, pokryciu kosztów licytacji i potrąceniu opłat manipulacyjnych zostaną przekazane dotychczasowemu właścicielowi. List nosił datę dwudziestego lutego 2141 roku i został podpisany przez naczelnika urzędu, Herr Wilhelma Drommera.

— Czy możesz w to uwierzyć? — zapytała zdenerwowana Frau Eberhardt. — Herr Drommer i twój ojciec studiowali kiedyś razem na uczelni.

— Mamo — odezwał się Johann, kiedy skończył czytać pismo po raz drugi i zaczął przychodzić do siebie po przeżytym wstrząsie. — Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej?

— To absurdalne — odrzekła matka, mieszając zupę i nie patrząc na Johanna. — Nie jesteśmy jedynymi ludźmi zalegającymi z podatkami. Frau Hirsch powiedziała mi niedawno, że Miillerowie nie płacą podatków od dwóch lat, od czasu śmierci ich syna, Georga. — Wybuchnęła płaczem. — Och, Johann, co teraz mamy robić? Coś takiego z pewnością przyprawi twojego ojca o atak serca.

Johann podszedł do matki i ujrzał łzy spływające jej po policzkach.

— Ile tego jest, mamo? — spytał cicho. — Ile musicie im zapłacić?

— Urzędnik w biurze podatkowym powiedział, że w ciągu najbliższych dwóch tygodni musimy zapłacić zaległe podatki za co najmniej sześć miesięcy — odrzekła nie przestając szlochać. — I musimy się zobowiązać na piśmie, że następne raty będziemy płacili regularnie co miesiąc.

Johann ujął matkę za ramiona i obrócił ku sobie, żeby móc spojrzeć jej w oczy.

— Ile tego jest, mamo? — zapytał po raz drugi.

— Ponad siedem tysięcy marek — odparła, a z oczu popłynęły jej nowe łzy. Przytuliła się do Johanna, ukrywając twarz na jego piersi.

Machinalnie gładził matkę po plecach, zastanawiając się, czy się nie przesłyszał. Ponad siedem tysięcy marek — powtórzył w myślach kilka razy. — W ciągu najbliższych dwóch tygodni. Jak, u diabła, zdołam zebrać aż tyle forsy w tak krótkim czasie?

Przed kilkoma sekundami rozważał możliwość pozostawienia rodziców na łasce losu. Chciał w ten sposób zmusić ich do sprzedaży domu i przeznaczenia części pieniędzy na spłatę zaległości. Myśli te dyktowane były złością i oburzeniem. Teraz jednak uważał, że nie

może poddawać się tym uczuciom ani chwili dłużej. To byłoby niewłaściwa reakcja — powiedział sobie. — Muszę zrobić wszystko, żeby im pomóc.

Kiedy Max Eberhardt skończył jeść ostatni kęs czekoladowego piernika, z zadowoleniem mlasnął wargami.

— No cóż, Johannie — powiedział. — Muszę przyznać, że z wielu powodów cieszę się z twoich odwiedzin… Twoja matka nigdy nie piecze takich pyszności tylko dla nas dwojga.

Johann skwitował uwagę ojca uprzejmym uśmiechem, ale nie odezwał się ani słowem. Wciąż rozmyślał, jak zdobyć siedem tysięcy marek. Podczas obiadu rozmawiał z rodzicami uprzejmie, ale starał się unikać tematów niebezpiecznych. Wymienił z nimi poglądy na temat pogody, zawodów sportowych, Evy, obecnego zajęcia i perspektyw przyszłej pracy, a także dowiedział się o losach kilku swoich kolegów ze szkoły, którzy nadal mieszkali w Poczdamie. Nikt nie wspomniał ani słowem, że ojciec nie ma pracy, nikt też nie poruszył problemów finansowych związanych z domem. Matka Johanna szczególnie interesowała się pracą syna. Odetchnęła z wyraźną ulgą, gdy Johann oświadczył, że kiedy obecny kontrakt dobiegnie końca, Guntzel i Stern będą mieli dla niego parę innych poważnych ofert pracy.

— A teraz — odezwał się w pewnej chwili ojciec — chyba wiem, co byłoby doskonałym zakończeniem tego miłego wieczoru. Czy nie chciałbyś przejść z nami do salonu? Myślę, że zeszłoroczne wystawienie Siegfrieda w Bayeruth jest w końcu dostępne w płatnej telewizji.

Jedyną prawdziwą namiętnością w życiu Maxa Eberhardta były opery Richarda Wagnera. Znał muzykę i słowa wszystkich i często gwizdał jakąś melodię podczas porannego spaceru albo pracy. Wielokrotnie mówił synowi, kiedy ten dorastał, że Richard Wagner jest największym geniuszem wszystkich czasów, przewyższającym Beethovena, Bacha, Bismarcka, Fryderyka Wielkiego, Marcina Lutra, Goethego, Mozarta i wszystkich innych, którym zwykle przyznawano miejsce w niemieckim panteonie.

— A dlaczego Wagner był taki wielki? — Ojciec Johanna często zadawał mu to retoryczne pytanie, chociaż syna wcale to nie ciekawiło. — Dlatego że tylko on umiał uchwycić samą kwintesencję niemieckiego ducha. Żaden prawdziwy Niemiec nie może oglądać „Pierścienia Nibelunga” i nie poczuć się nie poruszonym do głębi.

Za każdym razem, kiedy Johann przyjeżdżał do rodziców, a w którymś z kanałów płatnej telewizji nadawano coś ciekawego, wsuwał do czytnika swoją kartę identyfikacyjną, żeby koszty oglądania mogły być potrącone z jego konta. Wystawienie Siegfrieda, które zamierzali obejrzeć, uznawano powszechnie za jedno z najlepszych i dlatego koszty oglądania były dość wysokie. Kiedy przedstawienie się zaczęło,

matka Johanna podziękowała szeptem synowi, a potem wyślizgnęła się z pokoju, żeby wstawić naczynia do zmywarki.

Wielki ekran o powierzchni metra kwadratowego zawieszony był na ścianie salonu. Gdy muzyka przybrała na sile, kamera pokazała zbliżenie jaskini, w której karzeł Mime, stróż młodego

Siegfrieda od jego narodzin, mozolił się, wykuwając nowy miecz dla podopiecznego. Później akcja potoczyła się wartko. Przez cztery godziny nieustraszony Siegfried, wcielenie wszystkich cnót każdego Niemca, walczył ze zdradą, potworami i nawet bogami, żeby w końcu wkroczyć na przeznaczoną mu od dawna drogę chwały. Ostateczną nagrodą czekającą na. niego u kresu wędrówki był pełen namiętności związek z pół-boginką Brunhildą, najpiękniejszą kobietą na ziemi i w niebie.

Od samego początku przedstawienia Johann częściej przyglądał się ojcu, niż patrzył na ekran. Dobrze znał akcję. Oglądał Siegfrieda trzy razy, z czego dwa podczas corocznych wakacyjnych pielgrzymek całej rodziny do Bayreuth. Oprócz tego dyskutował z ojcem na temat tej opery przynajmniej kilkanaście razy; bez trudu mógł więc śledzić tok akcji, po prostu wsłuchując się w motywy przewodnie niezapomnianej muzyki.

Z fascynacją przyglądał się ojcu, który siedział całkowicie pochłonięty oglądaniem przedstawienia. On, Johann, nie potrafił chociażby na minutę zapomnieć o nurtujących go problemach. A jednak siedzący w sąsiednim fotelu ojciec, człowiek pozbawiony środków do życia i właściciel domu, który miał być wkrótce sprzedany na licytacji, potrafił w pełni poświęcić się oglądaniu baśniowej akcji. Jak można tak się oderwać od rzeczywistości? — pomyślał Johann, trochę mu zazdroszcząc. Kiedy jednak zastanowił się nad tym dłużej, doszedł do wniosku, że potrafi odpowiedzieć sobie na to pytanie. — Bo inaczej w ogóle nie mógłby żyć.

Kiedy zaczął się drugi akt, Frau Eberhardt przyniosła im dwa duże kufle piwa. Została przez chwilę z nimi, by obejrzeć ulubioną scenę, w której Siegfried czarodziejskim mieczem uśmierca giganta Fafnera, kiedy ten walczy z nim, przebrany za smoka. Wkrótce potem Johann, zmęczony długim i obfitującym w emocje dniem, zasnął w fotelu, a obudził się, dopiero gdy Siegfried przeżywał z Brunhildą chwile pełne triumfu. Zorientował się natychmiast, że Max Eberhardt przez cały ten czas nie oderwał spojrzenia od ekranu. Kiedy Johann patrzył na niego, ojciec wydał mu się osobą nie żyjącą w Poczdamie ani nawet w Niemczech. Wyglądał na wojownika Siegfrieda stojącego na wierzchołku wysokiej góry, skąd mógł widzieć całą ziemię, i doświadczającego uczucia niewymownej radości z powodu miłości do jednej z najbardziej godnych pożądania kobiet. Johann pomyślał, że tylko w takich chwilach na twarzy ojca malują się prawdziwe emocje.

Johann spędził tę noc w bardzo długim łóżku, które jego rodzice kupili specjalnie dla niego, kiedy ukończył czternaście lat. Miał wówczas dokładnie dwa metry wzrostu. Nie spał jednak dobrze w łóżku, w którym sypiał, kiedy dorastał. Sen zakłócały mu dziwaczne koszmary.

Najdłuższy z nich się zaczął, kiedy Johann znajdował się w swoim pokoju w Berlińskim Instytucie Gospodarki Wodnej. On i Bakir dyskutowali o projekcie systemu, który umożliwiłby skuteczniejsze i wydajniejsze sterowanie i kontrolowanie urządzeń berlińskiej stacji uzdatniania wody. Proponowany system nie wymagał nadzorowania go przez ludzi dopóty, dopóki wartości zbioru określonych parametrów pozostawały w granicach uznanych za dopuszczalne, a w przypadku awarii istniejące systemy reagowania musiały wykryć i umiejscowić uszkodzenia w rozsądnym czasie. Bakir powiedział mu we śnie, że podobny do tego system, który sprawdził się w Brukseli trzy lata po zainstalowaniu, miał średni czas międzyawaryjny wynoszący siedem miesięcy. Pozwoliło to na znaczne zmniejszenie wydatków miasta na jego konserwację.

Bakir oświadczył mu, że kiedy taki nowy system zostanie zainstalowany i w Berlinie, miejski instytut gospodarki wodnej nie będzie potrzebował do jego obsługi aż pięciu pełnoetatowych pracowników. Później miejsce akcji we śnie uległo nagłej zmianie. Johann brał udział w bardzo ważnych zawodach i pokonywał właśnie dystans czterystu metrów. Choć prowadził, a do końca wyścigu zostały mu już tylko dwie długości basenu, przez gogle widział, jak zawodnicy płynący na obu sąsiednich torach z każdą chwilą powoli, ale nieubłaganie się zbliżają. Czuł, że ramiona majak z ołowiu, wskutek czego obaj rywale na ostatnich dziesięciu metrach przegonili go i zostawili w tyle.

Kiedy wyszedł z basenu, zobaczył stojącą na brzegu Evę.

— Chodź — odezwała się do niego. — Musimy się pospieszyć.

Była zupełnie rozebrana, co trochę Johanna krępowało, ale nie wyglądało na to, żeby jakiś inny zawodnik czy trener to zauważył. Eva zresztą już zdążyła się odwrócić i teraz szła szybko w kierunku szatni. Musiał nawet podbiec, by dotrzymać jej kroku.

Kiedy się ubierał, Eva przez cały czas coś mówiła, ale nic z tego nie miało najmniejszego sensu. Jej słowa przypominały mu jakiś dziwny żargon. W pewnej chwili ich uwagę zwróciło jakieś zamieszanie w drugim kącie szatni. Johann popatrzył w tamtą stronę i ujrzał tę samą śpiewaczkę, która w Siegfriedzie grała rolę Brunhildy. Była ubrana tylko w dziwny dwuczęściowy skąpy kostium, podobny do kąpielowego, ale zrobiony ze stalowych łusek. Pozowała kilkunastu stojącym przed nią mężczyznom nie kryjącym zachwytu z powodu jej oczywistych wdzięków. Jednym z nich był jego ojciec, stał w

pierwszym rzędzie i trzymał w dłoni kilkanaście róż. Kiedy Johann i Eva podeszli trochę bliżej, zauważyli stojącą w samym kącie po prawej stronie samotną kobietę odzianą w łachmany. Była to jego matka, która ze łzami w oczach przyglądała się wyrazowi uwielbienia na twarzy męża.

Johann chciał coś powiedzieć, żeby ją pocieszyć, ale Eva przepchnęła go przez znajdujące się za nią drzwi.

— Nie mamy czasu na takie głupstwa — oświadczyła mu we śnie. Wsiedli później we dwoje do wagonu metra. Eva nie była już rozebrana.

— Dokąd jedziemy? — zapytał Johann.

— Sam zobaczysz — odparła.

Wysiedli na berlińskim Hauptbahnhof w tej samej chwili, w której na przeciwległy tor peronu wjeżdżał jakiś pociąg. Obojętny, elektroniczny głos w megafonie poinformował, że ekspres do Stambułu odjedzie za pięć minut. Johann zwrócił głowę w prawo i zobaczył długą procesję Turków schodzących po schodach na peron. Głowy wszystkich kobiet były owinięte tradycyjnymi szalami. Gromadzącym się na peronie Turkom towarzyszyło kilkunastu funkcjonariuszy SBK pod dowództwem tego samego młodego policjanta, który rano legitymował Johanna w parku. Wszyscy trzymali w dłoniach pałki.

W samym środku długiego węża imigrantów Johann i Eva zobaczyli Bakira, Sylvię i Annę. Podeszli do nich, żeby się przywitać.

— A więc jednak zmieniłeś zdanie — powiedział Bakir uśmiechając się przyjaźnie. Johann odwrócił się w stronę Evy, ale ona spoglądała na niego z nie ukrywaną pogardą.

— Wracać na miejsce! — zakomenderował ostro najbliższy policjant.

Kiedy Johann odwrócił się do Bakira, stwierdził, że jego przyjaciel zniknął. Zobaczył go znowu kilka chwil później, w drugim końcu peronu. Bakir z żoną i córką stali obok jednego z wagonów naprzeciwko drzwi, które właśnie się otwierały. Funkcjonariusze SBK rozkazali Turkom, żeby ustawili się w porządnych kolejkach przed każdymi drzwiami i na dany rozkaz zaczęli wsiadać. Obcokrajowcy odmówili. Jedna z Turczynek zaczęła lamentować. Jej zawodzący głos szarpał mu nerwy.

— Chodźmy — odezwała się Eva. — Ostatecznie po to tu przyjechaliśmy — dodała i ruszyli w stronę tłumu krnąbrnych imigrantów.

Na peronie nagle pojawiły się setki zwykłych Niemców, takich jakich widywało się co dzień na ulicach Berlina. Na podwyższeniu w środkowej części peronu stanął kuzyn Johanna, Ludwig. Miał na sobie nowiutki szary mundur z wyraźnymi naszywkami kapitana. W ręce

trzymał megafon.

— Będę liczył do trzech — powiedział. — Na trzy powinniście wepchnąć ten motłoch do wagonów. Eva chwyciła Johanna za rękę.

— Musimy tam podejść — rzekła. — Będziemy mieli lepsze miejsce.

— Raz — zaczął liczyć Ludwig.

Falujący tłum naparł na Turków. Przewyższający innych o głowę Johann obserwował z daleka, jak w oczach Bakira pojawia się przerażenie. Jego przyjaciel ze wszystkich sił opierał się popychającym go ludziom.

— Dwa — odezwał się Ludwig.

Johann popatrzył w swoim śnie w górę i pod jedną z peronowych latarń ujrzał świecącą podwójną spiralę pełną białych, świetlistych kulek. Nie przestając na nie patrzeć, stwierdził, że spirala zmienia kształt i przybiera zarys rewolweru wymierzonego w długie szeregi Turków.

— Nie! — krzyknął Johann. — Nie! — powtórzył, szarpnięciem uwalniając rękę z uścisku Evy.

Obudził się i stwierdził, że znajduje się w swoim łóżku. Popatrzył na cyfrowy zegar stojący na szafce obok łóżka. Było wpół do piątej.

Nie zasnął przez całą resztę nocy, a o pierwszym brzasku wstał, podszedł do okna, otworzył je i wystawił głowę, żeby przekonać się, jaka jest pogoda.

11

Max Eberhardt miał na sobie płaszcz, na szyi szalik, a na głowie cyklistówkę.

— Jesteś pewien, że nie chcesz iść razem ze mną? — zapytał Johanna. — To wspaniała pogoda na poranny spacer.

— Nie, dziękuję bardzo — kręcąc głową, odpowiedział Johann. — Myślę, że zostanę w domu i porozmawiam z mamą.

— Wychodzi na spacery każdego rana po śniadaniu. — Frau Eberhardt westchnęła, kiedy zamknęła drzwi wejściowe.

— Czy wciąż jeszcze rozgląda się za jakąś pracą? — zapytał Johann.

— Tak — skłamała. — Ale bezskutecznie. Te zlecenia na prowadzenie ksiąg rachunkowych, jakie czasami się zdarzają, przechwytują od dawna Turcy i Egipcjanie. Twój ojciec jest przekonany, że pracują za połowę tego, co Niemcy, albo nawet jeszcze mniej… Ma nadzieję, że sytuację zmieni wprowadzenie nowych przepisów.

Na schodach pojawił się sublokator. Był ubrany w skromny garnitur i koszulę z krawatem. Uprzejmie przywitał się z Johannem i jego matką.

— Czy nie chciałby pan napić się świeżo parzonej kawy, Herr Heinrich? — zapytała go kobieta.

— Nie, bardzo dziękuję, Frau Eberhardt — odparł. — Wypiłem już kawę i zjadłem rogaliki. — Uśmiechnął się do gospodyni. — Przez cały weekend mnie nie będzie — oświadczył. — Wyjeżdżam do przyjaciela do Lubeki.

— Twój ojciec nie przepada za Herr Heinrichem — stwierdziła matka kilka chwil później, kiedy ona i Johann siedzieli przy stole w niszy znajdującej się obok kuchni. — Max uważa go za homoseksualistę… A sam wiesz, co sądzi na temat takich ludzi. Moim zdaniem jednak — dodała pospiesznie — Herr Heinrich to wzorowy sublokator. Jest zamknięty w sobie i bardzo porządny. Tylko nieco głośniejsza muzyka zdradza, że jest u siebie.

— Czym się zajmuje? — zapytał ją Johann.

— W chwili obecnej ma kontrakt i pracuje w Kirch Electronics. Powiedział mi kiedyś, że naprawia tam roboty montujące samochody i samoloty… Coś w tym rodzaju. — Frau Eberhardt uśmiechnęła się smutno. — Zaproponowałam twojemu ojcu, że mógłby zgłosić się i ukończyć jakiś techniczny kurs. Prowadzą je w tej nowej szkole nad Hawelą, po drugiej stronie mostu Lange. Twierdzą, że w ciągu trzech miesięcy po ukończeniu kursu większość absolwentów znajduje jakąś pracę. Max jednak wyśmiał ten pomysł. Powiedział, że jest już za

stary, żeby uczyć się czegoś nowego.

Frau Eberhardt ponownie nalała kawy do filiżanki Johanna, a potem podała mu następny rogalik.

— Czy ustaliłeś już datę ślubu z Evą? — zapytała.

— Nie, mamo — odrzekł Johann. — Ostatnio wydaje mi się, że jesteśmy oboje tak zajęci, iż nie mamy nawet czasu na rozmowy. Eva ciężko pracuje. Przygotowuje się do otwarcia nowej wystawy w muzeum, w którym pracuje.

Matka Johanna pochyliła się nad stołem i położyła dłoń na ramieniu syna.

— Dobrze wiem, że ten weekend chciałeś spędzić z narzeczoną — powiedziała. — Naprawdę doceniamy to, że znalazłeś trochę czasu i przyjechałeś nas odwiedzić.

Po tych słowach zapadła długa cisza, w czasie której Johann starał się zdecydować, jakich słów użyć, by powiedzieć matce, o czym myśli.

— Mamo — odezwał się w końcu. — Powinnaś była dawno temu powiedzieć mi o wszystkich problemach finansowych związanych z podatkami i domem. Nie powinnaś była czekać, aż sprawy zaczną wymykać się spod kontroli.

Frau Eberhardt zdała sobie sprawę z tego, że syn czyni jej wymówki.

— Nie chciałam ci zawracać głowy — odrzekła niepewnie. — Myślałam, że może uda się nam znaleźć jakiś sposób, by rozwiązać ten problem.

— Jaki, mamo? — zapytał Johann, nie kryjąc rozgoryczenia w głosie. — W jaki sposób mogłaś go rozwiązać? Żeby zapłacić podatek od nieruchomości, trzeba mieć pieniądze. I ty, i ja, dobrze wiemy…

Urwał. Zorientował się po twarzy matki, że jego słowa sprawiaj ą jej przykrość.

— Co ojciec sądzi o tym wszystkim? — zapytał po długiej chwili ciszy.

— Nie traktuje tego poważnie — odrzekła Frau Eberhardt. — Ilekroć zaczynam rozmowę na ten temat, a wierz mi, że robię to bardzo rzadko, twój ojciec bagatelizuje sprawę, przypominając mi tylko o wszystkich przyjaciołach, których ma ponoć we. władzach landu. — Wyjrzała przez okno. — Czasami, synku, boję się, że twój ojciec stracił kontakt z rzeczywistością.

Przez długą minutę żadne z nich nie powiedziało ani słowa. Później odewał się Johann:

— Mamo, chciałbym ci jakoś pomóc, ale nie mam siedmiu tysięcy marek. Moja część oszczędności na koncie, które ja i Eva założyliśmy z myślą o pokryciu kosztów podróży poślubnej, wynosi najwyżej połowę tej sumy… A wiesz sama, jak trudno w tych czasach coś pożyczyć.

— Myślałam, żeby zadzwonić do mojego brata, Hermanna, i poprosić go o pomoc — powiedziała Frau Eberhardt po kolejnym dłuższym okresie ciszy. — Tylko że gdybym to zrobiła, twój ojciec nigdy by mi nie wybaczył.

— Czy słyszałaś, co mówiłem? — przerwał jej Johann. — Nie mam siedmiu tysięcy marek.

— Tak, synku. Słyszałam — odparła matka, a później odwróciła się i zaczęła, wyglądać przez okno. — Nienawidzę tego, że postawiliśmy cię w tak trudnej sytuacji — dodała cicho po chwili, ale sama nie wiem, co jeszcze mogę zrobić… Od czasu kiedy zaczęliśmy mieć te problemy, byłeś zawsze dla nas taki hojny.

Musi być jakiś sposób — pomyślał Johann. Ból, widoczny na twarzy jego matki, sprawiał mu wielką przykrość. Przypomniał sobie, że przed dwoma laty, kiedy rodzicom udało się zdobyć trochę pieniędzy dzięki wystawieniu na sprzedaż niektórych rzeczy, ojciec nie zgodził się na sprzedaż innych.

— Co jeszcze zostało na poddaszu? — zapytał matkę w pewnej chwili.

— Niewiele — odrzekła. — Trochę rodzinnych pamiątek nie mających wartości dla nikogo z wyjątkiem twojego ojca. Nie sądzę, by zostało cokolwiek, co udałoby się sprzedać za więcej niż sto marek.

Johann wstał.

— Zamierzam rzucić na to okiem — oznajmił.

— Jak chcesz — odparła zrezygnowana. — Myślę, że w tej sytuacji to nie może zaszkodzić… Tylko nie mów nic ojcu, gdybyś zdecydował się coś zabrać.

Johann żywił obawy, że stara, trzeszcząca drewniana drabina nie utrzyma jego ciężaru. Ostrożnie stawiał stopy na kolejnych szczeblach, czekając, by upewnić się, że wytrzymają, i nie wypuszczając z prawej dłoni worka, który wręczyła mu matka. Frau Eberhardt stała na korytarzu i obiema rękami trzymała drabinę. Jej twarz zdradzała nurtujący ją niepokój.

Wejściem na poddasze był niewielki prostokątny otwór, zamknięty drewnianą płytą. Wycięto go w suficie prawie cztery metry nad podłogą. Johann nie mógł jednak wypchnąć płyty, mimo że stał na przedostatnim szczeblu. Nawet kiedy naparł jeszcze silniej, płyta ani drgnęła.

— Czy zaglądał tam ktoś w ciągu kilku ostatnich miesięcy? — zwrócił się Johann do matki.

— Nie, nikt od czasu tej ostatniej sprzedaży — odparła. — Uważaj, synku, żebyś nie spadł. Johann stanął na najwyższym szczeblu i starając się nie stracić równowagi, naparł z całej siły na zakleszczoną płytę. Drewno w końcu ustąpiło, a na głowę Johanna posypał się kurz i śmiecie. Odczekał kilka sekund, aż opadną.

Następnie odsunął płytę na bok i uchwyciwszy dłońmi za krawędź, podciągnął się i znalazł na poddaszu.

— Zawołam cię, kiedy będę schodził — krzyknął Johann do matki.

— Dobrze — odpowiedziała Frau Eberhardt. — Ale nie zostawaj tam dłużej niż czterdzieści pięć minut.

Jedynym miejscem, w którym Johann mógł się wyprostować, był sam środek poddasza, tuż pod belką szczytową. Dach po obu stronach belki opadał bardzo stromo. Na poddaszu nie było tylu przedmiotów i pakunków, ilu Johann, pamiętając czasy dzieciństwa, spodziewał się tam znaleźć. Przypomniał sobie jednak, że nie był w tym miejscu od siedmiu lat, a przed dwoma laty część przechowywanych tu rzeczy zabrano, żeby sprzedać i pokryć koszty utrzymania domu.

Wyciągnął chusteczkę, zawiązał i nasunął na usta, by nie wdychać unoszącego się kurzu. Po lewej stronie dostrzegł stojące różne przedmioty, a wśród nich dwa stare lustra, kilka wyblakłych bezwartościowych obrazów i dwa albo trzy niewielkie meble. Nie zajęło mu dużo czasu ustalenie, że pośród wszystkich zgromadzonych tu rupieci nie było niczego, co przedstawiałoby jakąś wartość.

Pod przeciwległą ścianą, niedaleko jedynego okienka, ustawiono kilka stosów pudełek. Johann — wypatrzył jakąś solidną belkę, i stąpając po niej, skierował się w tamtą stronę.

Pierwsza grupa pudełek zawierała fotografie i kasety z nagraniami wideofonicznymi. Niektóre były starannie ułożone i oznakowane, a inne wepchnięte byle jak do środka. Najciekawsze okazały się dwa pudełka na samym dole jakiegoś stosu. Znajdowały się w nich stare rodzinne albumy pełne wyblakłych fotografii, niektórych pochodzących jeszcze z pierwszej dekady dwudziestego wieku. Johann wertował je bardzo szybko, zatrzymując się tylko od czasu do czasu, żeby przyjrzeć się uważniej ciekawszym zdjęciom.

W drugiej grupie pudełek znalazł pamiątkowe plakietki, wycinki z gazet, dyplomy, zaświadczenia i inne dokumenty. Jednym z nich był laminowany dyplom ukończenia studiów i uzyskania tytułu doktora medycyny prapradziadka Johanna. Dołączono do niego dokument z umieszczonym na niej imieniem praprababki, Friedy, zaświadczający, że napisana przez nią powieść Der Blau Stuhl zdobyła w 2082 roku nagrodę literacką imienia Thomasa Manna. Na samym dnie tego samego pudełka Johann znalazł ozdobną drewnianą tabliczkę z przyklejonym do niej kawałkiem papieru. Wypisana na nim gotyckimi literami data świadczyła, że wystawiono go 20 czerwca 1763 roku. Tekst na dokumencie głosił, że Karl W. Eberhardt zostaje mianowany urzędnikiem Fryderyka Wielkiego. Johann włożył tabliczkę do worka, który wręczyła mu matka.

Ostatnia grupa pudełek zawierała pamiętniki i dzienniki napisane

przez różnych członków rodziny Eberhardtów. Wszystkie zostały ułożone chronologicznie i oznaczone przez obdarzoną literackim talentem prababkę Friedę w 2115 roku, na trzy łata przed tym, jak zmarła na zawał serca. Johann słabo ją pamiętał, ale o jej uzdolnieniach opowiadano mu bardzo często. Ilekroć czymś się wykazywał, niezmiennie przypisywano to genom odziedziczonym po Friedzie.

W dwóch pudełkach znajdowały się pamiętniki Friedy. Kilka było napisanych ręcznie, ale większość została wydrukowana. U progu dwudziestego drugiego wieku uległ zmianie system przechowywania informacji. Nowoczesne nośniki zostały także oznaczone i przyporządkowane tym wydrukom. Johann przeczytał kilka wybranych fragmentów, a potem zdecydował, że całość może mieć jakąś wartość. Wkładał właśnie zapiski do torby, kiedy jego spojrzenie spoczęło na jakichś niezwykłych uwagach w spisie treści. Naniosła je tam prababka podczas katalogowania dzienników poszczególnych członków rodziny.

Napis: Helga Weber Eberhardt, 1922–1979 został otoczony przez prababkę Friedę grubą, czarną obwódką. Pod napisem było wymienionych pięć dzienników autorstwa Helgi, z których pierwszy obejmował okres od 1938 do 1941 roku. Prababka Johanna narysowała ozdobną strzałkę wskazującą właśnie ten dziennik, a na marginesie napisała własnoręcznie po francusku: „absolument extraordinaire".

Zaciekawiony tym Johann zaczął szperać w pozostałych pudełkach, aż w końcu odnalazł te pięć dzienników Helgi, starannie opakowanych w czystą plastikową folię i związanych grubymi gumowymi opaskami. Otworzył znajdujący się na wierzchu zeszyt i zaczął czytać. Pierwszy zapis pochodził z 28 czerwca 1938 roku:

Ich heisse Helga Weber und ich bin sechzehn Jahre alt. Ich wohne im Wilmersdorf, auf 38 Bayerische Strasse, mit meinen Eltern, mein Bruder Peter, und unser Hund Fritz.

Z początku Johann nie potrafił zrozumieć, co takiego „extraordinaire" znalazła jego prababka w pamiętniku napisanym przez szesnastoletnią dziewczynę. Pierwsze zapiski z pewnością nie zawierały niczego ciekawego, a oprócz tego było jasne, że Helga nie grzeszyła szczególnym talentem literackim. Większość opisywanych przez nią zdarzeń miała charakter prozaiczny albo wręcz banalny. I tak na przykład pierwszy tydzień sierpnia upamiętnił się w oczach Helgi jej spacerem po parku z psem Fritzem. Johann miał już odłożyć nudny pamiętnik z powrotem do pudełka, kiedy jego spojrzenie trafiło na zapiski Helgi z 8 sierpnia 1938 roku.

„Od tego dnia — napisała Helga — staję się nową osobą. Moje życie zostało dzisiaj zmienione raz na zawsze. Po południu Katrina

zaprosiła mnie na spotkanie Związku Dziewcząt Niemieckich. Poszłyśmy tam i okazało się, że to było coś sensacyjnego. Wieczorem, po odbyciu wstępnego przeszkolenia, zostałam przyjęta jako nowy członek tej grupy. Sama nie mogę uwierzyć, ile się już dowiedziałam o wszystkim, ale szczególnie o tym, co ci podli komuniści i Żydzi wyprawiają z naszym krajem. Będę zawsze wdzięczna Katrin za to, że otworzyła mi na to oczy. Heil Hitlerr

Johann nie mógł się oderwać od pamiętnika. Helga opisywała w szczegółach wykłady, w których brała udział, podkreślając entuzjazm i patriotyzm swoich koleżanek, a nawet dając upust radości z powodu nowego stylowego mundurka Hitler-jugend, który mogła teraz nosić przy każdej okazji. Najbardziej zdumiewał Johanna fakt, jak szybko nie wyróżniająca się niczym nastolatka przemieniła się w lojalną i gorliwą nazistkę, która nawet chciała zadenuncjować brata z powodu zachowania uznawanego przez Trzecią Rzeszę za nieprawomyślne. Tylko jeden zapis w ciągu pierwszych pięciu tygodni prowadzenia pamiętnika miał charakter wyraźnie polityczny. Dopiero na początku października, kiedy Helga święciła triumf Hitlera z okazji opanowania Sudetenlandu bez jednego wystrzału, przestała opisywać cokolwiek oprócz swoich zajęć związanych ze Związkiem Dziewcząt Niemieckich.

Mniej więcej w połowie października Helga i Katrina zaczęły chodzić na zebrania nazistów w towarzystwie starszego brata Katriny, Otta, wówczas wschodzącej gwiazdy w Sturm-abteilungen (SA). Z notatek Helgi wynikało jasno, że nie tylko darzyła go sztubacką miłością, ale i że starszy od niej Otto coraz silniej zaczai wpływać na jej światopogląd. Wydawało się, że Helga nigdy nie kwestionowała tego, co powiedział, ani w ogóle niczego, co słyszała podczas zebrań, gdyż jej zapiski z drugiej połowy października były wiernym odbiciem haseł głoszonych wówczas przez nazistowską propagandę. W zakończeniu jednej z takich notatek, po szczególnie jadowitym ataku na Żydów, Helga napisała: „Nie spocznę, dopóki całe Niemcy nie staną się Judenfrei. Heil Hitlerr

W nocy 9 listopada, osławionej Kristallnacht, po której nikt już nie mógł wątpić, że Hitler postanowił wytępić Żydów, Helga wbrew zakazowi rodziców przyłączyła się do Katriny i Otta i wraz z nimi wzięła udział w orgii terroru i zniszczenia, która przeciągnęła się aż do południa następnego dnia. Kiedy całkowicie wyczerpana wróciła do domu, pierwszą rzeczą, jaką zrobiła, było zapisanie w pamiętniku:

„Ostatnia noc i dzisiejszy poranek były najpiękniejszymi chwilami w całym moim życiu. Daliśmy tym żydowskim bękartom nauczkę, której nie zapomną. Pomściliśmy brutalny mord, dokonany w Paryżu na Herr von Racie. Spaliliśmy ich synagogi, splądrowaliśmy ich sklepy, wdarliśmy się do ich mieszkań, ograbiliśmy ich domy,

nastraszyliśmy ich kobiety i dzieci. Otto nawet udusił jednego starego Żyda, kiedy ten stary głupiec próbował się bronić. To była noc wielkiej chwały dla każdego lojalnego obywatela Rzeszy. Heil Hitler!”

Fascynacja Johanna Helga przerodziła się w odrazę, gdy zapoznał się ze wszystkimi jej uwagami dotyczącymi Kristallnacht. Był również do głębi wstrząśnięty faktem, że ktoś z jego najbliższej rodziny okazał się takim gorliwym zwolennikiem antyżydowskich poczynań Adolfa Hitlera. Mimo to domyślił się, że za pamiętniki Helgi będzie mógł uzyskać całkiem sporą sumę. Przypomniał sobie, jak Eva opowiadała, że Muzeum Trzeciej Rzeszy bardzo by chciało mieć więcej materiałów źródłowych z tamtych lat. Spojrzawszy na zegarek, wsunął wszystkie zeszyty z zapiskami Helgi do worka i przeczołgał się na środek poddasza. Zamknął klapę i zszedł po drabinie. Po dziesięciu minutach ojciec wrócił ze spaceru.

12

Johann wysiadł z wagonu kolejki podziemnej w Bellevue. Na stacji, jak zwykle w zimowy niedzielny wieczór, nie było wielu ludzi. Pośrodku peronu, obok kiosków sprzedających gotowe posiłki, przekąski i słodycze, a także elektroniczne gazety i periodyki, zgromadziła się grupa ludzi. Słuchali ludowych piosenek śpiewanych przez troje ubranych w niebieskie habity michalitów, z których dwoje grało na gitarach. Pośród tłumu krążyło jeszcze troje czy czworo innych członków tego zakonu. Rozdawali ulotki i zbierali pieniądze do wielkich puszek.

Johann niemal odruchowo obszedł zgromadzenie wielkim łukiem i skierował się ku schodom wiodącym na powierzchnię. W pewnej chwili usłyszał, jak jakaś kobieta wymówiła głośno jego imię. Nie odwrócił się jednak ani nie zatrzymał. Znajomy głos zawołał go ponownie, tym razem znacznie głośniej. Johann odwrócił się zaintrygowany.

W jego stronę szła wysoka młoda kobieta ubrana w niebieski habit i niebiesko-biały kornet.

— Witaj, Johannie — powiedziała do niego serdecznie.

Przez moment Johann nie mógł skojarzyć dobrze znanego głosu i uśmiechu ze strojem noszonym przez członków zakonu świętego Michała.

— Heike? — zapytał w końcu. — To ty? Młoda kobieta szczerze się roześmiała.

— Oczywiście — odparła. — A któż by inny?

Teraz, kiedy Heike stanęła tak blisko niego, Johann poczuł, że jest zakłopotany.

— Przepraszam — odezwał się niezręcznie. — Nie spodziewałem się zobaczyć ciebie w takim stroju.

— Nie jesteśmy sektą religijnych fanatyków — rzekła Heike, a w jej głosie można było usłyszeć lekką kpinę. — Bez względu na to, co mogłeś o nas słyszeć.

— Myślałem, że wciąż jeszcze jesteś nauczycielką w Staaken — odrzekł Johann, lekko wytrącony z równowagi. — Kiedy…? — zapytał, nie kończąc zdania.

— Na początku zeszłego lata — odpowiedziała. — Zaraz po tym, jak rok szkolny dobiegł końca. Czułam wówczas w sobie jakąś pustkę. Byłam zła na siebie, że nie robię nic, by pomóc rozwiązać problemy spowodowane kryzysem gospodarczym. — Znów się roześmiała. — Z początku, po jakiejś przehulanej nocy, zapisałam się na kurs wstępny, traktując to jako dobry kawał… Ale im więcej się dowiadywałam, tym bardziej mi się to podobało. A moje samopoczucie znacznie się

polepszyło.

— A Klaus? — zapytał Johann. — Co się z nim stało?

— Rozstaliśmy się na dobre, kiedy pojechałam na sześć tygodni na kurs do Freiburga — odparła Heike. — Ma się dobrze… Nadal jesteśmy przyjaciółmi. Powiedział mi w zeszłym tygodniu, że jest teraz zaręczony z jakąś baletnicą. — Heike położyła dłoń na ramieniu Johanna. — Ale dosyć mówienia o mnie. Jak tobie się wiedzie w życiu? Czy byłeś w domu i widziałeś się z rodzicami?

Heike Schmidt była najlepszą przyjaciółką Johanna podczas ostatnich dwóch lat nauki w poczdamskiej szkole. Chociaż wiązało ich wówczas uczucie wykraczające poza zwykłą przyjaźń, z różnych względów zostali tylko przyjaciółmi, ale tak bliskimi sobie jak brat i siostra. W ciągu tych krytycznych dwóch lat poprzedzających wejście w wiek dojrzały, nie było tematu, na który by Johann nie mógł z nią porozmawiać. Nawet teraz, kiedy patrzył na nią i przypominał sobie, jak bardzo byli sobie kiedyś bliscy, tęsknił za kimś, komu mógłby się zwierzyć z najskrytszych myśli i uczuć bez obawy, że narazi się na wyśmianie.

Po krótkiej rozmowie Johann zaprosił Heike na lunch. Odmówiła, tłumacząc mu, że może tylko na kilka chwil oderwać się od zbiórki pieniędzy.

— Każdego feniga wydajemy na jedzenie i inne niezbędne rzeczy — powiedziała. — Po południu wydajemy wszystkie zebrane pieniądze w supermarkecie w Tempelhof. Dzięki naszym hurtowym zakupom właściciel udziela nam znacznego rabatu. Wieczorem i następnego dnia rozdajemy to, co kupimy, w naszym ośrodku w Kreuzburgu… W poniedziałek wczesnym rankiem wracam do Mariendorfu, gdzie przez pięć dni w tygodniu pracuję w ośrodku opieki nad dziećmi, których rodzice starają się znaleźć pracę.

Największe wrażenie na Johannie wywarło nie to, co mówiła Heike, ale sposób, w jaki to robiła. Była przekonana o słuszności swego postępowania. Wyglądała na bardzo zadowoloną z życia.

— A tak, przy okazji — odezwała się chwilę później — mógłbyś napomknąć swojemu ojcu, że nasz zakon prowadzi w całych Niemczech ośrodki pomagające ludziom bezdomnym. Wiem, że jeden z nich znajduje się w Poczdamie, gdyż chodzi do niego regularnie ojciec Grety Ulbricht. Mężczyźni i kobiety mogą tam dzielić się doświadczeniami i brać udział w różnych pożytecznych pracach.

Johann pokręcił głową i uśmiechnął się do kobiety.

— Nie wyobrażam sobie, by mój ojciec chciał zrobić coś takiego — powiedział.

— Dzieją się dziwniejsze rzeczy — odparła beztrosko Heike. — A teraz, mój przyjacielu — dodała, szelmowsko mrużąc jedno oko — zanim odejdę, czy zdołam cię namówić do przekazania części ciężko

zarobionych pieniędzy na potrzeby tych bardziej pokrzywdzonych przez los niż ty? Zapewniam cię, że wszystkie te pieniądze zostaną wydane bardzo mądrze.

Johann sam był zaskoczony, gdy wręczył Heike banknot dwudziestomarkowy.

Kiedy znalazł się w mieszkaniu, myślał wciąż o rozmowie z dawną koleżanką. Przekonawszy się, że Evy nie ma, zauważył, że czekają na niego aż dwie wiadomości. Zdumiony, sprawdził podprogram zegarka, by przekonać się, czy nie wystąpiło jakieś uszkodzenie jego osobistego systemu przekazywania informacji. System jednak działał prawidłowo. Obie wiadomości nie zostały przekazane świadomie.

Johann usiadł w salonie naprzeciwko wielkiego ekranu wideotelefonu. Pierwsza wiadomość pochodziła od brata jego matki, wuja Hermanna, którego Johann nie widział prawie od dwudziestu lat. Kod nadawczy ujawnił Johannowi, że wiadomość przesłano z jakiegoś berlińskiego hotelu poprzedniego dnia wieczorem w porze kolacji.

— Witaj, Johann — odezwał się widoczny na ekranie mężczyzna w ciemnym garniturze. — Na wypadek gdybyś mnie nie poznawał: jestem twoim wujem Hermannem, starszym i grubszym niż wtedy, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni.

Hermann Kurz miał szczerą, ujmującą twarz. Uśmiechnął się do Johanna, a potem ciągnął:

— Przyjechałem do Berlina, żeby spędzić tu weekend i spotkać się z tobą w pewnej ważnej i nie cierpiącej zwłoki sprawie. Gdybyś mógł, przyjedź do mnie do hotelu Schweizerhof na obiad albo kolację. Proszę, zadzwoń do mnie i daj znać, co postanowisz.

Nie przekazuję tej wiadomości bezpośrednio, gdyż nie chcę, żeby o naszym spotkaniu dowiedzieli się twoi rodzice. A przynajmniej nie teraz… Proszę cię, Johann, postaraj się przełożyć na inny termin sprawy, które możesz mieć, o ile to oczywiście możliwe. Zapewniam cię, że nasza rozmowa będzie dotyczyła spraw najwyższej wagi i dla ciebie, i dla twojej rodziny… Cieszę się, że będę mógł cię znów zobaczyć po tych wszystkich latach.

Zaskoczony Johann miał tylko kilka sekund na to, by pomyśleć o wuju Hermannie, kiedy domowy system przekazywania informacji wyświetlił automatycznie drugą wiadomość. Na ekranie ukazała się Eva siedząca na tapczanie w pokoju, którego Johann nie znał. Nacisnąwszy na urządzeniu do zdalnego sterowania przycisk z napisem PAUZA, Johann poszedł do kuchni, by napić się wody.

Kiedy wrócił, wciąż patrzyła na niego z ekranu nieruchoma twarz Evy. Kobieta była ubrana niedbale, w luźną białą bluzkę i niebieskie dżinsy. Johann stwierdził, że wygląda na bardzo zmęczoną, a jej oczy

są zaczerwienione i opuchnięte.

Wiadomość od Evy została nagrana kilka godzin wcześniej, tego ranka, dokładnie za pięć dziesiąta.

— Zapewne się zastanawiasz, gdzie jestem i dlaczego nie wróciłam do domu — zaczęła, kiedy Johann uruchomił urządzenie. Zawahała się, ale z wysiłkiem ciągnęła: — Nie przyjechałam do domu, bo wydarzyło się coś zeszłej nocy, coś nieoczekiwanego, i myślałam, że powinnam ci o tym powiedzieć, zanim się znów zobaczymy.

Przerwała i zaczęła nerwowo wiercić się na tapczanie.

— Otwarcie wystawy zakończyło się olbrzymim sukcesem, Johannie — podjęła po chwili, z przymusem się uśmiechając. — Byłbyś ze mnie naprawdę dumny. Wszyscy prześcigali się w składaniu mi gratulacji. Na krótką chwilę wpadł nawet sam Herr Freisinger; byli także obecni wszyscy ważni przedstawiciele władz miejskich… Przyszedł też twój kuzyn, Ludwig, razem z nową sympatią, tą aktoreczką. Był zawiedziony, że się nie zjawiłeś.

Uwagę Evy odwrócił na chwilę ktoś, kogo nie było widać na ekranie. Johann usłyszał kobiecy głos.

— To Gena — wyjaśniła Eva. — Jest drugą projektantką. Widziałeś ją przelotnie w zeszłym miesiącu. Jestem w tej chwili w jej mieszkaniu i pozostanę tu, dopóki nie zadzwonisz.

Tak czy inaczej, kiedy oficjalna część otwarcia dobiegła końca, czułam się naprawdę podniecona. Gena, ja i Rolf Bachmann, kurator muzeum, oraz kilka innych osób, poszliśmy później na tańce. Wszyscy wypiliśmy za dużo, ale bawiliśmy się doskonale.

Znów przerwała. Wyglądało, jakby tylko z wielkim trudem powstrzymywała się od płaczu.

— Johannie — odezwała się w końcu. — Sama dobrze nie wiem, jak to się stało. Myślę, że mogłabym przypisać winę upojeniu, jakie mną owładnęło, ale czuję, że to byłoby zbyt proste… W każdym razie pod koniec zabawy Rolf zaprosił mnie do swojego domu, a ja mu nie odmówiłam.

Nie wiem, co mam teraz robić, Johannie — ciągnęła z dużym trudem. — Myślałam, że jeżeli opowiem ci o zeszłej nocy w ten sposób, może da ci to czas na przemyślenie wszystkiego, zanim porozmawiamy… Wiem, że skrzywdziłam ciebie i jest mi z tego powodu przykro, ale wiem też, że nadal cię kocham… Proszę cię, zadzwoń do mnie i pomóż mi wybrnąć z tej sytuacji.

Johann popatrzył na zegarek. Było wpół do czwartej. Za pół godziny miał się spotkać z Evą i Rolfem w swojej ulubionej kawiarni na Unter den Linden, niedaleko muzeum. Johann całkiem świadomie wybrał na tę rozmowę miejsce publiczne, chcąc zminimalizować prawdopodobieństwo urządzenia nieprzyjemnej sceny. Cieszył się, że spotkają się w trójkę, gdyż to dawało mu szansę pokazania

pamiętników Helgi Weber, a przecież Rolf był kustoszem muzeum.

Był zdumiony, jak łatwo przyszło mu podjąć decyzję o zakończeniu związku z Evą. Wcześniej tego popołudnia doszedł do wniosku, że jej przelotny flirt z Rolfem może być dla niego doskonałą szansą wyplątania się z zażyłości, która jego zdaniem stawała się ciężarem dla nich obojga. Pomyślał, że gdyby nie ten flirt, ich rozpadający się i bez tego związek mógłby ciągnąć się jeszcze przez długie miesiące. Prawdę mówiąc, ta noc spędzona przez Evę z Rolfem oszczędziła im mnóstwa cierpień.

Johann był z natury ostrożny w dokonywaniu jakichkolwiek ważnych zmian w swoim prywatnym życiu. To sprawiło, że ostatnie minuty przed spotkaniem, jakie spędził w mieszkaniu, poświecił na ponowne rozważenie myśli i uczuć mających wpływ na decyzję o zerwaniu z Evą.

Usiadłszy w ustawionym w salonie wygodnym fotelu, przez jakiś czas wpatrywał się w stojące przed nim zdjęcie, przedstawiające jego i Evę uśmiechniętych, na plaży w Portugalii. Na początku wszystko było takie proste — pomyślał. — Tak dobrze było nam ze sobą, zwłaszcza w łóżku. Nie starał się nawet ukryć przed sobą, że najbardziej będzie mu brakowało właśnie tego aspektu ich zażyłości. Wprawdzie nie kochali się już codziennie, jak to mieli zwyczaj robić w ciągu pierwszych miesięcy ich związku, ale nadal sypiali ze sobą trzy czy cztery razy w tygodniu, regularnie jak w szwajcarskim zegarku. Działo się tak głównie dlatego, że Eva, nie starając się nawet ukryć swoich obaw, wierzyła, iż każdy ich stosunek stanowi potwierdzenie trwałości łączącego ich związku.

Była miłą i inteligentną partnerką — pomyślał Johann, rozważając w myślach zalety Evy. — Spędziliśmy razem wiele fantastycznych wieczorów w restauracjach, teatrach czy na przyjęciach u przyjaciół. Nie mieliśmy właściwie żadnych problemów, dopóki…

Prawdę mówiąc, dopiero w tej chwili Johann zauważył, że dynamika jego związku uległa zmianie, z chwilą kiedy Eva podjęła pracę w Muzeum Trzeciej Rzeszy. Ta praca zupełnie ją odmieniła. Przedtem zajmowała się zwykłymi, mniej lub bardziej rutynowymi projektami, wykonywanymi przeważnie na zlecenie firm reklamowych. Wyglądało wówczas na to, że nie poświęca tym projektom większej uwagi. Jej ambicje rozbudziło dopiero podjęcie samodzielnej i odpowiedzialnej pracy w muzeum. To zajęcie pozwoliło jej uwierzyć we własne siły i poczuć dumę z zainteresowania okazywanego przez innych ludzi.

Na początku Eva bardzo często zabierała swoje projekty do domu i mówiła Johannowi, co robi w nowej pracy. Słuchał jej uważnie i jego zainteresowanie przez jakiś czas sprzyjało umocnieniu ich związku.

Kiedy jednak zapoznał się lepiej z charakterem jej pracy i zaczął mówić, co o niej naprawdę sądzi, zaczęły się awantury.

Johann dobrze pamiętał zdumienie i irytację, jakie odczuł tego wieczoru, kiedy Eva po długiej dyskusji podczas obiadu oświadczyła mu, że obchodzi ją tylko estetyczna strona jej wystaw, a ich merytoryczne aspekty zupełnie jej nie interesują. Traktowała swój projekt wystawy pokazujący to wszystko, co się działo w Oświęcimiu, Treblince czy Sobiborze, wyłącznie w kategoriach rozmieszczenia eksponatów i ich oświetlenia, nie zwracając wcale uwagi na kryjące się za nimi bestialstwo. Tamten wieczór zakończył się pełną goryczy reprymendą Johanna, która doprowadziła ją do szału. Ilekroć później sądziła, że Johann krytykuje jej nową pracę, zawsze dochodziło miedzy nimi do gwałtownych kłótni.

Bardzo szybko kłótnie objęły i inne obszary ich wspólnego życia, mącąc panującą do tej pory harmonię. Eva zaczęła jawnie krytykować Johanna nie tylko za to, co określała mianem „ślepego, wręcz służalczego przywiązania" do rodziców, ale również za brak zrozumienia wielu problemów, które uważała za bardzo ważne. Johann, zepchnięty do obrony, w odpowiedzi często krytykował wady bardzo drażliwej Evy, pogarszając tylko sytuację.

Rozmyślał o tym wszystkim, ale nie postawił sobie pytania: czy kocha Evę. Znał odpowiedź. Wiedział, że jej nie kocha. Może raz czy dwa, na samym początku ich związku i tylko w chwilach miłosnego uniesienia, czuł coś, co mógłby nazwać miłością. To było jednak tak dawno, że prawie nie pamiętał.

Siedząc w fotelu w salonie, wyciągał wnioski ze swoich rozmyślań. Nie — powiedział sobie. — Nie ma nic, o czym bym zapomniał. Podjąłem słuszną decyzję.

Uświadomiwszy sobie, że ma wciąż dziesięć minut do spotkania z Evą i Rolfem, postanowił dokładnie przyjrzeć się zawartości kieszeni torby, z której tamtego ranka zniknęły owe tajemnicze białe kulki. Tym razem nie ograniczył się tylko do zajrzenia do środka. Sięgnął po nożyczki i odciął całą przednią część kieszeni, skierował na nią silny strumień światła. Ku swojemu zachwytowi w trzech czy czterech miejscach zobaczył widoczne na materiale słabe, ale łatwe do zidentyfikowania niewielkie, okrągłe plamy. I chociaż ich obecność w żaden sposób nie mogła mu wyjaśnić tajemniczego zniknięcia kulek, była namacalnym dowodem, że niezwykłe drobiny rzeczywiście znajdowały się kiedyś w środku.

Johann był tak podniecony tym odkryciem, że chciał wyjść z mieszkania, zapominając o zabraniu pamiętników Helgi Weber, które zamierzał pokazać Rolfowi Bachmannowi. Może chociaż ta jedna dobra rzecz może wyniknąć z tego spotkania — powiedział do siebie, wkładając zeszyty z zapiskami Helgi do wewnętrznej kieszeni

płaszcza, żeby nie narażać ich na zetknięcie z wilgotnym powietrzem na dworze.

Kiedy parę minut po szóstej znalazł się w restauracji hotelu Schweizerhof, wuj Hermann już siedział przy stoliku. Starszawy mężczyzna wstał na jego widok i powitał go wylewnie, ściskając mu mocno dłoń i serdecznie klepiąc po plecach.

— Mein Gott — odezwał się z uśmiechem. — Jesteś wyższy, niż się spodziewałem. Ile właściwie masz wzrostu?

— Dwa metry jedenaście — odparł nieco zakłopotany tym pytaniem Johann.

— Siadaj, proszę. Siadaj — rzekł wuj. — Wielkie nieba, nie widziałem cłę tyle czasu… Chyba ze siedemnaście lat, jak sądzę.

— Co najmniej — zgodził się z nim Johann. — Kiedy na Boże Narodzenie przyjechaliśmy do ciebie do Rothenburga, byłem zaledwie dwunastoletnim chłopcem.

Przez kilka chwil mężczyźni patrzyli na siebie w milczeniu.

— Zaraz ci wszystko wyjaśnię — odezwał się w końcu wuj Hermann, pociągnąwszy mały łyk wina. — Ale najpierw powiedz mi, czy nie zechciałbyś się napić razem ze mną trochę tego doskonałego Poligny-Montracheta? Zamówiłem je, żeby uczcić nasze spotkanie po tylu latach.

Johann kiwnął głową, a wuj Hermann nalał trochę białego wina do jego kieliszka.

— Rzecz jasna, chcę wiedzieć jak najwięcej o twojej pracy, o Evie i wszystkim, co dotyczy twojego życia, ale pozwól, że najpierw wymienię kilka swoich powodów naszej dzisiejszej rozmowy… Czy nie będziesz miał nic przeciwko temu, że zacznę od najważniejszej sprawy, dla której chciałem się z tobą zobaczyć?

— Oczywiście że nie — odparł Johann. Wuj Hermann przez chwilę się namyślał.

— Zacznę od tego, Johannie — powiedział w końcu — że z pewnością tak samo jak ty, bardzo martwię się o twoich rodziców. Ich sytuacja finansowa jest naprawdę tragiczna. I chociaż twoja matka nie wspomniała nigdy słowem na ten temat, spróbowałem przeprowadzić małe dochodzenie i wiem, że znaleźli się w kłopotliwym położeniu. Mogą nawet stracić dom, jeżeli w ciągu kilku najbliższych tygodni nie zapłacą zaległych podatków z tytułu posiadania nieruchomości.

Wuj Hermann napił się wina. Widok twarzy Johanna upewnił go, że nie powiedział siostrzeńcowi niczego nowego ani zaskakującego.

— Stwierdziłem także — ciągnął po chwili — że od ponad roku udzielasz im znacznej pomocy finansowej, bez której nie byłoby ich stać nawet na kupno żywności. — Pokręci! głową. — Jestem wręcz przerażony faktem, że moja siostra nie zwróciła się o pomoc do mnie, ale zarazem muszę przyznać, że żywię do ciebie głęboki szacunek i

wdzięczność za to, że jesteś dla nich taki hojny. To dobrze o tobie świadczy.

— Robiłem, co mogłem — odrzekł cicho Johann. — Bardzo chciałbym móc zrobić coś więcej.

— Jesteś naprawdę wyjątkowym młodym człowiekiem — pochwalił go wuj Hermann. — Dlatego z tym większą przyjemnością chcę ci oświadczyć, że już nigdy nie będziesz musiał pomagać finansowo swoim rodzicom.

Johann odstawił kieliszek z winem.

— Nie rozumiem — powiedział zmarszczywszy brwi.

— Los okazał się dla mnie wyjątkowo łaskawy — wyjaśnił wuj Hermann. — Miałem szczęście przewidzieć nadejście recesji, dzięki czemu cały mój majątek pozostał nienaruszony. Udzielenie pomocy twoim rodzicom będzie dla mnie drobiazgiem. W ciągu ostatnich trzch dni zapłaciłem już ich wszystkie zaległe podatki, a poza tym złożyłem na koncie mojej siostry wystarczająco dużo pieniędzy, żeby mogli skromnie żyć przez następny rok czy dwa lata.

Johann nie mógł uwierzyć własnym uszom. Kiedy w końcu zaczęło docierać do niego znaczenie słów wuja Hermanna, poczuł się jak ktoś, komu zdjęto z barków ogromny ciężar.

— Naprawdę nie wiem, jak mam ci dziękować — wyjąkał w końcu. — Za to, co zrobiłeś dla mnie, dla nich, dla nas wszystkich…

— Zapewniam cię — odparł wuj Hermann, pochylając się ku Johannowi ponad stołem — że suma pieniędzy, o której mowa, jest dla mnie nieistotnym drobiazgiem. Przynajmniej tyle mogę zrobić dla swoich bliskich.

Johann czuł, że w dalszym ciągu nie może się otrząsnąć z przeżytego wstrząsu. Usiadł tylko wygodniej i sączył wino, chociaż chciałby wstać i krzyczeć z radości i ulgi.

— Czy któreś z twoich rodziców powiedziało ci kiedykolwiek, dlaczego nie widziałeś mnie od czasu tamtej bożonarodzeniowej wizyty u mnie w Rothenburgu? — zapytał go wuj Hermann.

— Nie — odparł Johann, kręcąc głową. — Mój ojciec wspominał tylko coś o jakiejś kłótni, ale nie mówił, o co poszło.

— A wiec nie wiesz nic o tym, że jestem homoseksualistą? Johann nie wiedział, co powiedzieć.

— Nie, wuju Hermannie — odezwał się w końcu. — Nikt nigdy mi o tym nie mówił.

— Właśnie o to się pokłóciliśmy — oświadczył wuj Hermann. — Ostatniego wieczoru waszej wizyty, kiedy udałeś się na spoczynek, „obnażyłem przed nimi swoją duszę”, jak to my mówimy, a nawet przedstawiłem im swoją ówczesną sympatię. Twój ojciec był tak wściekły, że oświadczył, iż nigdy więcej nie chce widzieć mnie w swoim domu.

Po tym, jak wuj Hermann przeprosił siostrzeńca, że na tak długi czas zniknął z jego życia, a Johann oznajmił, że osobiście nie ma nic przeciwko homoseksualistom, rozmowa zeszła na inne tematy. Z trudnych do wyjaśnienia przyczyn małomówny zazwyczaj Johann czuł, że tym razem nie może powstrzymać się od mówienia. W czasie kolacji opowiedział wujowi Hermannowi o swojej pracy, o zerwaniu z Evą, a nawet o historii z Bakirem i dręczących go od tamtego czasu wyrzutach sumienia. Wuj Hermann sprawiał wrażenie, że ciekawią go wszystkie szczegóły życia siostrzeńca.

— Byłem wówczas w muzeum na otwarciu tej wystawy — oznajmił w odpowiedzi na uwagi Johanna na temat pracy Evy. — Coś okropnego. Zgadzam się z tym, co napisano dzisiaj rano w „Le Monde", że ukazywanie Hitlera i innych przywódców Trzeciej Rzeszy, zwłaszcza przez część wystawy zatytułowaną „Hitler und den Juden", bez żadnego komentarza wyjaśniającego, pozwala widzom na pochopną interpretację ciemnych lat naszej historii… A jeżeli już o tym iowa, twój kuzyn Ludwig bardzo mi przypomina oficera SS '. jednego z tych wczesnych amerykańskich filmów.

Rozmawiali tak i rozmawiali. W czasie głównego dania Johann opowiedział wujowi Hermannowi o znalezieniu pamiętników napisanych przez Helgę Weber i o podnieceniu, ijakie dostrzegł na twarzy Rolfa Bachmanna, który pospiesznie przeglądał rękopis. Johann nie krył, że czuł się dziwnie zakłopotany faktem, iż ktoś spośród jego przodków okazał się takim fanatycznym nazistą.

— Muzeum zapłaci sporo pieniędzy za dokument takiej wagi — oświadczył wuj Hermann. — Tylko nie sprzedawaj im tego pamiętnika za szybko. Jeżeli jego treść jest tak rewelacyjna, jak sugerujesz, mam kilku znajomych w Stanach, którzy także mogą chcieć go kupić.

— Ale jeżeli pieniądze nie są już potrzebne, dlaczego mam w ogóle go sprzedawać? — zapytał Johann.

— Zawiera zbyt istotne treści, by pozostawał dłużej w prywatnych rękach — odrzekł wuj Hermann. — Może pełnić funkcję gorzkiej pamiątki tamtych czasów, o ile nie czegoś więcej… A poza tym będziesz mógł wpłacić te pieniądze na konto rodziców, żeby mogli korzystać z nich w późniejszych latach.

Kiedy w końcu przyniesiono im deser, dochodziła ósma. Wuj Hermann i jego siostrzeniec zdążyli do tego czasu opróżnić drugą butelkę wina. Johann czuł, że ogarnia go przyjemne rozleniwienie. Nie pamiętał, kiedy po raz ostatni tak miło spędzał wieczór.

Jedząc deser opowiedział wujowi o niezwykłym przeżyciu tamtego ranka, kiedy widział podwójną spiralę pełną świetlistych cząstek. Chcąc sprawdzić, czy wuj go nie wyśmieje albo nawet nie uzna za fantastę, z początku tylko napomknął o tym, jakby nie było to nic nadzwyczajnego. Zachęcony jednak zainteresowaniem, jakie

wywarła jego historia, opowiedział wszystko, co się wówczas wydarzyło, nie pomijając najdrobniejszych szczegółów.

Wuj Hermann był jego opowiadaniem zafascynowany.

— A te ślady w kieszeni torby? — zapytał. — Czy są dobrze widoczne? Czy ktoś inny mógłby je też zobaczyć?

— Jestem o tym przekonany — odrzekł Johann. — Jeśli chcesz, pobiegnę do domu i przyniosę tę torbę. Mógłbym wrócić tu w ciągu pół godziny.

— To nie będzie konieczne, Johannie — śmiejąc się odpowiedział wuj Hermann. — Wierzę ci. — Ugryzł kawałek strudla, a w chwilę później zapytał: — Johannie, czy słyszałeś kiedyś o Towarzystwie do Spraw Ramy?

— Tak, chyba o nim słyszałem — rzekł Johann. — Przynajmniej nazwa obiła mi się o uszy… Czym właściwie się zajmują?

— Są grupą ludzi zbierających i katalogujących raporty na temat niewytłumaczalnych zjawisk, które mogą być związane z inteligencją pochodzenia pozaziemskiego. Utworzyli to towarzystwo przed dziesięciu laty, kiedy do naszego systemu słonecznego przyleciał z głębin kosmosu tajemniczy cylindryczny statek zwany Ramą. Tak się składa, że dyrektor tej organizacji jest jednym z moich najlepszych przyjaciół. Nazywa się Carlos Sauceda. Powiem mu, żeby do ciebie zadzwonił.

— A więc jesteś zdania, że moja podwójna spirala mogła też przylecieć z kosmosu? — zapytał z nie ukrywanym podnieceniem Johann.

— Na twoim miejscu nie wyciągałbym tak daleko idących wniosków — powiedział wuj Hermann. — Carlos jednak wspominał mi o nie wyjaśnionych zjawiskach, które były bardzo podobne do twojego. Zdarzają się wszędzie i to nie tylko w okresie ostatniego dziesięciolecia. Jestem pewien, że Carlos byłby zachwycony, mogąc poinformować cię o tym szczegółowo, a poza tym podejrzewam, że bardzo będzie chciał obejrzeć te plamy.

Po skończonym deserze wuj Hermann zamówił dwie lampki dobrego koniaku.

— Naprawdę, dziękuję ci za wszystko — odezwał się z przekonaniem Johann, popijając swój trunek. — Za pomoc moim rodzicom, za powrót do mojego życia i za ten obiad. To był naprawdę wspaniały wieczór.

— Na razie się nie skończył — przypomniał mu wuj Hermann z niezwykle poważną miną. — Chciałbym porozmawiać z tobą na jeszcze jeden temat… Czy przypadkiem nie zapomniałeś już o lecie 2122 roku?

Johann postarał się skupić myśli, żeby móc odpowiedzieć na pytanie wuja.

— Oczywiście że nie — odrzekł w końcu. — Tego lata zabrałeś mnie i matkę do Paryża.

— Nigdy nie zapomnę, jaki byłeś podniecony, kiedy zwiedzaliśmy Muzeum Podboju Przestworzy i Kosmosu — rzekł wuj Hermann. — Byłeś pewien, że któregoś dnia będziesz mieszkał na Księżycu lub Marsie.

Obaj mężczyźni zamyślili się. Johann przypomniał sobie czasy dzieciństwa, marzenia o podróżach kosmicznych i godziny spędzone nad atlasami gwiezdnymi, ukazującymi wszystkie planety razem z ich księżycami. Dopóki nie ukończył nauki w szkole średniej, jego matka przechowywała w domu kombinezon kosmiczny, który dostał na dwunaste urodziny od wuja Hermanna. To wszystko wydawało się takie odległe…

— Zdaję sobie sprawę z tego, że może zbyt brutalnie ingeruję w twoje życie — odezwał się wuj Hermann, przerywając Johannowi wywołane przez alkohol zamyślenie — ale przed dwoma dniami wydarzyło się coś, co przypomniało mi o chłopcu, którego spotkałem tamtego lata w Paryżu. Jeden z moich kolegów, pracujący w Międzynarodowej Agencji Kosmicznej, narzekał, że nie może znaleźć nikogo o odpowiednich kwalifikacjach do kierowania największym przedsiębiorstwem dystrybucji zasobów wodnych na Marsie. Ta praca jest jakby stworzona dla kogoś z twoim doświadczeniem. Nie wiem, czy w dalszym ciągu interesują cię takie rzeczy, ale…

Johann poczuł, jak w głowie zaczynają mu wirować setki myśli. Z najwyższym trudem mógł skupić uwagę na słowach wuja. Przypomniał sobie słyszane kiedyś słowa: „Valhalla, znakomite wynagrodzenie, minimum dwuletni kontrakt”, ale nie miał pojęcia, co właściwie znaczą. Kiedy wuj Hermann wręczył mu służbową wizytówkę z umieszczonym na samej górze czerwonym znakiem i literami MAK, Johann nie mógł nawet się spodziewać, że w dwa dni później stawi się na rozmowę kwalifikacyjną i podejmie pracę, która na zawsze miała zmienić jego życie.

Potykając się w drodze powrotnej, Johann dotarł do pustego mieszkania. Rozmyślał wyłącznie o przyjemnych sprawach. Dobre wino i przepojona sympatią rozmowa z wujem przynajmniej na jakiś czas natchnęły go optymizmem. Prawdę mówiąc, po raz pierwszy do wielu miesięcy cieszył się z tego, co mogła przynieść najbliższa przyszłość.

Księga II
VALHALLA

1

Giovanni Lamberti przyciągnął prawą ręką długą dźwignię. Przez ściśle przylegające do oczu gogle obserwował, jak ogromna łyżka czerpaka zanurza się w marsjańskim lodowym wykopie. Odczekawszy krótką chwilę, zaczął popychać dźwignię trzymaną w lewej dłoni. Łyżka zaczęła rozszarpywać ostrymi zębami lód i wypełniała się setkami kilogramów materiału.

— To naprawdę nie jest takie trudne — powiedział Giovanni do siedzącego obok niego w sterowni młodego Murzyna. — Musisz tylko pamiętać, że Melvin znajduje się o ponad trzysta kilometrów od nas, wskutek czego odbiera sygnały z niewielkim opóźnieniem.

Kwame Hassan także miał na oczach takie same dziwaczne gogle. Siedział obok Giovanniego, ale trochę niżej, na fotelu pomocnika operatora. Przyglądał się bardzo uważnie, jak uczący go Giovanni, operując dźwigniami z niewymuszonym wdziękiem, unosi łyżkę czerpaka nad wykopem, nie roniąc ani kryształka lodu, a potem wysypuje jej zawartość do otwartego zbiornika w tylnej części maszyny. Kiedy skończył, przesunął łyżkę znów na przód kombajnu lodowego i przełączył sterowanie na bieg jałowy.

— Jesteś gotów spróbować samemu, jak to działa? — zapytał odpinając gogle i zsuwając się z dużego wyścielanego fotela, zamocowanego między dźwigniami.

— Myślę, że tak — odparł Kwame, żałując, że nie miał więcej czasu na nauczenie się nowej pracy. — Johann powiedział mi, że odlatujesz na początku przyszłego tygodnia.

— Zgadza, się — rzekł Giovanni, szeroko się uśmiechając. — Spędziłem tu dwa i pół roku, a teraz się wynoszę.

Kwame wspiął się po trzech stopniach i usiadł na fotelu operatora. Kilka razy ustawiał siedzenie i oparcie, aż w końcu był pewien, że jego ciało zajmuje odpowiednią pozycję. Kiedy w końcu naciągnął gogle na oczy, znalazł się znów w samym środku lodowej pustyni, daleko na północ od miejsca, w którym faktycznie przebywał. Kombajn Melvin stał bez ruchu na odległym lodowym płaskowzgórzu marsjańskiego bieguna.

— Dlaczego nie skorzystamy z procedur automatycznego wydobywania lodu, jakie ma Melvin? — zapytał Kwame. — Instrukcje obsługi, z którymi się zapoznałem, mówiły…

— Producenci zawsze przesadzają w zachwalaniu tego, co te cacka umieją same robić — przerwał mu Giovanni. — Melvin nie jest tak samodzielny i sprytny, jak chcieliby nam wmówić jego projektanci. Podczas pracy automatycznej, z której korzystamy czasami w nocy, kiedy chcemy nadrobić zaległości w wydobyciu lodu,

rzadko pracuje dłużej niż przez dwie lub trzy godziny bez przerwy. Ta maszyna po prostu nie potrafi integrować i syntetyzować wszystkich danych o środowisku tak dobrze jak człowiek.

— Ale instrukcja obsługi podaje, że średni czas międzyawaryjny tego egzemplarza wynosi co najmniej dziewiętnaście godzin.

— To przesada obliczona na przyciągnięcie klientów — stwierdził Giovanni, sadowiąc się na fotelu pomocnika operatora i dopasowując gogle. — Kiedy go otrzymaliśmy, zdarzało mu się kopać bez przerwy przez dziesięć czy piętnaście godzin. Często jednak szwankował mu jeden z podsystemów, dlatego że komputer dopuszczał do pracy w warunkach zbyt dużego obciążenia. Ciągłe naprawy doprowadzały nas do szału. Dopóki Narong nie pozmieniał mu współczynników w oprogramowaniu, powiększając w ten sposób granice tolerancji wszystkich błędów, Melvin częściej stał bezczynnie, niż pracował. Tak czy owak, rekrucie, pogadamy o tym innym razem. Teraz przekonajmy się, co potrafisz.

Zdenerwowany Kwame zaczął wykonywać poszczególne operacje cyklu bardzo powoli, ale dzięki temu zgubił tylko niewielką część zawartości łyżki, zanim reszta znalazła się w zbiorniku kombajnu.

— Nieźle — pochwalił go Giovanni. — Przynajmniej jest jakaś szansa, że kiedyś się nauczysz. Inaczej niż ten ostatni gość, którego przysłali mi z Mutchville.

Kwame głęboko odetchnął i zaczai powtarzać wszystkie operacje. Przez krótką chwilę, kiedy dotknął dźwigni po raz pierwszy, wyobraził sobie, że znów siedzi w swoim ulubionym dźwigu na placu budowy na przedmieściach Dar es-Salaam. Otrząsnął się z tych wspomnień i skupił na tym, co robił w tej chwili. Już nie jestem w Tanzanii — pomyślał. — Do diabła, nie jestem nawet na Ziemi… Ale chociaż mam znów jakąś dobrą pracę.

Wykonując cykl po raz drugi, postarał się zwiększyć tempo każdej operacji. Pamiętał, że ostatni pełen cykl Giovanniego zajął mu dokładnie osiemdziesiąt cztery sekundy. Kwame wiedział, że kiedy osiągnie większą wprawę, będzie musiał pracować w tempie trzydziestu cykli na godzinę. Choć końcowy rezultat pierwszego cyklu uznał za całkiem niezły, wszystkie czynności zajęły mu ponad sześć minut.

Drugi wykonany przez Kwamego ruch łyżką czerpaka nie napełnił jej całkowicie, a poza tym próba przeniesienia zawartości do zbiornika kombajnu zakończyła się zgubieniem niemal połowy zawartości. Czas cyklu wyniósł jednak niespełna cztery minuty. Siedzący na fotelu pomocnika Giovanni zmarszczył brwi.

— Wsypałeś do zbiornika mniej więcej czterdzieści procent — powiedział. — Nie trzeba być geniuszem matematycznym, by obliczyć, że lepiej umieścić tam wszystko w ciągu sześciu minut niż

czterdzieści procent w ciągu czterech.

Podczas trzeciego cyklu Kwame manipulował łyżką czerpaka w wykopie tak długo, aż się napełniła. Później jednak, kiedy ją uniósł, kombajn niespodziewanie odmówił dalszej pracy.

— Cholera! — zaklął Giovanni. — Znów się coś popsuło.

— I co będzie? — zapytał go Kwame.

— Melvin realizuje teraz procedury samokontroli — odrzekł Giovanni. — Kiedy skończy i okaże się, że to tylko chwilowy zanik mocy czy jakiś inny drobny problem, na pulpicie kontrolnym po twojej prawej stronie zapali się zielona lampka. Jeśli nie, ta migająca żółta zgaśnie, a zapali się czerwona. Wówczas główny komputer Melvina zajmie się wykonywaniem skomplikowanych precedur diagnostycznych, zaprojektowanych przez Naronga.

Giovanni nie zdążył skończyć mówić, kiedy mrugająca na pulpicie żółta lampka przemieniła się w czerwoną. W chwilę później na ekranie monitora pulpitu ukazała się informacja, że uszkodzeniu uległ podzespół oznaczony HY442, znajdujący się w procesorze odbiornika, i że rezerwowy element nie reaguje prawidłowo na sygnały.

Giovanni ściągnął z oczu gogle.

— To tyle na dzisiaj, chłopcze — odezwał się do Kwamego. — Melvin jest zepsuty na amen.

Kiedy zadzwonił Narong, Johann był zajęty przygotowywaniem listy potrzebnych części, które zamierzał zdobyć w Mutchville. Przez chwilę się zastanawiał, czy nie kazać Narongowi, by samemu zajął się organizacją zebrania roboczego. Przypomniał sobie jednak, że już wkrótce wyjedzie na dwa tygodnie, a wówczas Narong będzie miał mnóstwo innych spraw na głowie.

Zanim poszedł na zebranie, zatrzymał się przed drzwiami gabinetu Naronga i zapukał. Johann był dyrektorem ośrodka zwanego oficjalnie Placówką Terenową Valhalla (PTV), a Narong Udomphol, tajlandzki inżynier informatyk, pełnił funkcję jego zastępcy. Valhalla, jak zwało ją w skrócie sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu stałych mieszkańców oraz grupa przebywających w niej czasowo naukowców, używających jej jako bazy wypadowej do wypraw w okolice bieguna, była najbardziej wysuniętą na pomoc zamieszkaną placówką. Jej główne zadanie polegało na przemianie marsjańskich lodów podbiegunowych w wodę i pompowaniu jej rurociągami do innych zamieszkałych obszarów planety. I chociaż na tej samej długości geograficznej znajdowały się jeszcze dwie podobne placówki, Valhalla była zdecydowanie największa i dostarczała mniej więcej połowę wody potrzebnej do życia istotom ludzkim zasiedlającym Marsa.

Od chwili przybycia na tę planetę przed osiemnastoma miesiącami, Johann przebywał przez cały czas w Valhalli, jeżeli nie liczyć krótkich podróży służbowych do Mutchville i jednego

wspaniałego tygodnia wakacji, w czasie których zwiedził wulkany w rejonie Tharsis. Nominację na dyrektora PTY otrzymał przed sześcioma miesiącami. Było to w czerwcu 2142 roku, jeśli liczyć według kalendarza ziemskiego.

— Melvin znowu nawalił? — zapytał otworzywszy drzwi i zajrzawszy do gabinetu Naronga. — Czy to już nie trzeci raz w tym miesiącu?

— Nie — odparł Narong. Był niskim, trzydziestokilkuletnim mężczyzną o zdumiewająco szczerym uśmiechu. — Poprzednio psuł się Martin. Trzymamy go teraz w hangarze, gdzie technicy poddają go gruntownemu przeglądowi. Nadal czekamy na części.

Wszystkim trzem kombajnom lodowym Valhalli nadano imiona zaczynające się na literę „M". Oprócz nich były jeszcze tylko trzy takie gigantyczne maszyny znajdujące się w innych miejscach.

— Czy to znaczy, że w tej chwili pracuje jedynie Malcolm? — zapytał Johann. Narong kiwnął głową.

— W tym miesiącu znów nie wykonamy planu — powiedział. — Nic jednak nie możemy zrobić. Jeżeli wziąć pod uwagę brak części i personelu, mamy szczęście, że w ogóle pompujemy na południe jakąś wodę.

Johann i Narong udali się korytarzem do sali konferencyjnej, gdzie czekało już na nich sześciu mężczyzn, a wśród nich Giovanni i Kwame. Zebranie robocze, jak zresztą większość innych zebrań w Valhalli, nie miało ustalonego porządku obrad. Na początku dyskusji Giovanni podkreślił, że rezerwowy podzespół HY442 w Melvinie był podobno całkiem niedawno naprawiany przez techników i że była to już druga taka nieskuteczna naprawa w ciągu ostatnich dziesięciu dni. Johann przyznał, że brak wykwalifikowanego personelu technicznego przysparza im wielu problemów. Obiecał, że nie wróci z Mutchville, dopóki nie znajdzie tam kompetentnego inżyniera, który mógłby się zająć naprawami i przeglądami.

Narong zaproponował wówczas, że ponieważ Martin i tak tkwi bezczynnie w hangarze, a w magazynie nie ma innych sprawnych podzespołów KY442, można by było do chwili przybycia transportu z częściami zapasowymi wymontować potrzebne podzespoły z Martina i zainstalować je w unieruchomionym na płaskowyżu MeMnie.

Plan Naronga został bardzo szybko zaakceptowany. Zastanawiano się tylko, kto dokona wymiany uszkodzonych części. Normalnie powinien wykonać tę pracę Giovanni, który był inżynierem znającym Mehina najlepiej. On jednak przygotowywał się do opuszczenia Valhalli, a poza tym był zajęty przyuczaniem Kwamego. Jedynym dyplomowanym inżynierem, specjalistą od napraw, który mógłby opuścić placówkę na dwa dni bez uszczerbku dla jej funkcjonowania, był Johann.

Gdy zebranie zbliżało się do końca, Narong wspomniał Johannowi, że ich nowa pielęgniarka, Satoko Hayakawa, wyraziła chęć ujrzenia z bliska „prawdziwego Marsa" przy najbliższej nadarzającej się okazji. Ponieważ procedury bezpieczeństwa zabraniały pojedynczym osobom wychodzenia poza ochronną kopułę placówki celem dokonania napraw, Narong zapytał, czy Johann nie miałby nic przeciwko temu, żeby towarzyszyła mu panna Hayakawa. Johann zgodził się i poprosił Naronga, by powiedział nowej pielęgniarce, aby była gotowa do wyjazdu następnego ranka o świcie.

Satoko Hayakawa była drobną i niską kobietą, nawet jak na Japonkę. Kiedy stała u boku Johanna, poddając się rutynowemu sprawdzeniu szczelności kombinezonu kosmicznego, sięgała mu trochę powyżej pasa.

— Czy dobrze mnie słyszysz? — zapytał ją Johann, sprawdzając działanie mikrofonu hełmu.

— Tak, bardzo dobrze — odparła, błyskając w uśmiechu zębami. Była bardzo podniecona. Personel techniczny Valhalli, korzystając z najnowszych dostępnych danych na temat stanu pokrywy lodowej w sąsiedztwie placówki, określił przebieg optymalnej trasy wyprawy na pomoc i wprowadził jej współrzędne do pamięci komputera nawigacyjnego łazika i lodomobilu. Johann wprowadził te same dane dotyczące planowanej trasy do swojego miniaturowego komputera, który miał w torbie zawieszonej u pasa kombinezonu kosmicznego. Uzupełnił je mapami okolic i informacją o awaryjnych punktach orientacyjnych terenu.

Satoko i Johann pożegnali się z Narongiem i innymi na pół godziny przed wschodem słońca, a potem przeszli przez wrota śluzy oddzielającej kopułę wewnętrzną, którą była otoczona cała Valhalla, od pozbawionej powietrza kopuły zewnętrznej, istniejącej w placówce ze względów bezpieczeństwa. Po pięciu minutach wyrównało się ciśnienie i oboje ostrożnie przeszli przez wrota zewnętrznej śluzy, zatrzymali się na marsjańskiej równinie.

Satoko po raz pierwszy w życiu stanęła na powierzchni Marsa. Przypomniawszy sobie chwile, kiedy i on znalazł się po raz pierwszy poza ochronną kopułą placówki, Johann nie spieszył się, chciał dać pielęgniarce czas na delektowanie się tym przeżyciem. Satoko odeszła o parę kroków od śluzy, a później rozejrzała się po okolicy, spoglądając na chaotycznie rozrzucone skały, czerwonawą marsjańską ziemię i widoczny na południowy wschód od niej niewielki łańcuch górski.

— Kirei des — mruknęła do siebie.

Potem Johann i Satoko musieli poprawić ustawienie filtrów ochronnych w przezroczystych szybach swoich hełmów. Blask słońca na marsjańskiej równinie był tak silny, że wstępne ustawienie,

dokonane jeszcze wewnątrz kopuły, okazało się niewystarczające.

Później skierowali się do łazika, stojącego o czterdzieści metrów od wrót śluzy. Na płaskiej, niskiej przyczepie z tyłu maszyny, stał zamocowany lodomobil. Po dotarciu na miejsce, gdzie powierzchnia Marsa pokrywała się skorupą lodu, Johann i Satoko planowali pozostawić łazik i wyruszyć w dalszą drogę lodomobilem.

Łazik był otwartym, trzyosobowym pojazdem gąsienicowym, który mógł być używany do jazdy w różnych warunkach terenowych. Niestety, nie cechowała go duża prędkość. W przeciwieństwie do niego lodomobil został zaprojektowany z myślą o szybkim poruszaniu się po powierzchni podbiegunowych marsjańskich lodów. Dzięki wyposażeniu go w specjalne płozy wyciągał na płaskiej, nie poprzecinanej szczelinami powierzchni do osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

Kiedy minęło pierwsze dziesięć minut jazdy, Johann zatrzymał łazik i zawrócił, aby z pewnej odległości popatrzyć na Valhallę. Tkwiąca pośrodku pokrytych skałami rdzawych marsjańskich równin regularna kopuła kryjąca ich placówkę wyglądała dziwnie obco, jak jakaś zjawa. Johann czekał cierpliwie, aż Satoko zarejestruje kilka ujęć Valhalli swoją miniaturową kamerą wideo. Później wysiadł i tą samą kamerą uwiecznił Satoko ubraną w kosmiczny kombinezon i siedzącą samotnie w łaziku na tle kopuły Valhalli.

W ciągu pierwszej godziny jazdy po marsjańskich równinach, Johann starał się prowadzić z Satoko nieobowiązującą rozmowę. Młoda Japonka była jednak albo za bardzo przejęta grozą marsjańskiego krajobrazu, albo zbyt onieśmielona obecnością Johanna. Mówiła bardzo mało. Johann dowiedział się tylko, że skończyła dwadzieścia cztery lata, od urodzenia mieszkała na wyspie Hokkaido razem z rodzicami i dwójką młodszego rodzeństwa, ajej oj ciec pracował jako inżynier na jednej ze stacji metra w znajdującym się na północy Japonii mieście Sapporo.

Na otaczających ich równinach zaczęło się pojawiać stopniowo coraz więcej lodu. Nie istniała wyraźna granica między marsjańskimi równinami a podbiegunowym lodowcem, tak wiec podjęcie decyzji, w którym miejscu przesiąść się z łazika do lodomobilu, nie było wcale łatwe. W końcu, po prawie trzech godzinach od chwili wyruszenia z Valhalli, wjechali na łagodnie wznoszące się, wysokie wzgórze, na którego wierzchołku ujrzeli litą warstwę lodu. Wyglądało, że dotarli do skraju głównego lodowca. Johann połączył się przez radio z Valhallą, by poinformować personel techniczny, dokąd dotarł, a potem opuścił tył przyczepy w taki sposób, aby lodomobil mógł zjechać na taflę lodu.

Mimo że ani Johann, ani Satoko, kiedy ruszyli na pomoc lodomobilem, nie mogli w swoich kombinezonach czuć podmuchów

wiatru, uczucie wielkiego pędu było niemal namacalne. W ciągu zaledwie pół godziny dotarli do okolic, w których istniał tylko kolor biały. Lodowe góry i pagórki, równiny i płasko wzgórza — cały ten krajobraz powodował, że czuli się jak na całkiem innej planecie.

W pewnej chwili na tablicy kontrolnej lodomobilu zapaliła się czerwona lampka sygnalizująca przeciążenie i Johann, uśmiechając się do siebie, musiał zwolnić. Około południa, gdy dotarli do niebezpiecznej szczeliny lodowej, zatrzymał na chwilę lodomobil i zaprosił Satoko na krótki spacer, chcąc urozmaicić monotonię jazdy. Kiedy zatrzymali się na skraju lodowej przepaści i spoglądali w jej czeluść, Johann opowiedział pielęgniarce historię jednego z pierwszych badaczy Marsa, który gdzieś w tych okolicach stracił życie.

Do Melvina dotarli na kilka godzin przed zachodem słońca. Pierwszym zadaniem Johanna było rozbicie namiotu, w którym on i Satoko mieli przenocować. Choć naprawa lodowego kombajnu powinna zająć najwyżej kilka godzin, i tak musieli spędzić tę noc w sąsiedztwie Melvina, gdyż poruszanie się po marsjańskim lodzie nocą było uważane za zbyt niebezpieczne, o ile nie korzystało się ze specjalnych udogodnień nawigacyjnych.

Rozstawiwszy reflektory wokół kombajnu, Johann spędził ostatnią godzinę przed zmrokiem, zapoznając się z procedurami naprawczymi, jakie zapisano w pamięci jego podręcznego komputera. Najpoważniejszym zadaniem oczywiście była wymiana obu uszkodzonych podzespołów HY442. Oprócz tego grupa inżynierów w Valhalli postanowiła, że Johann powinien dokonać przeglądu także kilkunastu innych najważniejszych podzespołów i stwierdzić, czy nie wykazują oznak nadmiernego przeciążenia. Program badań przewidywał ich wymianę, gdyby któryś nie spełniał wszystkich wymagań.

Satoko zaproponowała, że może pomóc Johannowi w pracy. Zabrawszy niewielkie torby z częściami zamiennymi i narzędziami, oboje ruszyli ku Mehinowi. Gdy znaleźli się obok niego, Johann wzniósł trzymetrowej wysokości rusztowanie z platformą. Chciał bez trudu dosięgnąć do podzespołów elektronicznych Melvina, umieszczonych w tej jego części, którą zwano potocznie brzuchem. Później ustawił i włączył reflektory.

W porównaniu z ogromem szarej maszyny, dwoje pracujących pod nią ludzi przypominało mrówki. Melvin miał osiemdziesiąt metrów długości i dwanaście wysokości. Jego ogromna łyżka mogła pomieścić ponad dziesięć metrów sześciennych lodu naraz. Kiedy jednak przed dwudziestu laty projektowano te giganty, uważano je jedynie za prototypy naprawdę mamucich maszyn, które zdaniem projektantów miały okazać się konieczne, gdy liczba ludzi żyjących na Marsie osiągnie kilkaset tysięcy.

We wczesnych latach dwudziestych zakładano, że łączna liczba osób przebywających na planecie przekroczy sto tysięcy przed upływem 2150 roku i osiągnie ćwierć miliona około roku 2190. Okazało się jednak, że plany tak szybkiej kolonizacji Marsa zniweczył Wielki Chaos. Ekonomiczna recesja, jaka ogarnęła Ziemię, zmniejszyła szansę uzyskania dotacji i subwencji i to zarówno ze strony rządów państw, jak również międzynarodowych koncernów, kładąc w ten sposób kres marzeniom o dalszym dynamicznym rozwoju czerwonej planety.

Prawdę mówiąc, kiedy Wielki Chaos schwycił w swoje szpony całą Ziemię, środki przeznaczone na rozwój marsjańskiej kolonii spadły poniżej poziomu niezbędnego do dalszej egzystencji. Pojawiły się wskutek tego drastyczne braki w zaopatrzeniu, powodując podupadanie społecznej i ekonomicznej infrastruktury.

W 2136 roku po raz pierwszy w dwudziestym drugim wieku liczba ludzi mieszkających na Marsie zaczęła maleć. W latach 2138 i 2139 wiele międzynarodowych koncernów, włącznie z tymi, które zaprojektowały i zbudowały Melvina i inne kombajny, całkowicie wycofało się z planów obsługi i remontów tych gigantycznych maszyn.

W 2141 roku, kiedy Johann Eberhardt przyleciał na Marsa, niemal połowa pozostających tam jeszcze ludzi oczekiwała na swój termin powrotu na Ziemię. Mimo to wiele innych osób nadal przylatywało, skuszonych ofertami ciekawej, dobrze płatnej pracy lub zwykłą żądzą przygód, nie przejmując się czymś, co ich zdaniem było tylko przejściowymi kłopotami natury ekonomicznej.

Możliwość pracy na Marsie była i dla Kwamego Hassana, i dla Satoko Hayakawy, powodem do radości. Kwame miał na utrzymaniu żonę i czwórkę nieletnich dzieci. Mimo swoich kwalifikacji, od prawie czterech lat nie mógł znaleźć zajęcia w rodzinnej Tanzanii, gdzie wstrzymano prace niemal na wszystkich budowach. Zanim zaproponowano mu zajęcie na Marsie, Kwame i jego rodzina musieli się przenieść do mniejszego mieszkania znajdującego się bliżej gwarnego i rojnego centrum stolicy. Praca na czerwonej planecie pozwoliła mu zarobić dość pieniędzy, żeby jego żona i dzieci mogły się znów przeprowadzić do większego domu na stosunkowo spokojniejszych przedmieściach Dar es-Salaam.

Satoko ukończyła z wyróżnieniem szkołę pielęgniarską w Sapporo. Kiedy zaczynała naukę, miała nadzieję, że znajdzie później pracę w jednym z czołowych japońskich szpitali prowadzących badania naukowe. Jednak w 2137 roku bezrobocie w tym najbardziej rozwiniętym ekonomicznie kraju Azji przekroczyło magiczną granicę dziesięciu procent. Kiedy w trzy lata później zaczęło zbliżać się do piętnastu, japoński rząd uchwalił kilka ustaw. Dzięki skomplikowanemu systemowi ulg podatkowych wprowadzały one

ściśle określone priorytety dla przedsiębiorców zatrudniających bezrobotnych. Zgodnie z tymi priorytetami, we wszystkich kategoriach należało zatrudniać raczej mężczyzn niż kobiety, a osoby utrzymujące rodziny miały pierwszeństwo przed ludźmi samotnymi czy nie wychowującymi dzieci. Utalentowana Satoko nie mogła znaleźć żadnej pracy z wyjątkiem fizycznej. Możliwość przylotu na Marsa i zostania naczelną pielęgniarką w Placówce Terenowej Valhalla była dla niej prawdziwym darem niebios.

Podczas naprawy Melvina nie wydarzyło się nic niespodziewanego. Wymiana obu uszkodzonych podzespołów HY442 i jeszcze trzech innych elementów nie spełniających wymagań zajęła Johannowi trochę ponad godzinę. Kiedy Melvin na sygnał z Valhalli wykonał prawidłowo cały test samokontroli, Johann rozebrał rusztowanie z platformą i ich elementy umieścił w specjalnych pojemnikach. Później on i Satoko, stojąc obok namiotu w odległości jakichś stu metrów, patrzyli, jak Giovanni uruchomił Melvina i zakończył pomyślnie dwa cykle wydobycia lodu, by upewnić się, czy gigantyczna maszyna naprawdę funkcjonuje prawidłowo.

W namiocie Johann i Satoko rozegrali partię remika, a potem wyciągnęli watowane śpiwory i udali się na spoczynek. Johann nigdy nie potrafił opanować sztuki spania w kosmicznym kombinezonie. Po kilku godzinach obudził się, cały zesztywniały, i postanowił pójść na krótki spacer. Na dworze panowały nieprzeniknione ciemności marsjańskiej nocy, tylko w otoczeniu Melvina paliły się reflektory. Johann włączył je na wypadek, gdyby Valhalla zażądała dokonania jakichś przeglądów czy napraw przed nadejściem świtu.

Nie zastanawiając się nad tym, dokąd iść, Johann udał się w stronę kombajnu. Przyjrzawszy się wąwozowi, jaki Melvin wykopał w lodzie, postanowił obejrzeć maszynę z drugiej, nie oświetlonej strony. Włączył reflektor hełmu, by widzieć, gdzie stąpa.

Zanim zdążył dojść do tylnej części kombajnu i znaleźć się znów na oświetlonej przestrzeni, wydało mu się, że promień reflektora wychwycił jakiś dziwny błysk w pobliżu kadłuba maszyny, mniej więcej o metr nad jego głową. Johann zatrzymał się i skierował strumień światła w tamto miejsce. To, co zobaczył, sprawiło, że całym jego ciałem wstrząsnął dreszcz przerażenia. Ujrzał chmurę drobnych świecących kulek, która przedtem skupiona kryła się pod jednym z licznych występów kadłuba kombajnu, a teraz rozproszyła się i zaczęła powoli dryfować w jego stronę. Kiedy zbliżyła się trochę bardziej, przybrała kształt dwóch złączonych torusów przypominając ósemkę.

Johann rozpoznał ją natychmiast. Był absolutnie przekonany, że widzi dokładnie to samo zjawisko, z którym zetknął się tamtego poranka przed dwudziestu jeden miesiącami w berlińskim Tiergarten. Skierował strumień światła na prawie metrową ósemkę i postarał się

zwalczyć uczucie przemożnego strachu każącego mu rzucić się do ucieczki. Zobaczył, że podobnie jak wtedy, pojedyncze cząstki tworzące dziwną figurę poruszają się swobodnie w jej obrębie w ten sposób, że granice figury nie ulegają żadnym zmianom.

Odpowiedź czujników kombinezonu na wywołany przez zjawisko przypływ adrenaliny nie kazała na siebie długo czekać. Kiedy Johann przyglądał się wiszącej metr nad głową ósemce, usłyszał w słuchawkach hełmu głos komputera, który powiedział:

— Bicie twojego serca jest anormalnie przyspieszone. Powinieneś pomyśleć o odpoczynku.

Ignorując ostrzeżenie Johann stał bez najmniejszego ruchu i wpatrywał się w chmurę. Postanowił się przekonać, co zrobią dziwne cząstki i czy w ogóle wydarzy się coś niezwykłego. Mniej więcej po piętnastu sekundach ósemka obniżyła się i zatrzymała na poziomie jego głowy. Johann przez cały czas kierował na nią światło reflektora. Pojedyncze świetliste kulki nie przerwały tańca w obrębie figury, ale cała ósemka obróciła się powoli wokół pionowej osi w ten sposób, że oba świecące torusy znalazły się naprzeciwko jego oczu.

Kiedy Johann przyglądał się tym zmianom, zauważył, że drobiny tworzące ósemkę zaczynają się skupiać. Po chwili utworzyły jedenaście większych białych kuł o średnicach mniej więcej stukrotnie większych w porównaniu z rozmiarami pojedynczej cząstki. Wszystkie kule miały wzdłuż równików po jednym czerwonym, wąskim pasku, ale żadna nie błyszczała. Potem zaczęły się powoli poruszać jedna za drugą po trasie pętli ósemki.

Johann był tym widokiem zafascynowany, ale i trochę przerażony. Czy możliwe, że ta dziwaczna figura jest jakimś żywym stworem? — zapytał sam siebie, zdumiony tym, co widział. Z trudem zwalczył kolejny impuls strachu, który nakazywał mu ucieczkę. Po kilku sekundach większe kule przerwały wędrówkę i na mgnienie oka się zatrzymały, a później wznowiły ruch w obrębie ósemki, ale w drugą stronę.

— Cześć — odezwał się nagle do mikrofonu hełmu Johann, sam zdumiony tym, że to robi. — Jestem istotą ludzką… A ty, kim jesteś?

Ku swojemu zdumieniu stwierdził, że kiedy skończył mówić, jedenaście większych kuł utworzyło jedną dużą kulę o rozmiarach piłki tenisowej. Kula ta zawisła na wprost oczu Johanna i została tam tak długo, że mógł dostrzec wyraźny czerwony pas pośrodku, a później błyskawicznie ruszyła w jego stronę. Johann krzyknął odruchowo, gdy rozbiła się o szybę jego hełmu. Kiedy minął impuls przerażenia, zdał sobie sprawę z oślepiającego błysku, po którym w ułamku sekundy duża kula, i ósemka, i chmura świecących małych cząstek zniknęły. Jedyną rzeczą, jaka pozostała po spotkaniu, był nieomylny ślad na szybie hełmu.

2

Skończywszy pakowanie, Johann zaniósł walizkę do salonu swojego małego mieszkania. Postawił ją na podłodze obok dwóch toreb, z których jedna zawierała szybę hełmu, a potem spojrzał na zegarek. Do odjazdu pociągu z Valhalli pozostały całe dwie godziny. Miał mnóstwo czasu, żeby zjeść spokojnie śniadanie, a potem spotkać się z Narongiem.

Narong spóźnił się o kilka minut.

— Przepraszam cię — powiedział nie kryjąc zatroskania. — Byłem w magazynach, gdzie sprawdzałem transport dostarczonych części. Niestety, na fakturze, którą przysłano wczoraj, nie było żadnego błędu. Oznacza to, że prawie we wszystkich kategoriach zamówionych podzespołów są jakieś braki, ale największe występują w grupie części zapasowych do procesorów. Dzwoniłem w tej sprawie do Mutchville, ale powiedzieli, że nic na to nie poradzą.

— A co z zamówionymi podzespołami HY442? — zapytał go Johann.

— Przysłali — odparł Narong. — Ale tylko trzy zamiast zamówionych sześciu… Jeżeli nie znajdziesz nikogo, kto potrafi naprawiać skomplikowane urządzenia, nigdy nie wykonamy planu ilości pompowanej wody.

— Wiem o tym — mruknął Johann, zmuszając się do uśmiechu. — Zatrudnienie kompetentnego specjalisty od przeglądów i napraw jest moją drugą co do ważności sprawą w Mutchville. Pierwszą, rzecz jasna, pozostaje znalezienie informatyka, który mógłby zastąpić ciebie. I tak siedzisz tu o rok dłużej niż powinieneś…

— Lucinda zna już całe najważniejsze oprogramowanie — przerwał mu Narong. — Może jest jeszcze młoda i niezbyt rozmowna, ale z pewnością ma duży talent. Jeżeli chodzi o nasz ośrodek, ważniejszy jest inżynier, który mógłby się zająć naprawami i przeglądami. A poza tym, o ile nie uda ci się w jakiś sposób przyspieszyć terminu mojego powrotu na Ziemię, jesteś skazany na mnie przez najbliższe dziewięć miesięcy albo jeszcze dłużej.

— Nie należało tak długo zwlekać ze składaniem podania o wyznaczenie terminu twojego powrotu.

— To nie twoja wina — odrzekł Narong. — Od ponad sześciu miesięcy dochodziły mnie słuchy o listach osób oczekujących na podanie terminu. Po prostu nie mogłem zdecydować się na powrót, dopóki nie byłem pewien, że Lucinda poradzi sobie beze mnie. Nie przyszło mi do głowy, że chętnych do odlotu może być tak wielu, iż będę musiał czekać na to cały rok.

— Może nie będziesz musiał — stwierdził Johann. — Kiedy

wpadnę z tą szybą do biura Międzynarodowej Agencji Kosmicznej w Mutchville, zobaczę, czy nie uda mi się przyspieszyć terminu twojego odlotu. Zważywszy twoją pełną poświęcenia pracę tu, w Valhalli, to będzie najmniejsza rzecz, jaką mogę dla ciebie zrobić.

Narong spojrzał na stojące na podłodze salonu bagaże Johanna.

— Więc naprawdę zamierzasz pokazać tym z MAK-a swoją szybę? — zapytał. — Myślałem, że ubiegłego wieczoru postanowiłeś nie składać formalnego raportu na ten temat.

— Nie zamierzam opowiadać im o wszystkim szczegółach incydentu — rzekł Johann. — A przynajmniej nie teraz… Chcę tylko, by poddali tę szybę analizie chemicznej w jakimś dobrym laboratorium.

— Nie zrobią tego, dopóki nie napiszesz raportu… Wiesz dobrze, jak pracują ci z MAK-a.

— Może uda mi się załatwić to nieoficjalnie — powiedział Johann. — Myślałem, że sam wpadnę do laboratorium i pogadam z naczelnym chemikiem.

— Sądząc po tym, co przydarzyło się tej kobiecie w Placówce Carr, przypuszczam, że to znacznie lepszy pomysł — stwierdził Narong. — W każdym razie, nawet jeśli nie wyśmieją cię ani nie odeślą do psychiatry, stracisz mnóstwo czasu na borykanie się z ich biurokracją.

Przez krótką chwilę obaj mężczyźni patrzyli sobie prosto w oczy.

— Wierzysz w moją historię, Narong? — zapytał w końcu Johann.

— Myślę, że tak — odparł z wahaniem zapytany. — Ale tylko dlatego, że kilka razy przedtem słyszałem twoją opowieść o tym, co przydarzyło ci się w berlińskim parku. — Uśmiechnął się. — Johannie, skłamałbym ci, gdybym powiedział, że uwierzenie w tę historię nie wymaga ode mnie dużej wyobraźni. Wszystko w niej jest takie nieprawdopodobne… Wierzę w nią tylko dlatego, że we wszystkich innych sprawach mówiłeś zawsze prawdę. Muszę cię jednak uprzedzić, że ktoś, kto ciebie nie zna, będzie myślał…

— Że zwariowałem albo cierpię na chorobę marsjańską, a może jeszcze coś gorszego — dokończył Johann.

— Właśnie — przyznał Narong. Johann westchnął i pokręcił głową.

— Czuję się w tej chwili dokładnie tak samo, jak wtedy w Berlinie przed prawie dwoma laty. Połowa mojego umysłu chce zignorować to, co się stało, i kontynuować normalne życie. W tym samym czasie druga połowa mówi mi, że w jakiś sposób muszę podążać tym tropem… Możliwe, że to było najważniejsze zdarzenie w całym moim życiu.

— Czy wykorzystałeś spotkanie z tamtym Hiszpanem w Berlinie? — zapytał Narong.

— Nie — odrzekł Johann. — Spotkałem się z nim na tydzień przed odlotem z Ziemi. A poza tym i on, i jego asystent, wyglądali na dziwaków. Czułem się w ich obecności nieswojo, zwłaszcza po tym, jak zaczęli mi opowiadać swoje historie.

Narong spojrzał na zegarek.

— No cóż, tak czy inaczej, decyzja należy do ciebie. W czasie kiedy ciebie nie będzie, ja muszę kierować pracą placówki. A to przypomina mi, że grupa azjatyckich naukowców, która opuściła nas w poprzednim tygodniu, wczoraj wieczorem także nie dała znaku życia. Czy powinienem się tym przejmować? Czy mogę przyjąć, że jak wszyscy typowi naukowcy są tak zajęci pracą, by przejmować się naszymi procedurami bezpieczeństwa?

— Kiedy od nas wyjeżdżali, nie sprawiali wrażenia przejętych naszymi poleceniami — przyznał Johann. — Nie martwiłbym się więc za bardzo… Przy okazji, czy nadal odbieramy ich sygnały namiarowe?

— Tak — stwierdził Narong. — Wygląda na to, że od czterech dni przebywają w jednym i tym samym miejscu. Znajdują się o jakieś pięćset dwadzieścia kilometrów na północ od Valhalli, w pobliżu miejsca, w którym w ubiegłym roku grupa ukraińskich naukowców pobrała próbki lodowego płaszcza. Usiłowałem nawiązać łączność z ich obozem dzisiaj rano, ale nie uzyskałem żadnej odpowiedzi. Przypuszczalnie byli już zajęci pracą na powierzchni lodu.

— Jeżeli nie zgłoszą się dzisiaj wieczorem, połącz się z nimi w nocy. Obudź ich, jeżeli będzie trzeba — polecił Johann, zarzucając torby na ramię i otwierając drzwi mieszkania. — Nie będą tym zachwyceni, ale trzeba przypomnieć im, że robisz to z myślą o ich bezpieczeństwie.

Przez cały wieczór pociąg pędził przez marsjańskie równiny na południe i zatrzymał się na pierwszej stacji dopiero po zachodzie słońca. Przez większość tego czasu Johann spał i kiedy dotarli do BioTech City, obudził go Giovanni.

— Wielkie nieba — odezwał się zdumiony Johann. — Czy to znaczy, że już przyjechaliśmy?

— Tak — stwierdził Giovanni. — Tym razem bez opóźnienia… Właśnie przed pięcioma minutami ogłosili, że wszyscy pasażerowie wysiadający w BioTech City powinni przejść do pierwszego wagonu. Jeżeli nie zmieniłeś zdania i nie chcesz spędzić Bożego Narodzenia tutaj razem ze mną i moją siostrą, musimy się pożegnać.

Johann wstał i uścisnął dłoń przyjaciela.

— Będziemy tęsknili za tobą w Valhalli — powiedział. — Będzie nam brakowało i twoich umiejętności, i poczucia humoru… Powodzenia, dokądkolwiek się udajesz.

— Dzięki, Johannie — odrzekł Giovanni. — Spędziłem tu bardzo miłe chwile i zaprzyjaźniłem się z wieloma ludźmi, ale muszę

przyznać, że w ciągu ostatnich sześciu miesięcy wyraźnie tęskniłem za domem. Czuję się doskonale, kiedy wiem, że jeszcze w tym sezonie będę zjeżdżał na nartach w Cortina.

Giovanni zabrał bagaże i skierował się na przód pociągu, a Johann usiadł na swoim miejscu, czuł się dziwnie zdezorientowany i zaczął wyglądać przez okno. Skraj ochronnej kopuły otaczającej BioTechCity znajdował się jakieś pięćdziesiąt metrów od miejsca zatrzymania się pociągu. Przez czerwonawą marsjańską ziemię wiódł od peronu do wrót śluzy w kopule szeroki betonowy chodnik. Johann obserwował, jak pierwsi pasażerowie opuszczają pociąg i kierują się ku ślużie.

Giovanni zatrzymał się w połowie drogi i odwrócił, by pomachać przyjacielowi na pożegnanie. Johann rozpoznał go natychmiast po sposobie chodzenia, mimo iż Giovanni był zbyt daleko, żeby można było dostrzec rysy jego twarzy za ochronną szybą hełmu. Kiedy uniósł rękę i także pomachał, wyobraził sobie Giovanniego, jak w narciarskim kombinezonie przygotowuje się do zjazdu po stoku jakiejś góry we włoskich Alpach, i poczuł przelotne ukłucie zazdrości. Może ja też zaczynam tęsknić za domem — pomyślał.

Nawet po zabraniu pasażerów, którzy wsiedli w BioTech City, w wagonie Johanna znajdowało się tylko trzech innych mężczyzn. Najbliższy siedział o kilka rzędów foteli przed nim. Pociąg ruszył i wkrótce kopuła BioTech City została daleko w tyle. Marsjański krajobraz za oknem wyglądał jak zawsze ponuro i nieprzystępnie.

Czy ludzie kiedykolwiek ujarzmią tę planetę? — zastanowił się Johann. Pamiętał, jak będąc chłopcem czuł entuzjazm, gdy dowiedział się o wspaniałych planach naukowców z MAK-a. Chcieli zagospodarować Marsa na wzór Ziemi. A jednak to inżynierowie mieli rację — powiedział sobie. — Pomnożyli przewidywany przez naukowców czas przez trzy i zwiększyli planowane koszty o rząd wielkości.

W tej chwili i tak nie miało to znaczenia. Zagospodarowywanie i badania Marsa stały się jednymi z niezliczonych ofiar Wielkiego Chaosu. Spotykało się nawet ludzi, którzy twierdzili, że ludzkość powinna w ogóle wycofać się z tej planety, mimo iż oznaczałoby to przerwanie ponad stuletniego okresu ciągłej obecności człowieka na Marsie.

Johann włożył do uszu miniaturowe słuchawki i przycisnąwszy przełącznik na poręczy fotela, uruchomił system dostarczający rozrywek podczas podróży, a potem przyjrzał się spisowi treści, pokazywanemu na ekranie. Przez krótki czas oglądał marsjański dziennik z wiadomościami z poprzedniego dnia, z których większość dotyczyła dużej liczby ludzi opuszczających planetę. Później przełączył urządzenie na kanał informacyjny. Głównym tematem

dziennika były przygotowania Niemców do obchodów Bożego Narodzenia. Komentator zwrócił uwagę, że pomimo panującej recesji nic i nikt nie może powstrzymać Niemców od planowania obchodów ich ulubionego święta.

Johann usiadł wygodniej w fotelu i zaczął słuchać, jak grupa uroczyście ubranych dzieci śpiewa „Stille Nacht, heilige Nacht". Powróciwszy pamięcią do świąt Bożego Narodzenia z czasów dzieciństwa, uświadomił sobie, jak bardzo jest samotny. Pamiętał, jak czekał na zawołanie matki, a później szybko zbiegał po schodach, by przekonać się, jakie niespodzianki czekają pod choinką. Wspomnieniom towarzyszył ból i łzy. Przez chwilę żałował, że nie przyjął zaproszenia Giovanniego do spędzenia świąt razem z nim w BioTech City. Pamiętał, że przyjaciel bardzo chwalił kuchnię i inteligencję młodszej siostry, a nawet sugerował, że mogłaby być odpowiednią kandydatką na żonę Johanna.

Wyłączywszy odbiornik wideo, Johann wyjął słuchawki z uszu, a później z półki nad głową zdjął mniejszą torbę. Przeszukał jej zawartość i wyciągnął mały wideosześcian w plastikowym ochronnym opakowaniu. Umieścił go w czytniku na poręczy fotela i po chwili zobaczył, jak na ekranie urządzenia pojawia się twarz jego matki.

— Dzień dobry, synku — odezwała się Frau Eberhardt. Miała na sobie odświętną, niebieską bluzkę i wyglądała, jakby przed chwilą opuściła salon piękności. — Twój ojciec i ja serdecznie cię całujemy i pozdrawiamy. — Matka się uśmiechnęła. — Ponieważ przesłanie tego nagrania jest strasznie drogie, to będzie ostatnia wiadomość od nas przed świętami Bożego Narodzenia… Nie muszę ci mówić, jak bardzo będzie nam brakowało ciebie w te święta. Od dnia twoich urodzin to dopiero drugie Boże Narodzenie, którego nie spędzimy razem.

Matka Johanna opowiedziała później, co dzieje się w Poczdamie. Mówiła o osobach, które Johann pamiętał jak przez mgłę. Później na ekranie pojawił się na krótko ojciec. Większą część czasu Herr Eberhardt poświecił na wychwalanie pod niebiosa zalet dramatu muzycznego Wagnera Tristan und Isolde, który widział w ubiegłym tygodniu w Berlinie.

W końcowej części nagrania matka Johanna oznajmiła synowi, że książka napisana na podstawie pamiętników Helgi Weber sprzedaje się nadal dobrze, choć zniknęła już z krajowej listy bestsellerów.

— Rzecz jasna, twój ojciec i ja doceniamy, co ty i wuj Hermann zrobiliście dla nas — powiedziała. — Jednak muszę przyznać, że czasami czujemy się zakłopotani tym wszystkim, co wygadują na jej temat różni ludzie, nie wyłączając naszych przyjaciół… Ostatnio bardzo dużo mówi się u nas i o nazistach, i o drugiej wojnie światowej. Wygląda na to, że co tydzień lub dwa obchodzi się rocznicę jakiegoś strasznego wydarzenia sprzed dwustu lat.

Niedawno przyjechał znów do Niemiec ten znany żydowski działacz, rabin Goldberg. W jednym ze swoich przemówień oświadczył, że wszyscy Niemcy powinni mieć poczucie winy z powodu tego, co w czasach Trzeciej Rzeszy wyprawiali ich przodkowie. Chcąc dowieść słuszności swojej tezy, cytował obszerne fragmenty z książki Helgi. Powołał się na jej relację o tym, jak prości Niemcy popierali Hitlera i ruch nazistowski. Kiedy pytają nas reporterzy, ani ja, ani ojciec nie rozmawiamy z nimi na ten temat, ale wiem, że Max jest wściekły na środki przekazu za to, co zrobiły z książką Helgi. Powiedział mi w zeszłym tygodniu, iż wolałby, żeby jej pamiętniki nie zostały nigdy opublikowane, bez względu na to, ile pieniędzy…

Przed dwoma tygodniami, w Valhalli, Johann obejrzał po raz pierwszy nagraną w wideosześcianie wiadomość od rodziców, ale zrobił to w pośpiechu. Był wówczas dość zajęty, gdyż kierowana przez niego placówka przechodziła kolejny ostry kryzys. Dopiero więc teraz, rozparty wygodnie w fotelu pociągu pędzącego przez marsjańskie równiny, mógł wysłuchać uważnie wszystkiego, co chcieli mu powiedzieć rodzice.

— Och, omal bym zapomniała — odezwała się Frau Eberhardt, kiedy skończyła mówić na temat pamiętników Helgi Weber. — Nigdy byś nie zgadł, kogo spotkałam w domu towarowym przed dwoma tygodniami. Twoją dobrą znajomą, Evę Haas… Była dosyć pulchna, a na rękach trzymała owiniętą w becik dziesięciomiesięczną dziewczynkę. Czy uwierzysz, że mieszka teraz w Poczdamie? Pytała o ciebie i bardzo ucieszyła się usłyszawszy, że wszystkie twoje sprawy ułożyły się tak dobrze.

Johann nie zorientował się, kiedy matka się pożegnała. Zrodzony w myślach obraz Evy tulącej do piersi dziecko wywołał kolejną falę bolesnych wspomnień. Po raz drugi poczuł, jak bardzo jest samotny. Gdy zdał sobie sprawę z tego, że nagranie się skończyło, wyłączył monitor.

Usiłował znów zasnąć, ale nadaremnie. Mniej więcej po pół godzinie włączył znów odbiornik wideo i przejrzał wyświetlony na ekranie spis treści. Potem, uśmiechnąwszy się do siebie, postanowił obejrzeć nagranie opery Wagnera Siegfried. Okazało się, że było to dokładnie to samo nagranie, które oglądał w rodzinnym domu prawie miesiąc przed odlotem na Marsa.

W New Dallas wsiadło do pociągu wielu nowych pasażerów. Johann patrzył, jak ubrani w kombinezony kosmiczne, jeden po drugim wychodzą z kopuły ochraniającej miasto, rozciągając się w długą linię na chodniku prowadzącym do peronu. Kiedy pociąg ruszył, drzwi do sąsiedniego wagonu otworzyły się i do środka weszło pięć osób ubranych w niebieskie habity zakonu Świętego Michała. Jako pierwsza szła wysoka, ciemnoskóra i bezsprzecznie piękna młoda

kobieta, która z całą pewnością była przywódczynią całej grupy.

— Świetnie — powiedziała, rozejrzawszy się po niemal pustym wagonie, a potem odwróciła się do pozostałych. — Tu będziemy mieli wystarczająco dużo miejsca. Połóżcie bagaże na fotelach. Mamy trzy godziny, zanim pociąg dojedzie do Mutchvlle. Kiedy skończymy zbiórkę, spotkamy się w tym wagonie, a potem się wyciągniemy i spróbujemy zasnąć… Bracie Adrianie, czy nie chciałbyś razem z siostrą Marcie zająć się dwoma pierwszymi wagonami? Siostra Nuba i brat Jose obejdą dwa ostatnie. Ja zostanę tutaj.

Michalici złożyli swoje podróżne torby na pustych fotelach i rozeszli się do wyznaczonych wagonów. Ich przywódczyni zajęła się zbieraniem pieniędzy od innych pasażerów wagonu Johanna, podchodząc do nich z małą, ozdobnie pomalowaną, metalową puszką, którą trzymała w prawej dłoni.

— Dzień dobry — odezwała się, kiedy w końcu stanęła przed Johannem. — Jestem siostra Vivien z zakonu Świętego Michała. Jak wiesz, dla ludzi na Marsie nadeszły teraz ciężkie czasy. Więcej osób niż kiedykolwiek przedtem spędzi te święta, nie mając odpowiedniego ubrania i jedzenia. Z powodu długich kolejek ludzi oczekujących na odlot z Marsa, wiele najbardziej poszkodowanych osób musi pozostać tu bez pieniędzy, którymi mogliby zapłacić za mieszkanie. Członkowie naszego zakonu pracują bez wynagrodzenia, by rozdzielić zebrane pieniądze miedzy tych, którzy…

Johann patrzył w piękne, piwne oczy siostry Vivien i nie przerywał jej przemówienia. Wpatrywał się w nie z takim uporem, że Vivien w środku przemówienia zająknęła się i nawet lekko zarumieniła. Mimo to bardzo szybko odzyskała pewność siebie i dobrnęła do końca swojej kwiecistej mowy.

— A skąd mogę wiedzieć — zapytał ją żartobliwie Johann, kiedy skończyła — że ty i twoi przyjaciele po prostu nie weźmiecie tych pieniędzy i nie wydacie ich na sutą bożonarodzeniową ucztę?

— Z faszerowanym indykiem upieczonym w sosie własnym i żurawinami? — zapytała Vivien, szeroko się uśmiechając.

Johann kiwnął głową, a zakonnica widząc to, usiadła na wolnym miejscu naprzeciwko niego.

— Posłuchaj, kimkolwiek jesteś… A jeżeli już o tym mowa, jak właściwie się nazywasz? — zapytała.

— Johann. Johann Eberhardt.

— Posłuchaj, Johannie Eberhardt — powiedziała. — Byłabym w siódmym niebie, mogąc się rozkoszować pieczonym indykiem i całą resztą. I gdybyś chciał przyjść do naszego kościoła w Mutchville i zamówić dla nas coś takiego, byłabym więcej niż szczęśliwa, mogąc ci towarzyszyć. Złożyłam jednak przysięgę Wielkiemu Człowiekowi — ty zapewne nazywasz go Bogiem — że wszystkie zebrane pieniądze

zostaną co do grosza zużyte na pomoc dla najbardziej potrzebujących. A ja do takich naprawdę się nie zaliczam. Tak więc, jak widzisz…

Vivien nagle przerwała i obejrzała swojego rozmówcę od stóp do głów.

— Wielkie nieba — powiedziała. — Ale ty jesteś wysoki… Ile masz wzrostu?

— Dwa metry jedenaście.

— Do diabła — mruknęła. — Nie jesteś normalnym człowiekiem, jesteś gigantem. Drzwi do sąsiedniego wagonu się otworzyły i do środka weszło dwoje michalitów.

— Hej! — zawołała Vivien do siostry Nuby i brata Josego. — Chodźcie tutaj! Rozmawiam właśnie z gigantem… Johannie Eberhardt, dlaczego nie wstaniesz, żebyśmy wszyscy mogli zobaczyć w całej okazałości?

Johann roześmiał się i wstał, schylając się lekko, aby nie zawadzić głową o półkę na bagaże.

— Fiu, fiu — odezwała się Vivien, przykładając dłoń do czoła i spoglądając z podziwem na Johanna. — Nie sądzę, bym kiedykolwiek widziała tak wysokiego mężczyznę… z wyjątkiem, rzecz jasna, tych na boisku do koszykówki. A teraz, kiedy już stoisz — dodała, nie robiąc najmniejszej przerwy — dlaczego nie miałbyś sięgnąć do kieszeni i wydostać z niej trochę pieniędzy, by ktoś inny miał weselsze święta?

Johann pokręcił głową i znów się roześmiał.

— Jesteś… niesamowita — powiedział, podając Vivien dziesięć marsjańskich dolarów.

— Ja tylko służę Bogu i bliźniemu — odparła z uśmiechem Vivien. — A oboje dziękują ci za twój dar, gigancie Johannie Eberhardt.

3

Pierwsze dwa dni, które Johann spędził w Mutchville, okazały się kompletnym fiaskiem. Już na samym początku urzędnik z MAK-a poinformował go, że jedynym sposobem uzyskania przez Naronga miejsca na pokładzie wahadłowca odlatującego wcześniej na Ziemię byłoby odkupienie potwierdzonej rezerwacji od kogoś innego.

— A to jest nielegalne, jeśli chodzi o etatowego czy kontraktowego pracownika MAK-a — powiedział. — Gdybyśmy się dowiedzieli, że pański przyjaciel kupił rezerwację na czarnym rynku, mógłby stracić prawo do premii z tytułu wygaśnięcia umowy o pracę.

Johannowi nie powiodło się lepiej, gdy chciał złożyć w biurze inżyniera zaopatrzeniowca agencji formalny protest w sprawie dostarczania do Valhalli zbyt małych ilości zamawianych podzespołów. Dyżurny urzędnik był nastawiony zdecydowanie nieprzychylnie i oświadczył Johannowi, że i tak powinien uważać się za szczęściarza, gdyż wiele innych placówek nie dostaje ani jednej zamówionej części.

Po południu pierwszego dnia Johann próbował znaleźć kogoś z personelu MAK-a, kto poddałby analizie chemicznej ślady na szybie jego hełmu. Odsyłany z jednego miejsca do drugiego, trafił w końcu na jakiegoś niezwykle szczerego młodzieńca, który wyjaśnił mu, że agencja właśnie demontuje wszystkie swoje laboratoria chemiczne na Marsie.

W godzinę po opuszczeniu budynku dyrekcji MAK-a poirytowany i zniechęcony Johann odwiedził biuro agencji pośrednictwa pracy, utrzymujące stosunki z firmą Guntzel i Stern. Tam, po złożeniu oficjalnego oświadczenia, że chce zostać na Marsie przez następne dwa lata, usłyszał, że na jego oferty pracy zgłosiło się bardzo mało chętnych, pomimo utrzymującego się wciąż dużego bezrobocia i faktu, że pracę reklamowano jako wyjątkowo ciekawą.

— Musi pan zdawać sobie sprawę z tego, że tu, w Mutchville, ludzie są o krok od paniki — powiedział mu kierownik biura. — Nikt nie myśli o niczym innym oprócz powrotu na Ziemię. Propozycja sześciomiesięcznej pracy w tak odległej placówce jest nie do przyjęcia nawet dla ludzi, którzy są bezrobotni i nie mają grosza przy duszy.

Drugiego dnia pobytu w Mutchville Johann przeprowadził rozmowy z kilkoma ludźmi chętnymi do pracy; zgłosili się do biura w odpowiedzi na jego ofertę. Niestety, zatrudniony mógłby zostać tylko jeden z nich, a i to na stanowisku niezupełnie wykwalifikowanego technika w wydziale łączności. Żaden z pozostałych nie spełniał nawet minimalnych warunków, postawionych przez Johanna. Całe popołudnie spędził dzwoniąc do różnych ludzi w Mutchville, którzy w

komputerowych bazach danych byli zarejestrowani jako bezrobotni i kwalifikowaliby się do pracy jako inżynierowie. Niestety, nie udało mu się przekonać ani jednego, żeby chociaż zgłosił się na rozmowę wstępną. Nie chcąc przyznać przed samym sobą, że sytuacja jest beznadziejna, przed powrotem na noc do hotelu Johann przeprowadził jeszcze jedną rozmowę z kierownikiem biura agencji zatrudnienia.

— Istnieje już tylko ostatnia możliwość, ale uprzedzam, że bardzo ryzykowna — powiedział mu mężczyzna. — Najnowsze przepisy zezwalają na zatrudnianie w odległych placówkach osób z kolonii karnej w Alcatraz. Człowiek z Placówki Górniczej Utopia, pełniący tam taką samą funkcję jak pan, też groził, że zamknie kopalnie i wstrzyma wydobycie z powodu braku personelu. Znalazł jednak w Alcatraz kilku ludzi, którzy zgodzili się w ciągu sześciu miesięcy wykonywać najcięższą fizyczną pracę w zamian za obietnicę gubernatora, że daruje im resztę kary… Nie wiem, czy pośród więźniów znajdzie pan kogoś dostatecznie wykwalifikowanego, by odpowiadał pańskim wymaganiom, ale jest bardzo możliwe, że będzie pan miał wielu chętnych na wszystkie inne stanowiska nie wymagające kwalifikacji…

Kiedy pociąg przejeżdżał przez kopuły otaczające Mutchville, wyruszając w siedemdziesięciokilometrową podróż do Alcatraz, Johann myślał o wideofonicznej rozmowie, jaką odbył poprzedniego dnia z zastępcą naczelnika więziennej straży. Funkcję tę pełniła ciemnowłosa Szwajcarka, Anna Kasper, osoba niezwykle uczynna. Obiecała udostępnić Johannowi wszystkie komputerowe dane kolonii karnej na temat zawodowych kwalifikacji więźniów, a co więcej, zgłosiła się na ochotnika, że będzie towarzyszyła mu podczas całej wizyty.

Pani Kasper czekała na niego w gabinecie przyjęć, znajdującym się tuż obok śluzy kopuły w Alcatraz. Przedstawiła się, jeszcze zanim Johann zdążył zdjąć kosmiczny kombinezon. Była trzydziestokilkuletnią ciemnooką kobietą o zdumiewająco atrakcyjnej twarzy i rysach znacznie łagodniejszych od tych, które Johann widział na ekranie wideofonu. Po kilku minutach rozmowy przekonał się, że Anna Kasper jest jedną z bardzo rzadko spotykanych osób, które umieją naprawdę słuchać.

Resztę tego poranka Johann spędził, przeglądając w biurze Anny informacje na ekranie komputerowego monitora. Okazało się, że na jedno z oferowanych przez niego miejsc pracy zgłosiła się prawie połowa przetrzymywanych w Alcatraz więźniów. Nietrudno było zrozumieć dlaczego. Wolny człowiek zapewne mógł nie chcieć spędzić sześciu miesięcy życia w prowincjonalnej Valhalli, ale skazanego na wiele lat więźnia interesował pomysł półrocznej, bardzo dobrze

płatnej pracy z perspektywą darowania reszty kary po jej zakończeniu.

Johann zgodził się na propozycję Anny, żeby ograniczyć liczbę chętnych, i podzielił kandydatów na cztery grupy zależnie od posiadanych przez nich kwalifikacji, i tego, czy mogli stanowić zagrożenie, czy nie mogli. Znacznie więcej niż połowę wszystkich więźniów Anna sklasyfikowała jako niebezpiecznych przestępców, a Johann się zgodził, by wyeliminowała z tej grupy wszystkich nie ubiegających się o żadną z oferowanych posad inżyniera. Po dokonaniu tej selekcji okazało się jednak, że na dwie takie posady zostało tylko pięciu wykwalifikowanych kandydatów, spośród których aż czterech zostało uznanych przez Annę za niebezpiecznych. Johann postanowił więc, że porozmawia ze wszystkimi.

— No i jak ci poszło? — zapytała go Anna sześć godzin później, kiedy wyczerpany Johann oświadczył jej, że zakończył wszystkie przewidziane na ten dzień rozmowy. Weszła do niewielkiej sali konferencyjnej i poczęstowała go piwem.

— Myślę, że nie najgorzej — odparł, podziękowawszy jej za piwo. — W gruncie rzeczy widziałem pośród więźniów dobrych kandydatów na wszystkie posady z wyjątkiem inspektora budownictwa. A ten śmieszny Amerykanin, Barry Watson, jest przecież doskonałym inżynierem informatykiem… Przy okazji, za co tutaj siedzi? Nie miałem jeszcze czasu sprawdzić jego więziennej kartoteki.

— Sprzeniewierzył pieniądze i tu, i na Ziemi, włamując się do sieci komputerowych różnych banków. Powinnam podkreślić, że nie okazał później żadnej skruchy. Mogą być z nim kłopoty w pracy.

— Porozmawiamy o tym jutro — powiedział Johann. Wstał od stołu i rozprostował mięśnie, a potem pociągnął duży łyk piwa. — Albo może jeszcze dzisiaj wieczorem, kiedy zjem coś i odpocznę.

— Nasza normalna pora obiadu już dawno minęła, ale kazałam, żeby przygotowano ci posiłek — rzekła Anna. — Stoi teraz na stole konferencyjnym w moim gabinecie.

Kiedy Johann zaczai jeść, Anna usiadła naprzeciwko niego. Z początku rozmawiali o kandydatach do pracy, później jednak rozmowa zeszła na temat pogarszającej się politycznej i ekonomicznej sytuacji Marsa.

— Nie cierpię być pesymistką, lecz myślę, że tutejsze warunki zmienią się na znacznie gorsze, zanim zaczną się poprawiać — oświadczyła Anna.

— Ja też tak sądzę — przyznał Johann między jednym a drugim kęsem.

— U nas także za dwa tygodnie zmniejszy się liczebność personelu — powiedziała Anna. — Ani naczelnik, ani ja, nie sądzimy, by strażnicy, którzy pozostaną, dali sobie radę z utrzymaniem ładu. To straszne, ale prawdziwe… Grozi nam, że władzę w Alcatraz przejmą

więźniowie.

— Czy naczelnik zwrócił na to uwagę w rozmowie z gubernatorem?

— Tak — odrzekła Anna. — Ale bez większego skutku. Alcatraz jest dla gubernatora najmniejszym problemem. Jeden z ministrów jego rządu powiedział nawet coś takiego: „No to co, że więźniowie się zbuntują? Co mogą zrobić sami pod tą odciętą od reszty Marsa kopułą?”

Posłuchaj, nie mówię tego po to, żeby siać panikę… Martwi mnie tylko własne bezpieczeństwo, a poza tym, mówiąc szczerze, przynajmniej na jakiś czas mam dosyć takiej pracy. Moim zdaniem całkiem nieźle nadawałabym się na to stanowisko inspektora budownictwa, które masz nie obsadzone u siebie, w Valhalli. A co więcej, jeżeli się zdecydujesz zatrudnić któregoś z naszych więźniów, moje doświadczenie z pracy z nimi może być jeszcze jedną rzeczą przemawiającą na moją korzyść. Mam nadzieję, że nie uznasz mnie za bezczelną, ale przygotowałam krótki opis przebiegu swojej dotychczasowej pracy, żebyś mógł przeczytać dzisiaj wieczorem.

Johann przestał jeść i lekko się uśmiechnął.

— A więc dopiero teraz wychodzi na jaw prawdziwy powód twojego zainteresowania — powiedział. — Kiedy mnie zaprosiłaś, żebym zjadł obiad w twoim gabinecie, myślałem, że może…

— Mnie także przyszło to do głowy, zwłaszcza rano — odrzekła odwzajemniając uśmiech. — Ale głównie chodziło mi o pracę. A zapewniam cię, że nie jestem nowicjuszką.

— Ani przez chwilę w to nie wątpiłem — stwierdził Johann.

Johann siedział przy stole naprzeciwko atrakcyjnej, lecz sprawiającej wrażenie doświadczonej przez życie kobiety o tlenionych włosach i kusząco umalowanych oczach.

— Przepraszam — odezwał się, z namysłem kręcąc głową. — Obawiam się, że pani nie rozumiem.

— Owszem, rozumiesz pan — odparła Ludmiła Krasovec. Zaczęła rozpinać bluzkę i po chwili obnażyła swoje wdzięki. Johann poczuł, że ogarnia go pożądanie.

— Prawdę mówiąc, nie jestem dobrą programistką, Herr Eberhardt — rzekła, pochylając się w jego stronę. — Mam jednak wspaniały talent do wielu innych rzeczy… Jeżeli wiesz pan, o czym mówię.

Zaciągnęła się jeszcze raz papierosem i kiedy powoli wypuszczała dym, na jej ustach błąkał się lekki uśmiech. Nie odrywała oczu od twarzy Johanna.

— Jestem pewien, że pani talent jest ogromny, panno Krasovec — odrzekł Johann, zmuszając się do niewyraźnego uśmiechu. — Szukamy jednak kogoś, kto ma duże doświadczenie w pisaniu

programów.

Młoda Czeszka zdusiła papierosa w stojącej na stole popielniczce.

— Założę się, że zimy w Valhałli są długie i nieznośnie nudne — rzekła. — Wyobraź pan sobie, jak by było, gdybyś miał pan każdej nocy obok siebie w łóżku takie ciało jak moje.

— Dziękuję, że zgłosiła się pani na rozmowę — powiedział stanowczo Johann. Wstał od stołu i zamaszystym gestem pokazał jej drzwi.

— Będziesz pan o mnie myślał, kiedy wyjdę — odezwała się po kilku sekundach Ludmiła z dużą pewnością siebie. Kiedy doszła do drzwi, przystanęła i odwróciła się do Johanna. — Jeżeli pan zmienisz zdanie, moja oferta nadal pozostaje ważna…

Kiedy drzwi za nią się zamknęły, Johann jeszcze przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nie z niedowierzaniem. Do diabła — pomyślał sobie. — Naprawdę zaczynam tracić zmysły. Przez kilka sekund wydawało mi się, że ta kobieta jest atrakcyjna.

Usiadł znów przy stole i na ekranie stojącego tam monitora sprawdził, z kim jeszcze ma przeprowadzić rozmowę. Czuł się bardzo zmęczony; zadzwonił więc do pracującej w sąsiednim pokoju Anny i oświadczył, że zamierza zrobić piętnastominutową przerwę.

— Bardzo szybko się zmęczyłeś — śmiejąc się zażartowała Anna. — Czy Ludmiła wyczerpała wszystkie zapasy twojej energii?

— Dlaczego nie ostrzegłaś mnie, do czego może być zdolna? — zapytał Johann.

— Powiedziałam ci zeszłego wieczoru, że powinieneś uważnie przeczytać więzienne akta przed każdą rozmową. Po to właśnie przygotowaliśmy ci te wszystkie informacje.

— Nie sądzę, żebym miał na to czas, Anno — odezwał się Johann. — Nie mam czasu nawet na złapanie oddechu między jedną rozmową a drugą.

— No cóż, lepiej będzie, jak zapoznasz się z aktami, zanim zaczniesz rozmowę z następnym kandydatem — stwierdziła Anna. — Yasin al-Kharif jest najbardziej fascynującym człowiekiem, jakiego zdarzyło mi się kiedykolwiek spotkać… Rozmawiałbyś z nim wczoraj, gdyby nie to, że obchodził swój islamski szabat i nie zgodził się na spotkanie z tobą.

Podczas przerwy Johann napił się coca-coli i przeczytał zarówno podanie o pracę, jak i dane z kartoteki więziennej na temat pana al-Kharifa. Podanie zawierało wręcz sensacyjne informacje. Mężczyzna uzyskał stopień magistra mechanika na Politechnice w Damaszku. Co więcej, Yasin al-Kharif był zatrudniony jako inżynier testujący różne urządzenia w kilku skomplikowanych pod względem technicznym zakładach. Tuż przed otrzymaniem ostatniego wyroku pracował przez rok w marsjańskiej filii koncernu Daewoo. To właśnie ta koreańska

firma produkowała używane w Valhalli lodowe kombajny.

Czytając załączony życiorys, Johann stwierdził, że chociaż pan al-Kharif nie pracował bezpośrednio przy kombajnach, powinien dobrze znać stosowane w koncernie Daewoo procedury wydawania świadectw sprawności, metody testowania podzespołów i co najważniejsze, używane części i elementy maszyn. Doświadczenie tego człowieka było wiec wręcz nieocenione! Johann zganił się w duchu, że wcześniej nie przeczytał uważnie podania tego kandydata.

Kiedy jednak skończył czytać pierwszą stronę więziennych akt, zaczął mieć niejakie wątpliwości. Przeczytał bowiem:

YASIN AL-KHARIF
Płeć: Mężczyzna
Data urodzenia: 11 maja 2110 roku
Miejsce urodzenia: Aleksandria, Egipt
Wzrost: 155 centymetrów
Waga: 65 kilogramów
Numer identyfikacyjny: 283482-11
Iloraz inteligencji: 4,04 (!!)
Współczynnik socjalizacji: 0, WYROKI:
1) Napaść seksualna, Mutchville, Mars, 14 września 2140 r.
2) Usiłowanie gwałtu, Mutchville, Mars, 22 sierpnia 2136 r.
3) Pedofilia, Lahore, Pakistan, 18 marca 2136 r.
4) Gwałt II stopnia, Canterbury, Anglia, 4 czerwca 2134 r.
5) Napaść seksualna, Damaszek, Syria, 11 lutego 2133 r.

Podsumowanie profilu psychologicznego: Genialna inteligencja, zachowanie wyjątkowo aroganckie, lekceważący stosunek do osób uznawanych za „gorsze" i wszystkich kobiet, pogarda i opór wobec wszelkiej władzy, niezależny i wyjątkowo uzdolniony, uwielbia wyzwania i dyskusje, posiada szeroką wiedzę o charakterze podstawowym zwłaszcza z zakresu nauki, techniki i historii, porywczy temperament, praktykujący muzułmanin, ale niezbyt gorliwy.

Kiedy Johann czytał te dane po raz drugi, do pokoju wszedł Yasin al-Kharif. Już na progu kandydat pokręcił nosem i nabrał powietrza w nozdrza.

— Dym tytoniowy — oświadczył nie kryjąc szyderstwa w głosie. — Nienawidzę tego… Mam nadzieję, że nie palisz.

— Nie — odrzekł Johann wyciągając rękę ponad blatem stołu. — Nie jestem palaczem.

— Prawdopodobnie jakaś suka — rzekł al-Kharif siadając naprzeciwko Johanna i ignorując jego wyciągniętą rękę. — Uwielbiają

kopcić. Czy wiedziałeś, że dwa razy tyle kobiet co mężczyzn jest niewolnicami nikotyny? To jeszcze jedna z ich słabości.

— Nazywam się Johann Eberhardt i jestem dyrektorem Placówki Terenowej Valhalla — zaczął Johann. — Głównym jej zadaniem jest wydobywanie polarnego lodu i wytwarzanie z niego wody…

— Wiem wszystko na temat Valhalli — przerwał mu al-Kharif. — W przeciwnym razie w ogóle by mnie tu nie było… Nie jestem taki jak ci wszyscy idioci, z którymi przedtem rozmawiałeś. Daj wiec sobie spokój z tymi bzdurami, Eberhardt. Wiadomość, jaka rozeszła się w więzieniu, głosiła, że potrzebujesz inżyniera, który mógłby się zająć naprawami i testowaniem kombajnów. Właściwie na czym polega praca, którą oferujesz?

W miarę upływu czas Johann miał coraz silniejsze wrażenie, że rozmowę prowadzi nie on, ale Yasin al-Kharif. Z pewnością to on zadawał więcej pytań. Mały Arab był wybitnie inteligentny, a co więcej, znał większość części i elementów, z jakich zbudowane były skomplikowane maszyny w Valhalli.

— Trzeba tylko pozmieniać obwody logiczne sterujące pracą tych HY442, gdyż w przeciwnym razie nigdy nie będziesz mógł uzyskać rozsądnych czasów bezawaryjnej pracy — oświadczył w pewnej chwili. — Mają tam jeden taki układ, który jest szczególnie narażony na uszkodzenia. Dodaliśmy kiedyś po jednym hiperobwodzie K93 do każdego HY442 w robotach spychaczy i udało się nam wycisnąć dwukrotnie większe wartości czasu miedzy awariami… Jeszcze lepiej, czy przypadkiem te kombajny nie mają w swoich komputerach nawigacyjnych elementów QC14? Można wziąć takie dwa, przełączyć pięć obwodów i zrealizować wszystkie funkcje spełniane przez HY442.

Johann był oszołomiony wiedzą tego człowieka. I choć uznał jego maniery za dość szorstkie, doszedł do wniosku, że chyba będzie mógł z nim współpracować. W swojej krótkiej karierze zawodowej spotkał się już z kilkoma drażliwymi geniuszami.

— A więc — odezwał się chcąc zakończyć rozmowę — ma pan jeszcze jakieś pytania na temat tej pracy?

— Taa — odparł lekceważąco al-Kharif. — Opowiedz mi coś o innych ludziach, z którymi przyjdzie mi się kontaktować… Uprzedzam cię, że nie lubię pracować z dziwkami, zwłaszcza wyszczekanymi.

Johann był wstrząśnięty. Wahał się przez kilka sekund, zanim odpowiedział:

— Panie al-Kharif — odezwał się, wolno cedząc słowa. — Muszę panu powiedzieć, że uważam pańskie częste nazywanie kobiet „sukami” czy „dziwkami” za obraźliwe, żeby nie użyć bardziej dosadnego słowa. Kilka osób z personelu inżynieryjnego w Valhalli to kobiety, a ja nie pozwolę…

— Rozumiem, co mi chcesz powiedzieć, Asie — przerwał mu

szorstko al-Kharif. — To dobrze o tobie świadczy. Nie dyskryminujesz kobiet. — Mogę z nimi pracować, jeżeli muszę, dopóki są kompetentne i za bardzo się nie obnoszą ze swoją kobiecością. Nie mogę tylko znieść siks, które twierdzą, że od tysiącleci są dyskryminowane i dlatego przy zmianach pracy i awansach powinny mieć pierwszeństwo przed mężczyznami.

Johann wstał i obszedł stół. Potrząsnął dłonią al-Kharifa, która okazała się bardzo wiotka. Mały Arab sięgał mu zaledwie do piersi.

— Mam zamiar podjąć decyzję w ciągu najbliższych kilku dni — powiedział. — Zawiadomię pana bez względu na to, czy będzie pozytywna, czy negatywna.

— Tylko nie wyobrażaj sobie, że ponieważ jesteś o tyle wyższy ode mnie, będę się ciebie bał lub cię szanował — rzekł na pożegnanie al-Kharif. — Możesz być sobie szefem, ale i tak wiem, kto z nas dwóch jest mądrzejszy.

No nie, do tego wszystkiego jeszcze kompleks niskiego wzrostu — pomyślał Johann, przyglądając się, jak Arab wychodzi z pokoju.

Podczas jazdy powrotnej pociągiem do Mutchville Johann myślał o Yasinie al-Kharifie. Rozważał argumenty za i przeciw. Nie podjął jednak żadnej decyzji, gdyż przez cały czas drogi rozpraszały go błazeństwa trójki młodych kobiet. Siedziały o dwa rzędy foteli przed nim, po drugiej stronie przejścia, i co chwilę wybuchały głośnym śmiechem. Jedna z nich, pełna życia blondynka, której drugie włosy układały się w godne podziwu loki, uśmiechała się kokieteryjnie do Johanna za każdym razem, kiedy spojrzał w jej stronę. Mniej więcej piętnaście minut przed wjazdem pociągu do zewnętrznej kopuły w Mutchville, blondynka wstała i podeszła do Johanna.

— Przepraszam — powiedziała. — Ja i moje przyjaciółki zastanawiałyśmy się… Czy jest pan żonaty?

— Nie — odparł Johann zachęcająco się uśmiechając.

— Hej, dziewczyny! — zawołała natychmiast blondynka do koleżanek. — Miałam rację. Jest kawalerem!

Przez pozostałą część drogi blondynka, młoda Dunka o imieniu Margretha siedziała obok Johanna, bezwstydnie go uwodząc. Jej dwie przyjaciółki zajęły miejsca po drugiej stronie przejścia i przyłączyły się do beztroskiej konwersacji. Rozmawiali o zbliżających się świętach Bożego Narodzenia, o przyjęciach i znajomych w Mutchville. Młode kobiety również wracały z Alcatraz. Odwiedzały tam koleżankę ze studiów, która miała pecha, dając się przyłapać poza Inną Strefą z niewielką ilością „miękkich” narkotyków.

— A co ty robiłeś w Alcatraz? — zapytała Johanna Margretha. — Czy jesteś może jednym ze strażników?

Kiedy Johann oświadczył, że odwiedził kolonię karną, żeby odbyć rozmowy z niektórymi więźniami w sprawie zatrudnienia ich w

Valhalli, młode damy zasypały go gradem pytań. Z odpowiedzi Johanna dowiedziały się jednak, że nie spędził dużo czasu w Mutchville i że pozostanie tam jeszcze najwyżej kilka dni. Młode kobiety kontynuowały uprzejmą rozmowę, dopóki pociąg nie zatrzymał się na stacji, ale kiedy stało się jasne, że znajomość z Johannem nie będzie długotrwała, młoda Dunka przestała go kokietować. Johann pożegnał się zmaz pewnym smutkiem.

Kiedy opuścił stację i ruszył w stronę hotelu, zdał sobie nagle sprawę, że rozpaczliwie potrzebuje kontaktu seksualnego z jakąś kobietą. Flirt z Margretha i Anną, początkowa reakcja na wdzięki Ludmiły Krasovec, a nawet nie wypowiedziane aluzje w rozmowie z Vivien podczas jazdy pociągiem do Mutchville — wszystko wskazywało, że jego celibat zaczyna być trudny do zniesienia.

Ale co mogę w tej sprawie zrobić? — zapytał sam siebie. Przypomniał sobie ostatni stosunek, przelotną, trwającą jedną noc przygodę, jaką miał z tą zuchwała belgijską badaczką, tuż przed jej wyjazdem z Valhalli na badania marsjańskich podbiegunowych lodów. Był zdumiony, kiedy policzył, że od tamtej nocy upłynęło już dziewięć miesięcy. Nic dziwnego, że tak trudno jest mi się skoncentrować na sprawach związanych z pracą — pomyślał.

Nie przestając rozmyślać o kobietach, Johann skręcił w ulicę prowadzącą do hotelu. Nagle, po prawej stronie, na jednym z domów zobaczył migający w ciemnościach mały neon. BALKONIA — REZERWACJE, głosił napis.

Johann zatrzymał się, nie spuszczając spojrzenia z neonu. Pamiętał świetnie rozmowę, jaką odbył z Narongiem na krótko przed wyjazdem z Valhalli. Jego przyjaciel, który nie miał takich zahamowań seksualnych, jakie Johann widocznie odziedziczył po swoich bliskich przodkach, wychwalał pod niebiosa zalety tego właśnie domu publicznego o nazwie „Balkonia”, twierdząc, że poziom jego usług jest wyższy nawet w porównaniu ze słynnym Ośrodkiem Xanadu w pobliżu Chiang Rai, gdzie spędził dzieciństwo.

— Balkonia jest bardzo droga — powiedział mu wówczas Narong. — Ale nie będziesz żałował ani jednego wydanego centa. Jest najlepszym burdelem w Innej Strefie… Kiedy dokonujesz rezerwacji, mówisz im, czego pragniesz, a oni, chłopie, wywiązują się z zamówienia.

Johann w końcu się zdecydował. Kiedy wszedł przez drzwi znajdujące się pod neonem, usłyszał cichą melodyjkę. Pomieszczenie, w którym się znalazł, przypominało mu poczekalnię lekarza. W małym pokoju ujrzał ekran telewizyjny, elektroniczny czytnik, a w kącie stojak z czasopismami i dyskami informacyjnymi. W bocznej ścianie zobaczył szybę, a przed nią mały kontuar. Po kilku sekundach za szybą pojawiła się atrakcyjna kobieta w nienagannie skrojonym

służbowym kostiumie.

— Czy mogę panu pomóc? — zapytała uprzejmie Johanna. Johann zbliżył się do szyby.

— Możliwe… — zaczai nerwowo. — Chciałbym na początku zapytać o świadczone tu… usługi.

— Nigdy jeszcze pan tutaj nie był? — zapytała kobieta.

— Nie — odrzekł Johann. — Ale lalka razy przychodził tu jeden z moich przyjaciół. Bardzo chwalił poziom świadczonych przez „Balkonie" usług. Chyba rozumiem, jak działacie, ale nie wiem…

— Na początku zaproponuję panu obejrzenie naszego wideogramu informacyjnego — powiedziała podając mu przez okienko w szybie mały sześcian. — „Balkonia" jest instytucją niezwykłą, jedyną w swoim rodzaju. W tym sześcianie znajdzie pan odpowiedzi na większość pytań.

Po włożeniu sześcianu do czytnika, Johann usiadł na niewielkiej kanapie. Instrukcja rozpoczęła się od prezentacji długiej procesji pięknych kobiet ubranych w najprzeróżniejsze stroje: od wieczorowych sukien przez zwykłe bluzki i dżinsy po kostiumy bikini.

— „Balkonia" nie jest zwyczajnym burdelem — mówił w tym czasie narrator. — Stworzono ją w tym celu, by w bezpieczny i dyskretny sposób zaspokajać najskrytsze marzenia seksualnych hedonistów…

Nagrany w wideosześcianie program trwał zaledwie cztery minuty. Zawierał informację, że w „Balkonii" nie było z góry ustalonych cen, że każda „sesja spełniania marzeń" wymagała indywidualnego podejścia, po którym następowało ustalenie ceny, i że wszystkie opłaty za usługę musiały być wnoszone z góry, w chwili dokonywania rezerwacji.

— Czy ma pan jakieś pytania? — zapytała go kobieta, kiedy Johann po obejrzeniu wideogramu wstał z kanapy i podszedł do kontuaru.

— W jaki sposób wyjaśnię, czego pragnę? — zapytał po krótkiej chwili wahania Johann.

— Mamy tu kilka kabin prezentowania życzeń — rzekła kobieta. — Siada pan naprzeciwko kamery wideo i po prostu mówi pan o tym, jak ma wyglądać to wszystko, czego pan oczekuje. Czasami na ekranie monitora zostaje wyświetlone pytanie, żeby podał pan więcej szczegółów. Kiedy pan skończy, nasze projektantki zapoznają się z pana życzeniami i ustalają cenę za spełnienie pana marzeń, a także określą ograniczenia, jakie zapewne będą musiały być narzucone.

— Ile czasu zajmuje procedura takiej oceny? — zapytał Johann. Kobieta popatrzyła na znajdujący się za nią komputerowy monitor.

— W tej chwili około dwudziestu pięciu minut… — odparła. — Chcę panu jednak przypomnieć, że za taką ocenę musi pan wnieść

bezzwrotną opłatę w wysokości pięćdziesięciu dolarów. Jeżeli więc nie myśli pan poważnie o dokonaniu takiej rezerwacji, proszę nie…

— Nie, nie — przerwał Johann. — Jestem zdecydowany. Chciałbym dokonać rezerwacji na Wigilię. Wręczył kobiecie swoją kartę identyfikacyjną.

— Czy mogę coś zaproponować? — zapytała go uprzejmie, kiedy strona finansowa transakcji została zakończona. — Ponieważ jest pan w „Balkonii" po raz pierwszy, może pan dokładnie nie wiedzieć, czego pan pragnie. Nie ma w tym niczego złego. Nasze projektantki i hostessy są zarówno doświadczone, jak i wyrozumiałe. Jest jednak bardzo ważne, żeby podał nam pan szczegóły, których brak mógłby zmniejszyć pańską ocenę poziomu spełniania marzeń. Jeżeli ma pan na przykład jakieś preferencje co do rasy, wieku, długości i barwy włosów, kroju sukni czy innych cech osobistych wybranej hostessy, powinien pan powiedzieć o nich już teraz. Te nieliczne sytuacje, w których nasz klient nie był zadowolony z usług „Balkonii", wynikały zawsze z faktu, że nie powiedział nam dokładnie, czego pragnie.

Johann podziękował kobiecie za radę, a później nacisnął przycisk i otworzył drzwi najbliższej kabiny. Kiedy wchodził do środka i siadał, był zdziwiony tym, jak jest zdenerwowany. Po chwili na ekranie stojącego przed nim monitora pojawiło się pierwsze pytanie.

— Nazywam się Johann Eberhardt — powiedział w końcu. — Mam trzydzieści jeden lat, z pochodzenia jestem Niemcem, a w tej chwili pracuję jako dyrektor Placówki Terenowej Valhalla, która…

Johann spędził w kabinie prawie godzinę. Na początku mówił o sobie, swojej rodzinie i innych sprawach osobistych. Kiedy stało się jasne, że idzie mu coraz lepiej, pytania na ekranie zachęciły go opisania, jak powinien wyglądać jego zdaniem idealny stosunek oraz jakie powinny być cechy jego wymarzonej partnerki. Johann doskonale wiedział, co lubi, a czego nie lubi u kobiet. Kiedy jednak pytania stały się bardziej szczegółowe i zaczęły dotyczyć spraw natury seksualnej, miał trochę kłopotów z udzielaniem odpowiedzi. Nigdy nie czuł się pewnie, prowadząc rozmowy na ten temat. Później przypomniał sobie, co najbardziej podnieca go podczas masturbacji, i potrafił powiedzieć, czego oczekuje po Wigilii.

Kiedy wyszedł z kabiny, przez piętnaście minut przeglądał w poczekalni elektroniczne czasopismo. Później na małym stoliku w kącie pokoju zauważył stojącą niewielką planszę. Napis na niej głosił: „Z przykrością informujemy naszych szanownych klientów, że będziemy świadczyli usługi tylko do 30 marca 2143 roku".

Johann przeszedł przez pokój i sięgnął po planszę. Jeszcze jedna ofiara recesji — pomyślał. — Nawet rozpusta potrzebuje zdrowej sytuacji gospodarczej.

— Pańska ocena została zakończona, panie Eberhardt —

odezwała się nagle kobieta za kontuarem. — Możemy potwierdzić pańską rezerwację na ósmą wieczorem w Wigilię… Ma pan dużo szczęścia. Pańską hostessą będzie sama zastępczyni kierowniczki firmy.

— A jaki będzie koszt? — zapytał Johann.

— Najpierw proszę mi pozwolić powiedzieć, że chociaż zgłosił pan kilka niezwykłych życzeń wymagających dłuższego czasu na przygotowania, „Balkonia" zamierza uwzględnić wszystkie pana życzenia z wyjątkiem jednego — odezwała się kobieta. — Nie możemy zapewnić panu hostessy, która spełni wszystkie inne pana wymagania i zarazem będzie mówiła płynnie po niemiecku.

— Nic nie szkodzi — powiedział Johann. — Dorzuciłem wymóg znajomości niemieckiego jako dodatkowy. — Uśmiechnął się. — Jestem pewien, że całkiem dobrze umiem kochać się po angielsku.

Zapadła krótka cisza.

— Jaki koszt, proszę? — powtórzył Johann.

— Uwzględniając absolutnie wszystkie pańskie życzenia z wyjątkiem napiwku dla hostessy, koszt spełnienia pańskich 'marzeń wyniesie siedemset pięćdziesiąt marsjańskich dolarów. Johann gwizdnął.

— Lepiej będzie, jeżeli się nie zawiodę — powiedział kilka sekund później, kiedy wręczył kobiecie swoją kartę identyfikacyjną.

4

W dniu, w którym na Marsie przypadała Wigilia, Johann obudził się dosyć wcześnie. Popływał w hotelowym basenie, a później nagrał krótką informację wideo i kazał przesłać ją rodzicom. Wracając do pokoju, by zadzwonić do Valhalli do Naronga, przechodził przez hotelowy westybul ozdobiony bożonarodzeniowymi girlandami. Przystanął przed dużą zieloną choinką stojącą na środku i uśmiechnął się do siebie. Świąteczne ozdoby przypomniały mu, w jaki sposób ziemski kalendarz decydował o wszystkim, co działo się na Marsie.

Ponieważ marsjański dzień był w rzeczywistości około czterdziestu dwóch minut dłuższy od ziemskiego, trzeba było wprowadzić poprawki, aby oba kalendarze zgadzały się ze sobą. I tak każdy marsjański miesiąc z wyjątkiem lutego był o jeden dzień krótszy niż ten sam miesiąc na Ziemi, a poza tym nie było lat przestępnych. Pozostałe niewielkie różnice korygowano na końcu każdego dziesięciolecia.

Bardziej skomplikowanym problemem był marsjański rok. W gruncie rzeczy bieżący kalendarz ignorował fakt, że rok na czerwonej planecie liczył sześćset osiemdziesiąt siedem dni. Ponieważ ludzie na Marsie przez cały czas przebywali w środowisku stworzonym przez nich samych pod ochronnymi kopułami, nie podlegali wpływom znacznych różnic temperatury, zachodzących wraz ze zmianą marsjańskiej pory roku. Na życie tych ludzi oddziaływały jednak burze piaskowe, które występowały głównie latem. Kiedy były bardzo silne i obejmowały zasięgiem duży teren, zamierała komunikacja zarówno pasażerska, jak i towarowa. Ani pociągi, ani wahadłowce nie mogły kursować bezpiecznie w gęstych chmurach marsjańskiego pyłu, pędzonych po równinach przez wiatry, których prędkość dochodziła do pięciuset czy sześciuset kilometrów na godzinę. Właśnie z tego powodu marsjańskie pory roku były zawsze zaznaczane w sporządzanych na wzór ziemski kalendarzach.

Johann musiał czekać ponad pół godziny, zanim operatorowi udało się nawiązać łączność z Valhallą. Na początku nie było nic widać, a głos tajlandzkiego zastępcy dobywał się jak ze studni. Dopiero po pięciu minutach rozmowy obraz stał się wyraźniej szy, ale i tak od czasu do czasu twarz Naronga rozmywała się na ekranie.

— Telekomunikacja Marsa powiadomiła nas, że nie zamierza utrzymywać połączeń wizyjnych z abonentami mieszkającymi na pomoc od BioTech — powiedział Narong, kiedy on i Johann rozmawiali na temat nie najlepszej jakości połączenia. — Ci z MAK-a nie zgodzili się na dalsze pokrywanie kosztów napraw i konserwacji.

— Obawiam się, że moje wieści też nie są pomyślne — odparł

Johann. — Zacznę od tego, że nie udało mi się uzyskać dla ciebie terminu wcześniejszej rezerwacji.

— Nie spodziewałem się, że uda ci się cokolwiek zrobić — rzekł Narong. — Ale dziękuję, że próbowałeś. A co słychać w sprawie części? Czy wyjaśniłeś tym półgłówkom, że nie będziemy mogli wykonywać planu, jeżeli nasz sprzęt nie będzie właściwie naprawiany i testowany?

Narong nie był zachwycony, kiedy Johann opisał mu przebieg swojej wizyty w dziale zaopatrzenia MAK-a. Obaj inżynierowie przez kilka następnych minut narzekali na biurokratów z agencji i nieskuteczność działań tej instytucji, a później Johann podsumował swoje próby zatrudnienia nowych ludzi, skupiając się na pracownikach wykwalifikowanych.

— Nie mam nic przeciwko Watsonowi i pani Kasper — rzekł Narong. — Prawdę mówiąc, pracowałem już kiedyś z takimi zwariowanymi komputerowymi włamywaczami jak on. Zachowują się jak dziwacy, ale w gruncie rzeczy są nieszkodliwi… A jeżeli chodzi o zatrudnianie więźniów, nie mam nic przeciwko temu, o ile nie będą stanowili zagrożenia dla innych. Warunki panujące w Valhalli pod wieloma względami przypominają więzienie. Martwi mnie jednak ten al-Kharif. Byłoby wspaniale, gdybyśmy mogli go mieć u siebie, ale co zrobisz, jeżeli napadnie na jakąś naszą pracownicę?

— Umowa przewiduje, że zatrudnienie i późniejsze darowanie reszty kary zależy wyłącznie od zachowania się kandydata — odparł Johann. — Zasadniczo będę pełnił więc funkcję jego więziennego kuratora. Jeżeli uznam za słuszne, będę mógł w każdej chwili odesłać go do więzienia, by odsiedział w nim resztę kary.

— Do diabła — zaklął Narong. — To naprawdę skomplikowana sytuacja. Jedyna osoba chociaż trochę nadająca się do tak odpowiedzialnej pracy ma stosunek do kobiet niewiele lepszy od jaskiniowca.

— Jest nawet jeszcze gorzej — poprawił go Johann. — Al-Kharif jest utalentowany i ma wyjątkowo dobre kwalifikacje. Uważam, że może dokonać gruntownego przeglądu procedur napraw i testów naszego sprzętu, co znacznie zwiększy wydajność pracy.

— Jeżeli wcześniej kogoś nie zgwałci… Nie chciałbym być wówczas na twoim miejscu. Wygląda na to, że musisz podpisać pakt z samym diabłem.

Po krótkiej dyskusji na temat demontażu laboratoriów chemicznych MAK-a i niepowodzenia starań Johanna, żeby znaleźć kogokolwiek, kto mógłby zbadać szybę jego hełmu, Narong oznajmił mu, że nadal nie nawiązano łączności z grupą azjatyckich naukowców, którzy wyprawili się w okolice bieguna.

— Jutro upływa tydzień od chwili, kiedy mieliśmy ostatni kontakt

— stwierdził Narong. — Staraliśmy się połączyć z nimi przynajmniej raz każdej nocy, a wczoraj próbowaliśmy to zrobić nawet w ciągu dnia… Na wypadek gdyby zmienili pory snu i pracy.

— A nie można jakoś sprawdzić, czy ich sprzęt łączności funkcjonuje prawidłowo? — zapytał go Johann.

— Próbowaliśmy dwukrotnie, ale za każdym razem otrzymywaliśmy niejednoznaczne rezultaty. Możliwe, że mają awarię.

— Ale to nie jest nic pewnego — stwierdził Johann.

— Nie wiemy też, czy są cali i zdrowi — odparł Narong. — Połączyłem się wczoraj z dyrekcją MAK-a i zapytałem, czy pozwolą wysłać jedną z patrolówek na poszukiwania. I wiesz, co odpowiedzieli? Ze nie mogą ponosić kosztów, dopóki nie wykażemy, iż istnieje zagrożenie życia! Zwykłe biurokratyczne wymówki!

— Czy dysponujemy jakąś sprawną patrolówką? — zapytał Johann.

— To zupełnie inna sprawa — odrzekł Narong. — Dwie są w naprawie. Pozostałe cztery przez cały czas nadzorują działanie taśmociągów.

— A zatem, co proponujesz? — rzekł Johann.

— Jeszcze przez dwa dni starajmy się połączyć z nimi przez radio. Jeżeli nie odpowiedzą, wyślemy do ich obozu patrolówkę… Nawet gdybyśmy musieli uszczuplić w ten sposób nasze środki na administrację.

— Zgadzam się — powiedział Johann.

Po skończeniu rozmowy z Narongjem Johann postanowił przejść się po ulicach Mutchville. Chodził po mieście prawie przez godzinę i w końcu znalazł się w dzielnicy willowej w otoczeniu czynszowych kamienic, jednopiętrowych rezydencji i nielicznych pawilonów handlowych. Zamierzał właśnie skręcić w boczną ulicę, by powrócić do hotelu inną drogą, kiedy po drugiej stronie obok sklepu z widokówkami zobaczył małe biuro z napisem: „TOWARZYSTWO DO SPRAW RAMY”. W pierwszej chwili wydało mu się, że oczy płatają mu dziwnego figla. Upewniwszy się jednak, że odczytał napis prawidłowo, skręcił w tamtą stronę i wszedł do biura.

Poczekalnia dla interesantów nie była wiele większa od szafy na ubrania w luksusowej rezydencji. Pod oknem stały dwa składane krzesła. Naprzeciwko drzwi wejściowych za niewielkim kontuarem znajdowało się przepierzenie z zawieszonym na nim białym transparentem z jaskrawoczerwonymi literami głoszącymi: „TOWARZYSTWO DO SPRAW RAMY”. Obie boczne ściany były pozbawione ozdób. Za kontuarem, w samym rogu przepierzenia, widać było drugie drzwi.

Johann stal na środku poczekalni przez dobre dwie minuty. Nikt jednak się nie pokazał. Podszedł w końcu do kontuaru i lekko zapukał.

— Dzień dobry — powiedział. — Jest ktoś w domu?

Usłyszał czyjeś kroki i po kilku sekundach drzwi w przepierzeniu otworzył niski, pulchny, mężczyzna w okularach i długiej czerwonobiałej szlafmycy. Kiedy rzucił okiem na Johanna, cała krew odpłynęła z jego rumianej twarzy.

— Och, mój Boże — jęknął, a potem wyszedł szybko z pokoju i zamknął drzwi za sobą.

— Clem! — po chwili Johann usłyszał jego wołanie. — Musisz tu przyjść! Nie uwierzysz, kto właśnie wszedł do naszego biura.

Po trzydziestu sekundach kobieta wyglądająca na siostrę bliźniaczkę mężczyzny otworzyła drzwi, wytknęła głowę i spojrzała na Johanna.

— Jezusie! — zawołała, a potem natychmiast odwróciła się i zniknęła. — Masz rację, Darwinie — krzyknęła. — Nie ma żadnej wątpliwości.

Johann czekał cierpliwie na powrót pary dziwnych ludzi. Słyszał, że rozmawiają ze sobą za drzwiami przepierzenia, ale nie mógł zrozumieć o czym. W końcu zdecydował, że co za dużo, to niezdrowo.

— Jeszcze raz dzień dobry — powiedział głośno. — Nadal tu jestem.

Drzwi otworzyły się powoli i zarówno mężczyzna, jak i kobieta weszli do poczekalni, potykając się w wąskim przejściu.

— Bardzo pana przepraszamy — odezwał się bojaźliwie mężczyzna, przygryzając dolną wargę, unikał wzroku Johanna. — Nie wiedzieliśmy, że pan przyjdzie, i, hm, cóż, trochę nas to zaskoczyło.

— Do diabła, nie wiedzieliśmy nawet, że przebywa pan na Marsie — dodała kobieta, a później, ośmielona uśmiechem Johanna, ominęła kontuar, podeszła do niego i chwyciła go za rękę. — On naprawdę istnieje, Darwinie. To nie jest żadna zjawa.

Mężczyzna dołączył do nich i jak gdyby tknięty nagłą myślą, wyciągnął rękę.

— Nazywam się Darwin Bishop — powiedział. — A to moja żona, Clementine. Możesz mówić do niej Clem.

— Miło mi cię poznać, Darwinie — rzekł Johann. — Ja nazywam się Johann Eberhardt… Z pewnością ty i twoja żona bierzecie mnie za kogoś…

— A więc tak się nazywasz — przerwał mu Darwin. — Johann Eberhardt. W końcu możemy dopasować nazwisko do twojej słynnej twarzy.

— Jezu, ależ on jest wysoki — rzekła Clem. — Oglądając wideo, nie miałam pojęcia, że może być taki wielki… Jak sądzisz, Darwinie, może mieć jakieś dwa dziesięć?

— Dwa metry jedenaście — oświadczył Johann.

— Do diabła, prawdziwy z ciebie gigant — stwierdziła Clem. —

Nic dziwnego, że te śmieszne cząstki wybrały ciebie, by nawiązać kontakt.

Johann w końcu zaczynał rozumieć. Ta dwójka otyłych ludzi, którzy teraz przez cały czas krążyli w podnieceniu wokół niego, bez wątpienia musiała oglądać nagranie wywiadu z Johannem, w czasie którego opowiadał szczegółowo o swojej dziwnej przygodzie w Tiergarten. Johann, idąc za radą Carlosa Saucedy, nie podał wówczas swojego nazwiska.

— To zbyt piękne, by mogło być prawdziwe — mówił tymczasem Darwin. — Co za wspaniały świąteczny prezent dla wszystkich marsjańskich członków naszej grupy.

— Musimy natychmiast powiedzieć o tym pozostałym — odezwała się Clem. — Nie wątpię, że każdy będzie chciał go poznać i zamienić chociaż kilka słów.

— Jeżeli nie macie nic przeciwko temu, wolałbym porozmawiać najpierw z wami — wtrącił się Johann, przerażony perspektywą spotkania się z tłumem ludzi podobnych do Clem i Darwina. — Czy możemy zacząć od tego, co wiecie o tych dziwnych cząstkach?

Darwin i Clem zabrali Johanna na zaplecze biura, zatłoczone pudłami, paczkami z bożonarodzeniowymi upominkami, komputerami i innymi urządzeniami elektronicznymi, byle jak ustawionymi w różnych miejscach dużego pomieszczenia. Znaleźli jakiś stół, a Darwin ustawił przy nim trzy krzesła.

Clem podała Johannowi coś do picia i zaczęli rozmawiać. Bishopowie zadawali Johannowi mnóstwo pytań, chcąc dowiedzieć się, co czuł w trakcie tamtego spotkania, jak mógłby wyjaśnić zjawisko, które widział, i czy w ogóle wierzy w istnienie inteligentnych istot żyjących w przestrzeni kosmicznej lub w innym niepostrzegalnym wymiarze. Byli trochę rozczarowani odpowiedziami Johanna, któremu ich zdaniem brakowało wyobraźni. Zarówno Clem, jak i Darwin mieli na temat pochodzenia tajemniczych cząstek własne, choć odmienne teorie, z których żadna nie trafiała do przekonania kierującemu się logiką Johannowi.

Bishopowie powiedzieli mu, że nagranie wideo wywiadu z Johannem, które dotarło do nich dopiero przed czterema miesiącami, natychmiast wzbudziło w ich towarzystwie wielką sensację. Okazało się bowiem, że analiza chemiczna śladów pozostawionych przez drobiny w kieszeni torby wykazała obecność bardzo złożonych cząsteczek, które z całą pewnością nie zostały wyprodukowane na Ziemi. Johann zadał małżonkom kilka pytań na temat tych cząsteczek, chcąc upewnić się, czy nie mogły powstać jako produkt uboczny jakiejś stosunkowo prostej chemicznej reakcji, ale ani Darwin, ani Clem nie umieli powiedzieć mu nic więcej.

Po kilku minutach odezwał się brzęczyk telefonu. Darwin

odnalazł aparat za stertą jakichś pudeł.

— Zgadnij, kto siedzi u nas w biurze i rozmawia z Clem i ze mną? — powiedział, kiedy on i jego przyjaciel Wyatt wymienili słowa powitania. — Ten Niemiec; ten sam, który złapał tamte kulki w Berlinie… Słowo daję!… Nie obchodzi mnie, żerni nie wierzysz… Nie, nie mogę ci go pokazać, bo nie wiem, gdzie podziałem swoją kamerę wideo… Po prostu wszedł do biura, mniej więcej przed godziną. Clem i ja omal nie zemdleliśmy z wrażenia… Czy uwierzysz, Wyatt, że teraz na Marsie jest aż troje ludzi, którzy na własne oczy widzieli te dziwne kulki? Prawdopodobieństwo tego, że to przypadek, uważam za znikomo małe… Nie wiem, Wyatt, nie pytałem go o to. Ale damy ci znać, kiedy dowiemy się czegoś więcej… Tobie też życzę wesołych świąt. Do zobaczenia.

Kiedy Darwin się rozłączył, Johann zapytał go natychmiast o zdanie z jego rozmowy, dotyczące „trójki" ludzi, którzy osobiście zetknęli się z kulkami.

— Pozostałe dwie to siostry z zakonu Świętego Michała — odparła Clem. — Zobaczyły je w Anglii. Obie tego samego dnia. Carlosowi udało się zarejestrować rozmowę z jedną z nich w jakiś tydzień po tym, jak nagrał wywiad z tobą.

— Jeden z członków naszego towarzystwa, który zapamiętał jej twarz z nagrania wideo, rozpoznał ją — w zeszłym tygodniu rozdawała żywność w ośrodku dla bezdomnych w Newport. Kiedy jednak zagadnął ją o te cząstki, zakonnica powiedziała mu, by dał jej spokój, gdyż nie chce mieć nic wspólnego z Towarzystwem do Spraw Ramy.

— Nie wiemy, kim jest ta druga zakonnica — dodała Clem — ale Carlos napisał w liście do członków naszego towarzystwa, że prawdopodobnie także przebywa na Marsie. Wywnioskował to z pewnych uwag, jakie wymknęły się pierwszej siostrze w trakcie przeprowadzania z nią wywiadu.

— Czy mogę zobaczyć ten film? — zapytał Johann.

— Oczywiście — odparł Darwin. — Jestem pewien, że gdzieś tu leży.

Przez następne trzy czy cztery minuty szperał pośród stosów przeróżnych pudeł.

— Jest! — krzyknął radośnie. — Etykieta na pudełku głosi: „Dwie siostry tego samego dnia". Otrzymaliśmy je siedemnastego października 2142 roku.

— Dlaczego tak długo trwało, zanim tutaj dotarł? — spytał Johann.

— Carlos powiedział, że zaraz po dokonaniu nagrania miał duże kłopoty z zakonem Świętego Michała. Oświadczyli mu, że obawiają się wrażenia, jakie może wywrzeć ten wywiad na opinii publicznej.

— Do diabła — dodała Clem. — Carlos twierdzi, że zakon starał się nawet odkupić od niego to nagranie w zamian za hojny dar na rzecz naszego towarzystwa… Nie wysyłał więc żadnych kopii, dopóki nie był pewien, że michalici zapomnieli o całej sprawie.

Johann natychmiast rozpoznał siostrę Vivien, ale ani słowem nie wspomniał o tym Clem i Darwinowi. Vivien opowiedziała o swoim spotkaniu bardzo zwięźle, podkreślając kształt aniołka, jaki przybrała chmura kulek, oraz fakt, że w chwili pojawienia się cząstek jej umysł zaprzątnięty był decyzją o przyjęciu święceń. To zapewne dlatego zakon nie chciał, by to nagranie stało się powszechnie znane — pomyślał Johann. — Choć właściwie nie rozumiem, w jaki sposób miałoby to mu zaszkodzić.

Pod sam koniec nagrania znalazł się niespełna minutowy fragment, w którym Vivien opisywała podobne spotkanie, jakiego doświadczyła inna michalitka w Hyde Parku w Londynie tego samego ranka.

Po powtórnym obejrzeniu nagrania Johann wstał, zamierzając się pożegnać.

— Chyba nie chcesz nas opuścić — rzekła Clem. — Dopiero zaczęliśmy rozmowę… A poza tym nie ustaliliśmy terminu twojego spotkania z pozostałymi członkami.

— Jestem umówiony na obiad z przyjacielem — oświadczył Johann. — A przedtem muszę jeszcze kupić kilka świątecznych upominków.

— A kiedy wrócisz? — zapytał go Darwin. — I w jaki sposób będziemy mogli się z tobą skontaktować?

— Serdecznie wam dziękuję za wszelkie informacje — rzekł Johann. — I rozumiem, że jesteście podnieceni tym, co mi się przydarzyło… Ale wolałbym nie podawać swojego adresu i numeru telefonu do publicznej wiadomości. Moje życie prywatne ma dla mnie bardzo dużą wartość. Jestem pewien, że mnie zrozumiecie.

— Tak, naturalnie — odparła Clem nie kryjąc rozczarowania. — Jesteśmy zachwyceni, że wpadłeś do nas. Czy możemy cię prosić o jeszcze jedną przysługę, zanim wyjdziesz?

— O jaką? — zapytał Johann.

— Czy pozwolisz, byśmy zrobili kilka zdjęć i nagrali jakiś krótki film wideo na dowód, że naprawdę tu byłeś? To dla nas bardzo ważne.

— Oczywiście — zgodził się Johann. Gdy pozował do zdjęć obok Clem i Darwina, myślami błądził gdzie indziej. Był zaintrygowany i zafascynowany faktem, że i siostra Vivien widziała te same dziwne kulki. Muszę zobaczyć się z tą zakonnicą czy kapłanką — powiedział sobie. — I to jeszcze przed powrotem do Valhalli.

5

Pod przywództwem siostry Beatrice zakon Świętego Michała radził sobie na Marsie bardzo dobrze. Już po trzech miesiącach od chwili jej przylotu wysokość zbieranych ofiar i liczba chętnych do przyjęcia święceń pomimo wciąż panującej trudnej sytuacji gospodarczej wzrosły jak nigdy dotąd. Wkrótce potem siostra Beatrice zajęła się nadzorem prac projektowych i stawianiem nowej katedry na przedmieściach Mutchville. Dzięki wyjątkowemu poświeceniu trudzących się przy budowie braci i sióstr, od chwili rozpoczęcia robót ziemnych do czasu zakończenia budowy upłynęło zaledwie siedem miesięcy.

Katedra była pierwszym tak dużym nowym budynkiem wzniesionym w Mutchville w ciągu ostatnich trzech lat. Dość powiedzieć, że jej strzelista iglica kończyła się czterdzieści metrów poniżej ochronnej kopuły miasta. Obok głównego wejścia stał wykonany z brązu posąg Chrystusa w otoczeniu ptaków i dzieci. Na cokole, pod bosymi stopami Jezusa, widniał napis: POZWÓLCIE DZIECIOM PRZYCHODZIĆ DO MNIE. Na tyłach katedry ustawiono drugi posąg przedstawiający świętego Michała stojącego na schodach przed pomnikiem Wiktora Emanuela na Piazza Veneto w Rzymie. Wokół głowy okolonej przez gęste loki widać było wielkie płomienie symbolizujące wybuch atomowy, który pod koniec czerwca 2138 roku w jednej sekundzie zamienił świętego w parę.

Wrota świątyni były otwarte przez całą dobę. Ludzie mogli w każdej chwili przyjść po darmową strawę lub ubranie. Mogli też spać na pryczach czy rozłożonych matach, korzystać z łazienek i toalet, zasięgać porad michalitów będących lekarzami, a nawet jeżeli trapiły ich jakieś problemy, porozmawiać z którymś z zakonników specjalizujących się w udzielaniu porad.

Johann był zdumiony, że mimo Wigilii Bożego Narodzenia, przy wejściu do kościoła kręciło się tak wielu ludzi. Przez dziesięć minut stał po drugiej stronie placu, oparty o wystawę jakiegoś sklepu. Obserwując wchodzących i wychodzącym z katedry, zastanawiał się, co powie siostrze Vivien.

Zdawał sobie sprawę z tego, że nawet samo zobaczenie się z nią może wcale nie być takie proste. Możliwe, że w ogóle nie ma jej w Mutchville — powiedział sobie, ruszając przez plac w stronę katedry.

Kiedy zbliżał się do kościoła, drzwi kiosku z papierosami obok teatru nagle się otworzyły i ze środka wyszła ciemnoskóra kobieta, ubrana w niebieski habit i niebiesko-biały kornet zakonu Świętego Michała. Johann jej nie widział. Siostra Vivien jednak rozpoznała go natychmiast. Przyspieszyła i spotkała się z nim na samym środku

placu.

— A więc, gigancie Johannie, nie zapomniałeś? — powitała go, szeroko się uśmiechając. — Dla ilu ludzi przyniosłeś bożonarodzeniową kolację? Tu, w kościele, nim zaświta jutrzejszy dzień, możemy nakarmić ich nawet tysiąc.

— Dzień dobry, siostro Vivien — odezwał się zaskoczony Johann. Dopiero po chwili i on się roześmiał. — Obawiam się, że zapomniałem o kolacji.

— Jeszcze nie jest za późno — stwierdziła siostra Vivien. — Dopiero Wigilia. Kierownik supermarketu nadal rezerwuje dla nas trzydzieści indyków. Powiedz mi, gigancie Johannie, ile takich chcesz kupić dla swoich bliźnich?

Johann zatrzymał się na chwilę.

— Czy naprawdę karmicie każdego, kto przyjdzie, nie zadając żadnych pytań?

— Naprawdę — odparła poważnie Vivien. — I z takim samym zapałem, z jakim prosimy o pieniądze ludzi obdarzonych większym szczęściem.

— No cóż — rzekł Johann. — Przyszedłem tu, bo chciałem się spotkać z tobą. Wiem, jak bardzo jesteś zajęta, ale jest coś, o czym chciałem porozmawiać. Jeżeli na waszą bożonarodzeniową kolację zgodzę się kupić, powiedzmy, pięć indyków, czy zechcesz porozmawiać ze mną w drodze do supermarketu i z powrotem?

— Dorzuć do tego dwadzieścia kilogramów ziemniaków — odparła Vivien, czarująco się uśmiechając — a zgodzę się nawet flirtować z tobą w tę i tamtą stronę.

Johann oznajmił siostrze Vivien, że przyszedł porozmawiać z nią o czymś, co łączy ich oboje.

— O czym? — zapytała beztrosko.

— Oboje przeżyliśmy spotkanie z chmurą białych, świetlistych kulek — odparł, a później opowiedział jej o swojej przygodzie w Tiergarten.

Vivien zatrzymała się w pół kroku.

— Dokładnie takie same… — odezwała się w pewnej chwili, z wrażenia nie mogąc dokończyć zdania.

Kiedy Johann opisał jej ślady, jakie kulki pozostawiły na materiale kieszeni jego torby, Vivien zaczęła aż drżeć z podniecenia.

— Ślady? — zapytała łapiąc Johanna za ramiona. — Aniołowie pozostawili jakieś ślady? Johann kiwnął głową, a zakonnicę ogarnął szał radości.

— Och, Boże — powiedziała nie posiadając się ze szczęścia. — Dziękuję ci, dziękuję, za zesłanie mi jeszcze jednego znaku… Tak bardzo nam błogosławisz. Siostra Beatrice będzie zachwycona.

Odwróciła się i zaczęła biec w stronę supermarketu.

— Chodź, bracie Johannie! — zawołała. — Musimy się pospieszyć, żeby kupić żywność i wrócić do kościoła.

— Poczekaj! — krzyknął Johann za oddalającą się Vlvien. — To nie wszystko… W ubiegłym tygodniu widziałem je jeszcze raz, tu, na Marsie, w okolicach bieguna północnego.

Vivien zatrzymała się i odwróciła.

— Co powiedziałeś? — zapytała.

— Widziałem te świetliste kulki jeszcze raz — powtórzył Johann podchodząc do niej. — Kiedy wyprawiłem się w okolice bieguna, by dokonać naprawy lodowego kombajnu. Było to na kilka dni przed moim przyjazdem do Mutchville.

Podniecenie Vivien przerodziło się w niedowierzanie.

— Czy to ma być jakiś dowcip? — zapytała. — Jeśli tak, to z pewnością kiepski… Zapewne napuścili cię na mnie ci dziwacy z Towarzystwa do Spraw Ramy, nieprawdaż? Tylko oni na całym Marsie wiedzieli…

— Zapewniam cię, że to nie jest żaden dowcip — oświadczył Johann, patrząc jej prosto w oczy. — Jestem śmiertelnie poważny. Jeśli tylko okażesz trochę cierpliwości, opowiem całą historię.

— Zamieniam się w słuch — rzekła zakonnica. Wciąż sprawiała wrażenie, jakby mu nie wierzyła.

Kiedy Johann kończył swoją opowieść, Vivien pozdrowiła jakiegoś przechodzącego ulicą michalitę.

— Bracie Angelo — zaczęła. — Czy nie chciałbyś wyświadczyć mi przysługi? Zakonnik podszedł do nich, a kobieta poprosiła Johanna o pieniądze.

— Bracie Angelo, proszę cię, zanieś je do supermarketu — powiedziała. — Kup za nie jeszcze pięć świątecznych indyków, które rezerwuje dla nas Walter, a za resztę tyle ziemniaków i farszu, ile starczy. Później zanieś to wszystko do siostry Dalii. Powiedz jej, że to dar od brata Johanna, a ja jej wszystko wyjaśnię trochę później.

Kiedy Johann skończył opisywać Vivien swoje drugie spotkanie z chmurą kulek, zakonnica zasypała go gradem pytań. Chciała poznać jak najwięcej szczegółów dotyczących przemian, jakim ulegała chmura i wypełniające ją małe kulki. Wypytywała go także o podobną do piłki tenisowej kulę, która rozbiła się o szybę jego hełmu.

— Jak myślisz, dlaczego uderzyła w twoją szybę? — zapytała. — To wydaje mi się dziwne, zupełnie nie w jej stylu. Odwróciła się i ruszyła w stronę kościoła.

— Nie w jej stylu? — powtórzył Johann. — Muszę przyznać, że to niezwykłe stwierdzenie. Vivien się roześmiała.

— Myślę, że masz rację — rzekła. — Siostra Beatrice i ja… Cóż, przypuszczam, że będzie lepiej, jak opowie ci o tym sama, ale sądzimy, że te świetliste kulki to aniołowie. Posłańcy od Boga, jak w

Biblii… A pojawiają się tylko w szczególnie ważnych chwilach.

Tym razem Johann wyglądał na zdumionego.

— Aniołowie? — zapytał.

— Siostra Beatrice ci to wytłumaczy — odparła Vivien. — Ona potrafi być bardzo przekonująca.

W obu bocznych ścianach katedry znajdowały się okna ze wspaniałymi wielobarwnymi witrażami. Przedstawiały sceny z życia Jezusa i świętego Michała z Sieny. Rozproszone promienie słońca przenikające przez podwójną kopułę Mutchville nie ukazywały jednak w pełni piękna barwionych szkieł w oknach. Ale jeden z michalitów, który przed złożeniem zakonnych ślubów pracował w wytwórni filmowej jako kierownik działu oświetlenia, zaprojektował montowane na dachu składane tablice z reflektorami umożliwiającymi oglądanie całej gamy barw tych arcydzieł sztuki. Z okazji Wigilii tablice te znajdowały się na swoich miejscach. Kilkaset osób przebywających w katedrze znalazło się tam głównie po to, by podziwiać witraże.

Tylną część świątyni zamieniono na stołówkę. Całą wolną przestrzeń zajmowały drugie stoły, okryte zwyczajnymi białymi obrusami. Przed stołami, w pobliżu ołtarza, czworo zakonników i zakonnic wydawało posiłki ludziom stojącym w krótkiej kolejce. Głodni przychodzili tu na trzecią po południu, żeby zjeść posiłek. Pod ścianami w tej samej części świątyni ustawiono duże kosze z upranymi i posortowanymi według rozmiarów ubraniami, tak by były dostępne dla wszystkich potrzebujących.

Kiedy Vivien odeszła na chwilę, żeby zająć się jakąś sprawą, Johann został sam. Był zdumiony, kiedy wbrew samemu sobie stwierdził, że sceny, na które patrzy, poruszają go do głębi. Wszyscy bez wyjątku michalici wydawali się bez reszty oddani swojej pracy. Nie było cienia wątpliwości, że to, co robią, jest ważne i pożyteczne. Może jednak nie powinienem traktować tego tak cynicznie — powiedział sobie Johann.

W tej samej chwili usłyszał pierwsze dźwięki syntetyzowanej przez komputer muzyki, która wypełniła całą świątynię. Zobaczył, że stojąca po przeciwnej stronie kościoła, nieco na lewo od ołtarza, samotna kobieta ubrana w niebieski habit z szerokim białym pasem zaczyna śpiewać.

— O, Święta Nocy… Rozjaśniona jedynie gwiezdnym blaskiem…

Johann stał jak rażony piorunem. Nigdy w całym dotychczasowym życiu nie słyszał tak czystego i pięknego głosu. Jego niebiańskie brzmienie sprawiało, że słuchał go jak zahipnotyzowany.

— To noc, w której przyszedł nasz dobry Pan… Na świat, pełen występku i grzechu…

Wszystkie inne odgłosy w katedrze ucichły. Dosłownie każdy, bez względu na to, co robił, oniemiał i w zachwycie słuchał głosu anioła

śpiewającego przy ołtarzu.

— Padnijcie na kolana… O, słuchajcie anielskich głosów…

Johann nie był nawet świadom, że w jego oczach pojawiły się łzy, które zaczęły spływać po policzkach. Kiedy zdumiewający głos przybrał na sile pod koniec pieśni, zamknął oczy i postarał się skupić wyłącznie na słuchaniu tego wspaniałego śpiewu. Doznawał tak niewysłowionej przyjemności, jakby jego dusza została oddzielona od ciała.

Zakonnica odśpiewała tylko jedną zwrotkę kolędy. Kiedy Johann otworzył oczy, dostrzegł, że przygląda mu się stojąca o kilka metrów dalej Vivien. Zakłopotany, wyciągnął z kieszeni chusteczkę i wytarł nos i oczy.

— Jest naprawdę dobra, nieprawdaż? — odezwała się łagodnie Vivien, która w tym czasie nadeszła. Johann przez kilka chwil nie mógł wymówić ani słowa.

— To za mało powiedziane — stwierdził, gdy w końcu odzyskał mowę.

— Siostra Beatrice chciała wypróbować przed wieczorną uroczystością nasz nowy system nagłośniający — rzekła Vivien po chwili.

— To była… siostra Beatrice? — zapytał Johann, nie starając się nawet ukryć przeżytego wstrząsu. — Ta druga zakonnica, która także widziała świetliste cząstki?

— Tak, ta sama — z uśmiechem przyznała Vivien.

— Bóg ci pobłogosławił, bracie Johannie — odezwała się siostra Beatrice. — Musi mieć dla ciebie jakąś bardzo ważną pracę.

Johann poruszył się niespokojnie na krześle. Wszyscy troje siedzieli od dziesięciu minut w małym gabinecie Beatrice, znajdującym się z boku ołtarza. Johann w skrócie opowiedział o swoich dwóch spotkaniach z chmurami dziwnych kulek, a siostra Beatrice zadała mu kilka rzeczowych pytań. Odpowiedział na nie, trochę zakłopotany, gdyż wciąż jeszcze nie mógł wyjść z podziwu na widok tej kobiety o tak uśmiechniętej, promiennej twarzy, jasnych oczach przenikających jego duszę aż do głębi i melodyjnym głosie, który był niewypowiedzianie piękny. A w dodatku jako biskup zakonu Świętego Michała była odpowiedzialna za wszystkie sprawy Kościoła na Marsie! Czy możliwe, że jest istotą z krwi i kości? — zapytał siebie Johann, kiedy cisza zaczęła się przedłużać.

— A więc, co sądzisz o wyjaśnieniu siostry Beatrice? — odezwała się Vivien, usiłując nawiązać przerwaną rozmowę.

— Że chmury cząsteczek są aniołami? — zapytał Johann, starając się, by nie zabrzmiało to nieuprzejmie. — Przypuszczam, że to możliwe — ciągnął przypomniawszy sobie, o czym myślał w pokoju hotelowym. — Chociaż, prawdę mówiąc, aż do dzisiaj nie brałem tej

możliwości pod uwagę.

Niemal przepraszająco popatrzył na Beatrice.

— Widzi siostra, jakoś nigdy nie interesowałem się religią. A przynajmniej nie w ścisłym znaczeniu tego słowa. Moi rodzice byli luteranami, jak zresztą większość Niemców z północnych landów, ale nie chodziliśmy regularnie do kościoła ani nie modliliśmy się w domu. Rzecz jasna zawsze wierzyłem w Boga, ale nie w takiego, który znałby mnie osobiście i troszczył się o to, co robię każdego dnia.

Przerwał, ale zakonnice nie odezwały się ani słowem.

— Jeżeli chodzi o aniołów, przypuszczam, że nigdy o nich nie myślałem… Sądzę, że rozmawialiśmy o nich na uczelni podczas zajęć z historii średniowiecza. — Uśmiechnął się. — I, rzecz jasna, pamiętam Lucyfera z Raju utraconego Miltona.

Po tych słowach zapadła znów chwila milczenia, po której Johann ciągnął nieśmiało:

— Jak mówiłem, możliwe, że te cząstki są aniołami…

— Ale w tej chwili nie bardzo w to wierzysz, prawda, bracie Johannie? — przerwała mu Beatrice. — Mam wrażenie, że cię nie przekonałam.

— Muszę przyznać, siostro Beatrice, że większość twoich uwag na temat biblijnych aniołów i innych duchów, które objawiały się różnym świętym, wleciała jednym uchem, a wyleciała drugim — stwierdził Johann. — Twoje argumenty wyglądają przekonująco i nie wątpię, że bardzo dobrze sprawdziłaś to wszystko w pismach…

— Jeżeli wiec te cząsteczki nie są posłańcami od Boga, bracie Johannie, kim są? — zapytała Beatrice, patrząc mu prosto w oczy. — Powiedz nam, jakie jest twoje wyjaśnienie.

Johann wzruszył ramionami.

— Nie mam żadnego, siostro Beatrice… Wszystkie wyjaśnienia nie mają dla mnie większego sensu.

Beatrice wstała z krzesła i obeszła biurko, a potem zbliżyła się do stolika z komputerem, wystukała na klawiaturze kilka instrukcji i zaczekała na wydrukowanie listy książek i artykułów w czasopismach.

— Mam tu, bracie Johannie, dokładny spis materiałów źródłowych, które przeczytałam, zanim się upewniłam, że te chmury cząstek są aniołami — oświadczyła. — Nie wyciągałam pochopnych wniosków z kształtu, jaki przybrała chmura, która ukazała się siostrze Vivien. Jeśli chcesz, mogę kazać sporządzić kopie tych artykułów. Będziesz mógł wówczas sam się przekonać, czy mój sposób myślenia jest „logiczny”, żeby użyć słowa, które padło niedawno w tym pokoju.

— Siostro Beatrice, muszę być z tobą szczery — odezwał się Johann, pobieżnie przejrzawszy wręczoną listę. — Jestem inżynierem i otrzymałem wykształcenie techniczne. Nawet gdybym przeczytał te wszystkie artykuły, nie stanę się zwolennikiem teorii, iż widziane

przeze mnie świetlane cząsteczki mogą być aniołami, wysłannikami Boga… To po prostu nie zgadzałoby się z moim światopoglądem.

— Czy chcesz mi powiedzieć, że twój umysł nie jest gotów na przyjęcie prawdy? — odezwała się natychmiast Beatrice.

— Nie… No, może tak — przyznał, trochę zmieszany Johann. — Rozumiem, o czym myślisz. Przy okazji, ponieważ wygląda na to, że przemyślałaś to wszystko bardzo dobrze, jak wyjaśniłabyś fakt, że te cząstki skupiły się w większą kulę, która zdzieliła mnie po głowie, rozbijając się o szybę hełmu?

Beatrice przeszła przez pokój, uklękła obok Johanna i oparła głowę o jego ramię.

— Ich zachowanie można wyjaśnić bardzo łatwo — powiedziała, a w jej oczach płonęło dziwne światło. — Twój anioł próbował w ten sposób cię obudzić; chciał sprawić, byś przestał być zadowolony z siebie. Nawiedził cię po raz pierwszy prawie przed dwoma laty w Tiergarten, a ty nie zrobiłeś niczego, by pokazać Bogu, że rozumiesz, iż zostałeś wybrany do jakiegoś specjalnego zadania. Drugie pojawienie się, bracie Johannie, i dosłowne „zdzielenie cię po głowie", jak mówisz, miało za cel uświadomić ci, że twoje specjalne zadanie nadal czeka i że czas, byś w końcu się nim zainteresował.

Johann patrzył na przejęte oblicze Beatrice, znajdujące się przy jego twarzy. Nie przychodziło mu do głowy nic, co mógłby odpowiedzieć. — To najbardziej niesamowita kobieta, jaką kiedykolwiek spotkałem — pomyślał.

Johann chwilowo zapomniał o spotkaniu w „Balkonu". Prawdę mówiąc, w pierwszej chwili zgodził się wrócić wieczorem do kościoła michalitów w Mutchville i pomóc siostrze Vivien w wydawaniu świątecznej kolacji dla tłumów ludzi. Powodem wyrażenia tej zgody nie była jednak chęć niesienia pomocy potrzebującym bliźnim. Vivien powiedziała mu, że po kolacji zostanie odprawiona msza, w trakcie której będzie śpiewała siostra Beatrice, a Johann bardzo chciał jeszcze raz posłuchać jej pięknego głosu.

Rzecz jasna, nie powiedział Vivien, jakie było to jego „inne spotkanie", które miał umówione na dzisiejszy wieczór. Zanim ubrał się w odświętny strój na tę okazję, leżał w wannie w swoim pokoju hotelowym i czuł nawet pewien wstyd, że już wkrótce odda się seksualnym uciechom, podczas gdy bracia z zakonu Świętego Michała będą karmili głodnych ludzi. Ale jak mógłbym teraz nie pójść? — zapytał siebie. — Przecież już zapłaciłem siedemset pięćdziesiąt dolarów. To zbyt dużo pieniędzy, żeby teraz rezygnować.

Kilka minut później stał przed wejściem hotelu i rozglądał się za elektryczną taksówką. Liczył na to, że miło spędzi wieczór, ale czuł się trochę niepewnie, oczekując na pojawienie się pojazdu.

— Proszę do Innej Strefy — odezwał się do kierowcy, kiedy w

końcu wsiadł do taksówki.

— Północna brama czy południowa? — zapytał go obojętnie kierowca. Johann sprawdził na mapie.

— Południowa — odrzekł.

Jazda nie zajęła nawet dziesięciu minut. Johann wysiadł z taksówki na wielkim parkingu w pobliżu bramy wejściowej do Innej Strefy, wyposażonej w automat rejestrujący ludzi. Przez chwilę przyglądał się osobom wchodzącym w ograniczone metalowymi barierami wąskie przejście. Do szczelin czytników, ustawionych na niewielkim postumencie, wkładało się karty identyfikacyjne, a potem szło dalej.

Johann jeszcze nigdy nie był w Innej Strefie. W późnych latach dwudziestych i wczesnych trzydziestych, kiedy marsjańska turystyka dynamicznie się rozwijała, Inna Strefa obok widowiskowych Valles Marineris i wulkanów w regionie Tharsis była jednym z miejsc, które obowiązkowo musiał odwiedzić każdy. Trzy wielkie plansze z identycznymi napisami wyjaśniały dlaczego:

> OSTRZEŻENIE
>
> WCHODZISZ DO STREFY, W KTÓREJ PEWNE CZYNNOŚCI ZABRONIONE GDZIE INDZIEJ, A ZWŁASZCZA UDZIAŁ W GRACH HAZARDOWYCH, ZAŻYWANIE NARKOTYKÓW I PROSTYTUCJA, SĄ DOZWOLONE, KONTROLOWANE I
>
> OPODATKOWANE. ZABRONIONE JEST JEDNAK ZAKŁÓCANIE PORZĄDKU
>
> PUBLICZNEGO, NIEPRZYZWOITE ZACHOWANIE I PRZEBYWANIE W MIEJSCACH PUBLICZNYCH W STANIE WSKAZUJĄCYM NA NADUŻYCIE ALKOHOLU. WSZYSCY SKAZANI ZA POPEŁNIENIE KTÓREGOŚ Z TYCH WYKROCZEŃ NA OBSZARZE STREFY, OTRZYMAJĄ TAKŻE DOŻYWOTNIĄ KARĘ ZAKAZU WSTĘPU.

Obok plansz z ostrzeżeniem ustawiono mniejsze tablice z napisami informującymi, że każda osoba wchodząca do Innej Strefy musi uiścić opłatę za wejście oraz dodatkową niewielką kwotę o wysokości zależnej od tego, jak długo przebywała na jej terenie.

Johann wsunął do czytnika kartę identyfikacyjną i przeszedł przez kołowrót. Kiedy znalazł się za bramą, został natychmiast osaczony przez czwórkę młodych ludzi, z których każdy ofiarował się zabrać go do innego domu publicznego. Wymachiwali mu przed nosem fotografiami lubieżnie wyglądających kobiet i zachwalali rozkosze, jakich mogą one dostarczyć, ale Johann zignorowawszy ich skierował się ku głównej alei prowadzącej do centrum rozrywkowego.

Inna Strefa miała kształt kwadratu o boku dwóch kilometrów.

Centrum otoczone było przeważnie dwu — i trzypiętrowymi rezydencjami, dzięki którym hałas i widoki ze strefy nie zakłócały spokoju pozostałym mieszkańcom Mutchville. W jej obrębie nie jeździły żadne samochody. Można było albo chodzić pieszo, albo korzystać z foteli na kółkach ciągniętych przez specjalnie przystosowane do tego celu rowery.

Johann był trochę rozczarowany, kiedy w końcu znalazł się na słynnym placu w samym centrum Innej Strefy. Stojące tam duże kasyna były z pewnością rzęsiście oświetlone, ale bijący od nich blask nie mógł się równać z krzykliwymi neonami kasyn w Las Yegas, które Johann widział podczas swojej jedynej wycieczki do Stanów Zjednoczonych. Zgodnie z tym, co pokazywała mapa, obok kasyna o nazwie „Nowy Świat" skręcił w prawo i przez jakieś sto metrów szedł uliczką, po której obu stronach znajdywały się bary zapraszające na alkohol i marihuanę. Kiedy dotarł do końca ulicy, wszedł do pomieszczenia przypominającego urządzony z wielkim smakiem westybul w jakimś małym, ale luksusowym europejskim hotelu.

Po jednej stronie recepcji „Balkonii" ujrzał wejście do zacisznej restauracji. Za kontuarem w kącie westybulu stały dwie najpiękniejsze młode kobiety, jakie Johann widział w Mutchville, a obok nich, po prawej stronie drzwi windy, znajdował się mały bar. Spojrzawszy na zegar na ścianie za kontuarem, Johann podał jednej z pięknych recepcjonistek swoją kartę identyfikacyjną. Kobieta sprawdziła jego dane personalne na ekranie komputerowego monitora.

— Jest pan bardzo punktualny, panie Eberhardt — powiedziała, ciepło się uśmiechając. — Czy będzie pan chciał wstąpić najpierw do baru, czy jest pan gotów od razu udać się na umówione spotkanie?

— Myślę, że jestem gotów — odparł Johann, czując się trochę głupio. Młoda kobieta wręczyła mu służbową mapę.

— Pana spotkanie zostało wyznaczone w innym miejscu — powiedziała z ożywieniem. — Na tej mapie ma pan zaznaczone, w którym. Zanim opuści pan nasz budynek, proszę upewnić się, że trafi pan tam bez trudu. Gdyby miał pan jakieś wątpliwości, chętnie panu pomożemy.

Johann spojrzał na mapę. Trasa, jaką miał przejść, została zaznaczona na niej w sposób zrozumiały. Wyszedłszy z budynku, minął kilka przecznic i dotarł do alei wiodącej do dzielnicy mieszkaniowej. Kiedy stanął przed oznaczonym na mapie domem, sprawdził bardzo starannie, czy znalazł się we właściwym miejscu, a potem zadzwonił do drzwi wejściowych.

Jego ruchy śledziła umieszczona nad drzwiami kamera, tak mała, że z trudem można było ją wypatrzyć.

— Wejdź, kochanie — odezwał się ciepły, kobiecy głos dobiegający z ukrytego przy drzwiach głośnika. — Za chwilę schodzę

na dół.

Johann usłyszał szczęknięcie zamka. Wszedł do przestronnego przedpokoju, w którym głównym przedmiotem były drewniane schody wiodące na pierwsze piętro. Przez otwarte drzwi po prawej stronie widać było salon. Johann wszedł do środka i usiadł na kanapie.

W przeciwległym kącie pokoju, z dala od ceglanego kominka, stała dwumetrowa choinka, starannie ozdobiona bombkami, świecidełkami i różnobarwnymi łańcuchami. Na samym wierzchołku została umocowana gwiazda. Pod drzewkiem leżało kilkanaście mniejszych i większych paczek, z których każda była owinięta w inny rodzaj świątecznego papieru.

To jest… doskonałe — pomyślał Johann, kiedy oglądana scena przypomniała mu Święta Bożego Narodzenia z czasów dzieciństwa. Ze stojącego obok kanapy stołu zdjął oprawioną fotografię. Przedstawiała twarz pięknej, niespełna trzydziestoletniej brunetki. Na ukos lewego dolnego rogu zdjęcia napisano śmiałym, wprawnym pismem słowa: „Johannowi, z wyrazami miłości… Amanda".

— Tak się cieszę, Johannie, że wreszcie jesteś w domu — odezwała się kobieta z fotografii. Weszła do pokoju i podeszła do Johanna. — Tylko dzieciom będzie trochę przykro, że cię nie zobaczą.

Johann uśmiechnął się i przyjrzał stojącej przed nim kobiecie. Miała na sobie prostą, czarną wieczorową suknię, nie za bardzo kosztowną, ale i nie taką, jaką można byłoby zobaczyć na wieszaku w przeciętnym sklepie z ubraniami w Mutchville. Odsłaniała większą część ramion Amandy, ale niezbyt głębokie wycięcie w kształcie litery „V" z przodu ujawniało tylko tyle jej wdzięków, ile powinno. Suknia była zrobiona z jakiejś włóczki i doskonale układała się na pięknym ciele. Nie była jednak tak obcisła, żeby można ją było uznać za wyzywającą.

Twarz Amandy rozjaśniał ciepły, przyjazny uśmiech. Nie było widać na niej prawie wcale śladów makijażu. Pierwszą myślą Johanna było, że Amanda wygląda jak dorosła, wyrafinowana wersja Królewny Śnieżki. Jej długie czarne włosy układały się miękko na plecach. Na szyi miała prosty złoty wisiorek, ozdobiony z przodu trzema brylantami, z których środkowy był trochę większy niż dwa pozostałe. W uszach Johann zauważył kolczyki z takimi samymi kamieniami.

— A więc — odezwała się kobieta, kiedy wyraz twarzy Johanna powiedział jej, że wstępne oględziny zostały zakończone — czy chcesz zaraz zacząć od składania kolejki Petera, czy wolisz przedtem napić się trochę wina?

— Myślę, że napiję się wina — odrzekł Johann. — Miałem dziś bardzo męczący dzień.

Po drodze do kuchni Amanda zatrzymała się i włączyła odtwarzacz. Johann usłyszał, jak chór śpiewa cicho jedną z jego

ulubionych kolęd: „Czy słyszysz to, co ja słyszę?…”

Wodząc spojrzeniem po salonie, zauważył inną oprawioną fotografię stojącą na pianinie w jednym z kątów pokoju. W pierwszej chwili nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Wstał i podszedł do pianina. Była to fotografia rodzinna, a uwiecznione na niej osoby miały na sobie zwyczajne codzienne stroje. Przedstawiała jego, Amandę i dwójkę dzieci: jasnowłosego, mniej więcej ośmioletniego chłopca, i uroczą, liczącą cztery czy pięć lat ciemnowłosą dziewczynkę!

— Ach, tutaj jesteś, kochanie — rzekła Amanda. Stała na progu salonu, trzymając dwa kieliszki z białym winem.

— To zdumiewająca fotografia — zaczai Johann, kiedy podeszła do niego. — Nie mogę sobie wyobrazić…

— To moje ulubione zdjęcie — rzekła, łagodnie mu przerywając. — Jedyne, na którym wszyscy czworo się uśmiechamy. — Wręczyła mu kieliszek z winem. — Peter już teraz jest bardzo podobny do ciebie, ale chyba nie będzie tak wysoki jak ty.

Zanim Johann napił się wina, Amanda dotknęła jego kieliszka krawędzią swojego.

— Aby te nasze Święta Bożego Narodzenia były najlepsze ze wszystkich — wzniosła toast, wspinając się na palce i całując go w usta.

— To jest coś, za co z pewnością i ja wypiję — odrzekł Johann.

Przez następne pół godziny popijali wino i beztrosko rozmawiali, siedząc wygodnie na kanapie. Później Johann zaczął składać kolejkę elektryczną, która była jego świątecznym prezentem dla syna, Petera. Amanda w tym czasie rozpaliła ogień na kominku. Ani razu w ciągu tego czasu nie wypadła ze swojej roli. Była żoną Johanna, matką dwojga jego dzieci i panią domu.

Zanim skończył składać kolejkę, przyniosła mu jeszcze jeden kieliszek wina. Pocałowała go trochę śmielej, wsuwając czubek języka między jego wargi. Johann był tym zachwycony.

— Daj spokój — powiedział jednak. — Jak chcesz, żebym skończył pracę, jeżeli będziesz mi przeszkadzała?

— To twój problem, święty Mikołaju — odparła. Pocałowała go znów, najpierw w kark, a potem za uchem. — Ja myślę teraz o czymś innym.

Johann dotknął czubkami palców jej twarzy. Po raz pierwszy pocałował ją namiętnie, a Amanda zareagowała wspaniale, obejmując go rękami za szyję i przygryzając lekko jego dolną wargę w samym środku pocałunku.

— To było cudowne — odezwał się Johann, kiedy ich długi pocałunek dobiegł końca. Był trochę zdumiony tym, jak bardzo się podniecił. Popatrzył na kolejkę elektryczną stojącą przed nim na stole.

— Przypuszczam, że mogę dokończyć składać ją trochę później — powiedział.

Ujęła go za rękę i powiodła z powrotem ku kanapie. Usiadła mu na kolanach, a kiedy objęła go za szyję, ponownie zaczęli się całować. Pocałunki stawały się coraz bardziej namiętne, a jej język poczynał sobie coraz śmielej. Rozpiąwszy koszulę Johanna, zaczęła głaskać go po klatce piersiowej.

— Czy pójdziemy teraz na górę? — zapytał Johann między jednym a drugim pocałunkiem. W oczach Amandy pojawiły się uwodzicielskie błyski.

— Myślałam, że bardziej podniecająco byłoby na podłodze — odrzekła. — Przed kominkiem. Kiedy wstali z kanapy, Amanda nie oderwała rąk od jego szyi ani nie przestała go całować.

Odsunąwszy nogą leżące na podłodze części kolejki, Johann ostrożnie ułożył kobietę przed kominkiem. Zdejmując jej suknię, niechcący zawadził nogą o jedną z paczek ze świątecznym upominkiem i sprawił, że choinka się zatrzęsła. Oboje się roześmiali.

Popatrzył na błyski ognia odbijające się w jej pięknych piwnych oczach.

— To jest fantastyczne — powiedział.

— Wesołych Świąt, Johannie — odrzekła.

6

Kilka następnych miesięcy Johann żył w nieustannym napięciu. Mutchville i inne marsjańskie osady znalazły się w stanie chaosu i rozkładu. Infrastruktura umożliwiająca życie całej ludzkiej kolonii na Marsie bardzo szybko się rozpadała. Zagrożone było nawet dalsze istnienie Valhalli.

Przez większą część życia Johann najchętniej uciekał przed przytłaczającymi go problemami w objęcia Morfeusza. Niestety, w obecnych trudnych czasach sposób ten nie przynosił dużej ulgi. Prawdę mówiąc, często śnili mu się ludzie, których znał, i zdarzenia, które przeżył podczas tamtej niezwykłej wyprawy do Mutchville. Wizje te z każdą nocą stawały się coraz dłuższe i dziwniejsze. Doszło w końcu do tego, że coraz rzadziej zdarzało mu się przespać całą noc, nie budząc się z powodu jakiegoś koszmaru.

W jednym z takich snów siedział w tym samym salonie „Balkonii", w którym spotkał po raz pierwszy Amandę. Kiedy olśniewająco piękna kobieta weszła do pokoju i zaczęła go całować, Johann stwierdził, że natychmiast ogarnia go pożądanie. Po chwili jednak Amanda przeprosiła go i wyszła. Patrzył przez sekundę czy dwie w inną stronę, ale kiedy odwrócił głowę, zobaczył, że w miejscu, w którym stała kobieta, znajduje się mające kształt harfy skupisko tańczących cząstek. Usłyszał dobiegającą od nich piękną muzykę, a później do salonu weszła inna kobieta. Była nią siostra Vivien.

— Kochaj się ze mną, Johannie — powiedziała Vivien w jego śnie, zdejmując zakonny habit. — Siostra Beatrice nie będzie miała nic przeciwko temu.

Johann dotknął nagiego ciała zakonnicy i zaczął ją namiętnie całować. Kiedy jednak po kilku pocałunkach otworzył oczy, ujrzał, że niecały metr od nich stoi siostra Beatrice i uważnie ich obserwuje. Na jej twarzy malowały się zaskoczenie i dezaprobata. Johann przebudził się, przeszyty nagłym dreszczem.

Beatrice pojawiała się wiele razy także w innych snach Johanna. Często widział ją, jak ubrana w szaty biskupie stoi na szczycie odległego wzgórza. W snach tych była zawsze skąpana w łagodnym świetle. Od czasu do czasu siostra Beatrice ze snów Johanna była jego bliską przyjaciółką i zaufaną doradczynią. Przez długi czas rozmawiali, a później zakonnica zaczynała śpiewać, żeby mu sprawić przyjemność. Dwukrotnie Beatrice przyszła w nocy i usiadła ufnie obok niego na kanapie salonu w „Balkonii". W tych dwóch snach stojąca na pianinie fotografia przedstawiała Johanna, dwójkę dzieci i Beatrice, i wówczas to jej pocałunki rozpalały jego namiętność. Johann bardzo chętnie poddawał się przyjemnościom, jakie

podsuwała mu podświadomość.

W rzeczywistości nigdy nie skontaktował się z Beatrice czy Vivien, by dowiedzieć się, co zrobiły z szybą jego hełmu, którą kazał posłańcowi doręczyć im tego samego dnia, kiedy wyjeżdżał z Mutchville. Planował, że sprawi niespodziankę obu zakonnicom oraz Clem i Darwinowi, kiedy ponownie odwiedzi Mutchville we wrześniu czy październiku następnego roku. Problemy w Valhalli zmusiły go jednak do przełożenia wyjazdu na inny termin, a później nawet do jego odwołania.

Obserwując, jak ekonomiczny kryzys na Marsie pogłębia się z każdym dniem, zrozumiał, że Valhalla nie będzie mogła przetrwać, jeżeli nie zapewni jej samowystarczalności. Zmusił siebie i innych mieszkańców tej podbiegunowej osady do spędzenia wielu godzin na przygotowaniach do przeciwstawienia się różnym katastrofom, jakie mogły się im przydarzyć. Postanowił zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby grupa ludzi, za których był odpowiedzialny, przetrwała czekające ich ciężkie czasy.

— Zbiory wszystkich plonów z wyjątkiem pomidorów będą większe — stwierdziła Anna. — A jeżeli chodzi o pomidory, Deirdre sądzi, że za bardzo je podlewała.

Johann i Anna stali obok siebie w jednym z długich przejść w odległej cieplarni. Na prawo od nich rosła pszenica, tak wysoka, że kłosy sięgały Johannowi do głowy. Na lewo znajdowała się piękna działka pełna dorodnych żółtych dyń i cukinii.

Johann uniósł głowę i popatrzył na sufit.

— Ta cieplarnia jest cudem inżynierii — powiedział. — Gdybyśmy nie mieli geniuszy takich jak Yasin czy Narong, nigdy by się nam nie udało…

— Z tego, co mi mówił Narong — przerwała mu Anna — wynika, że nie mielibyśmy żadnych cieplarni, gdyby nie upór i dalekowzroczność pewnego jasnowłosego niemieckiego inżyniera systemowego.

Johann uśmiechnął się.

— Dziękuję, Anno — odparł nie dostrzegając w jej oczach miłości. Nie zauważał tego konsekwentnie od ponad roku. — Prawda jest taka, że cieplarnie odniosły sukces przede wszystkim dzięki ciężkiej pracy nas wszystkich. Zwłaszcza ty i Deirdre poprąwiłyście dosłownie każdy plan, jaki na początku ułożyliśmy.

Johann kucnął i dotknął jednej z dyń.

— Skąd będziecie wiedziały, kiedy dojrzeją? — zapytał.

— To wszystko robią automaty sterowane za pomocą oprogramowania stworzonego przez Naronga — odrzekła. — Zainstalowane pod sufitem kamery robią codziennie zdjęcie każdego centymetra kwadratowego cieplarni. Potem, zgodnie z algorytmami,

wyliczane jest tempo wzrostu, współczynniki dojrzewania i wszystkie inne konieczne parametry. Później uruchamiany jest robot zbierający, którego zbudował z części zapasowych Yasin. Porozumiewa się z bazą danych, uzyskanych w wyniku działania algorytmu, i zbiera wszystko, co dojrzało. Johann wstał.

— Czy to znaczy, że dzięki większym zbiorom w tym roku będziecie mogły oświadczyć, iż wasz projekt zakończył się sukcesem?

— Jeszcze nie — odparła jak zawsze ostrożna Anna. — Nasze zbiory nadal nie są tak wysokie, byśmy mogli bez trudu przeżyć długotrwałą burzę piaskową podobną do tej, która nawiedziła nas w 2133 roku… A poza tym, mimo moich nalegań, nie zmniejszyłeś racji żywnościowych, żebym mogła zgromadzić zapasy warzyw na wypadek podobnego kataklizmu, podczas którego wydarzyłaby się awaria jakiegoś ważnego podsystemu.

— Przed kilkoma miesiącami zgodziliśmy się przecież, że w naszych planach będziemy uwzględniali tylko pojedyncze katastrofy — przypomniał jej Johann. — Nie widzę większego sensu, żeby głodzić ludzi tylko po to, byśmy mogli się uporać z wielokrotnymi awariami.

— Powtórz mi to, kiedy wszyscy będziemy umierali z głodu — odrzekła ponuro Anna. — Kiedy przydzieliłeś mi takie zadanie, kazałeś, żebym wyobraziła sobie, jak źle mogą się potoczyć wszystkie sprawy. Powiedziałeś mi wówczas, że powinnam założyć, iż nie będziemy otrzymywali z Mutchville w ogóle żadnych dostaw. Myślałam wtedy, że jesteś zbytnim pesymistą. Teraz jednak, kiedy sytuacja wygląda nawet gorzej niż myślałeś…

— Spisałaś się naprawdę na medal, Anno — próbował ją uspokoić Johann, obejmując w braterskim uścisku. — Wszyscy to doceniamy… Ale teraz, kiedy jesteśmy prawie samowystarczalni, powinnaś coś zrobić, żeby się tak bardzo nie przejmować… Uśmiechnij się… Pokaż, że umiesz się cieszyć życiem.

Odwrócił się i ruszyli w stronę wyjścia.

— Jest jeszcze jedna sprawa, o której chciałam z tobą porozmawiać — odezwała się z wahaniem w głosie Anna. — Obiecałam Deirdre, że poruszę ten temat, kiedy tylko zaczniemy zbierać plony.

— Co to takiego? — zapytał beztrosko Johann.

— To Yasin — rzekła Anna. — Z dnia na dzień zachowuje się coraz bardziej wulgarnie względem wszystkich kobiet, ale w szczególności wobec Deirdre i Lucindy. I nie chodzi mi tylko o słowne zniewagi czy obelgi. Ostatnio zaczął wygłaszać pogróżki natury seksualnej.

Johann przystanął.

— Czy groził w ten sposób tobie? — zapytał.

— Nie — odparła Anna. — Wie dobrze, że tego bym nie zniosła… Ale, Johannie, inne kobiety nie mają ani mojego doświadczenia, ani mojej pewności siebie. Nigdy nie zetknęły się z kimś, kto przez cały czas nazywa je sukami lub dziwkami, czy uważa, że sprośne dowcipy mogą być opowiadane w ich obecności. Nie wiedzą nawet, jak powinny reagować.

— I co chcesz, żebym w tej sprawie zrobił? — zapytał Johann.

— Na początek przestań chwalić go w obecności innych — odparła porywczo Anna. — Wiem dobrze, że jest geniuszem, który przynajmniej pod względem technicznym pomógł w dużym stopniu Valhalli. Ale za każdym razem, kiedy publicznie mówisz o tym, jak ważna jest jego praca, zaczyna się coraz bardziej puszyć i czuć, że jest niezastąpiony. W wyniku tego przypuszcza, że może traktować kobiety, jak chce, bo i tak ujdzie mu to płazem.

— Ale wykonuje naprawdę fantastyczną pracę — sprzeciwił się Johann.

— Na tym właśnie polega kłopot z wami, mężczyznami — odezwała się nieco głośniej Anna. — Nigdy nie będę w stanie pojąć, jakim cudem możecie tak łatwo zaliczyć innego mężczyznę do tej czy tamtej kategorii. Jeżeli jakiś facet jest genialnym inżynierem czy tenisistą, nie zwracacie uwagi na fakt, że poza pracą czy kortem może być skończonym sukinsynem… A kobiety nie patrzą na mężczyzn w taki sposób. Widzą w nich przede wszystkim całość, a nie tylko tę czy tamtą cechę. Nie obchodzi nas, jak genialny jest Yasin, ani co zrobił dla osady. Sposób, w jaki odnosi się do kobiet, jest oburzający, a jego należy upomnieć i zmusić do poprawy.

Johann jeszcze nigdy nie widział Anny tak wzburzonej.

— No dobrze — odezwał się w końcu. — Podaj mi więcej szczegółów, a ja z nim porozmawiam.

— Kiedy z nim porozmawiasz? — zapytała natychmiast Anna. — Muszę powiedzieć to Deirdre i Lucindzie.

— Niedługo — odrzekł Johann, a widząc, że nie jest zachwycona, dodał: — Dzisiaj wieczorem. Nie później niż dzisiaj wieczorem.

Narong był w swoim gabinecie i pracował przy komputerowym terminalu. Drzwi do jego pokoju były otwarte.

— Mogę wejść? — zapytał Johann. Narong uśmiechnął się.

— Oczywiście — odparł. — Dla szefa nie mogę nie znaleźć czasu.

Johann opadł na jedno z dwóch stojących w pokoju wielkich krzeseł i ciężko westchnął.

— Obiecałem Annie, że jeszcze dzisiaj porozmawiam z Yasinem — zaczął. — Potrzebna mi jest twoja pomoc.

— Następne skargi? — zapytał Narong.

— Tak — odparł Johann. — Wygląda na to, że zaczyna zachowywać się coraz gorzej. — Johann poruszył się nerwowo na

krześle, a potem ciągnął: — Znalazłem się w sytuacji bez wyjścia. Zgadzam się ze zdaniem kobiet, że nie można tego dłużej tolerować, ale martwię się tym, co może mi odpowiedzieć. Dzięki niemu czas międzyawaryjny naszych urządzeń osiągnął zawrotne wartości, które w dodatku z każdym dniem zwiększają się coraz bardziej. Bez Yasina nigdy nie poradzilibyśmy sobie z naprawami i przeglądami… Jak sądzisz, co powinienem zrobić?

— Od samego początku stanąłeś przed takim samym problemem, z jakim musiał poradzić sobie kiedyś Hobson — stwierdził Narong. — Yasin jest pod pewnym względem geniuszem, a pod innym zachowuje się jak kompletny wariat. Podczas pierwszych sześciu miesięcy jego pobytu u nas sądziłem, że się zmienił. Teraz jednak widzę, że była to tylko gra. Kiedy wreszcie odzyskał wolność, zaczął znów zachowywać się jak dawniej.

— Czy nie moglibyśmy jakoś poradzić sobie bez niego? — zapytał Johann.

— Myślisz o tym, że może zamknąć się w domu albo nawet opuścić nas pierwszym pociągiem, jeśli taki w ogóle przyjedzie? — odpowiedział pytaniem informatyk.

Johann kiwnął głową.

— Nie sądzę — odrzekł z namysłem Narong. — Bardzo chciałbym, żeby było inaczej, ale prawda jest taka, że nikt inny w Valhalli nie zna się na elektronice ani w połowie tak dobrze jak on.

— Spodziewałem się, że właśnie to powiesz — stwierdził Johann. Wstał i chciał wyjść z gabinetu, ale tajlandzki informatyk wręczył mu pięciostronicowy dokument.

— Co to jest? — zapytał Johann.

— Nie dokończona sprawa — odrzekł Narong. — Bardzo wątpię, by było to nadal ważne, gdyż ci z MAK-a, którzy jeszcze zostali w Mutchville, z pewnością mają teraz na głowach ważniejsze sprawy. Niemniej jest to mój końcowy raport w sprawie grupy azjatyckich naukowców, którzy zaginęli przed ponad rokiem, kiedy ty wyjechałeś do Mutchville. Wysłałem go wcześniej, ale wrócił do nas kilka miesięcy temu, jeszcze zanim została przerwana łączność telefaksowa. Zupełnie o nim zapomniałem. Myślę, że to od dawna nieaktualna sprawa.

Pokręcił głową.

— Wiesz, Johannie, że ci goście z dyrekcji MAK-a nie mieli ani jednej uwagi na temat treści merytorycznej? Nie zalecili dokonania żadnych zmian w opisie naszych bezowocnych poszukiwań, dokonanych przy pomocy patrolówek, ani też nie kwestionowali mojego przypuszczenia, że badacze musieli wpaść do jakiejś szczeliny czy w inny sposób ulegli wypadkowi… Jedyne uwagi, jakie mieli, dotyczyły formy dokumentu, a szczególnie numeracji jego rozdziałów.

Johann i Narong wybuchnęli głośnym śmiechem.

— Ci tępi biurokraci poinformowali mnie także — ciągnął informatyk — że raport o takiej wadze musi zostać podpisany przez samego dyrektora placówki albo kogoś zatrudnionego na równorzędnym stanowisku. Powiedzieli, że bez twojego podpisu taki raport nie ma mocy prawnej.

Johann wzruszył ramionami i podpisał dokument, nawet go nie czytając.

— Co chcesz teraz z tym zrobić? — zapytał.

— To dobre pytanie — odparł Narong. — Myślę, że wyślę najbliższym pociągiem, zakładając rzecz jasna, że kiedyś jakiś znów przyjedzie. Zanim łączność została przerwana przed sześcioma dniami, sugerowano, że następny pociąg może przyjechać dopiero za kilka tygodni… Pod warunkiem że nie zerwie się piaskowa burza.

Po tych słowach w pokoju zapadła dłuższa cisza.

— Jak sądzisz, ile czasu może upłynąć do chwili, kiedy nie będzie w ogóle ani żadnych pociągów, ani nawet łączności telefonicznej? — odezwał się w końcu Johann.

— Staram się o tym nie myśleć — zmuszając się do uśmiechu, odparł Narong. — Wiem tylko jedno. Kiedy marsjańska infrastruktura zawiedzie na całej linii, wolałbym być w Valhalli niż w Mutchville czy gdziekolwiek indziej. My przynajmniej jesteśmy chociaż trochę przygotowani.

Odwaga to bardzo dziwne słowo — pomyślał Johann, siedząc w mieszkaniu i przygotowując się do spotkania z Yasinem. — Używa się go najczęściej do opisu zachowania w sytuacjach, w których zagrożone jest czyjeś życie. Czasem jednak większej odwagi wymaga rozmowa z inną osobą na drażliwy temat niż spotkanie oko w oko z szalejącym fanatykiem czy dzikim zwierzęciem w leśnej gruszy.

Johann zaparzył ostatnią porcję osobistego przydziału kawy. Lada chwila powinien pojawić się gość. W cieplarniach Valhalli nie uprawiano kawy, gdyż nie była uważana za niezbędną do życia, a żaden transport kawy z Mutchville nie dotarł do nich od ponad roku. Jak wielu innych muzułmanów, Yasin nie pił alkoholu; uwielbiał natomiast dobrą kawę. Johann był pewien, że Arab doceni znaczenie tego gestu.

Kiedy Yasin pojawił się dosłownie po chwili, było widać, że jest w dobrym humorze. Wyczuł zapach kawy w tej samej sekundzie, w której stanął na progu.

— To ładnie z twojej strony, Asie — oświadczył przyjmując podaną przez Johanna filiżankę. — Domyślam się, że to dowód, jak bardzo mnie doceniasz.

— Masz rację — odrzekł Johann siadając na krześle naprzeciwko niego. — Dokonałem inspekcji cieplarni i wiem, że zbiory są lepsze niż

kiedykolwiek. Nie muszę ci chyba mówić, że zawdzięczamy to głównie twojej pomysłowości.

— Bardzo dziękuję — odparł Yasin, szeroko się uśmiechając. — Nie wierzę jednak, że chciałeś się spotkać ze mną w cztery oczy tylko po to, by mi podziękować. Musi więc być jakiś inny powód. Nie nadeszły chyba jakieś straszne wieści z Mutchville, prawda? Sądzę, że łączność nadal nie działa.

— Nie, nie — uspokoił go Johann. — Chodzi o coś innego. — Zawahał się, pragnąc przypomnieć sobie, co właściwie zamierzał powiedzieć. — Chcę porozmawiać z tobą o sprawach natury osobistej.

Yasin napił się łyk kawy, a uśmiech zaczął powoli znikać z jego twarzy.

— Pozwól, że zgadnę — odezwał się ostro. — Jedna z twoich dziwek znów złożyła na mnie jakąś skargę. Spojrzenie Johanna nie oderwało się od oczu Yasina.

— Formalne skargi złożyło aż kilka kobiet naraz — powiedział. — 1 to nie tylko w sprawie używanych przez ciebie słów czy obelżywych uwag. Oświadczyły, że groziłeś im napaścią seksualną.

— Co za stek bzdur — rzekł Yasin, a w jego oczach pojawiły się złe błyski. Odstawił filiżankę na blat stołu i wstał. — Dlaczego miałbym coś takiego znosić? — wybuchnął nie kryjąc złości. — Nadstawiam za ciebie karku, ratuję tę cholerną dziurę i co z tego mam? Muszę wysłuchiwać skarg bandy skamlących dziwek… Posłuchaj, Asie, jeżeli jest jakieś przestępstwo, o które mnie ktoś oskarża, to przedstaw mi konkretny zarzut, ale nie mam zamiaru wysłuchiwać twoich wymówek tylko dlatego, że jakieś samotne baby oświadczyły, iż obraziłem ich poczucie przyzwoitości.

Przez chwilę Johann myślał, że Yasin odwróci się i wyjdzie z pokoju. I co bym wówczas zrobił? — przemknęło mu przez głowę.

— Yasinie — odezwał się szybko. — Jako dyrektor tej placówki muszę reagować na skargi, składane przez moich pracowników… W tej chwili jeszcze o nic cię nie oskarżam. Prowadzę nieoficjalne dochodzenie, do czego w zupełności mam prawo z racji zajmowanego stanowiska. Wezwałem cię tylko po to, żeby dać ci szansę wypowiedzenia się w tej sprawie.

Yasin już dotykał dłonią klamki, ale usłyszawszy te słowa, nie otworzył drzwi. Przez chwilę się zawahał.

— No dobra, Asie — powiedział, wracając do stołu. — Trzymam cię za słowo i naprawdę zakładam, że nie kierujesz się innymi względami. — Usiadłszy znów na krześle, napił się następny łyk kawy. — Powiedz mi teraz, czego dotyczyły te skargi, żebym wiedział, jak się bronić.

Johann zaczął od tego, że przypomniał Yasinowi, iż ilekroć mówi o jakiejś konkretnej kobiecie czy o kobietach w ogóle, zawsze nazywa

je „sukami” lub „dziwkami”. Stwierdził, że te słowa obrażają uczucia wszystkich kobiet w ten sam sposób, w jaki określenia „czarnuch” czy „mosiek” obrażają uczucia Murzynów czy Żydów. Yasin słysząc to, nie odezwał się ani słowem. Johann podniósł wówczas kwestię opowiadania nieprzyzwoitych dowcipów w obecności kobiet. Skończył właśnie wyjaśniać, że ludzie mają prawo nie słuchać takich obraźliwych historii i zaczął tłumaczyć, co Deirdre Robertson uznała za wyraźną seksualną groźbę, kiedy Yasin przerwał mu, mówiąc:

— Ta szkaradna suka może mówić, co zechce. Nie wierz w ani jedno jej słowo. Mści się na mnie, bo nie chcę się z nią pieprzyć… Zaraz po tym, jak tutaj przybyłem, starała się mnie uwieść, ale jej odmówiłem. Przez cały ten czas czekała, kiedy będzie mogła się odegrać. Sam wiesz, jakie bywają te baby.

Yasin opowiedział Johannowi, jak wkrótce po jego przyjeździe do Valhalli Deirdre usiłowała go zdobyć. Johann wiedział, że jego rozmówca zapewne wymyślił całą tę historię, ale nie mógł na to nic poradzić. Mały Arab kategorycznie zaprzeczył, jakoby miał powiedzieć pannie Robertson, że jeżeli nie będzie uważała, podciągnie kiedyś jej suknię i „wsadzi, co trzeba”.

Johann stracił cały zapał do zadawania dalszych pytań. Yasin znów się uśmiechał, myśląc, że cała sprawa została załatwiona. Wyraźnie się odprężył.

— Tym sukom jest potrzebny prawdziwy mężczyzna, który czasem rozwierałby im tę dziurę — powiedział pod koniec rozmowy, śmiejąc się beztrosko. — Nie chodziłyby wtedy przez cały czas takie nieszczęśliwe i sfrustrowane.

— To właśnie takie uwagi nastawiają do ciebie wrogo nasze kobiety w Valhalli — odezwał się porywczo Johann. — A także wielu mężczyzn, włącznie ze mną.

Kiedy Yasin zorientował się, że Johann jest nie na żarty rozgniewany, powoli zaczął łagodzić sytuację.

— Wiesz, Asie — powiedział pojednawczym tonem kilka sekund później — im dłużej się zastanawiam nad tą sprawą, tym bardziej dochodzę do wniosku, że to, o czym rozmawiamy, to tylko sprawa różnic kulturowych. Kultura muzułmańska w przeciwieństwie do chrześcijańskiej zupełnie inaczej postrzega rolę kobiety w społeczeństwie. Wychowano mnie w przekonaniu, że kobiety to pomocnice, wierne sługi, których głównym zadaniem jest troska o dom i wychowanie dzieci mężczyzny… Traktuję je jak swoją własność dlatego, że zgodnie z muzułmańskim prawem po osiągnięciu określonego wieku wszyscy potomkowie należą do ojca, a matka przestaje mieć do nich jakiekolwiek prawo.

Postaraj się zrozumieć, że dla muzułmanina sam pomysł, iż mężczyznę mogłoby obchodzić, co myśli kobieta, jest całkiem obcy.

Czy potrafisz wyobrazić sobie na przykład, że jakaś kobieta w Arabii Saudyjskiej czy Iraku mogłaby narzekać na słownictwo, jakiego używa jej mężczyzna? To byłoby coś niesłychanego… Widzisz więc, że twoje europejskie idee głoszące rzekomą równość obu płci — mimo że mógłbym policzyć na palcach Europejczyków, którzy naprawdę w nie wierzą — są dla mnie bardzo trudne do zrozumienia. Starałem się dokonać kilku zmian w swoim zachowaniu, ale nie zawsze udaje mi się nad sobą zapanować.

Bardzo sprytnie — pomyślał Johann. — Zmieniłeś cały sens tej rozmowy. Teraz problem nie dotyczy bezpośrednio ciebie. Teraz to sprawa różnic religijnych i kulturowych…

— Kwame bardzo szanuje kobiety — odezwał się niespodziewanie do Yasina. — A on też jest muzułmaninem.

— Kwame właściwie się nie liczy — odciął się Arab. — Nie traktuje swojej religii poważnie, a poza tym i tak Afrykanie praktykują inny rodzaj religii muzułmańskiej… Prawdę mówiąc, uważam, że uprzejme zachowanie Kwamego to tylko poza. Założę się, że przeleciałby każdą kobietę w tej placówce bez jej zgody, gdyby sądził, że ujdzie mu to na sucho. — Yasin pochylił się nad blatem stołu. — Nie wiem, jak ty, Asie, bo jeszcze cię nie rozgryzłem, ale myślę, że większość mężczyzn zmusiłaby kobiety do tego, gdyby nie groziły za to żadne sankcje. To sprawa biologiczna, a nie kulturowa.

Johann miał właśnie zaprzeczyć, kiedy rozległo się głośne pukanie do drzwi. Obaj mężczyźni wstali.

— To ja, Narong — usłyszeli. — Mam pilną wiadomość. Johann otworzył drzwi.

— Melvin wykopał dzisiaj ciało doktor Won — oznajmił informatyk. — Ciągle jest zamrożone w bryle lodu. Jedna z naszych patrolówek transportuje je w tej chwili do Valhalli. Ciało powinno tutaj dotrzeć za mniej więcej dwie godziny.

7

Doktor Kyagi Won, koreańska geolog specjalizująca się w badaniach lodowców, była jedną z czwórki azjatyckich badaczy, którzy przed ponad rokiem zaginęli w tajemniczych okolicznościach w pobliżu marsjańskiego bieguna. Ona i jej trzej koledzy: doktor Devi Sinha z Indii (kierownik wyprawy), doktor Hiroshi Kawakita z Japonii i doktor Ismail Jailani z Malezji, spędzili prawie tydzień w Valhalli, zanim wyprawili się na badania do wybranego przez siebie rejonu. Podczas pobytu na terenie placówki odizolowali się zupełnie od pozostałych jej mieszkańców. Wszyscy czworo jadali w stołówce przy oddzielnym stole i w przeciwieństwie do pełnych życia, nie stroniących od alkoholu naukowców ukraińskich goszczących w ośrodku przed rokiem, nigdy nie uczestniczyli w imprezach mających na celu umilenie mieszkańcom Valhalli długich wieczorów.

Trzech pracowników placówki nauczyło azjatyckich naukowców posługiwania się lodomobilem i innym specjalistycznym sprzętem, a potem wyprawiło się z nimi, żeby pomóc rozbić pierwszą bazę na powierzchni lodu. Wszyscy trzej powrócili, wygłaszając uwagi na temat opanowania członków azjatyckiej wyprawy.

— Można by pomyśleć, że to automaty — stwierdził jeden z ludzi, którzy pomagali wyprawie badaczy rozbijać obóz.

Doktor Won i jej koledzy wyprawili się w okolice bieguna pomocnego w szczególnym celu. Nie zgodzili się z wnioskami wcześniejszej, zorganizowanej przez badaczy ukraińskich ekspedycji. A wnioski te zyskały aplauz u wielu światowej sławy naukowców. Azjaci sądzili, że Ukraińcy zarówno przy pobieraniu próbek lodowego płaszcza, jak podczas późniejszej analizy warstw lodu w tych próbkach, popełnili poważne błędy, wskutek czego ich teoria dotycząca historii zmian osi obrotu Marsa jest błędna. Naukowcy azjatyccy zamierzali przeprowadzić te same badania w prawidłowy sposób. Chcieli udowodnić, że opracowana wcześniej przez doktora Kawakitę teoria na temat zmiany osi obrotu planety, zdyskredytowana przez odkrycia Ukraińców, jest w rzeczywistości prawdziwa.

Ostatniego dnia pobytu grupy badaczy w Valhalli Johann i Narong poinformowali ich, jak jest ważne, żeby podczas badań lodowca utrzymywali codzienną łączność radiową z Valhallą. Doktor Sinha nie był jednak przekonany, czy regularne kontakty z placówką są sprawą aż tak dużej wagi.

— Mamy mnóstwo pracy — oświadczył. — Będziemy się komunikowali z Valhallą tylko wtedy, kiedy to nam nie zakłóci toku pracy.

Właśnie takie podejście doktora Sinha do zagadnień związanych z

bezpieczeństwem wyprawy sprawiło, że Narong i Johann nie zareagowali natychmiast, kiedy łączność została przerwana. Minął tydzień bez jakiejkolwiek wieści, zanim Valhalla wysłała w końcu do obozu naukowców dwie patrolówki z ekipami ratunkowymi. Ratownicy odnaleźli i bazę, w której wszystko wydawało się być w porządku, i pozostawiony o dwa kilometry od niej lodomobil z wyczerpanym źródłem zasilania. Patrolówki nie wykryły jednak nigdzie ani śladu ludzi. Wysłana nieco później przez Naronga ekipa dochodzeniowa, nawet mimo starannego przeszukania całej okolicy bazy także nie znalazła niczego, co mogłoby rzucić światło na zagadkę zniknięcia całej grupy. Ekipa ustaliła jednak, że sprzęt łączności uległ bardzo dziwnemu uszkodzeniu.

W normalnych warunkach dyrekcja MAK-a wysłałaby wówczas specjalną komisję mającą za zadanie dokończyć zaczęte przez Naronga i jego ludzi śledztwo. Kiedy jednak jego pisemny raport w tej sprawie dotarł w końcu do Mutchville, urzędnikom MAK-a wydano właśnie polecenie rozpoczęcia likwidacji placówki na Marsie. Zaginieni badacze nie byli wówczas najważniejszym problemem, jaki zaprzątał ich głowy. Kiedy ciało doktor Won znalazło się w Valhalli, było nadal zatopione w bryle lodu. Satoko Hayakawa, który nadzorował proces rozmrażania i autopsję, zameldował, że geolog nie miała ani jednej kości złamanej, nie zmarła z upływu krwi, ani nie chorowała na raka. W jej układzie trawiennym wciąż jeszcze znajdowało się pożywienie. Przyciśnięty w sprawie prawdopodobnej przyczyny jej śmierci, Satoko niepewnie stwierdził, że chyba zmarła na atak serca.

— W okolicach jej serca dostrzegam jakieś dziwne zmiany — oświadczył Johannowi. — Nie jestem jednak specjalistą kardiologiem.

Przy zwłokach doktor Won, w zawieszonej u pasa małej torbie, znaleziono jej przenośny minikomputer. Choć od dawna nie funkcjonował, Narong i Yasin po dokonaniu szczegółowych oględzin wszystkich części stwierdzili, że zawartość pamięci będzie można odczytać. Pracując razem naprędce zbudowali urządzenie umożliwiające dostęp do bazy danych. Proces zapoznawania się z nimi był jednak powolny i najeżony licznymi trudnościami. Całe dwa dni zajęło im wierne przetłumaczenie odczytanego tekstu, którego większość była niezrozumiałym dla żadnego z nich naukowym bełkotem. Okazało się jednak, że pamięć minikomputera doktor Won zawiera także jej pamiętnik. Pierwszy zapis sporządzono w dniu, w którym ona i jej koledzy odlecieli z portu kosmicznego w Sri Lance, udając się na spotkanie z okrążającą Ziemię stacją transportową, a ostatniego dokonano prawdopodobnie w dniu jej śmierci. Narong i Yasin skopiowali cały dziennik do pamięci dwóch niezależnych od siebie procesorów Valhalli, a później przynieśli do gabinetu Johanna wydruk zapisków z kilku ostatnich dni, spędzonych przez doktor Won

na powierzchni lodu.

— Przeczytasz za chwilę coś niesamowitego — oświadczył Johannowi Narong.

— Moim zdaniem doktor Won tam, na powierzchni lodu, postradała zmysły i zaczęła mieć halucynacje — stwierdził Yasin. — Musieli w nią za bardzo orać. Albo to, albo cała ta cholerna historia jest jakimś skomplikowanym kantem, który spalił na panewce. Zapiski w pamiętniku dowodzą, że była pomylona, a zatem nie można brać na serio tego, co pisała. A zresztą, czego innego można się spodziewać po babie, której się wydawało, że jest naukowcem…

— Jeżeli nie masz nic przeciwko temu — przerwał mu Narong — pozwól, żeby Johann wyciągnął własne wnioski.

— Masz, Asie — rzekł Yasin, podając mu wydruk. Johann zaczai czytać wręczone mu stronice.

20 GRUDNIA 2142 ROKU

Jestem zmęczona. Wszyscy jesteśmy zmęczeni. Pracujemy po dwanaście, czternaście godzin dziennie, starając się znaleźć najlepsze miejsce do wierceń. Dzisiaj wydawało się nam, że trafiliśmy na punkt, który spełniałby wszystkie nasze wymagania. Moi koledzy ustawili maszyny i zaczęli pracować. Po wywierceniu otworu w lodzie o głębokości przekraczającej czterdzieści metrów okazało się jednak, że warstwy lodu zaczynają się nakładać. Doktor Sinha zbeształ mnie surowo za dokonanie niefachowej analizy geologicznej. Przenieśliśmy się w inne miejsce, ale i tam się okazało, że nie będziemy mogli pobrać dobrej próbki z odwiertu.

21 GRUDNIA 2142 ROKU

Najdłuższy dzień wyprawy. Jestem zupełnie wyczerpana, ale uzyskane wyniki są warte tak ciężkiej pracy. Wygląda na to, że w końcu udało się nam znaleźć idealne miejsce na wywiercenie szybu. Znajduje się o jakieś sześć kilometrów od nowego obozu i o ponad sześćdziesiąt od punktu, w którym tamci Ukraińcy pobrali próbkę lodowego płaszcza. Wywierciliśmy już otwór o głębokości przekraczającej sto metrów i wszystko wygląda doskonale. Doktor Kawakita dokonał wstępnej analizy górnych warstw i chyba jest bardzo zadowolony z uzyskanych rezultatów. Zanim poszłam spać, przypomniałam kierownikowi, że od trzech dni nie nawiązywaliśmy łączności z Valhallą. Powiedział, że wyśle im wiadomość następnego dnia po skończeniu pracy.

22 GRUDNIA 2142 ROKU

Kiedy wracaliśmy wieczorem do obozu, przydarzyło się nam coś dziwnego. Mieliśmy do przejścia jeszcze ze sto metrów, kiedy zobaczyłam wylatującą z naszego namiotu długą, cienką, białą wstęgę. Z wyglądu przypominała ogon latawca. Wewnątrz wstęgi znajdowały się małe świecące cząstki, które poruszały się w jej obrębie we

wszystkie możliwe strony. Cała wstęga miała dwadzieścia czy trzydzieści metrów długości i wisiała przed wejściem namiotu tylko dwie albo trzy sekundy, a później poszybowała w siną dal z niewiarygodnie dużą prędkością.

Kiedy ujrzałam ją po raz pierwszy, doktor Sinha był pochłonięty rozmową z doktorem Kawakitą. Żaden nawet nie patrzył w stronę bazy. Kiedy się odwrócili i spojrzeli, dziwna wstęga właśnie znikała w oddali. Przypuszczam, że doktor Jailani też ją widział, ale zapytany o to, nie chciał się przyznać. Wszyscy mężczyźni doszli później do przekonania, że musiałam być świadkiem jakiegoś krótkotrwałego zjawiska atmosferycznego, charakterystycznego dla okolic podbiegunowych. Nie sądzę, żeby było to prawdopodobne.

Tego dnia wiercenie szło także bardzo dobrze. Dotarliśmy na głębokość ponad dwustu metrów i w dalszym ciągu wszystkie próbki wyglądają doskonale. Dzień zakończył się jednak przykrym zgrzytem. Ismail nie był pewien, czy poprawnie przesłał umówiony sygnał do Valhalli. Zameldował kierownikowi, że choć główny nadajnik wiele razy pomyślnie przeszedł test samokontroli, w czasie nadawania sekwencji sygnałów wystąpiły dziwne zakłócenia. Doktor Sinha zbagatelizował jednak uwagi doktor Jailaniego. Powiedział, że zapewne kiedy będziemy spali, otrzymamy z Valhalli wiadomość z potwierdzeniem przyjęcia naszego sygnału. Kierownik wyprawy przypomniał też doktorowi Jailaniemu, że od samego początku chciał, aby czwartym członkiem wyprawy był kompetentny inżynier, a nie jeszcze jeden naukowiec.

23 GRUDNIA 2142 ROKU

Jestem sama w bazie i nie mogę otrząsnąć się ze zdumienia. Właśnie zbliża się północ. Od godziny staram się skorzystać z nadajnika awaryjnego, żeby powiadomić Valhallię o naszym sensacyjnym odkryciu, ale widocznie albo nie postępuję zgodnie z instrukcjami doktora Ismaila, albo także i ten nadajnik jest uszkodzony. Możliwe, że spróbuję trochę później, bo nie sądzę, bym mogła dzisiaj długo spać.

Dzisiejszy dzień był z pewnością najbardziej niezwykłym dniem w moim życiu. Nawet teraz trudno mi uwierzyć, że wszystko, co widziałam i przeżyłam, to nie sen. Nasz zespół odkrył skomplikowany system jaskiń. Niewątpliwie istoty inteligentne wydrążyły je głęboko pod powierzchnią podbiegunowego marsjańskiego lodu. Jesteśmy jednak przekonani, że nie zrobili tego ludzie.

Doskonale zdajemy sobie sprawę ze znaczenia naszego odkrycia. Zanim trzy i pół godziny wcześniej opuściłam kolegów i wróciłam do bazy, długo zastanawialiśmy się nad treścią raportu, jaki w końcu zamierzamy przesłać do Valhalli. Celowo nie podajemy w nim szczegółów, gdyż nie chcemy wywoływać sensacji, wskutek której

niektórzy pracownicy placówki opuściliby ją w pośpiechu i zwaliliby się nam na głowy. Gdybyśmy oświadczyli, że udało się nam odkryć niezaprzeczalny dowód istnienia i działalności inteligentnych istot pozaziemskich, zapewne znaleźlibyśmy się w stanie oblężenia.

A zresztą, i tak teraz to nieważne. Nasz raport nie został wysłany; Valhalla nic więc nie wie, że tu, na marsjańskich podbiegunowych równinach dokonaliśmy najważniejszego odkrycia całego stulecia. Doktorzy Sinha i Kawakitą nie muszą się martwić, że będą dzielili Nagrodę Nobla z kimś jeszcze.

Tego ranka kierownik wyprawy obudził nas wyjątkowo wcześnie, ponad godzinę przed wschodem słońca. Nie otrzymaliśmy z Valhalli potwierdzenia wysłanego poprzedniego wieczoru sygnału, ale doktor Sinha spieszył, się pragnąc, byśmy jak najszybciej powrócili do wiercenia szybu, i nie chciał tracić czasu na szukanie przyczyn uszkodzenia naszej radiostacji. Zjedliśmy szybko śniadanie i kiedy było jeszcze ciemno, kierownik dał sygnał wyruszenia w drogę. Pokonaliśmy połowę odległości, kiedy nagle na tle ciemnego nieba ujrzeliśmy jasno świecącą smugę. Kończyła się na powierzchni lodu niedaleko miejsca, w którym znajdowały się lodomobile. Po krótkiej naradzie postanowiliśmy zboczyć nieco z drogi i skierować się ku miejscu, w którym spodziewaliśmy się znaleźć szczątki meteorytu.

Szukaliśmy ich przez prawie godzinę i dopiero w jakiś czas po wschodzie słońca doktor Kawakita, obserwując przez lornetkę teren pełen małych lodowych wzniesień, zauważył coś niezwykłego. Unieruchomiwszy lodomobile, przez jakieś dwieście metrów podążaliśmy pieszo za doktorem Kawakita. Przedmiot, który zobaczył, okazał się idealnie prostokątną dziwną płytą o szerokości dwudziestu i długości około dwustu metrów. Znajdowała się pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt centymetrów nad powierzchnią lodu, utrzymywana w pozycji poziomej przez dwa tuziny identycznych grubych wsporników. Cała konstrukcja miała idealnie biały kolor i nie odróżniała się od lodu (dla kamuflażu, jak stwierdził Ismail) z wyjątkiem cienkich, jaskrawoczerwonych pasków na brzegach płyty i górze wsporników.

Płyta wyglądała na wykonaną z metalu. Dotykając jej mogliśmy stwierdzić, że jest idealnie gładka. Doktor Sinha zrobił wiele fotografii, a w tym czasie pozostali dyskutowali. Po dziesięciu minutach od chwili, kiedy postanowiliśmy przeszukać okolicę w pobliżu dziwnej płyty, doktor Jailani i ja odkryliśmy dużą prostokątną dziurę w lodzie. Nie było cienia wątpliwości, że miała zbyt idealny kształt, by mogła zostać stworzona przez naturę.

Kiedy dołączyli do nas doktorzy Sinha i Kawakita, zaczęliśmy po kolei świecić latarkami w głąb dziury. Po obu jej stronach widać było elementy jakichś konstrukcji, ale nie można było ich rozpoznać. Ismail zaproponował wówczas, byśmy wpuścili do środka ze dwie flary

sygnalizacyjne i przy ich świetle zrobili zdjęcia. Stwierdziliśmy później, że to był bardzo dobry pomysł.

Nieruchome fotografie i obrazy wideo okazały się doskonałe. Widać było na nich kilkupiętrową podziemną konstrukcję ciągnącą się na boki. Przed zjedzeniem posiłku i po nim długo dyskutowaliśmy o tym, co mamy dalej robić. Chociaż nie zabraliśmy ze sobą sprzętu, by penetrować podziemne tunele, kierownik wyprawy nalegał, byśmy chociaż przeprowadzili badania wstępne.

Mężczyźni wyciągnęli dwie bardzo wytrzymałe liny, które zawsze mieliśmy ze sobą na wypadek niebezpieczeństwa, a potem przywiązali ich końce do grubych palików wbitych w lód po obu stronach dziury. Późnym popołudniem wszyscy trzej spuścili się po linach na pierwszy podziemny poziom i zajęli się fotografowaniem tuneli i korytarzy ciągnących się po obu stronach głównej dziury. Postanowili, że ja zostanę na powierzchni, nie tylko z uwagi na moje bezpieczeństwo, ale i na wypadek, gdyby trzeba było podać im szybko coś z naszego wyposażenia. Przez całe popołudnie porozumiewaliśmy się przy pomocy przenośnych radiostacji. Naukowcy opisywali mi, co widzą, a ja rejestrowałam ich uwagi w pamięci komputera.

Mężczyźni spędzili trzy godziny, badając labirynt korytarzy na pierwszym poziomie. Od czasu do czasu znajdywali jakiś przedmiot o niewiadomym przeznaczeniu, zawsze barwy białej z czerwonymi paskami na powierzchni, ale to były jedyne znaki. Rozmiary i liczba podziemnych korytarzy przyprawiały nas o zawrót głowy. Coś lub ktoś poświęcił niesamowicie dużo czasu i energii, by wydrążyć w marsjańskim lodzie te podziemne jaskinie.

Przed zachodem słońca pozostali naukowcy wyłonili się z dziury i podjęli decyzję, że będą pracowali przez następne kilka godzin, a dopiero później zrobią krótką przerwę. Wszyscy byli niezwykle podnieceni i dosłownie aż tryskali energią. Poprosili mnie, bym pojechała do bazy, wysłała komunikat do Valhalli i wróciła następnego dnia o świcie z zapasami żywności i niezbędnym ekwipunkiem. Ismail zaproponował nawet, że wróci razem ze mną, na wypadek gdybym bała się zostać sama, ale jego twarz mówiła, że wolałby raczej zostać na miejscu.

W ciągu ostatnich dwóch godzin, jakie z nimi spędziłam, mężczyźni odczepili od palika jedną z lin i jej koniec przywiązali do drugiej liny, teraz mogli spuścić się na drugie podziemne piętro. Kiedy przypomniałam im, że linę asekuracyjną wymyślono, mając na uwadze ich bezpieczeństwo, doktor Sinha oznajmił, że kiedy wrócę, będzie tyle lin, że nie będą musieli martwić się o takie sprawy. Tuż przed moim odjazdem umieścili w brezentowej torbie kilka małych przedmiotów znalezionych w tunelach. Poprosili mnie, bym zabrała je ze sobą do bazy, gdzie ich zdaniem będą bezpieczniejsze.

24 GRUDNIA 2142 ROKU

Postaram się, żeby moje zapiski miały jakiś sens, chociaż wiem, że to nie będzie łatwe. Jestem przerażona. Obawiam się, że stało się coś strasznego. Nie widziałam kolegów od chwili, kiedy poprzedniego wieczoru opuściłam ich i wróciłam do bazy. W tej chwili siedzę na kawałku brezentu, rozłożonym na powierzchni lodu o niecałe dziesięć metrów od brzegu prostokątnej dziury. Od zachodu słońca minęły dwie godziny. Koło mnie stoją dwa plecaki z linami, żywnością i innym sprzętem. Przyniosłam je tego rana z lodomobilu. Obok nich leżą torby i przyrządy elektroniczne, które zostawiłam w tym miejscu, kiedy wczoraj odjeżdżałam.

Przypuszczam, że powinnam zacząć od początku. Po kolejnej nieudanej próbie nawiązania łączności z Valhallą przez radiostację awaryjną, zasnęłam i spałam trzy godziny. Kiedy się obudziłam, na dworze wciąż było jeszcze ciemno. Starannie spakowałam wszystkie przedmioty, o których zabranie prosili mnie koledzy, a potem włożyłam je do bagażnika lodomobilu.

Kiedy system nawigacyjny pojazdu pokazał, że znalazłam się niecały kilometr od miejsca, w którym niedaleko prostokątnej dziury ustawiliśmy nadajnik sygnału namiarowego, doznałam dziwnego uczucia, że ktoś mnie śledzi. Mimo że moje obawy były śmieszne, to jednak powoli odwróciłam się w fotelu i spojrzałam do tyłu. Za sobą, w odległości nie większej niż czterdzieści metrów, na tle ciemnego nieba zobaczyłam długą białą wstęgę, podobną do tej, którą widziałam przed dwoma dniami wyłaniającą się z naszego namiotu. Sparaliżowała mnie trwoga. Nie mogłam nawet kierować pojazdem. Lodomobil zboczył z trasy i uderzył w niewielką lodową ścianę na poboczu. Natychmiast uruchomił się hamulec awaryjny, a system bezpieczeństwa pojazdu wyłączył zasilanie.

Wpatrywałam się w jasno świecącą wstęgę przez dobrych kilkanaście sekund. Stwierdziłam, że wisi nieruchomo, jak gdyby mnie obserwując. Tworzące ją drobiny nieustannie się poruszały, w górę, w dół i na boki, odbijając się ku środkowi wstęgi, kiedy docierały do jej skraju. Po czasie dłuższym niż cała wieczność wstęga zwinęła się i przeleciała nad moją głową, znikając w tej stronie, w której znajdowała się prostokątna dziura.

Przez długi czas nie mogłam się poruszyć. Ręce trzęsły mi się tak bardzo, że nawet nie potrafiłam nacisnąć startera lodomobilu. Powiedziałam sobie, że muszę się uspokoić, ale okazało się to niemożliwe. W końcu, po długich staraniach, udało mi się uruchomić pojazd, powrócić nim na drogę i jechać dalej.

Kilka razy próbowałam nawiązać łączność za pomocą przenośnej radiostacji. Kiedy jednak dotarłam do drugiego lodomobilu i przekonałam się, że od czasu mojego odjazdu nie był uruchamiany,

ogarnęło mnie przeczucie, że wydarzyło się coś strasznego. Mimo to wyjęłam z bagażnika dwa plecaki ze sprzętem i żywnością i przeniosłam je przez niedostępny teren w pobliże dziury.

Przez cały ten czas co kilkanaście minut próbowałam połączyć się z kolegami. Przeszukałam także dokładnie całą okolicę. Przekonałam się, że od czasu mojego odjazdu nic, co zostawili na powierzchni lodu, nie było nawet dotykane. Musieli więc zejść na drugi poziom i dotychczas nie wrócili.

Nie wiedziałam, co powinnam zrobić. Miałam do wyboru dwie możliwości. Mogłam w dalszym ciągu czekać na nich, licząc na to, że w końcu się odezwą, albo spuścić się po linie na dół i spróbować ich odszukać. Jeżeli nadal żyją ale są tak głęboko pod ziemią, że sygnały naszych radiostacji są zbyt słabe, byśmy mogli się słyszeć, wcześniej czy później wyjdą na powierzchnię. W kieszeniach kosmicznych kombinezonów i torbach mieli przecież zapasy żywności i wodę zaledwie na jeden dzień, nie dłużej.

Możliwość, że sama spuściłabym się w głąb po linie, jakoś mnie nie nęci. Mimo zawiązania na niej co pół metra węzłów, nie ufam ani swojej sile, ani poczuciu równowagi, na tyle, by pokusić się o zejście na głębokość piętnastu metrów, nie mówiąc już o powrocie. A co będzie, jeżeli na tym drugim poziomie przydarzyło się im coś strasznego? Czy mam powód, by sądzić, że to samo mogłoby się stać ze mną?

Nie, opuszczenie się w głąb dziury powinnam brać pod uwagę tylko wówczas, kiedy zawiedzie wszystko inne. Doszłam do wniosku, że najlepszym wyjściem będzie siedzenie i czekanie w nadziei, że któryś z naukowców niedługo nawiąże łączność.

25 GRUDNIA 2142 ROKU

Słońce wzeszło przed dwoma godzinami, a moja sytuacja nie uległa żadnej zmianie. Z każdą upływającą godziną nabieram przekonania, że wszyscy moi koledzy nie żyją.

Jestem przerażona i przygnębiona. W środku nocy, kiedy obudził mnie jakiś śniący mi się koszmar, zaczęłam rozmyślać o wszystkim, co przydarzyło się nam w ciągu ostatnich kilku dni. Dopiero teraz jasno widzę, jak ryzykowna i bezmyślna była nasza decyzja o zbadaniu tych tajemniczych jaskiń na własną rękę. Powinniśmy jedynie oznaczyć ich położenie, pomagając sobie flarami zrobić kilka fotografii i ujęć wideo jako dowód, że naprawdę istnieją, a potem natychmiast wrócić do Valhalli.

Postanowiłam zostać tutaj i czekać na powrót pozostałych naukowców jeszcze tylko przez ten dzień. Nie zamierzam opuszczać się w głąb dziury. To nie jest sprawa mojej odwagi. Po prostu nie widzę sensu w tym, by ryzykować utratę życia.

Zanim wrócę do bazy i wyruszę w drogę powrotną do Valhalli,

zamierzam pojechać do miejsca naszego odwiertu, żeby zabrać stamtąd próbki lodu i wyniki wszystkich badań naukowych.

Przynajmniej tyle mogę zrobić dla swoich kolegów. Te wyniki, zarejestrowane w pamięciach zostawionych tam komputerów, już w tej chwili mogą potwierdzić teorię doktora Kawakity.

Kiedy Johann zaczynał czytać pamiętnik doktor Won, Narong i Yasin opuścili jego gabinet. Gdy skończył, głęboko odetchnął, a potem ponownie wezwał Naronga.

— Jesteś blady jak ściana — oświadczył informatyk.

— Nic dziwnego — odrzekł Johann. — Właśnie przeczytałem coś, co może być najbardziej zdumiewającym dokumentem, jaki kiedykolwiek napisał człowiek. Jeżeli te zapiski mówią prawdę, doktor Won i jej koledzy dokonali najważniejszego odkrycia w dziejach ludzkości.

— Yasin nadal uważa, że to oszustwo — rzekł Narong.

— Dokonane przez kogo i w jakim celu? — zapytał Johann. — Poza tym my wiemy o czymś, o czym Yasin nie wie, a mianowicie o fakcie, że te chmury świetlistych cząstek były widywane już wcześniej i to przez różnych ludzi. Nie wydaje mi się możliwe, żeby doktor Won…

— Ale jest możliwe, że miała dostęp do informacji opublikowanej przez Towarzystwo do Spraw Ramy — przerwał mu Narong. — I jest możliwe, że klika ich naukowców uknuła sprytny plan, którego częścią miał być pamiętnik doktor Won, tylko po to, żeby zyskać w ten sposób międzynarodowy rozgłos i sławę. Niestety, jakiś etap tego planu się nie udał i kosztował naukowców życie.

— Nie, Narong — odrzekł Johann. — Podejrzenie o dokonanie oszustwa jest bezpodstawne. Jestem przekonany, że dziennik opisuje to, co zdarzyło się naprawdę… Przy okazji, jak twoim zdaniem zginęła doktor Won?

Narong wzruszył ramionami.

— Trudno powiedzieć coś na pewno. Przypuszczam, że po tym, jak jej lodomobil został uszkodzony, mogła wyruszyć w dalszą drogę pieszo i po prostu zabłądziła. Łatwo stracić orientację w terenie, w którym nie istnieje nic poza wszechobecnym lodem.

Johann wstał.

— Co teraz robimy, szefie? — zapytał go Narong.

— Poproś Yasina, żeby nakierował anteny naszych wszystkich nadajników na Mutchville. Zgodnie z przepisami mam zamiar powiadomić ich o znalezieniu zwłok doktor Won, a później przeczytam im wybrane fragmenty jej pamiętnika. — Johann na chwilę przerwał. — Nie wiem, czy mnie usłyszą, nawet jeśli będziemy nadawać z maksymalną mocą, ale chcę przynajmniej spróbować.

— Coś jeszcze, szefie? — zapytał Narong, domyślając się, że

Johann nie skończył.

— Zamierzam udać się w tamto miejsce, żeby sprawdzić samemu, ile z informacji zapisanych w dzienniku doktor Won jest prawdziwe… — odrzekł Johann. — Pojedzie ze mną Kwame. Jeżeli chodzi o ciebie, to chcę, byś został w Valhalli i zatroszczył się, żeby wszystko funkcjonowało jak należy. Placówka potrzebuje energicznego przywódcy na wypadek, gdyby…

Urwał nie kończąc zdania.

— Czy zejdziesz do tych jaskiń? — zapytał go informatyk.

— Jeżeli okaże się, że naprawdę istnieją — odparł Johann.

8

Kwame przeczytał ostatnią część dziennika doktor Won w sali konferencyjnej sąsiadującej z gabinetem Johanna.

— I co o tym sądzisz? — zapytał Johann, kiedy Kwame zwrócił mu kartki wydruku.

— Jeszcze nie wiem — odparł Tanzańczyk. — Nie miałem czasu przemyśleć tego, co właśnie przeczytałem… To wszystko jest niesamowite. Czy uważasz, że może być prawdziwe?

— To dobre pytanie — odrzekł Johann. — Z powodów, które wyjaśnię ci za chwilę, uważam za możliwe, że historia opisana przez doktor Won jest prawdziwa. Co więcej, przynajmniej częściowo będziemy mogli ją sprawdzić. Mapy znajdujące się w jej zapiskach są dosyć szczegółowe. Mam zamiar w przyszłym tygodniu wyprawić się na poszukiwania tej dziury i chciałbym, żebyś pojechał ze mną. Możesz się zgodzić albo nie, ale zanim się zdecydujesz, chcę opowiedzieć ci o kilku swoich niezwykłych przeżyciach.

Kwame słuchał z zapartym tchem, gdy Johann opowiadał mu nie tylko o swoich dwóch spotkaniach ze świetlistymi kulkami, ale także o rozmowie z Beatrice i Vivien, którą odbył z nimi w Mutchville.

— O, rany — odezwał się Tanzańczyk, kiedy Johann skończył. — Więc sądzisz, że ta wstęga, o której wspomina doktor Won, może być tym samym zjawiskiem, które widziałeś ty i te zakonnice? I że wszystkie te wydarzenia mogą być ze sobą powiązane?

— Tak — odparł Johann. — Chociaż nawet nie mógłbym marzyć o tym, by wyjaśnić ci, w jaki sposób. Kwame uśmiechnął się.

— Podoba mi się pomysł siostry Beatrice. Czułbym się podniesiony na duchu, mając świadomość, że chmury tych cząstek są anielskimi emisariuszami posłanymi do nas przez dobrotliwego Boga. Każde inne wyjaśnienie budziłoby we mnie grozę, zwłaszcza w świetle tego, co przydarzyło się doktor Won i jej trzem kolegom.

— Czy to znaczy, że nie zgadzasz się mi towarzyszyć? — zapytał Johann po krótkiej chwili ciszy.

— Nie, nie — zapewnił go Kwame. — Nie zrozum mnie źle. Będę zaszczycony, mogąc jechać z tobą… Nietrudno jednak wyobrazić sobie, że cząstki czy też twórcy podziemnych jaskiń dysponują możliwościami, których nawet nie potrafimy pojąć. Ani też wytłumaczyć. To właśnie dlatego podoba mi się pomysł siostry Beatrice, że te chmury cząstek są aniołami. Dzięki temu możliwość zetknięcia się z nimi nie wydaje mi się taka przerażająca.

— Moim zdaniem cząstki nie są wobec nas wrogo nastawione — powiedział Johann. Kwame znów się uśmiechnął.

— Kiedy pierwsi Europejczycy przybyli do Afryki, zostali

powitani przez plemiona sądzące, że biali ludzie są łaskawymi i dobrymi bóstwami. Afrykanie nie mogli wówczas przewidzieć, że pojawienie się przybyszów nieodwołalnie zmieni ich dotychczasowy styl życia.

— Narong i ja rozmawialiśmy ubiegłego wieczoru na podobny temat — oświadczył Johann. — Jeżeli cząstki i jaskinie są pochodzenia pozaziemskiego, a ich poziom techniczny jest tak zaawansowany, jak myślimy, to kontakt między nimi a nami może oznaczać koniec historii człowieka w takiej postaci, jaką znamy.

— A przy tym wcale nie jest ważne, czy te cząstki są do nas nastawione wrogo, czy przyjaźnie — stwierdził Kwame. — Końcowy rezultat będzie taki sam. Popatrz tylko, co się stało w amazońskiej puszczy pod koniec dwudziestego wieku. Antropologowie, którzy po raz pierwszy zetknęli się z żyjącymi tam jak pustelnicy Indianami, mieli jak najlepsze zamiary, ale przez samo uświadomienie indiańskim plemionom, że istnieją inne style życia, skazali ich cywilizację na nieuchronną zagładę. Teraz Johann się uśmiechnął.

— Nie miałem pojęcia, że tak bardzo interesujesz się historią — powiedział.

— Pasjonowałem się historią od czasów, kiedy byłem chłopcem — przyznał Kwame. — I chociaż, głównie z powodów finansowych, nie mogłem być studentem, dużo czasu poświęcałem na czytanie i studiowanie. Moje zainteresowania historycznymi znaczeniami kontaktów z cywilizacją pozaziemską zostały pobudzone przed czternastu laty, kiedy do naszego systemu słonecznego przyleciał statek obcych istot, nazwany Ramą. Uczyłem się wówczas w technikum budowy maszyn dla przemysłu wydobywczego. Codziennie słuchałem wiadomości, licząc na to, że w końcu jakaś obca cywilizacja zechciała objawić ludziom fakt swojego istnienia. Byłem zdruzgotany, kiedy Rama odleciał, nie odpowiadając na żadne z nurtujących mnie pytań.

— A wiec myślisz, że gdzieś pośród gwiazd istnieje jakaś obca cywilizacja? — zapytał go Johann.

— O, tak — odparł Kwame. — Uważam za niedorzeczny pomysł, że tylko na Ziemi, na jednej małej planecie, rozwinęło się inteligentne życie. Proces, dzięki któremu żyjemy, nie mógł nie pojawić się gdzie indziej.

Johann udał, że się dziwi.

— Nie wygląda to na odpowiedź, jakiej mógłbym oczekiwać ze strony pobożnego muzułmanina — powiedział. Kwame się roześmiał.

— Istnieją różni muzułmanie, tak samo jak różni chrześcijanie — odparł. — Nigdy nie wierzyłem, że moja religia ogranicza mnie pod względem umysłowym. Moim zdaniem jest mało prawdopodobne, żeby Allach czy Bóg oczekiwali, iż będziemy istotami bezmyślnymi.

Johann uśmiechnął się do wysokiego, szczupłego Afrykanina o pogodnym spojrzeniu. Pomyślał, że Kwame będzie doskonałym towarzyszem w największej przygodzie ich życia.

Johann i Kwame spędzili trzy pracowite dni, przygotowując się do wyprawy. Każdy po kilka razy przeczytał zapiski doktor Won, a także zapoznał się z zarejestrowanymi przez nią rozmowami pozostałych trzech uczestników wyprawy, jakie wiedli podczas badań podziemnych jaskiń. I Johann, i Kwame, podczas wspólnego układania planów ich wyprawy, mieli okazję wzajemnie docenić swoje zalety. Johann był sumienny, kompetentny i dociekliwy, podczas gdy Kwame miał charakter mniej dociekliwy, ale za to bardziej intuicyjny i twórczy.

Kiedy opuszczali Valhallę, bagażnik ich lodomobilu ciągniętego na przyczepie za łazikiem nie domykał się z powodu zabranych urządzeń i zapasów żywności. Narong pomógł Johannowi i Tanzańczykowi zabezpieczyć wszystko solidną siatką, którą później przymocował do boków lodomobilu. Mimo to Johann nie mógł się pozbyć obaw, że podskoki przyczepy na wybojach spowodują przemieszczenie się ładunku, wskutek czego mogą zgubić coś ważnego.

— Jeśli chcesz — odezwał się Kwame z przewrotnym uśmiechem, kiedy Johann zatrzymał łazik po raz trzeci, żeby sprawdzić, czy przedmioty w bagażniku znajdują się na swoich miejscach — mogę jechać w lodomobilu i pilnować, by nic nie wypadło.

Johann uświadomił sobie, że zaczyna zachowywać się nienaturalnie i postarał się odprężyć. Zapytał Kwamego, jak spędzał czas w Afryce, kiedy był chłopcem. Okazało się, że Kwame urodził się i wychowywał w niewielkiej wiosce w zachodniej Tanzanii, niedaleko Serengeti. Kiedy Kwame w barwnych, pełnych życia słowach opowiadał mu historie z czasów dzieciństwa, nawet Johann, nie grzeszący przecież zbytnią wyobraźnią, mógł bez trudu zrozumieć, jak mogło wyglądać życie w małej wiosce, i przeżywać spotkania z legendarnymi dzikimi zwierzętami z rezerwatu.

Kiedy w końcu dotarli do skraju lodowca i przesiedli się z łazika do lodomobilu, ich prędkość podróży znacznie wzrosła. Johann trzymał się dobrze znanych szlaków tak długo, aż dotarli do okolic pełnych małych, lodowych pagórków i dolin, gdzie zgodnie z mapą doktor Won miał znajdować się prostokątny otwór. Po krótkim czasie udało się im go odnaleźć; rozstawili wiec namiot na płaskim miejscu w pobliżu.

Z początku żaden mężczyzna nie mógł zasnąć. Przez godzinę rozmawiali, leżąc obok siebie w śpiworach i porozumiewając się ze sobą przez mikrofony hełmów. Kwame przyznał, że trochę się boi, ale jest bardzo podniecony. Oświadczył Johannowi, że z czasów

dzieciństwa przypomina sobie pewną noc, którą spędził w Serengeti pod gołym niebem. Jako kilkunastoletni chłopiec zarabiał wówczas na życie, pomagając kucharzowi przygotowywać posiłki i zmywając naczynia w czasie bezkrwawego safari.

— Ten drugi chłopak i ja postanowiliśmy, że będziemy spali z daleka od innych — powiedział. — Przenieśliśmy więc nasze śpiwory o kilkaset metrów na południe i ułożyliśmy blisko miejsca, gdzie pod małym wodospadem utworzyło się urocze jezioro. Rozjaśniona księżycowym blaskiem noc była cudowna, ale bardzo ciepła, więc spaliśmy nie rozstawiwszy namiotu. Zasnąłem licząc gwiazdy na niebie… Po kilku godzinach obudziłem się zlany potem i postanowiłem wykąpać się w jeziorze. Kiedy wypłynąłem na środek, ujrzałem ogromnego krokodyla przyglądającego mi się z odległości jakichś trzydziestu metrów. Zaczął płynąć w moją stronę, a w jego oczach odbijał się blask księżyca… Byłem przerażony. Miałem szczęście, że krokodyl nie był głodny, gdyż w przeciwnym wypadku nie usłyszałbyś tej opowieści. Ale mieszanina podniecenia i strachu, jaką czuję w tej chwili, jest podobna do tego, co czułem, gdy płynąłem w głębokiej wodzie, obserwując krokodyla.

Następnego dnia od rana pracowali niemal w całkowitej ciszy. Postępowali zgodnie z planem, który wcześniej ułożyli w Valhalli. Ostrożnie rozwinęli dwie dwudziestometrowe sznurowe drabinki i sprawdzili każdy ich szczebel — czy jest mocny i dobrze przywiązany. W pobliżu jednego rogu prostokątnego otworu Kwame wbił w lód cztery nowe paliki (dwa poprzednie, o których wspominała w swoim pamiętniku doktor Won, wciąż jeszcze tkwiły w lodzie, ale do żadnego nie była przywiązana lina), a Johann w tym czasie sprawdził małe roboty wyposażone w ruchome kamery. Upewniwszy się, że działają, on i Kwame przywiązali koniec każdej liny drabinki do jednego palika, a później opuścili ją w głąb otworu. Nie usłyszeli jednak odgłosu uderzenia szczebli o dno. Zrozumieli, że głębokość dziury musiała być większa niż dwadzieścia metrów.

Potem Johann i Kwame przymocowali reflektory górnicze do hełmów swoich kosmicznych kombinezonów, a następnie zaczęli opuszczać się w głąb otworu.

— Czy nie sądzisz, że to dziwne — odezwał się w pewnej chwili Johann, poprawiając swój reflektor — iż lodomobil naukowców wygląda, jakby nikt go nie ruszał od ponad roku, jaki upłynął od czasu ich wyprawy, a wbite przez nich paliki znajdują się wciąż na swoich miejscach?

Kwame wzruszył ramionami.

— Nie dziwniejsze niż wszystko inne — odparł.

Zeszli na sam koniec drabinek, mijając po drodze pięć par obszernych, prostokątnych wejść do korytarzy wykutych w lodzie po

obu stronach centralnego otworu. Zatrzymawszy się na końcu, zapalili latarki i zaczęli oświetlać znajdującą się pod nimi przestrzeń. Stwierdzili, że widnieją tam jeszcze dwa poziomy korytarzy, a dno centralnego otworu znajduje się o jakieś osiem do dziesięciu metrów poniżej końca drabinek. Bez trudu umieścili roboty z kamerami w wylotach wszystkich korytarzy, po jednym w każdym wylocie, a potem wrócili na powierzchnię, żeby włączyć ich sterowniki. Osiem spośród dziesięciu kamer funkcjonowało doskonale, zajmując zgodnie z programem wyznaczone im stanowiska po upływie dwunastu minut od chwili włączenia sterowników. Dwa roboty rezerwowe umieścili w korytarzach, z których dwa poprzednio wysłane nie przekazały żadnych obrazów. Te rezerwowe automaty zaprogramowali na krótszy czas badania korytarzy niż tamte wysłane przed nimi.

Przez następne dwie godziny Johann i Kwame przeglądali nie obrobione obrazy wideo. Obok namiotu ustawili aparaturę elektroniczną, której głównym elementem był telewizyjny monitor. Stwierdzili, że tylko niewiele ujęć nadaje się do oglądania bez użycia algorytmów obróbki obrazów zapisanych w podręcznych procesorach.

Była to bardzo nudna praca. Większość ujęć przedstawiała tylko białe lodowe ściany. Dopiero pod koniec dnia, kiedy

Johann i Kwame byli wyczerpani, zaczęli pojmować ogólny kształt podziemnego świata.

— Przypuszczam, że pierwsze dwa poziomy nie pełnią żadnej ważnej funkcji — odezwał się Kwame podczas jakiejś krótkiej przerwy. — Stanowią labirynt korytarzy i ślepych zaułków mających wprowadzić w błąd, a może zwabić w pułapkę każdego, kto znajdzie się w środku przez przypadek.

— W takim razie co sądzisz o tych dziwnych napisach na ścianie, czy czymkolwiek jest to, co widzieliśmy, a także o tej tajemniczej grupie rzeźb lodowych na drugim poziomie? — zapytał go Johann.

— Jeżeli oprócz nich nie ma czegoś więcej jeszcze głębiej w korytarzach, poza zasięgiem naszych kamer, nadal nie sądzę, by poziom drugi zawierał coś ciekawego — stwierdził Kwame. — Intuicja podpowiada mi, że jeżeli w tym miejscu jest coś ciekawego, zaczyna się na trzecim poziomie pod powierzchnią… A poza tym nie będziemy mogli powiedzieć nic więcej na temat tych dziwnych obiektów sfilmowanych przez kamery, dopóki sami ich nie zobaczymy.

Resztę dnia obaj mężczyźni spędzili, badając obrobione obrazy przedstawiające trzeci poziom i układając plany na dzień następny. Postanowili, że najważniejszą sprawą będzie obejrzenie grupy tajemniczych przedmiotów o zaokrąglonych kształtach, znajdujących się o jakieś sto metrów od centralnego otworu i blokujących ciągnący się na południowy zachód korytarz na trzecim poziomie.

Zanim ułożyli się w śpiworach do snu, Johann wyciągnął

radiotelefon i połączył się z Narongjem. Nie kryjąc podniecenia, opowiedział mu o wszystkim, co odkryli.

— A co z grupą zaginionych naukowców? — zapytał Narong. — Nie wspomniałeś o nich ani słowem.

— Nie znaleźliśmy żadnego śladu, by móc stwierdzić, co się z nimi stało — odrzekł Johann. — Żadnych kości, strzępów ubrań, kawałków liny… niczego. A przyglądaliśmy się obrazom bardzo uważnie.

— Nie mogli po prostu rozpłynąć się w powietrzu — stwierdził Narong. — No cóż, uważaj na siebie jutro i zadzwoń do mnie, kiedy znajdziesz coś niezwykłego.

— Też uważam, że to bez sensu — odezwał się Kwame, kiedy Johann odłożył słuchawkę radiotelefonu. — Czy nie dziwi cię, że dno dziury jest takie czyste? My sami przecież, kiedy spuszczaliśmy drabinki, musieliśmy zaśmiecić je kawałkami lodu. A z pewnością wpada ich tam więcej, kiedy wieją silne wiatry.

— Zgadzam się z tobą — odparł Johann. — Jutro trzeba będzie dokładniej się temu przyjrzeć. Johann i Kwame schodzili po szczeblach tej samej drabinki. Znajdowali się z tej strony otworu, z której wykute w lodzie podziemne korytarze odchodziły na południowy zachód. Johann szedł pierwszy. Zanim puścił drabinkę i zagłębił się w jeden z korytarzy na trzecim poziomie, skierował promień światła latarki w głąb otworu.

Ujrzał tylko ziejącą pod nim ciemną czeluść.

— Czy wcześniej, kiedy znajdowaliśmy się na trzecim poziomie, nie widać było dna szybu? — zwrócił się do Kwamego.

— Nie pamiętam — oparł Tanzańczyk. — Może powinienem zejść jeszcze niżej i to sprawdzić?

— Nie — zdecydował Johann. — Będziemy mogli zrobić to trochę później… Teraz chodźmy i zbadajmy, co jest w tym korytarzu.

Kwame dołączył do niego, zatrzymując się na skraju otworu. Obaj mężczyźni włączyli reflektory hełmów na pełną moc, dzięki czemu mogli widzieć kolejne piętnaście metrów drogi. Po krótkim marszu ujrzeli majaczące przed nimi dziwne zaokrąglone przedmioty.

— Czy nie przyszło ci do głowy, że lepiej byłoby mieć ze sobą coś do obrony? — odezwał się Kwame do mikrofonu hełmu swojego kombinezonu.

— Mój gadzi instynkt podpowiada, że powinienem mieć teraz jakąś broń — przyznał Johann. — Mój móżdżek mówi mi jednak, że byłaby bezużyteczna przeciwko temu, kto wydrążył te korytarze.

Kwame zachichotał.

— Słuszna uwaga — stwierdził.

Pierwszy dziwaczny obiekt stojący pod lewą ścianą korytarza przypominał ogromną figurę do gry w kręgle. Był wyższy niż Johann i

o wiele masywniejszy, a jego gładką, białą powierzchnię zdobiła tylko jedna, biegnąca pośrodku czerwona linia. Za figurą, pod tą samą ścianą, spoczywały dwie ogromne kule. Także były białe i gładkie z wąskimi czerwonymi pasami na równikach.

— To kręgielnia — rzekł Kwame.

Johann roześmiał się, kiedy mijał kule, i skierował się w stronę grupy zaokrąglonych przedmiotów ustawionych w poprzek korytarza w ten sposób, że blokowały przejście. Przystanął, a potem wspiął się na wierzchołek jednego z mniejszych przedmiotów, podobnych do przerośniętego muchomora. Stamtąd mógł zobaczyć, że korytarz kończy się dużymi białymi drzwiami.

— Hej, Kwame! — zawołał. — Znalazłem coś niezwykłego… Wygląda jak duże drzwi.

— To wspaniale, Johannie — usłyszał, jak Tanzańczyk odpowiada zdziwionym głosem. — Ale moim zdaniem ważniejsze powinno być to, co w tej chwili wisi nad moją głową.

Johann odwrócił się raptownie i omal nie spadł z kapelusza muchomora. Zobaczył, że nad hehnem Kwamego unosi się długa biała wstęga, pełna małych, świecących białych cząstek. Johann łagodnie zsunął się z kapelusza i stanął na podłodze korytarza.

— Skąd się tam wzięła? — zapytał, nie odrywając spojrzenia od zadziwiającego widoku.

— Przyleciała gdzieś z tyłu — odrzekł Kwame. — Pocierałem powierzchnię tej figury do gry w kręgle, kiedy niespodziewanie pojawiła się nad moją głową… Może to jest zły dżinn z tej figury?

Tanzańczyk roześmiał się nerwowo ze swojego żartu, a Johann w tym czasie obchodził figurę, starając się podejść bliżej kolegi. Zjawisko jednak także się przemieściło, w taki sposób, że unosiło się między nimi na poziomie oczu. Blask bijący od cząsteczek był tak jasny, że żaden mężczyzna nie mógł widzieć twarzy drugiego.

Ilekroć Johann robił krok, chcąc zbliżyć się do Kwamego, tajemnicza wstęga stawała się jaśniejsza i aktywniejsza. Tworzące ją kulki zaczynały poruszać się szybciej, jakby były podniecone. Kiedy Johann cofał się o krok, świecenie przygasało, a tańczące kulki poruszały się wolniej.

— A więc, szefie — odezwał się po chwili Kwame — czy też odnosisz wrażenie, że to coś usiłuje nie dopuścić ciebie do mnie?

— Chyba tak — przyznał nieco zaniepokojony tym faktem Johann.

— Czemu nie przestaniesz się ruszać i nie oprzesz się o tego muchomora? Moglibyśmy wówczas zobaczyć, co wydarzy się później.

— W porządku — odrzekł Johann. — Przypuszczam, że na razie nic nam nie zagraża… a przynajmniej nic takiego, co mógłbym dostrzec.

Johann i Kwame patrzyli, jak wstęga przemieszcza się o kolejny metr, ale kiedy jej końce zadrżały, zamieniła się w podwójną spiralę, dokładnie taką samą, jaką Johann widział pośród płatków padającego śniegu przed kilkoma laty w berlińskim Tiergarten. Johann poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła. To niemożliwe — pomyślał. — To po prostu niemożliwe.

Kilka sekund później, zanim któryś mężczyzna zdołał wymówić choć słowo, podwójna spirala przekształciła się w ósemkę. Johann widząc to, doznał tak wielkiego wstrząsu, że niemal przestał oddychać. Ósemka obróciła się poziomo; tworzące je drobiny utworzyły jedenaście białych kuł, które szybko zaczęły wirować najpierw w jedną, a później w drugą stronę. Johann wiedział, co wydarzy się za chwilę, i zrobił raptowny unik, kiedy biała tenisowa piłka z czerwonym pasem na równiku przeszyła przestrzeń ponad jego hełmem. Piłka zawróciła za plecami Johanna, przemieniła się znów we wstęgę i poszybowała na miejsce miedzy nim a Tanzańczykiem. Johann z najwyższym wysiłkiem starał się zebrać myśli.

— Wynośmy się stąd, Kwame — zdołał wykrztusić.

— Słyszę cię, Johannie — odrzekł kolega. — Wygląda jednak na to, że nasze kłopoty dopiero się zaczynają.

Za plecami Kwamego, niedaleko centralnego otworu, znajdował się teraz duży biały przedmiot przypominający ogromnego śnieżnego bałwana jadącego na deskorolce. Tworzyły go dwie wielkie białe kule, z których większa, znajdująca się na dole, spoczywała na płaskiej białej tacy zaopatrzonej w sześć czerwonych kółek. Ten bałwan nie miał rąk ani oczu, ani uszu. A przynajmniej nie miał ich do chwili, w której dotarł do Kwamego. Kiedy dziwny stwór znalazł się o kilkadziesiąt centymetrów od Tanzańczyka, mniejsza, górna kula nagle konwulsyjnie zadrżała i wyłonił się z niej długi, biały, cienki wyrostek. Stwór owinął wówczas swoją dłoń, czy cokolwiek miał na końcu wyrostka, mocno wokół przedramienia Kwamego i zaczął ciągnąć mężczyznę w kierunku centralnego otworu.

Johann stał jak sparaliżowany. Kiedy ocknął się i usiłował przyjść koledze z pomocą, wstęga przemieniła się znów w piłkę tenisową i zaczęła raz za razem uderzać o szybę jego hełmu, wybuchając błyskami jasnego światła. Johann był oślepiony i aż trząsł się od uderzeń kuli. W końcu zrezygnował z udzielenia pomocy Tanzańczykowi; biała piłka wówczas przemieniła się znów we wstęgę i poszybowała w stronę otworu, gdzie zawisła nieruchomo, tak że Johann mógł widzieć, co się dzieje.

O, mój Boże — pomyślał. — Ten bałwan zaraz wciągnie go do przepaści.

— Czy nic ci nie jest? — krzyknął nie kryjąc ogarniającej go paniki.

— Jestem przerażony — odparł Kwame. — Ten diabeł trzyma mnie za rękę i ciągnie do otworu… Kiedy staram się wyrwać, jego uścisk staje się silniejszy. Obawiam się, że ten sukinsyn rozerwie mi kombinezon!

— Jezus, Kwame — rzekł Johann. — Przepraszam, że cię w to wplątałem. To było głupie z mojej strony, naprawdę głupie.

— Teraz już jest za późno, mein Herr — odparł Kwame, z trudem łapiąc oddech. — Jesteśmy prawie… Zaczekaj, Johannie, co się dzieje? Johannie, tego otworu tu nie ma!

— Co mówisz, Kwame?… Co to znaczy, że otworu nie ma?

— Zamiast niego jest platforma łącząca nasz korytarz z innym po drugiej stronie. Ten bałwan ciągnie mnie… Cholera, Johannie, ona się porusza! To jakaś diabelska winda! Jedziemy teraz w górę. Do widzenia, Johannie, do widzenia!

9

Następne dwie godziny, które Johann spędził w podziemnym świecie, upłynęły mu jak we śnie. Znacznie później, kiedy usiłował komuś opowiadać, co w ciągu tych dwóch godzin zobaczył i przeżył, poznał pełne znaczenie zwrotu „niemożliwy do opisania".

Śniegowy bałwan, a właściwie jeszcze jeden dziwny stwór podobny do tego, który uprowadził Kwamego, wysiadł z windy na poziomie Johanna pięć minut po tym, jak zniknął Tanzańczyk. Kiedy bałwan znalazł się o dziesięć metrów od mężczyzny, wstęga białych cząstek odfrunęła szybko w głąb korytarza. Po krótkim spazmatycznym drżeniu, jakie przebiegło zdumiewająco gładką powierzchnię torsu stwora, ukazał się wyrostek w kształcie cienkiej, stożkowe zakończonej, pozbawionej dłoni ręki, która jednak nie pochwyciła Johanna. Biała kończyna wykonała tylko gest oznaczający bez wątpienia: „chodź ze mną". Johann usłuchał i przez następne dwie godziny biały stwór oprowadzał go po podziemnym królestwie.

Zaczęli wędrówkę od wielkich białych drzwi, zajmujących całą wysokość korytarza, od podłogi do sufitu. Johann widział je, gdy wspiął się na kapelusz muchomora. Kiedy bałwan je otworzył, oczom mężczyzny ukazała się dalsza część korytarza, rozjaśniona białym światłem emanującym z lodowego sufitu i ciągnąca się przed nim jak okiem sięgnąć. W otwartych wnękach, wykonanych w obu bocznych ścianach korytarza, znajdowały się różne przedmioty. Johann widział je, ale nie miał pojęcia, na co patrzy. Mógł być pewien jedynie tego, że wszystkie były białe i miały gładkie powierzchnie oraz zaokrąglone kształty. Poza tym na wszystkich było widać cienki czerwony pasek albo inne czerwone oznaczenia, a w każdej wnęce umieszczono wyłącznie przedmioty o identycznych kształtach. Nawet tylko podobne do siebie, lecz różniące się wielkością, czerwonymi znakami lub kształtem, znajdowały się w oddzielnych niszach.

Johann mrużył oczy przed dobiegającym go zewsząd jaskrawym światłem, które odbijało się od lodowych płaszczyzn i od białych przedmiotów. Często musiał zamykać oczy, żeby nie oślepnąć.

Nie zatrzymując się, przez kilkaset metrów podążał za śniegowym przewodnikiem. Próbował zrozumieć coś z tego, co go otacza, ale nadaremnie. I wnęki, i zgromadzone w nich przedmioty, różniły się bardzo zarówno kształtem, jak wymiarami. W jednej niszy, w której mógłby się zmieścić duży telewizor, znajdowały się tysiące identycznych małych białych pierścieni o średnicach nie większych od paznokcia. Pośrodku, wzdłuż obwodu każdego, było widać cienki czerwony pasek. Inna wnęka, a raczej komora ciągnąca się przez dwadzieścia pięć czy trzydzieści metrów po prawej stronie korytarza,

w porównaniu z poprzednimi wydawała się gigantyczna. W jej środku zmagazynowano kilkanaście ogromnych, leżących na podłodze białych cylindrów.

Kiedy ściany i sufit korytarza niespodziewanie się skończyły, śniegowy bałwan się zatrzymał i pokazał wyciągniętym wyrostkiem w górę. Znaleźli się w dużym, wykutym w lodzie magazynie, tak wielkim, że ledwo widoczny sufit musiał znajdować się tuż pod powierzchnią Marsa. Kiedy Johann wyciągał szyję, żeby obejrzeć ogromne pomieszczenie, poczuł, że kręci mu się w głowie. Po chwili bałwan odwrócił się i poklepał go wyrostkiem po ramieniu, dając znak, by wszedł za nim do magazynu.

Zatrzymali się na środku i dopiero wówczas Johann mógł dojrzeć wszystkie lodowe ściany. Miały co najmniej piętnaście metrów wysokości i zawierały jeszcze więcej wnęk ze złożonymi w nich przedmiotami. Na podłodze magazynu o wymiarach boiska do piłki nożnej ustawiono w równoległych szeregach lodowe regały. Zajmowały niemal całą wolną przestrzeń. W regałach wykonano inne nisze, które także wypełniono różnymi przedmiotami. Kiedy Johann rozglądał się po sali, ujrzał nagle dziwny pojazd. Miał kształt gigantycznej białej misy i poruszał się na czerwonych kółkach. W zagłębieniu misy znajdowała się garść poskręcanych, podobnych do precli części. Pojazd przejechał obok nich, kierując się ku jakiemuś niewiadomemu celowi. Przed sobą, w jednym z równoległych korytarzy, Johann ujrzał, jak następna taka biała misa konwulsyjnie zadrżała. Po chwili z jej środka wyłonił się długi, biały, skierowany ku górze wyrostek, który zgrabnie wyłuskał z jakiejś niszy kilka białych, podobnych do śrub elementów.

Śniegowy bałwan pozwolił Johannowi przez kilka minut oglądać pomieszczenie, a potem ruszył jednym z przejść, tocząc się na deskorolce. Opuściwszy magazyn, znaleźli się w długim, nie oświetlonym korytarzu, w którego lodowych ścianach nie było ani jednej wnęki. Dziwny stwór poruszał się tak szybko, że Johann obciążony kosmicznym kombinezonem i plecakiem z trudem dotrzymywał mu kroku. Był wyczerpany, kiedy w końcu dotarli do windy i zjechali nią jeszcze kilka poziomów niżej, w głąb podziemnego świata.

Tutaj także śniegowy bałwan powiódł Johanna ciemnym korytarzem wydrążonym w litym lodzie. Skręcili najpierw w prawo, potem w lewo i znaleźli się w innym tunelu, wyglądającym dokładnie tak samo jak poprzedni. W końcu dotarli do jeszcze jednych wysokich białych drzwi. Otworzyły się, kiedy bałwan ich dotknął, i Johann znalazł się w kolejnym rzęsiście oświetlonym wielkim pomieszczeniu, wykutym głęboko pod powierzchnią marsjańskiego lodu.

Po obu stronach przejścia ujrzał wykonane z przezroczystego

szkła albo plastiku i hermetycznie zamknięte pojemniki pełne różnobarwnych płynów. Czasami dwa albo trzy takie zbiorniki ustawiono po tej samej stronie przejścia, jeden na drugim. Znajdująca się w nich ciecz miała najczęściej barwę błękitną, jasnobrązową albo zieloną.

Większość pojemników sprawiała wrażenie, że oprócz cieczy nie zawiera niczego więcej. Tylko w kilku można było zobaczyć takie same przedmioty, jakie Johann widział we wnękach na wyższym piętrze. W jednym zbiorniku wypełnionym zielonkawą cieczą ujrzał coś ciemnoczerwonego przypominającego kształtem rozgwiazdę. Przyklejone do szyby, sprawiało wrażenie, że jest żywe, ale zanim Johann mógł przyjrzeć się dokładniej, żeby stwierdzić, czy się rusza, śniegowy bałwan znów poklepał go po ramieniu. Kiedy jednak przechodzili obok następnego pojemnika, Johann obejrzał się i zobaczył, że z jednego końca rozgwiazdy wyrasta jakaś długa odnoga, cała biała, ale pokryta skomplikowanym, podobnym do sieci żyłek czerwonym wzorem.

Johann odnosił wrażenie, że znajduje się w jakimś muzeum czy akwarium. Nie miał tylko pojęcia, czym lub kim były zgromadzone tu eksponaty.

Śniegowy bałwan wiedział jednak dobrze, dlaczego przyprowadził mężczyznę właśnie tutaj. Kilka razy skręcili — ta sala, podobnie jak poprzednia, miała wiele krzyżujących się pod kątem prostym korytarzy — aż w końcu znaleźli się przed umieszczoną w ścianie wielką szybą. Osłaniała dużą wnękę wypełnioną cieczą o tak pięknej, błękitnej barwie, że Johann natychmiast skojarzył ją z barwą toni górskiego jeziora. Dziwny stwór zatrzymał się przed szybą i zapukał w pojemnik z cieczą. Przez chwilę Johann nie widział, by odniosło to jakikolwiek skutek. Później ujrzał, jak coś, a raczej ktoś podpływa z przeciwnej strony szyby. Omal nie zemdlał.

Za szybą zobaczył piękną, złotowłosą, jasnoskórą dziewczynkę, najwyżej sześcioletnią. Wyglądała jak każde ludzkie dziecko z wyjątkiem płetw wyrastających jej w miejscach, w których powinny znajdować się dłonie i stopy. Podpłynęła do Johanna i ujrzawszy go, niepewnie się uśmiechnęła. Johann stał jak sparaliżowany, a dziewczynka obróciła się zwinnie w wodzie, wypuściła kilka pęcherzyków powietrza z ust i poklepała płetwą w szybę. Nie zastanawiając się, co robi, Johann także poklepał szybę ze swojej strony.

Przez kilka minut stał, niezdolny do żadnego ruchu. Przez cały ten czas dziewczynka nie odpłynęła ani na chwilę. W głowie mężczyzny kłębiły się tysiące pytań. Kim ona jest? Jak się tutaj dostała? W jaki sposób oddycha? Co stało się z jej palcami? Na chwilę przedtem, zanim bałwan gestem wyrostka dał znać, że czas iść dalej,

Johannowi zaczęło się wydawać, iż dostrzega zaczątki palców tworzących się na końcach górnych płetw dziewczynki. W tej samej chwili zrozumiał, że musiał chyba postradać zmysły.

Ogromny morski wąż z łbem przypominającym paszczę smoka nie wywarł na Johannie już tak dużego wrażenia. Mimo że potwór walił wielkim ogonem w szybę pojemnika i wykrzywiał pysk w grymasach mrożących krew w żyłach, Johann prawie wcale nie zwrócił na niego uwagi. Nie mógł przestać rozmyślać o dziwnej, małej, złotowłosej dziewczynce, która miała płetwy zamiast palców.

Oszołomiony, wyszedł za śniegowym bałwanem z akwarium i podążał za nim kilkoma ciemnymi korytarzami o gładkich lodowych ścianach. Później tylko mgliście przypominał sobie, że jego przewodnik zaprowadził go do windy, którą Johann wyjechał na powierzchnię. Kiedy dotarł do namiotu, jak nieżywy zwalił się na śpiwór. Nie potrafił go obudzić nawet Kwame, który dołączył do niego po kilku minutach.

Nie zdziwili się faktem, że żaden ich radiotelefon nie działa. Uznali też za niemal oczywiste, że kiedy przebywali w podziemnym lodowym świecie, ich namiot przeszukano, a wszelką informację zarejestrowaną przez kamery wideo skasowano.

— A zatem nie mamy żadnego dowodu, że widzieliśmy to, co widzieliśmy — stwierdził Kwame.

— Wobec tego zostają tylko zeznania naocznych świadków — rzekł Johann.

Na dworze zrobiło się ciemno. Johann przespał całe dziewięć godzin i chociaż obudził się jakiś czas temu, nadal czuł się oszołomiony. Nie wiedział, co sądzić na temat tego wszystkiego, co widział i co przeżył. Rozmowa z Kwamem pozwoliła mu trochę oprzytomnieć.

— Zastanawiam się, dlaczego pozwolili doktor Won uciec z pamiętnikiem i mapami — powiedział Kwame.

— Może wcale nie pozwolili — stwierdził Johann. — Może kulki przyczyniły się do jej śmierci. A może bałwan czy jakiś inny stwór. Może nawet spowodowały awarię jej komputera, nie spodziewając się, że znajdziemy kobietę i odzyskamy zapisaną w pamięci maszyny informację. Prawdopodobieństwo czegoś takiego było przecież jak jeden do miliona.

Przez cały czas rozmowy zbierali swoje rzeczy i pakowali je do dużych toreb.

— Jak sądzisz, dlaczego pokazali to wszystko tylko tobie? — zapytał Kwame. — Dlaczego nie pozwolili mi obejrzeć chociaż drobnej części?

Johann wzruszył ramionami.

— Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie, tak samo jak nie

mogę zrozumieć, co właściwie starali się mi pokazać… A jednak oglądając to wszystko, dowiedziałem się czegoś ważnego, zapewne najważniejszego w życiu. Może jeszcze po tym nie ochłonąłem i nie całkiem przyszedłem do siebie, ale to, co zobaczyłem w tych podziemnych korytarzach, upewniło mnie, że obce istoty, z którymi możemy mieć kiedyś do czynienia, będą o wiele dziwniejsze, niż potrafimy sobie wyobrazić.

Zapadła krótka cisza.

— Czy sądzisz, że dadzą nam teraz spokój? — zapytał Kwame, zarzucając torbę na ramię.

— Nie wiem — odparł Johann. — Myślę, że w dużej mierze to będzie zależało, czy poczują się zagrożeni tym, co wiemy. — Na chwilę przerwał pakowanie i popatrzył na przyjaciela. — Bez względu jednak na to, co postanowią, wydaje mi się jasne, że jesteśmy zdani na ich łaskę lub niełaskę.

— To nie było pocieszające — oświadczył Kwame.

— Bo nie miało być — odrzekł Johann.

Z zawieszonymi na ramionach torbami, które teraz, bez sznurowych drabinek, były o wiele lżejsze, obaj mężczyźni zaczęli z mozołem pokonywać usianą lodowymi głazami przestrzeń dzielącą ich od pojazdu. Kiedy układali torby w bagażniku lodomobilu, nad ich głowami pojawiła się świecąca wstęga. Ku zdumieniu Johanna lodomobil dał się jednak uruchomić bez najmniejszego trudu.

— Może nie chcą nas zabijać tak blisko swojego domu. — Kwame roześmiał się nerwowo. Kiedy skierowali się na południe i mknęli po lodzie, wypełniona świetlistymi cząstkami wstęga towarzyszyła im, unosząc się nad pojazdem. Johann zaczął nawet martwić się czymś innym.

— A co będzie, jeżeli ta wstęga zechce podążać za nami aż do samej Valhalli? — zapytał. — Czy możemy narażać wszystkich mieszkańców placówki na nowe niebezpieczeństwo, którego sami nie znamy?

— Tego nie będziemy mogli wiedzieć — odparł Kwame. — Założę się jednak, że cząstki i ich przyjaciele wiedzą o Valhalli od dawna, a zatem musi istnieć jakiś inny powód, dla którego ta przeklęta wstęga nam towarzyszy.

Kiedy pojazd dojeżdżał do skraju głównego podbiegunowego lodowca i znajdował się o niecały kilometr od miejsca, w którym zostawili łazik, silnik lodomobilu niespodziewanie odmówił posłuszeństwa.

— Oho — odezwał się Kwame. — Wcale mi się to nie podoba… To paskudne miejsce, żeby stracić życie.

Unosząca się nad nimi wstęga przemieściła się i znieruchomiała nad ich głowami.

— Zostaw wszystko — powiedział nagle Johann. — Wyjmij to, co masz w kieszeniach, i przełóż do bagażnika lodomobilu. Może chociaż w ten sposób przekonamy ich, że jesteśmy gotowi rozstać się ze wszystkim, co mogłoby stanowić dowód ich istnienia.

Kwame spojrzał na Johanna, jakby chciał zorientować się, czy nie żartuje.

— No dobrze — zgodził się w końcu. — Jeżeli uważasz, że to takie ważne…

W dalszą drogę ruszyli pieszo. Wstęga świecących cząstek opuściła się na wysokość ich oczu i przez cały czas pozostawała między nimi. Johann stwierdził, że znajduje się o niecałe pół metra od niego. Każde spojrzenie na nią denerwowało go coraz bardziej. W końcu nie wytrzymał i krzyknął:

— Posłuchaj, kimkolwiek jesteś! Jeżeli zamierzasz nas zabić, to zrób to i przestań nas dręczyć!

Biała wstęga przekształciła się w aureolę i przez kilka sekund unosiła się to nad nim, to nad Tanzańczykiem. Później obaj mężczyźni zostali oślepieni silnym błyskiem. Nie widzieli więc, jak wstęga eksploduje, zamieniając się w tysiące mikroskopijnych kulek, które opadają, pokrywając ich kombinezony cienką warstwą. Wydawało im się, że świetlista wstęga po prostu zniknęła.

Kiedy Johann i Kwame wrócili do Valhalli, placówka przeżywała właśnie kolejny kryzys.

— Wiem, że chcesz opowiedzieć mi o wielu rzeczach — powitał Johanna Narong — ale potrzebna mi jest twoja natychmiastowa pomoc. Deirdre Robertson oskarżyła Yasina o to, że poprzedniej nocy napastował ją w jej pokoju. Twierdzi, że zamierzał ją zgwałcić, i zrobiłby to, gdyby Anna nie pospieszyła jej na ratunek. Zwołałem w tej sprawie zebranie, które ma zacząć się za dwie godziny… Ponieważ wróciłeś, będziesz musiał przewodniczyć.

— Cholera — zaklął Johann. — Przeżyłem właśnie najważniejszą przygodę w całym swoim życiu; możliwe nawet, że w życiu jakiegokolwiek człowieka. Czy naprawdę muszę teraz zajmować się Yasinem?

Narong wzruszył ramionami.

— Szlachectwo zobowiązuje i tak dalej — powiedział. — Wszyscy wiedzą, że wróciłeś. Wiadomo, że nie mogę rozpocząć zebrania bez ciebie, a jeżeli przełożymy je na inny termin, rozwścieczymy wszystkie kobiety z Valhalli. Ale rób, jak uważasz.

— Nie, nie — odrzekł pospiesznie Johann. — Lepiej będzie mieć to już za sobą. Jeżeli cokolwiek pomoże mi przyjść do siebie, to słuchanie Yasina, jak się kłóci z dwiema kobietami naraz. — Odwrócił się do Kwamego. — W czasie rozprawy będziemy cię potrzebowali w charakterze oficjalnego doradcy. Oficjalnie jesteś także

muzułmaninem, a więc Yasin nie będzie mógł nam zarzucić, że rozprawa jest nieobiektywna pod względem religijnym… Muszę cię jednak uprzedzić, że Yasin ma opinię człowieka mściwego.

Kwame uśmiechnął się.

— Johannie, czy sądzisz, że po tym wszystkim, co się nam przydarzyło, chociaż trochę boję się pana Yasina al-Kharifa? Wolałbym po stokroć narazić się na jego gniew, niż kolejny raz poczuć uścisk łapy tego śniegowego bałwana na swoim ramieniu.

— Bałwana? — zapytał zdumiony Narong. — Może jednak powinniśmy przełożyć tę rozprawę? I Jonami, i Kwame, wybuchnęli śmiechem.

— Najpierw zjedzmy jakiś obiad — zaproponował Johann. — A później opowiemy ci skróconą wersję tego, co przeżyliśmy.

10

Rozprawa odbyła się w jedynej sali w Valhalli na tyle dużej, żeby mogła pomieścić wszystkich ludzi, którzy chcieliby się jej przysłuchiwać, to znaczy w sali gimnastycznej stanowiącej część kompleksu rekreacyjnego placówki. Johann skłaniał się co prawda ku temu, by rozprawa odbyła się tylko w gronie osób zainteresowanych, ale Narong przekonał go, że wyjątkowo duża ciekawość, jaką wzbudziła, nakazuje przeprowadzenie jej z udziałem publiczności. Siedząc w sali i patrząc, jak ludzie zajmują miejsca, Johann nachylił się do Kwamego.

— W ciągu kilku krótkich godzin przeszliśmy od spraw wzniosłych do trywialnych — powiedział.

— Szara rzeczywistość niemal zawsze barwi nam w ten sposób każdy aspekt życia — odparł Tanzańczyk.

Johann wraz z zespołem doradców, który składał się z Naronga, Kwamego i Lucindy Davis, siedział za długim stołem pod jedną ścianą sali. Po jego prawej ręce usiadł na rozkładanym krześle Yasin. Deirdre Robertson i Anna Kasper, które postanowiły występować jako oskarżycielki, rozmawiały cicho ze sobą po lewej stronie stołu. Większość pozostałych mieszkańców Valhalli siedziała już na odchylanych ławach, które znajdowały się pod ścianami sali.

W pewnej chwili Johann wstał i kiedy wszyscy się uciszyli, zaczął rozprawę.

— Jednym z moich obowiązków jako dyrektora placówki Valhalla jest prowadzenie śledztw mających na celu ustalenie, czy któryś z członków naszej społeczności nie popełnił jakiegoś czynu sprzecznego z prawem obowiązującym całą naszą kolonię na Marsie — powiedział. — Jeżeli w wyniku takiego śledztwa dojdę do wniosku, że istnieją wystarczające powody, żeby sądzić, iż prawo zostało złamane, jestem zmuszony przekazać osobę podejrzaną o popehlienie tego czynu w ręce przedstawicieli władz w Mutchville, by stanęła przed tamtejszym trybunałem… Jestem świadom, że w obecnej sytuacji panującej na Marsie przekazanie podejrzanego do Mutchville może być trudne, a może wręcz niewykonalne, niemniej niech ta rozprawa będzie pierwszym krokiem wymaganym przez nasze prawo.

Johann przerwał. Czuł się bardzo dziwnie. Po tym wszystkim, co mu się przydarzyło, miał wrażenie, że cała ta rozprawa nie jest wcale ważna. Całą siłą woli zmusił się do skupienia uwagi i skierował spojrzenie na Yasina.

— Panie al-Kharif, został pan oskarżony o usiłowanie popełnienia gwałtu na osobie panny Deirdre Robertson — oświadczył. — Czy przyznaje się pan do winy?

— Jestem niewinny — odparł natychmiast Yasin.

— Bardzo proszę, by ze względów protokolarnych zostało zarejestrowane, że pan Yasin al-Kharif nie przyznaje się do winy — stwierdził Johann. — W związku z tym i oskarżycielki, i oskarżony — dodał zwracając się do Deirdre, Anny i Yasina — będą mieli po dziesięć minut na poinformowanie nas, co wiedzą na temat usiłowania popełnienia gwałtu przez pana al-Kharifa na pannie Robertson ubiegłego wieczoru w jej pokoju… Chcę przypomnieć wszystkim, że zgodnie z przysięgą jesteście zobowiązani do mówienia prawdy. Proszę was, byście w czasie składania zeznań zwracali uwagę na lampki w górnej części komputerowego monitora stojącego przed każdym z was. Jeżeli zapali się czerwona lampka, oznacza to, że program dokonujący konwersji waszych słów na gotowy protokół rozprawy mógł przeoczyć albo źle przekształcić jakieś słowo, w związku z czym może się okazać konieczne powtórzenie ostatniego zdania. Kiedy wszyscy skończycie mówić, moi doradcy lub ja niemal na pewno zechcemy zadać wam kilka pytań.

Oświadczenia składane przez obie strony nie różniły się w najważniejszych szczegółach do chwili, gdy przydarzyła się rzekoma napaść seksualna. Yasin oświadczył Deirdre, że ma kilka nowych pomysłów, jak poprawić wydajność plonów w podlegających jej cieplarniach. Oboje postanowili, że spotkają się, by przedyskutować to razem. Z powodu nawału bieżących zajęć mogli to zrobić wieczorem po kolacji. Deirdre obawiała się jednak przebywać sam na sam z Yasinem w budynku biura w porze, w której nie było w nim żadnych innych pracowników. Zwierzywszy się ze swoich obaw Annie Kasper, za jej radą postanowiła umówić się z mężczyzną w swoim apartamencie w mieszkalnej części placówki.

W czasie pierwszej godziny spotkania nie wydarzyło się nic złego. Deirdre przyznała, że Yasin miał kilka ciekawych pomysłów poprawy wydajności plonów warzyw w cieplarniach. Stwierdziła też, że podczas tej pierwszej godziny pan Yasin al-Kharif zachowywał się względem niej nienagannie. Pod koniec dyskusji Deirdre poczuła się nawet tak pewnie, że wbrew wcześniejszym sugestiom Anny, żeby drzwi wejściowe jej mieszkania były przez cały czas otwarte, postanowiła je zamknąć, aby dobiegające z korytarza rozmowy i hałasy nie przeszkadzały w rozmowie.

Złożone przez Deirdre i Yasina oświadczenia na temat późniejszych wydarzeń bardzo się różniły. O wiele bardziej elokwentny Arab stwierdził, że kobieta po zamknięciu drzwi zaczęła go uwodzić. Zaproponowała, by oboje usiedli obok siebie na tapczanie, by omówić szczegóły rysunków technicznych, które Yasin przyniósł ze sobą, a potem wiele razy pieszczotliwie go dotykała, tak że w końcu zdecydował się ją pocałować. Deirdre jednak oświadczyła,

że nie uwodziła mężczyzny, a tylko prowadziła z nim przyjacielską rozmowę. Uznała za naturalny fakt, iż dwoje ludzi dyskutujących na temat szczegółów skomplikowanych rysunków powinno siedzieć po tej samej stronie stołu, a nie naprzeciwko siebie. I chociaż przyznała, że jej dłoń „raz czy dwa razy" spoczęła przypadkowo na ramieniu Yasina, z pewnością nie było w jej gestach nic pieszczotliwego.

W pewnej chwili mężczyzna rzucił się na nią i zaczął ją namiętnie całować w usta. Później, pod koniec pocałunku, schwycił ją nagle za pierś. Wówczas Deirdre wymierzyła mu policzek i nazwała go „kutasem". Rozzłościło go to tak bardzo, że wstał, ściągnął spodnie i pokazał jej, jak wygląda kutas. Kiedy zagroził jej, że go użyje, Deirdre głośno krzyknęła. Usłyszawszy jej krzyk, Anna wpadła do pokoju i ujrzała Yasina stojącego z opuszczonymi spodniami.

Johann z najwyższym trudem mógł skoncentrować się na zeznaniach. Przez głowę przelatywały mu nieustannie obrazy widziane poprzedniego dnia, nie mógł się skupić. Nie słyszał prawie nic z tego, co łkając mówiła Deirdre.

— Zanim ktoś w ogóle zechce rozpatrzyć skargę o usiłowanie gwałtu, musimy zawsze udowadniać i to tak, żeby nikt nie miał cienia wątpliwości, że nie uczyniłyśmy absolutnie niczego, by zachęcić mężczyznę do napaści seksualnej — narzekała.

W tym czasie Johann był pogrążony we wspomnieniach. Przypominał sobie, jak stał przed szybą w dużej, podziemnej, wykutej w lodzie sali i patrzył na niezwykłą sześcioletnią dziewczynkę pływającą w błękitnej cieczy i pozdrawiającą go pukaniem płetwy w szybę.

Trójka jego doradców spisywała się na medal, pytając świadków o wiele innych rzeczy. Johann jednak nie zadał ani jednego pytania. Jego myśli błądziły gdzie indziej. Skup się, to jest bardzo ważne — zganił siebie w pewnej chwili. — Od wyniku tej rozprawy może zależeć dalszy los tych ludzi.

Ale od tego, co przydarzyło mi się poprzedniego dnia — odpowiedział sobie w myślach, pragnąc się usprawiedliwić przed samym sobą — może zależeć dalszy los wszystkich ludzi, jacy będą żyli.

Nagle ujrzał, że wpatrują się w niego jego doradcy, Yasin, Deirdre i Anna.

— Nie mamy żadnych innych pytań — usłyszał, jak po raz drugi mówi Narong.

— W porządku — powiedział Johann, błyskawicznie przytomniejąc. — W takim razie zespół doradców i ja udajemy się na naradę.

W tej samej sekundzie drzwi sali otworzyły się z głośnym hukiem i do środka wpadł jak bomba jeden z młodszych programistów, który

cały czas wolny od pracy poświęcał grom komputerowym.

— Pociąg! — zawołał, zadyszany jak po drugim biegu. — Przyjechał pociąg… Są pasażerowie. W naszej śluzie czekają na wejście zakonnicy i zakonnice!

Obrady zespołu doradców przełożono na inny termin, tak by placówka mogła zająć się przyjęciem niespodziewanych gości. Siostra Beatrice, Vivien i troje innych michalitów zdążyli już zdjąć kosmiczne kombinezony i przebywali w poczekalni, kiedy zjawił się tam Johann. Przez kilka sekund stał i tylko patrzył na przybyszów. Jego umysł po prostu nie mógł uwierzyć w to, co widziały oczy.

— Witaj, bracie Johannie — wyrwał go z odrętwienia melodyjny głos Beatrice. — Jakie to miłe z twojej strony, że zechciałeś przybyć osobiście, by nas powitać. Przepraszamy, że nie zawiadomiono cię o naszym przyjeździe, ale zdecydowałyśmy się dosłownie w ostatniej chwili, a i łączność nie jest już taka sama jak kiedyś…

W jej oczach płonął ten sam ogień, który Johann zapamiętał, kiedy widział ją poprzednio. Po kilku sekundach usłyszał inny głos, także znajomy. Odwrócił się i uśmiechnął, spojrzawszy w oczy siostry Vivien.

— Kiedy twój raport dotarł do Mutchville, w ośrodku łączności pełnił służbę jeden z czwórki naszych michalitów — powiedziała. — Siostra Beatrice uważa, że fakt, iż znajdował się wówczas w tamtym miejscu, świadczy, że taka była wola Boga. Nie zwlekając więc, zarekwirowałyśmy pociąg, by upewnić się, że zdążymy odjechać, zanim w rejon Mutchville dotrze burza piaskowa.

Narong, który przyszedł trochę później, a teraz stał u boku Johanna, na te słowa aż podskoczył.

— Burza piaskowa? — zapytał. — Gdzie? Jaki ma zasięg?

— Siostro Beatrice, siostro Vivien — odezwał się Johann. — Pozwólcie, że przedstawię wam zastępcę dyrektora Valhalli, pana Naronga Udomphola.

— Jestem wielce zaszczycony — powiedział szybko Narong. — Proszę, powiedzcie mi coś więcej o tej burzy. Jeżeli kieruje się w naszą stronę, placówka może znaleźć się w niebezpieczeństwie.

— Wiemy tylko, że to jest potężna burza, która przed kilkoma dniami zbliżała się do Mutchville od południa odrzekła uprzejmie siostra Vivien. — Zanim stamtąd wyjechałyśmy, jeden z meteorologów twierdził, że burza jest silniejsza od tej, która szalała w 2133 roku, i możliwe, że obejmie zasięgiem całą planetę.

Narong słysząc to, szybko przeprosił zakonnice i odszedł, żeby porozmawiać z inżynierem maszynistą pociągu. Tymczasem Johann miał wrażenie, że jego życie zaczyna wymykać się spod kontroli. Jeszcze to — pomyślał. — Tego mi tylko brakowało… Nie potrafię poradzić sobie ze wszystkim naraz. Przedtem tamte świetliste cząstki,

dzisiaj Yasin i siostra Beatrice, a wkrótce burza piaskowa.

— Jesteśmy dość zmęczeni po podróży — usłyszał słowa siostry Beatrice. — Czy nie moglibyśmy gdzieś wziąć natrysku, a potem chociaż trochę się zdrzemnąć? Dobrze wiemy, że

Valhalla jest mała, ale czy nie ma tu żadnych pomieszczeń dla odwiedzających ją naukowców? Jedna z naszych sióstr, która przebywała tu przed kilkoma laty…

— Pociąg odjedzie jeszcze dzisiaj wieczorem — przerwał jej Narong, kiedy znów znalazł się u boku Johanna. — Chcą być pewni, że jeszcze przed burzą zdążą dotrzeć do BioTech City. Na odjazd czeka jedenaścioro naszych pracowników. Nie muszę ci przypominać, że przynajmniej czworo czeka na to od bardzo dawna.

— Proszę, siostro — rzekł Johann, chwilowo ignorując przypomnienie zastępcy. — Weźcie te klucze i skorzystajcie z mojego apartamentu. Ma numer jedenasty, w samym końcu korytarza w tamtym bloku o ścianach zdobionych białymi sztukateriami. Widać go po przeciwnej stronie placu. W płóciennej torbie w przedpokoju znajdziecie dwa dodatkowe ręczniki.

— Dziękujemy ci, bracie Johannie — rzekła uszczęśliwiona Beatrice. — To naprawdę bardzo miło z twojej strony. Postaramy się nie narobić bałaganu.

Odwróciła się, by porozmawiać z pozostałymi michalitami. W tym czasie siostra Vivien uśmiechnęła się promiennie do Johanna i dziękując mu, złożyła wargi jak do pocałunku. Kiedy wszyscy ubrani w habity goście opuścili poczekalnię, Johann położył obie dłonie na ramionach Naronga.

— Przyjacielu — powiedział. — Mam zamiar cię prosić, żebyś sam zajął się wszystkimi pracownikami, którzy pragną wyjechać z Valhalli. Znasz sytuację naszej placówki nie gorzej niż ja. Mam nadzieję, że uda ci się przekonać większość, by zostali, ale jeżeli okaże się to niemożliwe, nie będę miał do ciebie żalu.

— Nie chciałbyś porozmawiać z nimi osobiście? — zapytał go zdziwiony Narong.

— Nie… I przed jutrzejszym dniem nie zamierzam także zwoływać zebrania rady w sprawie Yasina. A z pobożnymi siostrami planuję się spotkać dopiero jutro po obiedzie. — Uśmiechnął się. — Co więcej, będzie można porozmawiać ze mną na temat przygotowań placówki do spotkania z nadciągającą burzą nie wcześniej jak jutro wieczorem.

Narong był tym oświadczeniem wyraźnie zdezorientowany.

— A zatem co masz zamiar robić przez pozostałą część dzisiejszego dnia? — zapytał.

— Będę w swoim gabinecie — odparł Johann. — I to sam. Zamierzam się zaniknąć w środku i odłączyć wideofon. Możliwe, że

będę rozmyślał, może spał, a może nawet płakał. Cokolwiek bym jednak robił, chcę być sam.

Odwrócił się i wyszedł z poczekalni.

Johann zaznawał spokoju w swoim gabinecie tylko przez godzinę, gdyż później do drzwi zaczął dobijać się Yasin. Nie chciał odejść, mimo że Johann się nie odzywał.

— Nie wygłupiaj się, Asie — mówił. — Dobrze wiem, że jesteś w środku… Szukałem cię w innych miejscach.

W końcu, chociaż niechętnie, Johann otworzył drzwi gabinetu. Yasin wszedł i natychmiast rozejrzał się po wszystkich kątach.

— Gdzie ona jest? — powiedział, złośliwie szczerząc zęby w grymasie, który miał być uśmiechem. — Czy w końcu udało mi się odkryć mroczny sekret naszego cnotliwego, nieskazitelnego dyrektora?

— Nie ma tu nikogo oprócz mnie, Yasinie — odezwał się niechętnie Johann. — Siedziałem sam przy biurku i rozmyślałem… Przy okazji, muszę ci przypomnieć, że urządzenia rejestrujące dźwięk i obraz są włączone, zarówno dla mojego, jak i twojego bezpieczeństwa. Zgodnie z procedurą rozprawy, z wyjątkiem nagłych wypadków nie powinniśmy prowadzić żadnych rozmów aż do chwili podjęcia decyzji w twojej sprawie.

— Moim zdaniem to jest nagły wypadek — oświadczył Yasin. — Ja też muszę podjąć decyzję. Zgodnie z warunkami mojego ułaskawienia i darowania mi pozostałej części kary, mogę wyjechać stąd, kiedykolwiek zechcę. Ten pociąg odjeżdża z Valhalli za pięć godzin. Czy odjadę nim, czy nie, będzie zależało od tego, czym zakończy się rozprawa. Chciałbym zatem wiedzieć…

— Nie zamierzam zwoływać zebrania rady tylko dlatego, żeby dostosować się do twojego harmonogramu — przerwał mu szorstko Johann. — Jest kilka innych ważnych spraw, które w tej chwili mam na głowie.

— Jak chcesz, Asie — wzruszywszy ramionami, odparł Yasin. — Myślałem tylko, że uważasz mnie za osobę ważną z punktu widzenia działalności tej placówki. Jeżeli nie możesz odpowiedzieć na kilka moich pytań, będę musiał dojść do wniosku, że jednak zamierzasz ukarać mnie za to, że chciałem dać tej dziwce nauczkę. W takim razie nie mam innego wyjścia i wynoszę się z tej dziury.

— Takie groźby nie wpłyną na werdykt w twojej sprawie, Yasinie — odrzekł surowo Johann. — Będziesz sądzony za czyn, który popełniłeś, a nie za to, ile znaczysz dla placówki. Moim zdaniem ubiegłego wieczoru dopuściłeś się rzeczy karygodnej, którą trzeba uznać za napaść seksualną. I jeżeli doradcy nie przekonają mnie, że się mylę, podejmę decyzję o zamknięciu cię w twoim mieszkaniu do czasu, aż przedstawiciele władz w Mutchmlle zdecydują o twoim

dalszym losie.

— Jesteś parszywym gnojem, Asie — powiedział ze złością Yasin. — A przez cały ten czas sądziłem, że się dobrze rozumiemy… Nadstawiałem przecież tyłka dla dobra tej dziury! Wiesz cholernie dobrze, że bym jej nie zgwałcił. Czy myślisz, że jestem taki głupi? Napadać na babę w jej własnym mieszkaniu i to wtedy, kiedy drzwi na korytarz nie są nawet zamknięte na klucz?

— Posłuchaj, Yasinie — odparł Johann. — Nie ma najmniejszego znaczenia, czy sądzę, że zgwałciłbyś Deirdre, czy nie.

Liczy się tylko fakt, że obnażyłeś się w jej obecności, a później groziłeś, iż ją zniewolisz. Czy zgadzasz się z tym, czy też nie, takie postępowanie jest czymś niezgodnym z naszym prawem.

— Niech ci będzie — odezwał się z goryczą Yasin. — Straciłeś właśnie najlepszego pieprzonego inżyniera, jaki kiedykolwiek harował w tej dziurze. Oświadczam ci, że kiedy ten pociąg odjedzie, będę jednym z jego pasażerów. Znam prawo na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie możesz zatrzymać mnie tu wbrew mojej woli.

— Nie, Yasinie, nie mogę — przyznał Johann. — Ale dopilnuję, żeby protokoły z dzisiejszej rozprawy i z tej rozmowy zostały przewiezione tym samym pociągiem i wręczone przedstawicielom władzy w Mutchville. Biorąc pod uwagę twoje wcześniejsze wyczyny, nie oczekiwałbym, że sędziowie okażą się wyrozumiali.

— A jednak zaryzykuję, Asie — mruknął Yasin. — Ktoś mi mówił, że w Mutchville nie ma już żadnych przedstawicieli władzy.

Nie starając się ukryć wściekłości, wybiegł z gabinetu.

Mimo oświadczenia Narongowi, że pragnie przez jakiś czas być sam, Johann spędził resztę popołudnia prowadząc rozmowy z czwórką najbardziej zasłużonych pracowników, którzy wyrazili chęć odjazdu z Valhalli. Namawiał ich do pozostania tak długo, że w końcu zdołał ich przekonać, że w ich własnym, najszerzej pojętym interesie, jest nierezygnowanie z dalszej pracy. Ci, którzy zamierzali odjechać, wywiązali się z zawartych kontraktów. Ich wyprawa do Mutchville miała być tylko pierwszym krokiem na długiej i trudnej drodze, której koniec oznaczał powrót do ojczyzny. Zgoda na pozostanie w Valhalli była więc przyznaniem, że w najbliższej przyszłości nie istnieje prawie żadna szansa odlotu z ogarniętego chaosem Mutchville najpierw na Fobosa, a później na Ziemię. Namawiając pracowników do zostania, Johann podkreślił fakt, że ValhaUi nie opanowała jeszcze anarchia, jaka ogarnęła inne kolonie ludzkie na planecie. Ważne było również to, że placówka stała się niemal samowystarczalna. Każdemu z wahających się radził, żeby został w stosunkowo bezpiecznej Valhalli do czasu poprawy sytuacji gospodarczej.

Chociaż Beatrice i Vivien zgodziły się przenocować w apartamencie Johanna, on sam dopiero późnym wieczorem znalazł

czas, żeby z nimi porozmawiać. Przedtem obie kobiety zajmowały się sprawdzaniem, czy pozostałe osoby z ich grupy czują się dobrze w przydzielonych im pomieszczeniach. Obu zakonnicom towarzyszyło troje innych michalitów: brat Ravi, urodziwy młody Tamil, którego przodkowie byli Drawidami, oraz siostra Nuba i brat Jose (Johann zdążył poznać już i ją, i jego, gdy rozmawiał z Vivien podczas swojej ostatniej podróży do Mutchville). Cała trójka wprowadziła się do mieszkań opuszczonych przez troje Valhallan. Jednym z nich był

Yasin, który razem z pozostałymi wyjechał pociągiem. Beatrice i Vivien, przyglądające się odjazdowi, powróciły do mieszkania Johanna ponad godzinę później.

Chociaż obie zakonnice były zmęczone, bardzo chciały porozmawiać z gospodarzem; Johann przygotował więc do picia jakiś ciepły napój zawierający głównie wodę, lekko aromatyzowaną nie nadającymi się do jedzenia częściami cieplarnianych owoców i jarzyn. Kiedy skończył, postawił dzban z napojem na małym stoliku ustawionym w kącie salonu.

— Byłyśmy, rzecz jasna, zafascynowane tym wszystkim, co zapisała w swoim pamiętniku doktor Won — zaczęła Beatrice. — A szczególnie jej opisem spotkania z aniołami. I siostra Vivien, i ja, jesteśmy pewne, że to kolejny dowód na to, iż Bóg ma dla nas na Marsie jeszcze jakąś pracę.

Johann uśmiechnął się. Zdążył już zapomnieć, jak bardzo odprężał go niezwykły pogląd siostry Beatrice na te sprawy.

— Kolejny dowód? — zapytał tylko.

— Tak, bracie Johannłe — stwierdziła zakonnica z charakterystyczną dla siebie żarliwością. — Dopiero przed dwoma tygodniami otrzymaliśmy w końcu wiadomość z Sieny. Dotarła do nas z kilkumiesięcznym opóźnieniem, spowodowanym zapewne kłopotami z łącznością miedzy Marsem a Ziemią. Wiadomość zawierała informację, że i ja, i siostra Vivien zostajemy przeniesione w inne miejsce.

— Siostra Beatrice została mianowana biskupem Montevideo — dodała Vivien. — To bardzo odpowiedzialne stanowisko. W Urugwaju mamy tysiące zakonnic i zakonników.

— Gratuluję — odezwał się natychmiast Johann. — Musicie być tym zachwycone.

— Jestem wdzięczna, że przełożeni zakonu michalitów tak wysoko oceniają naszą pracę — odrzekła Beatrice. — Muszę jednak powiedzieć, że nie spodziewałam się przeniesienia na Ziemię. Nigdy nie myślałam o odlocie z Marsa. Po przybyciu więźniów z Alcatraz sytuacja w Mutchville stała się bardzo trudna, a my robiliśmy tam wiele, żeby ulżyć losowi najbiedniejszych ludzi…

— Przepraszam — wpadł jej w słowa Johann. — Nie rozumiem…

Co wydarzyło się w Alcatraz?

— Więźniowie przejęli władzę nad całą kolonią karną — oznajmiła Vivien. — Zabili wszystkich strażników, którzy jeszcze tam pozostali, i rozdzielili między siebie broń, jaką udało im się znaleźć. Później porwali pociąg, przyjechali do Mutchville i opanowali kilka dzielnic w zachodniej części miasta.

— Nie miałem pojęcia, że sytuacja wygląda tak tragicznie — mruknął Johann.

— Bóg narażał moje życie na niejedno niebezpieczeństwo — powiedziała siostra Beatrice po krótkiej przerwie, spowodowanej odezwaniem się Johanna. — Domyślam się, że to przeniesienie jest częścią Jego planu uświadomienia mi, że w żadne Jego przedsięwzięcie nie powinniśmy tak bardzo się angażować. Mimo to uważam, że mam wciąż tu, na Marsie, mnóstwo pracy. Prosiłam Boga, żeby powiedział mi, jak najlepiej mogę wykorzystać czas, który jeszcze mi został. Siostra Beatrice spróbowała napoju przyrządzonego przez Johanna.

— Nie jest tak źle, bracie Johannie — powiedziała. — Ty też nauczyłeś się, jak najlepiej wykorzystywać wszystko, czym dysponujesz. Byłbyś doskonałym zakonnikiem.

— Dziękuję, siostro Beatrice — odparł Johann.

— W ubiegłym tygodniu moje modlitwy zostały wysłuchane — ciągnęła siostra Beatrice. — Któregoś dnia, podczas porannej medytacji, kiedy było jeszcze ciemno, klęczałam na dworze pod ustawionym na tyłach kościoła dużym posągiem świętego Michała. Nagle mimo że miałam zamknięte oczy, poraziło mnie jasne światło. Kiedy powoli uniosłam powieki, ujrzałam unoszącą się nad głową świętego chmurę świecących kulek. Byłam tak przepełniona radością, że natychmiast podziękowałam Bogu za zesłanie mi anioła, który będzie mi wskazywał drogę.

Podniosłam się z klęczek i okrążyłam statuę, nie spuszczając spojrzenia z chmury świetlistych cząstek. Stwierdziłam, że tańczą w obrębie chmury, przemieszczając się we wszystkie strony. Dopiero jednak kiedy zatrzymałam się przed posągiem, rozpoznałam kształt, jaki przybrał anioł. To była szyba twojego kosmicznego hełmu, bracie Johannie, dokładnie taka sama, jaką pozostawiłeś u nas przed odjazdem z Mutchville!

Johann okazał zdziwienie, ale nie odezwał się ani jednym słowem.

— Pobiegłam w końcu do kościoła i obudziłam Vivien — rzekła Beatrice z uniesieniem widocznym na twarzy. — Niestety, zanim powróciłyśmy, anioł zdążył zniknąć… Jeszcze tego samego dnia zaczęłam dyskutować z Vivien, czy to, co zobaczyłam, miało oznaczać, że powinnyśmy wyruszyć w drogę, by zobaczyć się z tobą. Kiedy dwa

dni później nasz zakonnik pełniący służbę w ośrodku łączności przeczytał te wyjątki z pamiętnika doktor Won, upewniłyśmy się, że to Bóg wzywa nas, byśmy pojechały do Valhalli.

— Och, bracie Johannie — rzekła podniecona Beatrice. — Musimy się udać na ten lodowiec, i zobaczyć te wszystkie cuda stworzone ręką Boga.

— Już to zrobiłem, siostro Beatrice — oznajmił Johann. — Prawdę mówiąc, dzisiaj rano powróciłem z wyprawy w tamte strony.

Obie zakonnice spojrzały na niego, nie wiedząc, co mają oznaczać jego słowa.

— Udało ci się znaleźć ten prostokątny otwór w lodzie? — zapytała z nadzieją Beatrice. Johann kiwnął głową.

— I widziałeś, co jest w środku? — odezwała się siostra Vivien. — Czy nie ma tam czegoś w rodzaju podziemnej lodowej budowli?

— Żeby tylko! — niemal wykrzyknął Johann. — Istnieje tam cały świat niepodobny do żadnego, jaki można byłoby sobie wyobrazić!

— Bracie Johannie, dlaczego nie powiedziałeś nam o tym wcześniej? — zapytała Beatrice. Zmarszczyła brwi i przez chwilę wyglądała na zdezorientowaną.

Johann roześmiał się.

— Nie było przecież na to czasu — odparł. — W zasadzie rozmawiamy po raz pierwszy. Beatrice i Vivien chłonęły każde słowo jego opowieści. Zadawały mu mnóstwo pytań, domagając się bardziej szczegółowych opisów, a nawet żądając, by rysował mapy i szkice na rozłożonych na stole kartkach. Z upływem czasu twarz siostry Beatrice stawała się coraz pogodniejsza i kiedy Johann opisał jej jasny błysk, po którym świetlista wstęga zniknęła, radość zakonnicy osiągnęła apogeum.

— Zupełnie jak Eliasz, bracie Johannie — odezwała się uszczęśliwiona. — Jesteś jak Eliasz… Albo nawet jak Mojżesz… Bóg wyróżnił ciebie i twojego przyjaciela Kwamego spośród wszystkich innych. Musi mieć dla ciebie jakieś bardzo, bardzo ważne zadanie.

Po policzkach zakonnicy zaczęły spływać łzy radości. Wzięła Vivien i Johanna za ręce. Mężczyzna nigdy przedtem nie dotykał dłoni Beatrice. Był zdumiony tym, jak ufnie się czuje, mogąc trzymać ją w swojej dłoni.

— Pomódl się teraz z nami, bracie Johannie — wezwała go Beatrice, prowadząc Vivien i Johanna do takiego miejsca w salonie, w którym wszyscy troje mogliby uklęknąć obok siebie. — Otwórz swoje serce przed Bogiem, tak jak On otworzył swoje przed tobą.

Uklęknęli obok siebie w ten sposób, że Beatrice znalazła się miedzy koleżanką a mężczyzną. Obie zakonnice złożyły dłonie i zamknąwszy oczy, pogrążyły się w modlitwie. Po krótkiej chwili Johann uczynił to samo, chociaż czuł się niesamowicie zażenowany.

— Dziękujemy Ci, Boże — odezwała się żarliwie Beatrice. — Dziękujemy Ci za to, że nieustannie pokazujesz nam cuda, które stworzyłeś. Dobry Boże, pomóż nam wszystkim, nie wyłączając klęczącego obok nas brata Johanna, zrozumieć Twoje cuda, które w swojej dobroci pozwoliłeś nam oglądać. Pomóż nam spożytkować naszą wiedze o tych cudach w sposób, który pomógłby wszystkim ludziom nie tracić ducha, tak by po wieczne czasy Cię wysławiali. Modlimy się w imię Twojego syna, Jezusa, oraz wszystkich świętych, którzy jak nasz święty Michał służyli Ci na przestrzeni wielu wieków.

11

Johann bardzo długo nie mógł zasnąć. Przez jakiś czas wsłuchiwał się w szmer głosów obu rozmawiających w sąsiednim pokoju zakonnic. Wprawdzie nie rozumiał, o czym mówią, ale dźwięk ich głosów sprawiał, że był zachwycony. Nieczęsto się zdarzało, że dzielił swój apartament z kimś innym, a zwłaszcza z kobietami.

Leżąc w łóżku z zamkniętymi oczami, czuł, jak jego myśli przeskakują od jednego wydarzenia do drugiego. Przypominał sobie wszystko, czego był świadkiem w ciągu ostatnich dwóch dni. Siostry Beatrice nie dziwiły metamorfozy wstęgi i to, że przybierała figury, które Johann już kiedyś widział.

— Nie ma w tym nic zaskakującego, bracie Johannie — powiedziała. — Aniołowie wiedzą przecież o wszystkich twoich poprzednich spotkaniach z innymi aniołami nawet wówczas, kiedy miały miejsce na innej planecie. Aniołowie porozumiewają się ze sobą, gdziekolwiek są, a ukazywanie się ludziom jest czymś niezwykłym nawet w ich świecie… Jeżeli chcesz znać moje zdanie, najbardziej zdumiewa mnie fakt, że dzięki tak wielu kontaktom z nimi spadło na ciebie wiele błogosławieństw, a ty nadal nie chcesz albo nie możesz pojąć, iż twoim życiem kieruje ręka Boga.

W końcu Johann zasnął, nie przestając myśleć o siostrze Beatrice. Była główną postacią jego wszystkich snów, których większość dotyczyła przyziemnych szczegółów codziennego życia. W jednym śnie Beatrice towarzyszyła mu podczas rutynowej inspekcji placówki. Przypominał sobie później, jak w tym śnie wydawało mu się oczywiste, że oboje spędzają czas i pracują razem. Poczuł nagle, że ktoś delikatnie potrząsa go za ramię.

— Bracie Johannie — usłyszał kobiecy głos. — Obudź się, proszę… Wydarzyło się coś niezwykłego.

Przez jakiś czas nie wiedział, gdzie jest i co robi. Później usiadł na łóżku i odruchowo zerknął na stojący obok niego elektroniczny budzik. Dochodziła właśnie czwarta nad ranem.

— Przepraszam, że cię budzę, bracie Johannie — mówiła Beatrice — ale coś dziwnego dzieje się w sąsiedztwie Valhalli. Byłam w obserwatorium i miałam zacząć medytacje, kiedy na tle ciemnego nieba zobaczyłam nagle dwie jasne, spadające gwiazdy. Zastanawiałam się, czy mogły spaść blisko placówki, gdy ujrzałam trzy następne podążające mniej więcej tym samym torem, co dwie poprzednie.

Rozespany Johann wpatrywał się w piękne, szeroko otwarte oczy znajdujące się o niecały metr od jego głowy. W pierwszej chwili chciał powiedzieć siostrze Beatrice, by zajęła się swoimi medytacjami czy

czymkolwiek innym i wróciła po trzech godzinach, żeby wtedy opowiedzieć mu o tych rzekomo spadających z nieba gwiazdach. Ale nie — powiedział sobie w myślach. — Pójdę z nią do obserwatorium i wygłoszę standardową mowę na temat roju meteorytów… To może być nawet całkiem dobry ubaw.

Nie zapalając światła, wyślizgnął się z łóżka, narzucił koszulę i włożył kapcie. Oboje przeszli cicho na palcach przez salon, by nie zbudzić śpiącej Vivien, i zaczęli wspinać się po kręconych schodach wiodących do jedynego obserwatorium, jakie miała Valhalla.

— Nie mogłam wcale zasnąć — dobiegł go z góry szept wchodzącej przed nim Beatrice. — Nie potrafiłam przestać myśleć o tym wszystkim, co mówiłeś nam wieczorem.

Johann musiał zwolnić, żeby nie nadepnąć na skraj nocnej koszuli zakonnicy. W pewnej chwili, pod wpływem jakiegoś łobuzerskiego odruchu, chciał unieść rąbek jej szaty, by zobaczyć, co ma pod spodem, ale w końcu udało mu się zapanować nad sobą.

— Wszystkie światła pojawiały się w pierwszej chwili tu, w tym sektorze nieba — odezwała się Beatrice, gdy znaleźli się w obserwatorium.

Pokazała Johannowi gromadę gwiazd świecących w pobliżu niewielkiego księżyca planety, Deimosa. Ich widok zapierał Johannowi dech w piersi. Valhalla była jednym z nielicznych miejsc na Marsie, których kopuły ochronne wyposażono w specjalne okna umożliwiające astronomom obserwacje nieboskłonu. Dwa takie okna znajdowały się nad głowami Johanna i Beatrice.

— Na początku wyglądało, jakby świecące gwiazdy kierowały się prosto na nas — rzekła zakonnica. — Dopiero w ostatniej chwili skręcały i znikały niedaleko Valhalli. Przypuszczam, że było to gdzieś tam, na zachodnim płaskowyżu.

Johann odwrócił się ku niej, chcąc uraczyć ją wykładem na temat roju meteorytów, kiedy ujrzał, jak jej twarz promieniuje odbitym światłem.

— Spójrz, bracie Johannie! — wykrzyknęła podniecona siostra Beatrice. — Jeszcze jedna! Mężczyzna uniósł głowę i popatrzył w okno. Cholera jasna — pomyślał. W pierwszej chwili chciał zanurkować, żeby ukryć się pod stołem, gdyż jasno świecąca smuga naprawdę sprawiała wrażenie, jakby coś, co ją zostawiało, zamierzało roztrzaskać kopułę. A jednak po kilku następnych sekundach wszystko się skończyło. Cokolwiek było źródłem jasnego światła, zapewne uderzyło w powierzchnię Marsa o kilka kilometrów na zachód od Valhalli, blisko miejsca, gdzie, zdaniem siostry Beatrice, mogły rozbić się poprzednie gwiazdy.

— Orbita planety musi przecinać trajektorię jakiegoś roju meteorytów — stwierdził Johann, kiedy trochę ochłonął po przeżytym

wstrząsie. — Ale widok był rzeczywiście wspaniały.

— Czy możemy wyjechać na zewnątrz i obejrzeć miejsce, w którym lądowały? — zapytała zakonnica.

Johann popatrzył na nią z prawdziwym niedowierzaniem.

— Teraz? — zdziwił się. — O czwartej nad ranem? Beatrice się uśmiechnęła.

— Mnie to nie przeszkadza, więc jeżeli i tobie nie…

Kiedy znaleźli się w śluzie i Johann sprawdził łazik oraz wszystkie jego systemy pomocnicze, poczuł nagle, że nie może powstrzymać się od śmiechu. Beatrice, która usłyszała jego chichot w słuchawkach kosmicznego hełmu, podeszła trochę bliżej i stanęła przed nim.

— Co się stało? — zapytała.

Johann popatrzył na nią przez szyby obu hełmów.

— To wszystko jest kompletnym szaleństwem — powiedział walcząc z sobą, żeby znów nie wybuchnąć śmiechem. — To najbardziej zwariowany pomysł w moim życiu. Dałbym wiele, żeby być tutaj i widzieć twarz Naronga, który po obudzeniu przez alarm będzie słuchał nagranej przeze mnie informacji: „Drogi Narongu, mniej więcej o czwartej nad ranem ja i siostra Beatrice ujrzeliśmy jakieś niezwykle jasne światła. Uruchomiliśmy łazik 14A i pojechaliśmy nim na zachodni płaskowyż, by zobaczyć, co się tam dzieje”.

Po minucie Johann nadal chichotał, choć z krótszymi lub dłuższymi przerwami. On i zakonnica siedzieli teraz w kabinie łazika obok siebie i czekali, aż warunki w śluzie upodobnią się do panujących na powierzchni Marsa.

— Czy stroisz sobie ze mnie żarty, bracie Johannie? — zapytała go Beatrice. — Nawet jeżeli tak, wcale mi to nie przeszkadza — dodała. — Nie mam ci tego za złe. Doceniam to, co robisz, żeby zaspokoić moją ciekawość.

Johann odwrócił się w jej stronę.

— Wcale nie… No, może trochę — przyznał w końcu. — Po prostu nigdy przedtem nie spotkałem nikogo chociaż trochę podobnego do ciebie.

— Ja mogłabym powiedzieć to samo o tobie, bracie Johannie — odparła.

Jechali w milczeniu na zachód, oświetlani pierwszymi promieniami słońca, które w tym okresie późnego lata wschodziło na niebie dokładnie za ich plecami. Był cudowny poranek. Blask słońca wznoszącego się łagodnym łukiem na marsjańskim niebie z każdą chwilą coraz bardziej gasił ogniki milionów gwiazd nad ich głowami.

— Będę tęskniła za tą planetą — odezwała się Beatrice, kiedy Johann skierował łazik na łagodne zbocze kończące się na wierzchołku płaskowyżu. — To dzikie i niegościnne miejsce; właściwie

nie nadaje się dla ludzi, ale jest pełne surowego piękna.

— Pewnego dnia — powiedział Johann, podskakując na fotelu, kiedy łazik zatrząsł się na nierówności gruntu — rozwiążemy wszystkie nasze problemy na Ziemi, a wówczas ta planeta stanie się prawdziwym rajem.

— Jeżeli taka będzie wola Boga, bracie Johannie — poprawiła go zakonnica. Wierzchołek płaskowyżu znajdował się o kilkaset metrów ponad poziomem miejsca, w którym zbudowano Valhallę. Spojrzawszy za siebie, w stronę wschodzącego słońca, Johann zobaczył jej kopuły i pomyślał, jak bardzo razi go ich widok w takim miejscu. Przekonał się, że na płaskowyżu zalega o wiele więcej kamieni i odłamków skał niż w najbliższym sąsiedztwie placówki. Niektóre były całkiem duże, wskutek czego od czasu do czasu zasłaniały im widok. Często tylko z najwyższym trudem Johann wybierał dalszą drogę między skalnymi blokami.

— Te wszystkie skały to ejektamenta — oznajmił. — Zostały wyrzucone dawno, przed milionami lat, przez coś, co spadło tutaj z nieba. W pobliżu znajduje się olbrzymi krater.

W pewnej chwili skręcił ostro w lewo, by nie musieć przejeżdżać przez teren usiany chaotycznie rozrzuconymi wielkimi głazami. Kierowali się teraz na południe, ale przejechali zaledwie kilkaset metrów, kiedy rdzawobrązowe niebo nad ich głowami przecięła kolejna jasna błyskawica. Spojrzeli w górę i zobaczyli, jak smuga światła mierzy prosto w łazik. Siostra Beatrice schwyciła mężczyznę za ramię, ale spadająca gwiazda nie trafiła w ich pojazd, lecz uderzyła o jakiś kilometr przed nim.

Johann prowadził łazik tak szybko, jak pozwalał mu na to niebezpieczny teren. Kiedy minęli niewielkie wzniesienie na wierzchołku płaskowyżu, ich oczom ukazał się widok, którego mieli już nigdy nie zapomnieć. Ujrzeli, jak dziwaczny, przypominający wielką białą kulę obiekt wysunął ze środkowej części podobne do nożyc urządzenie i właśnie wydostawał się ze środka, wycinając otwór w wielowarstwowej powłoce mającej niewątpliwie amortyzować siłę jego uderzenia o powierzchnię Marsa.

Ogromna biała kula spoczywała po ich prawej stronie, na samym skraju niewielkiej, oczyszczonej z głazów kotliny. W kilku zagłębieniach terenu było widać porzucone inne powłoki z ziejącymi, czarnymi otworami, a także wiele różnych białych przedmiotów o gładkich powierzchniach i zaokrąglonych kształtach, z widocznymi tu i ówdzie czerwonymi paskami lub innymi oznaczeniami tej samej barwy. Większość tych dziwnych przedmiotów pozostawała bez ruchu, ale nie wszystkie. Ustawione w różnych miejscach, wyciągniętymi wyrostkami czy chwytakami porządkowały teren, wynosząc zaśmiecające go głazy jak najdalej od dwóch nie ukończonych

ogromnych konstrukq'i znajdujących się w samym środku kotliny.

Nad każdą unosiła się długa wstęga pełna jasno świecących kulek. Obie wstęgi były o wiele większe niż formacje, które Johann widział przedtem. Z tak dużej odległości wydawały się jednak dokładnie takie same jak ta, która towarzyszyła jemu i Tanzańczykowi w drodze powrotnej do Valhalli po wyprawie na lodowiec.

Kula, która lądowała jako ostatnia, wyłoniła się z ochronnej powłoki, a potem, schowawszy nożyce, potoczyła się w kierunku większej konstrukcji. Johann unieruchomił łazik i skierował obie kamery pojazdu na niesamowite sceny rozgrywające się w dole. Beatrice zaczęła się modlić. Mężczyzna nie odzywał się, dopóki nie skończyła.

W tym czasie kula kilka razy konwulsyjnie zadrżała, za każdym razem radykalnie zmieniając kształty. Ostatni, jaki przyjęła, przypominał wyposażony w gąsienice wagon towarowy, który właśnie holował sześć czy osiem innych białych przedmiotów z ich dotychczasowych miejsc w kierunku większej nie ukończonej konstrukcji.

— Gdybym nie widział tego na własne oczy — odezwał się Johann — nigdy bym w to nie uwierzył… Muszę podziękować ci za twój pomysł przyjechania tu tak wcześnie i zobaczenia, co się dzieje.

— To Bóg tu nas wezwał, bracie Johannie — odparła z prostotą Beatrice.

Wysiedli z łazika i stanęli obok siebie, nie przestając się przyglądać krzątaninie dziwnych obiektów w kotlinie. Stwierdzili, że białe, niezdarnie wyglądające przedmioty, wyposażone w zakończone czerpakami wysięgniki, wgryzają się w marsjański grunt i przenoszą wykopany piasek i żwir do czegoś, co przypominało pękate piece. Od czasu do czasu stojący w pobliżu wysoki, smukły, biały obiekt wsuwał długi wyrostek do któregoś pieca i wyciągał ze środka jakiś przedmiot, który później umieszczał na jednym ze stosów, jakich pełno było wokół dwóch wznoszonych konstrukcji.

Tylko mniejsza wyglądała, jakby była bliska ukończenia. Z wyglądu przypominała pudło na kapelusze ustawione na krótkich wspornikach. Johann zerknął na zegarek, a potem otworzył bagażnik łazika. Wyciągnął z niego narzędzia i tyle części, żeby móc zbudować z nich dwa przenośne trójnogi. Ostrożnie odkręcił obie kamery z gniazd w pojeździe, a potem zamocował je na trójnogach. Uruchomił też przenośny nadajnik i podłączył go do obu kamer w ten sposób, żeby wszyscy w Valhalli mogli na bieżąco obserwować, co dzieje się na płaskowyżu. Porozmawiał z wyrwanym ze snu Narongiem i upewnił się, że obrazy z obu kamer docierają do ośrodka łączności placówki.

W tym czasie Beatrice nie odrywała oczu od scen rozgrywających

się w kotlinie. Kiedy Johann oświadczył jej, że czas wracać do Valhalli, była wyraźnie rozczarowana.

— Czy nie sądzisz, że powinniśmy zjechać na dół, bracie Johannie? — zapytała. — Żeby być pomiędzy aniołami, a nie tylko w pobliżu?

— Nie, nie sądzę — odparł zapytany. — Przypuszczam, że gdybyśmy mogli im jakoś pomóc, z pewnością otrzymalibyśmy jakiś znak, by to zrobić.

Beatrice obdarzyła go pełnym uznania uśmiechem.

— Masz rację, bracie Johannie — przyznała.

Nikt w Valhalli tego dnia nie pracował. Każdy siedział jak przyklejony przed jakimś telewizyjnym monitorem, jakich wiele rozmieszczono w różnych miejscach placówki. Na wszystkich ekranach rozgrywały się te same dziwaczne sceny. Po kilku godzinach na miejsce akcji wysłano zdalnie sterowane roboty z dodatkowymi kamerami, by zapewnić zarówno panoramiczny widok kotliny, jak i zbliżenia obu wznoszonych konstrukcji, nawet wówczas, gdyby któraś kamera uległa uszkodzeniu.

Na początku Johann osobiście nadzorował pracę centrum operacyjnego, rejestrując przesyłane obrazy i decydując, które mają być przekazywane do monitorów placówki. Siostra Beatrice nie zadowoliła się jednak tylko obserwacją. Ilekroć Johann unosił głowę lub rozmawiał z siedzącym obok niego dyżurnym technikiem łącznościowcem, widział ją, jak stoi po drugiej stronie szyby centrum.

Kiedy w końcu opuścił pomieszczenie, natychmiast podeszła do niego i zaczęła długo tłumaczyć, jak ważne jej zdaniem jest oglądanie na własne oczy wszystkiego, co robią aniołowie. Nie sposób było jej odmówić i Johann wyraził zgodę, by zajęła jedno z wolnych krzeseł za pulpitem sterowniczym. Postawił tylko warunek, że nie będzie dotykała żadnych przełączników ani decydowała w inny sposób o tym, które obrazy mają zostać przesłane do monitorów.

Późnym popołudniem praca przy mniejszym z dwóch urządzeń dobiegła końca. Wszystkie białe poruszające się obiekty koncentrowały teraz uwagę na większej konstrukcji. Małe białe pudło na kapelusze stało samotnie na dziwnych wspornikach, błyszcząc w promieniach zachodzącego słońca, o jakiś metr nad powierzchnią marsjańskiego gruntu. Obok niego było widać wąską, białą prostokątną płytę, wzdłuż której krawędzi biegła pojedyncza jaskrawoczerwona linia. Ustawiono ją bardzo szybko, gdy budowa pudła na kapelusze dobiegała końca. Jej płaszczyzna była zwrócona ku Valhalli, a w ustawianiu płyty brały udział dwa białe, podobne do żyraf obiekty.

Cel wzniesienia tego prostokąta stał się zrozumiały dopiero po zachodzie słońca, gdy zaczęły błyskać światła znajdujące się wokół

płyty. Narong był pierwszą osobą, która odgadła prawidłowość rządzącą błyskami, i umiała trafnie przewidzieć, jaka będzie następna sekwencja błysków. Dokonawszy kilku obliczeń, wyjaśnił przebywającemu w centrum operacyjnym

Johannowi, że sekwencje osiągną swoje „logiczne zakończenie" po upływie nieco ponad godziny.

— Jak sądzisz, co to wszystko może oznaczać? — zapytał go mocno zaintrygowany Johann.

— Nie mam zielonego pojęcia — odparł Narong. — Może wszystkie przedmioty w ten sposób porozumiewają się ze sobą, a może tylko odmierzają upływ czasu.

— To z pewnością jakiś zegar — oświadczyła półgłosem siostra Beatrice. — Tylko odmierza czas nie dla nich, ale dla nas… Aniołowie porozumiewają się ze sobą w inny sposób. — Uśmiechnęła się do Johanna. — Jestem pewna, że kiedy sekwencje dobiegną końca, wydarzy się coś niezwykłego.

Obaj mężczyźni spojrzeli na nią, nie starając się nawet ukrywać zdziwienia.

— Co się wydarzy? — zapytał Narong.

— Nie wiem — odrzekła Beatrice. — Będziemy musieli uzbroić się w cierpliwość, a wówczas zobaczymy.

Z zapadnięciem nocy krzątanina wokół drugiej konstrukcji ustała całkowicie i mrok rozjaśniało tylko przepowiedziane błyskanie świateł. Johann i Narong postanowili skorzystać z chwilowej przerwy i udali się do baru samoobsługowego, by w pośpiechu coś zjeść. Siostra Beatrice nie chciała im towarzyszyć, wolała pozostać na swoim posterunku w centrum operacyjnym. Obiecała obu mężczyznom, że zadzwoni do nich i powie, gdyby miało się dziać coś niezwykłego.

— To zdumiewająca kobieta — odezwał się Narong, gdy razem z Johannem szli do baru. — By uwierzyć w siłę jej wiary, trzeba widzieć ją na własne oczy.

— A nie mówiłem? — odparł Johann. — Poczekaj, kiedy usłyszysz, jak śpiewa. Jej głos jest jeszcze bardziej niewiarygodny… o ile to w ogóle możliwe.

Nie zdążyli jednak dojść do baru, gdy odezwał się brzęczyk telefonu Johanna. Uśmiechnąwszy się porozumiewawczo do kolegi, mężczyzna sięgnął po zawieszony u pasa mikrotelefon.

— Tak, siostro Beatrice? — powiedział. — Co się stało?

— Tu Anna, Johannie — odezwał się w słuchawce podniecony kobiecy głos. — Jestem teraz w poczekalni. Pociąg wrócił.

— Ten sam, który odjechał z Valhalli poprzedniej nocy? — chciał upewnić się Johann.

— Tak — odparła Anna. — Wrócili ze mną Yasin, Jaime i Torok, a poza tym cała obsługa pociągu… Dojechaliśmy tylko do kopuły

BioTech City i kazano nam zawrócić. Yasin mówi, że musi jak najszybciej z tobą porozmawiać.

— W porządku — odrzekł Johann. — Przyprowadź go do mnie. Jestem teraz w barze. Kiedy Yasin i Anna ich odnaleźli, obaj mężczyźni kończyli jeść kanapki.

— To największa piaskowa burza w tym stuleciu, Asie — odezwał się Yasin, jeszcze zanim usiadł. — Zapewne w tej chwili dociera do BioTech City. Wszystko, co znajduje się na południe od tej osady, nie funkcjonuje albo jest w stanie kompletnego chaosu… W ogóle nie wpuścili nas do BioTech City, bo obawiali się, że może nie wystarczyć dla wszystkich żywności.

— Czy wiesz, jak szybko przemieszcza się burza? — zapytał go Johann.

— Dyrektor placówki w BioTech był pewien, że na początku przyszłego tygodnia obejmie zasięgiem całą planetę — odparł Yasin. — Zanim wysiadły czujniki w Mutchville, zarejestrowano prędkość wiatru równą ośmiuset kilometrom na godzinę. Chmury pyłu w okolicach równika wzbijają się na wysokość szczytów górskich Tharsis.

— Ile czasu zdołamy przeżyć bez światła słonecznego? — spytał Johann.

— Sześć tygodni, może dwa miesiące — odparł informatyk. — Najwyżej dziesięć tygodni, jeżeli będziemy mieli szczęście i nie wydarzy się żadna poważna awaria.

— Myślałem o tym, kiedy jechałem pociągiem — oświadczył Yasin. — Jeżeli teraz, zanim dotrze do nas burza, przedsięweźmiemy wszystkie niezbędne kroki, może uda się nam przeżyć jeszcze miesiąc dłużej. Trzeba będzie jednak całkowicie zatrzymać produkcję wody i użyć całego ciężkiego sprzętu do zaopatrywania placówki.

— W czasie burzy, jaka nawiedziła Valhallę w 2109 roku, na początku działalności placówki, światło słoneczne nie docierało przez całe dziewięćdziesiąt dwa dni — przypomniał zaniepokojony Narong. — Burza o takiej sile może sprawić, że wszyscy zginiemy.

Nagle z zegarka Naronga dobiegł cichy kurant.

— Zupełnie zapomniałem — powiedział odwracając się i pokazując na monitor umieszczony pod sufitem w kącie baru. — Nasza sekwencja błysków powinna się zakończyć dokładnie za minutę.

Pierwsze trzydzieści sekund Johann i Narong poświecih na wyjaśnianie Yasinowi, co zdarzyło się w Valhalli w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, jakie upłynęły od chwili odjazdu pociągu. Nie zdążywszy opowiedzieć mu o wszystkim, zamilknęli i wpatrzyli się w ekran monitora.

Obraz na ekranie przedstawiał prostokątną płytę z widocznymi na jej powierzchni błyskami światła, a w oddali mniejsze pudło na

kapelusze. Można było je dostrzec tylko z wielkim trudem, gdyż na marsjańskiej równinie panowała teraz noc, a zdalnie sterowane kamery ze swoimi reflektorami znajdowały się dosyć daleko. Gdy sekwencja błysków dobiegła końca, pod pudłem na kapelusze błysnęło i po kilku sekundach cała konstrukcja uniosła się nad powierzchnię gruntu. Wszyscy patrzący na tę scenę wstrzymali oddechy. Czuwający w centrum operacyjnym technik łącznościowiec zachował przytomność umysłu i w następnym ułamku sekundy na monitorze ukazał się obraz filmowany przez kamerę z szerokokątnym obiektywem. Przez następne cztery czy pięć sekund wszyscy mieszkańcy Valhalli patrzyli w osłupieniu, jak pudło na kapelusze unosi się coraz szybciej i wyżej, by w końcu zniknąć z pola widzenia obiektywu.

12

Kiedy Johann ogłosił w Valhalli stan zagrożenia i oświadczył, że nadciąga niebezpieczna burza piaskowa, w placówce zawrzało jak w ulu. W zapale gorączkowych przygotowań na jakiś czas zapomniano o zdumiewających rzeczach dziejących się na płaskowyżu.

Johann i Narong poświecili kilka godzin na opracowanie ogólnego planu akcji, a później, w trakcie zebrań z pracownikami każdego wydziału, uzgadniali szczegóły kroków, jakie miały być podjęte. Zebrania te zakończyły się dopiero po pomocy, toteż Johann był dość zmęczony, kiedy otrzymał od Anny wiadomość, by spotkać się choć na kilka minut z Deirdre i kilkoma jej najbardziej pomstującymi przyjaciółkami. Wszystkie były rozgniewane na Johanna za to, że zawiesił postępowanie w sprawie ich skargi przeciwko Yasinowi.

Deirdre była niemal sina z wściekłości.

— Ten sukinsyn wygrażał mi penisem! — krzyczała, kiedy Johann spotkał się z kobietami w swoim gabinecie. — Przyznał się do tego w obecności wielu ludzi… Jeśli teraz nie podejmiesz żadnych kroków w tej sprawie, zachowasz się tak, jakbyś mu przebaczył.

— Ja patrzę na to z innej strony — odezwał się spokojnie Johann. — Jeżeli chcemy mieć pewność, że placówka przetrwa nadciągającą burzę, będziemy potrzebowali i talentu Yasina, i jego zgody na współpracę. Nie mogę narażać mieszkańców Valhalli tylko po to, by naprawić wyrządzoną ci krzywdę.

A zresztą, Yasin dał słowo, że nie będzie żadnych więcej takich incydentów. Poza tym obiecuję ci, że natychmiast po ustąpieniu zagrożenia ponownie zwołam zebranie rady i zajmę się twoją skargą.

— Jego cholerne słowo nic dla mnie nie znaczy — odrzekła z goryczą Deirdre. — Co więcej, wiesz tak samo dobrze jak ja, że nie wznowisz postępowania przeciwko niemu po upływie tak długiego czasu. Za swój karygodny czyn znowu nie poniesie żadnej kary.

— Przykro mi, Deirdre — starał się pocieszyć ją Johann. — Przyznaję, że podjęcie takiej decyzji nie przyszło mi łatwo, ale…

— Gdybyś był kobietą, wiedziałbyś, co teraz czuję — przerwała mu Deirdre. — Wy, mężczyźni, niczego nie rozumiecie — dodała odwracając się i z dumnie podniesionym czołem wychodząc z gabinetu.

Pozostałe kobiety uczyniły to samo. Johann spojrzał na zegarek i przetarł oczy. Dochodziła pierwsza. Kiedy wrócił do swojego apartamentu, ze zdumieniem stwierdził, że siostry Beatrice nie ma w salonie.

— Przez cały czas przebywa w centrum operacyjnym — odezwała

się Vivien, podnosząc się z materaca, który rozłożyła na podłodze. — Możliwe, że nawet tam zasnęła… Dzwoniła do mnie przed dwiema godzinami, by powiedzieć, że zaprzyjaźniła się z Fernandem Gomezem, technikiem pełniącym dyżur na nocnej zmianie. Obiecał jej, że ją natychmiast obudzi, gdyby aniołowie robili coś niezwykłego.

Johann uśmiechnął się do siebie i życzył Vivien dobrej nocy. Udał się do sypialni i natychmiast zasnął w ubraniu na nie posłanym łóżku. Spał głęboko i spokojnie, dopóki nie obudził go lekki dotyk dłoni Beatrice.

— O, rany, siostro — powiedział, kiedy w końcu zdał sobie sprawę z tego, kto go budzi. — Czy naprawdę nie możesz dać mi spokoju chociaż jednej nocy?

Przekręcił się na łóżku, odwracając plecami do zakonnicy.

— Jest mi bardzo przykro, że zakłócam ci spokój, bracie Johannie — odezwała się Beatrice. — Wiem, że do późna kierowałeś przygotowaniami do przeciwstawienia się burzy, ale obudziłam cię, gdyż myślę, że dzieje się coś wyjątkowego.

— Cóż takiego, siostro Beatrice? — powiedział nie starając się nawet ukryć rozdrażnienia.

— Późną nocą krzątanina aniołów przybrała na sile — rzekła. — Fernando też to spostrzegł. Przypuszczamy, że harmonogram budowy większego obiektu musiał ulec niespodziewanej zmianie.

No i co z tego? — pomyślał Johann. Popatrzył na siostrę Beatrice. Zauważył, że jej błękitne oczy promieniują wyjątkowym blaskiem. Wyglądała tak pogodnie, tak świeżo… Jak to możliwe? — zapytał siebie. — Nie spała przecież dłużej niż ja.

Siostra Beatrice usiadła na skraju jego łóżka.

— Bracie Johannie — powiedziała pochylając się ku niemu i aż drżąc z podniecenia. — Aniołowie budują następne pudło na kapelusze, tylko o wiele większe i wyposażone w otwierane drzwi z drabinką dochodzącą do powierzchni gruntu. Fernando zaprogramował jedną z kamer, żeby włączyła teleobiektyw, i spróbował przez otwarte drzwi zajrzeć do wnętrza pudła. Ujrzeliśmy tam fotele, bracie Johannie. Fotele, idealnie dostosowane wielkością i kształtem do ludzkich ciał.

Johann głęboko odetchnął i postarał się w pełni zrozumieć sens tego, co powiedziała.

— Nie zawracałabym ci tym głowy, gdyby nie fakt, że mniej więcej przed pół godziną aniołowie ustawili obok tego nowego pudła następną prostokątną płytę — ciągnęła zakonnica. — Na niej także zaczęły się pojawiać sekwencje błysków… O ile Fernando i ja nie pomyliliśmy się w obliczeniach, sekwencje powinny się zakończyć po upływie jakichś trzech godzin, tuż po nastaniu świtu.

Johann był teraz zupełnie rozbudzony.

— I przypuszczasz, że i to pudło wystartuje z Marsa i odleci w przestrzeń? — zapytał.

— To jasne — przyznała z lekkim uśmiechem. — Wydaje mi się to oczywiste, gdyż w przeciwnym razie nie miałoby sensu nic z tego, co zdarzyło się wieczorem. Start mniejszego pudła na kapelusze miał być tylko pokazem. Aniołowie pragnęli się upewnić, że będziemy wiedzieli, co chcą zrobić.

W jej oczach zapłonął jeszcze większy żar.

— Przybyli, by nas uratować, bracie Johannie — oświadczyła. — Przed nadciągającą burzą piaskową, a także przed rozkładem całej ludzkiej kolonii na Marsie. Bóg zesłał nam swoich aniołów, by zabrali nas z tej planety.

Johann poczuł, że odebrało mu mowę. Przez jego umysł przelatywały dziesiątki pytań.

— A więc sądzisz, że drugie pudło zostało zbudowane z myślą o nas? — zapytał w końcu.

— Tak — stwierdziła siostra Beatrice, kiwając głową. — A przynajmniej zmyślą o niektórych. Żadne inne wytłumaczenie nie ma sensu. Modliłam się żarliwie do Boga, błagając Go, by powiedział mi, czy moje wnioski nie są błędne. Podzieliłam się swoimi myślami z innymi michalitami z mojej grupy, a także Fernandem i jego narzeczoną, Satoko. Wszyscy zgodzili się, że poprawnie zinterpretowałam to, co dzieje się na płaskowyżu. Przygotowujemy się teraz do startu, ale, rzecz jasna, chcemy, byś nam pomógł… Mamy bardzo mało czasu.

Johann natychmiast zeskoczył z łóżka. Dopiero teraz zrozumiał, dlaczego go obudziła.

— Pozwól, że zgadnę, o co chcecie mnie prosić — powiedział. — Chcecie, żebym zabrał was, teraz, w środku nocy, na płaskowyż, byście mogli się dostać na pokład kosmicznego statku obcych istot. Waszym zdaniem Bóg je zesłał, by ocalić was od niechybnej śmierci.

Beatrice uśmiechnęła się i ponownie kiwnęła głową.

— A wiec pozwól, mój drogi biskupie czy czymkolwiek innym jesteś — ciągnął, spacerując po sypialni — że nie będę ukrywał, iż uważam cię za kompletną wariatkę… Nie masz przecież najmniejszego pojęcia, dokąd takie pudło na kapelusze może polecieć. Nie wiesz też, kto będzie nim sterował, ani nie znasz powodów, dla których się tu zjawiło. A zresztą, to wszystko może być jakąś podłą sztuczką ze strony obcych… To przeklęte pudło może nawet eksplodować, kiedy tylko znajdziecie się na pokładzie.

— Nie oczekiwałam, że to zrozumiesz, bracie Johannie — nie podnosząc głosu odparła Beatrice. — Masz przecież w sobie tak mało wiary. A ludzie mający dużo wiary wydają się tym, którzy jej nie mają, niemal zawsze wariatami… Ale to czy masz wiarę, czy nie, nie

ma teraz znaczenia. Ośmioro z nas chce być w środku tego pudła na kapelusze, kiedy sekwencje błysków dobiegną końca. A bez twojej zgody nie będziemy mogli tego zrobić. Pan Udomphol mówi, że to ty musisz wydać pozwolenie, by pojechać tam łazikami.

— Obudziłaś Naronga, by z nim o tym porozmawiać? — zapytał zdumiony Johann.

— Tak — przyznała Beatrice. — Przebywa teraz w centrum operacyjnym i sprawdza, czy nie pomyliliśmy się w obliczeniach czasu trwania sekwencji błysków.

Zabrzmiał dzwonek u drzwi wejściowych, ale zanim Johann zdążył podejść i otworzyć, uczyniła to ubrana w czysty habit i nowy kornet siostra Vivien. Do mieszkania Johanna weszli po kolei zakonnicy Ravi i Jose, siostra Nuba, Fernando Gomez, Satoko Hayakawa i Anna Kasper.

— Jesteśmy gotowi — oznajmił brat Ravi.

— Anno! — zawołał Johann. — Dlaczego sif do nich przyłączyłaś?

— Bo chciałam także polecieć — odparła, łagodnie się uśmiechając. — Rzecz jasna, jeżeli będzie dla mnie miejsce… Nie twierdzę, że siostra Beatrice przekonała mnie, iż te białe przedmioty i chmury świecących kulek są aniołami, ale sądzę, że szansę przeżycia w tym pudle są co najmniej takie same, jak gdybym pozostała w Valhalli i tutaj starała się przetrwać burzę.

— No cóż, niech mnie porwą wszyscy diabli — zdołał tylko wykrztusić Johann.

Każdy łazik, jakim dysponowała Valhalla, mógł pomieścić kierowcę i dwoje pasażerów. Johann, który znów prowadził pojazd oznaczony 14A, wiózł obok siebie siostrę Beatrice i Annę Kasper. Pozostałymi trzema maszynami kierowali Narong, Kwame i Yasin.

— Myślałem, że będziesz ostatnią osobą, która zgodzi się wziąć udział w tak zwariowanym przedsięwzięciu — powiedział Johann Annie, skręcając w stronę wzniesienia wiodącego na wierzchołek płaskowyżu.

— I ja też — odparła kobieta ze śmiechem. — Prawdę mówiąc, kiedy wpadłam do centrum operacyjnego poprzedniego wieczoru, nie myślałam o niczym innym poza burzą piaskową.

— Dlaczego zmieniłaś zdanie? — zapytał Johann.

— Siostra Beatrice — powiedziała Anna. — W jakiś sposób to, co mówiła, miało sens, nawet jeżeli nie uwierzyłam w jej anioły.

— Pozwoliła, żeby Bóg przemówił do niej, bracie Johannie — odezwała się zakonnica. — Ja byłam tylko Jego chwilową emisariuszką.

— Potrafi być przekonująca — zauważyła Anna.

— Nietrudno mi w to uwierzyć — stwierdził Johann odwracając

głowę, by popatrzyć przez szybę hełmu na twarz Beatrice.

Kiedy dotarli na miejsce, zatrzymali łaziki nie opodal zdalnie sterowanych robotów wyposażonych w kamery transmitujące obrazy do Valhalli i zaczęli schodzić po stromym zboczu do kotliny, w której stało duże pudło na kapelusze i prostokątna błyskająca płyta. Przyjrzawszy się sekwencji błysków, Narong oświadczył, że do chwili ich ustania pozostaje prawie czterdzieści minut, a później podszedł do Johanna.

— Czy nie sądzisz, że stojąc tak blisko, narażamy się na niebezpieczeństwo? — zapytał. — Nie wiemy przecież, co się zdarzy. Jeżeli wskutek jakiegoś wybuchu czy silnego promieniowania zginiemy, Valhalli będzie bardzo trudno przetrwać nadciągającą burzę.

Johann musiał przyznać mu rację. Poprosił wszystkich, żeby przyspieszyli, tak by czterej kierowcy mogli obserwować ewentualny start pudła z bezpiecznej odległości, stojąc u boku maszyn.

Kiedy całą dwunastką schodzili po zboczu, wydało im się, że wisząca nad pudłem i błyskającą płytą długa, biała, pełna cząstek wstęga rozjarzyła się jaśniejszym blaskiem. Johann obserwował, jak świetliste drobiny poruszają się w jej obrębie. Pamiętał doskonale każde swoje poprzednie spotkanie z cząstkami i rozmyślał, czy możliwe, że widzi je po raz ostatni.

W tym czasie siostra Beatrice zbliżyła się śmiało do pudła i nie okazując najmniejszego strachu, wspięła się po szczeblach drabinki. Czworo pozostałych michalitów udało się w jej ślady.

— W środku znajduje się jedenaście foteli ustawionych pod ścianami — usłyszeli po kilku sekundach jej głos w słuchawkach hełmów. — Jest wygodnie i przestronnie.

Jako ostatnia z całej ósemki po drabince weszła Anna Kasper. Gdy znalazła się na ostatnim szczeblu, odwróciła się i pomachała czterem mężczyznom stojącym na skraju marsjańskiej kotliny.

— To może być ciekawa przygoda — powiedziała, a jej lekko drżący głos zdradzał ogarniające ją zdenerwowanie.

Do końca sekwencji błysków pozostało osiemnaście minut. Niebo na wschodzie pojaśniało i po chwili ciemności rozjarzyły się pierwszymi promieniami wschodzącego słońca. Kierowcy odwrócili się plecami do pudla na kapelusze i ruszyli w drogę powrotną do łazików.

— Hej, Asie — odezwał się Yasin. — Kiedy to pudło odleci, czy możemy poświęcić trochę czasu na przyjrzenie się tamtym rzeczom w kotlinie?

Machnął ręką w stronę białych przedmiotów, zgromadzonych w jednym miejscu kotliny o jakieś dwieście metrów na zachód od nich.

— Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł — odparł Johann odwracając się, by spojrzeć na Yasina.

W tej samej chwili zobaczył kierujące się ku nim dwie mniejsze wstęgi. Na ten widok mężczyźni przystanęli obserwując, jak wstęgi zamieniają się w torusy i zatrzymują się nad ich głowami. Pierwszy torus zawisnął nad głową Johanna, a drugi obrał sobie za cel głowę Kwamego. Johann poczuł, że przez ręce i nogi przebiega mu jakieś dziwne mrowienie.

— Pozostały jeszcze trzy wolne miejsca — usłyszał w słuchawkach głos Beatrice. Zakonnica stała w otwartych drzwiach pudła i patrzyła w ich stronę.

Kwame odchylił głowę i wpatrywał się w'zawieszoną nad nim wypełnioną świecącymi drobinami aureolę.

— No cóż — odezwał się po kilku sekundach. — Jeżeli chodzi o mnie, to wystarczy… Potrafię zrozumieć, kiedy zostaję wybrany.

Wyciągnął rękę i wymienił uściski z trzema pozostałymi mężczyznami.

— Trzymaj za mnie kciuki — odezwał się do Johanna, który przez rozdzielające ich szyby hełmów mógł widzieć, jak Tanzańczyk się uśmiecha.

— A co z tobą, szefie? — zapytał go Narong, kiedy pozostali patrzyli, jak Kwame odwraca się i rusza w stronę pudła na kapelusze. — Wydaje mi się, że i nad twoją głową unosi się coś dziwnego.

— Ja nigdzie nie idę — oświadczył zdecydowanie Johann, odwracając się i ruszając pod górę zbocza. — To wszystko jest dla mnie zbyt zwariowane. A poza tym jestem przecież potrzebny w Valhalli.

— Moglibyśmy poradzić sobie i bez ciebie — stwierdził informatyk. — Przypomnij sobie, co mówiłeś mi o swoim pierwszym spotkaniu…

Johann nie miał czasu, by odpowiedzieć, gdyż wszystkie cząstki tworzące zawieszony nad nim torus skupiły się nagle w kulę wielkości tenisowej piłki, która zamarła w powietrzu nad jego głową, zaledwie o kilka metrów przed nim. Kiedy Johann dał następny krok, tenisowa piłka ruszyła ku niemu, rozbijając się o szybę jego hełmu.

— Bracie Johannie — usłyszał w słuchawkach melodyjny głos Beatrice. — Chodź do nas. Aniołowie wybrali ciebie nie po raz pierwszy.

Tenisowa piłka znalazła się na poprzednim miejscu. Było jasne, że jest gotowa do zadania następnego ciosu, gdyby Johann spróbował zrobić jeszcze jeden krok naprzód. Mrowienie w jego rękach i nogach przybrało na sile. Czując, że zniewala go coś, co wydaje mu się sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem, Johann zawrócił i skierował się w dół pochyłości.

— Brawo, bracie Johannie — odezwał się w słuchawkach głos siostry Beatrice. — Nareszcie okazujesz, że masz chociaż trochę wiary.

Johann znalazł się pod drabinką, kiedy do końca sekwencji błysków pozostało już tylko sześć minut. Gdy wspinał się po szczeblach, był świadom, że jego nierytmicznie bijące serce i jakiś wewnętrzny głos mówią mu, że jest kompletnym, absolutnym głupcem.

Siostra Beatrice przywitała go na progu, obejmując na krótką chwilę, a potem gestem zaprosiła, by zajął miejsce w środku. Pomieszczenie w kształcie sześciokąta miało rozmiary niewielkiej sypialni. Spoglądając co kilka sekund na zegarek, Johann starał się uspokoić nerwy, rozmawiając na różne błahe tematy z innymi, i dopiero na jakieś dwie minuty przed spodziewanym startem zajął miejsce w fotelu stojącym jak najdalej od wejścia.

— Chyba nadchodzi ktoś jeszcze — odezwał się siedzący najbliżej drzwi Feraando Gomez, gdy do końca sekwencji błysków została minuta.

Johann i siostra Beatrice odruchowo wstali, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Po marsjańskiej równinie biegł samotny, ubrany w kosmiczny kombinezon człowiek. Przeskakując po dwa szczeble drabinki, wpadł do środka.

— Pomyślałem, że mogę zająć ostatni fotel — powiedział Yasin, bezwstydnie szczerząc się w uśmiechu. Po piętnastu sekundach drzwi pudła same się zamknęły.